

BIBLIOTEKA MICHAŁA FRIEDMANA מ



SZOLEM-ALEJCHEM

---

**Kasrylewka**

---

tłumaczenie Michał Friedman

SZOLEM ALEJCHEM

# Kasrylewka

TŁUM. MICHAŁ FRIEDMAN

## POGORZELCY Z KASRYLEWKI

### Rozdział I. Wybrańcy

Wielkie i wspaniałe stare miasto gojowskie<sup>1</sup> Jehupec (tak autor nazywał w swoich utworach Kijów) w całej swojej długoletniej historii czegoś podobnego jeszcze nie widziało. Założone przed tysiącem lat, w okresie panowania Włodzimierza Świętego, rozciągało się teraz na dużej przestrzeni wzdłuż Dniepru. Wspinano się na wzgórze, aby w innych miejscach opadać w dół ku brzegowi rzeki. W opisywany przeze mnie poranek kończącego się lata Jehupec miał okazję ujrzeć na swoich ulicach jakieś niezwykle typy Żydów.

Rzecz oczywista, że nie należy upierać się przy tym, iż to „nieżydowskie” miasto nie miało pojęcia o Żydach, że nie miało w swoich murach Żyda nawet na lekarstwo. Wręcz przeciwnie. Od niepamiętnych czasów miało zawsze i ma dziś z Żydami do czynienia. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że nigdy nie brakowało w nim Żydów, tak jak nigdy nie brakuje człowiekowi kłopotów.

Ilekcóż wypadnie ci czytelniku wpaść do tego miasta i sięgnąć po miejscową gazetę, zetkniesz się już na pierwszej stronie z Żydami. Nic, tylko Żydzi. A to, że na uniwersytet zdawało tylu a tylu Żydów. I również, ilu to z nich nie zostało w tym roku przyjętych. Albo o innych sprawach, ale też o Żydach, a mianowicie: ostatniej nocy w czasie oblawy ujęto tylu i tylu Żydów bez papierów. Słowem, zdających na uniwersytet nie przyjęto, natomiast ujętych w czasie oblawy przyjęto. Oczywiście do cyrkułu<sup>2</sup>. A gdyby tak było odwrotnie. Na uniwersytet przyjąć, do cyrkułu zaś nie. Mrzonki. Tak być nie może. To niemożliwe. Tak, jak niemożliwe jest, aby głodny człowiek zamiast do własnej gęby pakował jadło do cudzej.

A wracając do rzeczy. Co to za Żydzi zebrali się owego poranka kończącego się lata w mieście Jehupec? Byli to nobliwi obywatele Kasrylewki. Szanowani i szacowni obywatele tego miasta. Nie byle jacy obywatele i gospodarze domów, ale wybrani z wybranych. A wybrani zostali po to, aby dokonać czynu zbożnego, ważnego i miłego Bogu. Słowem, towarzystwo było wybrane i dobrane. Śmietanka miasta Kasrylewki. Chętnie wymienilibym ich nazwiska, ale sądzę, że nie jest to konieczne. Albowiem Żyd z Kasrylewki, który zajmuje się czynieniem dobra, nie ugania się za zaszczytem i nie łaknie sławy. Zresztą, nie jest przyzwyczajony do oglądania swego nazwiska w gazecie. Jemu wystarczy najmniejsza szczypta sławy i odrobina zaszczytu na miejscu u siebie, wśród swoich. Chętnie zadowolony się tym, że go rodacy zaoszczędzą<sup>3</sup> i nie zelżą.

Wśród zebranych wybrańców był też jeden, starszy wiekiem pan. Można powiedzieć — bardzo stary pan, a nawet wiekowy starzec. Osiemdziesiątka dawno mu już stuknęła. Zgarbiony, opierał się o starą laskę. Poza tym jednak, bez uroku, trzymał się jeszcze całkiem, całkiem. Miał na sobie sobotni, świąteczny ubiór. Jedwabny bezrękawnik nosił na starej, atlasowej kapocie z wcięciami. Na głowie miał sztrajml<sup>4</sup>, na nogach pończochy

<sup>1</sup>gojowskie — nieżydowskie; goj oznacza nie-Żyda. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>cyrkuł — komisariat policji w zaborze rosyjskim. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>zaoszczędzić — tu: oszczędzić. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>sztrajml — chasydzki kapelusz obramowany lisim futrem. [przypis tłumacza]

i kamasze. Jego towarzysze nie byli tak świątecznie ubrani. Za to byli w świątecznym nastroju. Żwawymi i dziarskimi krokami przemierzali ulice. Byli jakby trochę nadęci i nieco zdenerwowani. Każdy z nich nosił pod pachą brzuchaty woreczek, w którym był tałes<sup>5</sup> i tefilin<sup>6</sup>. Ponadto każdy miał przy sobie parasol. Były to jednak jakieś cudaczne i dziwnie wielgachne parasole. Jeden Pan Bóg w niebie chyba wiedział, w jakim celu je dźwigali. Pora i pogoda — bezdeszczowa i bezsłoneczna — nie była dla nich stosowna. Autor tego opowiadania dawno już zauważył, że istnieją Żydzi, którzy za nic i nigdy nie rozstają się z parasolem. Pora roku nie gra tu roli. Wielu takich Żydów z parasolami widywał w swoim życiu, ale nigdy nie zauważył, aby parasole były otwarte i rozpostarte nad ich głowami. A takie jest przecież przeznaczenie parasola. Niejednokrotnie spotyka się zabieganego Żyda, który za czymś pędzi. Jest on zwykle pochylony do przodu. Wiatr wieje mu w twarz. Smaga go i biczuje. Poły kapoty pod wpływem wiatru zwijają się w kłębek, który miarowo uderza i bije Żyda w tył głowy. On jednak trzyma w ręku parasol, który również kołysząc się, bije i uderza. Tik-tak, tip-tip, trzask-prask i zawsze po hydkach. Kiedyś ogarnęła mnie chęćka, by zatrzymać takiego Żyda. Chciałem obejrzyć jego parasol, wziąć go do ręki i zważyć. Proszę sobie wyobrazić, że ważył ładnych parę funtów. Takiego parasola nie sposób otworzyć. A gdyby któremuś z moich czytelników ta sztuka się udała, to może być pewnym, że zamknąć go już mu się nie uda. Druty jakoś poprzecznie i na sztorc, główkami do góry się wyginają, a parasol zamienia się w spadochron. Przy silnym wietrze gotów was niczym samolot unieść w przestworza.

Zostawmy jednak parasol i wracajmy do naszych Żydów.

Ci posuwali się tak szybko, że odnosiło się wrażenie, iż ktoś ich z tyłu pogania. Nasuwała się też myśl, że pośpiech ten wywołany jest obawą, iż mogą spóźnić się na oczekującą ich ucztę, wesele lub inne przyjemne bądź ważne zebranie. Rozmawiali głośno i wszyscy naraz. Od czasu do czasu przystawali i założywszy ręce do tyłu zaczęli przypatrywać się wysokim, pięknie i bogato zbudowanym kamienicom. Patrzyli i patrzyli i napatrzeć się nie mogli.

— A ten, na przykład, domek wam się podoba? — pyta jeden z wybranych. Czapka zsunęła mu się na bok. Oddycha głośno niczym miech kowalski. Rusza też bokami jak strudzony długą i ciężką drogą koń.

— Macie wy pojęcie, co to za domek? To ci dopiero chatka!

— Owszem, niczego sobie domek — odpowiada szeptem drugi. Mówi tak cicho, że zdaje się, iż ledwo żyje.

— A jak pan uważa, ile też taki domek może kosztować?

To pytanie zadaje trzeci z kolei. Wygląda na tetryka<sup>7</sup>. Oczy mu się błyszczą jakimś szczególnym blaskiem. Rękoma trzyma się pod boki.

— Ten domek? — odzywa się ktoś z boku. Jest to człowiek o bardzo wysokim czole. Widać, że biegły w liczeniu i znający się na domach. — Ten domek, wraz z placem<sup>8</sup> w samym centrum miasta, powinien kosztować nie mniej niż sto tysięcy.

— Cha, cha, cha! — młodzieniec o bladej twarzy, na której dopiero co zaczynają mu się sypać wąsy, śmieje się do rozpuku.

— Sto tysięcy, powiada pan? Obyśmy wszyscy tu razem zebrani mieli tyle, ile więcej będzie kosztował.

— Osioł! — replikuje tetryk o błyszczących oczach. — Skoro już mówimy „obyśmy”, to już lepiej, żebyśmy mieli tyle, na ile ten domek jest zadłużony.

Rozmowa zesłała na domy. Toczy się długo. Nie widać jej kresu i sensu. Jest ona jednak tylko pretekstem. W istocie wszyscy się już porządnie zmęczeni tym łażeniem pod górę. Każdy ma ochotę na odpoczynek, na odsapnięcie.

<sup>5</sup>tałes — dosł.: „narzuta”; szata liturgiczna, wełniana biała chusta w niebieskie lub czarne pasy, w którą owijają się żonaci mężczyźni podczas modlitwy porannej oraz w czasie innych, ściśle określonych przez przepisy religijne nabożeństw. [przypis tłumacza]

<sup>6</sup>tefilin — dosł.: „modlitwy”; nazwa dwóch skórzanych pudełeczek zawierających wypisane na pergaminie modlitwy — przepisy, które mężczyźni od trzynastego roku życia wkładają na głowę i lewą rękę podczas modlitwy porannej w dni powszednie. [przypis tłumacza]

<sup>7</sup>tetryk — osoba zgorzkniała i zgryźliwa. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>plac — tu: działka budowlana. [przypis edytorski]

— Zdaje mi się, szanowny rebe<sup>9</sup>, że ciężko przychodzi wam ta wspinaczka. A może by tak usiąść na chwilę? — te słowa skierowane zostały do starca, który nie bacząc na swoje osiemdziesiąt lat, rażno posuwał się naprzód. Nasi wybrańcy przystanęli. Szukali oczyma miejsca na odpoczynek dla starego. Nim jednak zdążyli miejsce takie znaleźć, wyrósł nagle przed nimi jakiś stwór, uzbrojony od stóp do głowy. Twarz miał czerwoną, a na rękach nosił białe rękawiczki. Szedł prosto na nich. Nasi wybrańcy przerazili się. Zabrakło im tchu w piersiach, krew w żyłach zastygła. Oczy utkwili w starcu. Czekali na to, co on powie. Stary jednak nie powiedział ani słowa. Oparł się tylko jeszcze mocniej o swoją laskę i dziarsko ruszył do przodu. Jak prawdziwy bohater. Wszyscy podążyli za nim. Uzbrojony stwór nie spodziewał się tego. Stanął jak wryty. Nie wiedział, co dalej począć. Co zrobić? Zatrzymać ich, czy nie? Nie ma powodu. Porządku nie zakłócali. A więc pozostaje puścić ich. Trzeba jednak stwierdzić, co to za ludzie. Dlatego też odwrócił głowę w ich kierunku i nie przestawał ich śledzić. Oni zaś wspinali się coraz wyżej. Wkrótce zatrzymali się przed bramą wspaniałej kamienicy. Zadzwonili.

A teraz pytanie. Dokąd to właściwie udali się nasi wybrańcy z Kasrylewki? Do kogo i w jakim celu? Odpowiedź jest prosta. Udali się do bogaczy. Zbierają jałmużnę, datki na chleb dla głodnych i biednych. Wzbudzają litość dla biednej, opuszczonej Kasrylewki. Znasz mnie czytelniku nie od wczoraj. Wiesz doskonale, że nie należę do ludzi, którzy lubią przynosić złe wieści. Nie ma jednak rady. Przyszedeł czas i musisz się o tym dowiedzieć. Kasrylewka poszła z dymem.

## Rozdział II. Fiszel porusza niebo i ziemię

Tak, drodzy przyjaciele, Kasrylewka poszła z dymem. I nie myślcie sobie, że był to zwyczajny pożar.

Tego lata, chwała Bogu, sporo żydowskich miast i miasteczek poszło z dymem. W czym więc rzecz? W tym, że jest różnica między pożarem a pożarem. Widocznie Kasrylewka chciała się popisać przed światem. Nic też dziwnego, że zwracając się do wszystkich miast żydowskich używała takich oto słów: „Co? Trawi was pożar? Palicie się? Ależ to śmiechu warte. Za pozwoleniem, ja wam pokażę, jak miasto się pali”. I faktycznie, Kasrylewka zaczęła płonąć jak świeca. Nie wyprzedzajmy jednak wypadków. Opis pożaru pozostawiam memu koledze Fiszelowi — korespondentowi gazety. On się tym zajmuje. Dla niego to robota. Nazajutrz, wczesnym rankiem, tuż po pożarze, od którego notabene sam ucierpiał, korespondent Fiszel spłodził relację do gazety. Sam ledwo uszedł z życiem, zaś znalezienie w tych warunkach pióra i atramentu graniczyło wprost z cudem. Relację rozesłano do wszystkich gazet żydowskich. Oto jej treść, wyrażona pismem kaligraficznym w poetyckim stylu:

Z nieba rozlega się potężny głos!

Kasrylewka — Córka zanosi się płaczem nad swoim nieszczęściem. Nie szuka pociechy, choć spotyka ją jedna klęska za drugą, jedno cierpienie za drugim. Nie zdążyła Kasrylewka otrząsnąć się z jednego nieszczęścia, a już nawiedziło ją drugie. Rozlała się nad nią czara gorzkości. I to z woli Boga. Z nieba spadł na nią ogień i ogarnął od końca do końca. Języki ognia wylizwały ją doszczętnie. Ogień nie okazał litości nawet świętym bożnicom. Nie oszczędzał niemowląt. Wszystkie poszły z dymem do nieba. Pastwą ognia stali się też starcy, chorzy i słabi. A działo się to onego dnia, gdy Pan Bóg postanowił nas ukarać za grzechy okrutne i wielokrotne, gdy nie przejawiał litości nawet dla Świętej Tory<sup>10</sup>, która spłonęła wraz z bożnicą. Obecnie znaleźliśmy się pod gołym niebem. Jesteśmy nadzy, bosy i opuszczeni. Jesteśmy głodni. Trawi nas pragnienie. Takie, jakiego doznają łanie na suchym, pustynnym stepie, gdy spragnione czatują i wypatrują wody przy ujściach rzek i strumyków. I jak te łanie, tak i my zwracamy oczy ku naszym miłosiernym braciom, dzieciom miłosiernych rodziców. Ślemy do was błagania. Okażcie litość. Okażcie szlachetność. Niechaj miłosierdzie zagości w waszych sercach i niechaj wasze litościwe ręce jak najszybciej wyciągają się ku nam z pomocą.

<sup>9</sup>rebe — tytuł grzecznościowy. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>Tora — dosł.: „nauka”; nazwa *Biblii*, w szerokim pojęciu oznacza wiedzę, nauki religijne. [przypis tłumacza]

Marny bowiem jest nasz los. Ratujcie nas przed głodem. Nie dopuście do tego, aby pozostała resztką synów Jakuba zginęła.

Wydaje się, że nic złego by się nie stało, gdyby ta serdeczna i wstrząsająca korespondencja, w której każde słowo brzmi jak westchnienie, a każda litera wyciska łzy z oczu, ukazała się właśnie w żydowskiej gazecie. W redakcji jednak wzięli ją na warsztat. Pracę Fiszela skrócono. Wyciśnięto z niej całą esencję i kwintesencję. Zostało z niej wszystkiego trzy i pół linijki, i to *petitem*<sup>11</sup> gdzieś w kąciaku nie pierwszej strony gazety:

Kasrylewka padła ofiarą pożaru. Nie obeszło się bez ofiar w ludziach.  
Uprasza się o pomoc.

Prawda, że gazety mają jakieś tam usprawiedliwienie. Ich redaktorzy twierdzą, że otrzymują od Fiszela z Kasrylewki niemal codziennie obfitą korespondencję. Gdyby chcieli wydrukować wszystko, co im Fiszela nadsyła, musieliby, tak powiadają, założyć oddzielną gazetę, specjalną drukarnię i zatrudnić nowych ludzi.

A przecież zależy im na sensacyjnych wiadomościach. A jak już do czegoś przychodzi, to nagle okazuje się, że Kasrylewka stała się przeszkodą, zawadą dla tych samych redaktorów, którzy gdy zamierzają wydać nowe czasopismo lub nową książkę, nie żałują pieniędzy na prospekty wysyłane do mieszkańców Kasrylewki, w których nie wstydzą się zwracać do nich per „wielce szanowni i bardzo kochani abonenci”. Gwoli prawdy trzeba powiedzieć, że Kasrylewka nie może się poszczycić wielką ilością abonentów. *Summa summarum* jest tam tylko jeden jedyny abonent. Jest nim Zajdel, syn reb<sup>12</sup> Szaji. To z jego łaski korzysta nasz korespondent Fiszela, gdy chce przeczytać gazetę. Po nim czytają inni, ci, którzy łakną drukowanego słowa. Ale co to ma wspólnego z Fiszelem? Dlaczego jego listy i utwory wrzucają z miejsca do kosza, zanim ktoś je zdąży przeczytać? Dlaczego w okresie poprzedzającym jakieś święto redaktor gazety wykazuje nagle zapał i popisuje się artykułem, w którym roi się od cukierkowatych słów w rodzaju:

Kto zliczył prochy Jakuba?  
I kto zliczył rycerzy Izraela?

Czyżby w podliczonych sumach uwzględnił również i naszych małych ludzi? A czyż oni, moralizatorzy, którzy wytykają nam błędy i obdarzają nas pięknymi epitetami w rodzaju „wyzyskiwacze”, „pasożyci”, „krwiopijcy” itd., mieli i nas, Żydów z Kasrylewki, na myśli? W takim wypadku Kasrylewka może powiedzieć: „I ja się mogę przydać na ofiarę. Na bezrybiu i rak ryba.”

Mimo to nie sądzicie, że po pożarze Kasrylewka poprzestała tylko na korespondencji Fiszela. Wysłane zostały również piękne poetyckie listy. Oczywiście wyszły one spod pióra Fiszela. Wysłano je do wszystkich zakątków diaspory, gdziekolwiek tylko mieszkał jakiś bogaty Żyd bądź bogacz o znanym nazwisku. A więc do Jehupca, Odessy i do Moskwy. Również do Londynu, a nawet Paryża — do samego arcywielkiego Rotszylda. I nie ma tu co wydziwiać i zastanawiać się, jakim cudem Kasrylewka mogła dotrzeć aż do niego. Proszę sobie wyobrazić, że od wielu lat Kasrylewka otrzymywała na święto Pesach<sup>13</sup> od Rotszylda z Paryża pieniądze na macę<sup>14</sup> dla ubogich. Sto franków regularnie przychodziło

<sup>11</sup>*petit* — drobny druk. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*reb* — skrót hebrajskiego słowa *rabi*, które jest tytułem uczonego, rabina itp. U Żydów wyraz *reb* przed imieniem własnym oznacza szacunek dla osoby, do której zwracają się oni w ten sposób lub o której mówią. Młodszy wiekiem zawsze tak mówi do starszego. [przypis tłumacza]

<sup>13</sup>*Pesach* — dosł.: „przeskoczyć, ominąć”; nazwa świąt wielkanocnych, pochodząca stąd, że według *Biblii* dziesiątą plagą, którą Bóg doświadczył Egipcjan przed wyzwoleniem Żydów z ich niewoli, było uśmiercenie egipskich niemowląt pierworodnych płci męskiej, czego dokonując Pan Bóg omijał (przeskakiwał) te domy, w których mieszkali Żydzi (pomazane uprzednio krwią baranka). W święta te Żydom nie wolno spożywać chleba, bułek ani żadnego pieczywa wypiekanego na drożdżach. Ponadto nie wolno używać naczyń, w których gotuje się przez cały rok, gdyż zachodzi obawa, by nie zjeść czegoś, co nie jest przasane. Używa się więc wtedy specjalnych naczyń oraz jadła dozwolonego przez ściśle przestrzegane przepisy religijne. Pesach jest też nazwą ofiary religijnej w formie uczty, libacji sakralnej. [przypis tłumacza]

<sup>14</sup>*maca* — cienkie, przasane placki, które Żydzi spożywają w święta wielkanocne zamiast chleba, na tę pamiątkę, iż gdy uciekali z niewoli egipskiej, nie zdążyli upiec sobie chleba na drogę, a ciasto bez drożdży, które z sobą zabrali, upiekło się na słońcu. [przypis tłumacza]

na adres reb Juzipla. Prawdą jest też, że od pewnego czasu Rotszyld przestał przysyłać pieniądze.

Dlaczego? Tego nikt nie wie. Mimo to Żydzi z Kasrylewki nadal piszą do Rotszylda przy różnych okazjach. Z okazji wydarzeń radosnych i, nie daj Bóg, z okazji nieszczęść. A że już nie otrzymują od dłuższego czasu żadnych odpowiedzi na swoje listy, to co z tego? Żaden problem. Może znudziło mu się czytanie tych długich epistoł. I ciastka mogą się przejeść. A może tam w Paryżu przydarzyło się Rotszyldowi to, co ongiś faraonowi, królowi Egiptu? Biblia o tym tak powiada: „I powstał nowy król, który nie znał Józefa, który udawał, że go nie zna”. Mam tu na myśli sekretarza Rotszylda, tego, który dostaje pocztę i pierwszy czyta wszystkie listy. Listy, które jemu przypadają do gustu, przekazuje Rotszyldowi. Z listami, które mu się nie podobają, postępuje zgoła inaczej. Wrzuca je do kosza i ma je z głowy. Czy tak jest naprawdę, tego nie wiem. Sądzę jednak, że tak może być.

Słowem, przekonaliście się, że Kasrylewka to miasto, które ma kontakt z całym światem i prowadzi z nim rozległą korespondencję. Gdy tylko wydarzyło się nieszczęście, z miejsca podano je za pośrednictwem Fiszela do wiadomości całego świata. Bezustannie trąbiono o tym. Wszyscy mieszkańcy Kasrylewki wypatrywali teraz tego, który w ich niedoli pierwszy zjawi się z pomocą.

### Rozdział III. Kasrylewka pali się niczym świeca

Skąd to nieszczęście wzięło swój początek? Chyba ze starej łaźni. A zaczęło się od płonącej szczapy. Ogień szybko się rozprzestrzenił. Zajął się dach i płomienie rychło objęły całą łaźnię. Gdy „Adam” i „Ewa”, czyli łaźiebny i łaźiebna, ledwo zdołali wyskoczyć z ognia, od razu pomyśleli: „Biada, co z naszym rebem?”

W mgnieniu oka „Adam Pierwszy”, czyli łaźiebny, znalazł się w domu reb Juzipla i wyniósł go na swoich potężnych rękach w sposób, w jaki wynosi się niemowlę z kołyski. Reb Juzipl jak dziecko zasłonił rękoma oczy przed pożarem, od którego luna oblała swoim światłem całą rzekę z rosnącymi nad nią wierzbami. Widać było niebo, do którego unosił się ogień oraz wznoszący się spiralą coraz wyżej i wyżej dym. Raz po raz wyskakiwały z niego małe i duże iskry i wtedy gęsty dym przybierał inne oblicze. Nabierał jakiegoś osobliwego wdzięku, stawał się kolorowy — czerwony. Wszystko było czerwone — rzeka, niebo, wierzy i ludzie. Reb Juzipl nigdy jeszcze takiej czerwieni nie oglądał i nie widział takiego piękna. Nie mógł wyjść z podziwu. Toteż, gdy „Adam Pierwszy” postawił go na nogi, pierwsze jego słowa skierowane do samego siebie brzmiały tak: „Jakże piękny i cudowny jest ten Boży świętek!” Wnet się jednak połapał i zwróciwszy się do „Adama” i „Ewy” rzekł:

— Dzieci moje, czy nic wam się nie stało? Bogu Wszechmogącemu dzięki za to, że nie pokarał nas ogniem.

— Nie pokarał nas ogniem? — łaźiebny nie mógł się pohamować. Przy wtórze gorzkiego śmiechu rzekł z sarkazmem: — A czym nas pokarał? Wodą?

— Nie o to mi chodzi — usprawiedliwiał się rebe. — Mam na myśli cud, dzięki któremu zostaliśmy uchronieni od śmierci. Chwała Stwórcy.

— Uchronieni od śmierci? A po co mamy żyć, skoro nie mamy już łaźni!

— Mówisz jak dziecko — przerywa mu reb Juzipl i zasłania się rękami przed ogniem. — Gdzie to jest napisane, że musisz mieć łaźnię? Kiedy urodziłeś się, toś głuptasku przyszedł na świat wraz z łaźnią? A czyś liczył, że po śmierci, oby to nastąpiło za sto lat, gdy przyjdzie iść na tamten świat z woli Boga, przytargasz z sobą łaźnię? Kiedyś był sobie król...

I reb Juzipl chciał — tak jak to było w jego zwyczaju — opowiedzieć bajkę z morałem o królu. Łażiebny przerwał mu na samym początku.

— Co mi tam król? Jaki tam król? Bardzo przepraszam, ale niech rebe lepiej popatrzy na ogień, który moim zdaniem przenosi się na tamtą stronę, w kierunku miasta. Coś mi się zdaje, że wiatr wieje mocniej. Boję się, żeby się nie zajął dom rzeźnika Lewi-Mordechaja wraz z jego stajniami. Wtedy żegnaj Kasrylewko!

Chwila, kiedy padły te słowa, była widocznie fatalna, bo oto ogień objął dom i stajnie Lewi-Mordechaja.

Nowy kawał nieba stanął w pełnym świetle. Zabudowania zaczęły trzaskać i pękać. Rozległo się meczenie kóz i gdakanie kur. Kilka kur z impetem wyrwało się z kojca i z rozczapierzonymi skrzydłami puściło się biegiem w dół góry, na której wznosiło się miasto. Wnet została oświetlona cała góra wraz z miastem. W świetle stanęło również rozciągnięte nad nim niebo. Jakiś dziwny krzyk piskliwym echem dochodzi tu z miasta, coraz bardziej potężniejsze i zlewa się z ujadaniem psów, muczeniem krów, piskiem kobiet, płaczem dzieci i nieustannymi nawoływaniem: „Wody! Wiader! Ratunku! Szybciej! Pali się!” Nagle z góry do rzeki stacza się jakaś płonąca żagiew. Jest to głównia na czterech nóżkach. Wykonuje jakiś taniec, coś tam wyczynia ze swymi rogami i leci wprost do rzeki. Nie dolatuje jednak. Pada jak długa na ziemię. Nóżkami do góry. Drży, trzęsie się ze strachu przed śmiercią. Wydaje dziwny ryk: „mee, mee.” To koza, która w swojej głupocie najpierw skoczyła do ognia, szybko jednak poczuła jego skutki i wyskoczyła. Było już za późno. Futerko w mig się zapaliło, a koza puściła się biegiem jak szalona. Hop, hop w dal. Bez planu, bez sensu.

W bieganinie Żydów i Żydówek z Kasrylewki też nie było większego sensu. Rzucali się z jednej ulicy na drugą jak myszy, które połknęły truciznę. Jedno drugiemu przekazywało wieść:

- Słyszeliście? Eli-Dawid się pali!
- Wiecie? Ogień dotarł już do rynku!
- Wiecie? Pali się całe miasto. Niech mnie szlag! Całe miasto!

Jak świeca! Buszuje ogień, szturmując jak rozszalałe morze. Wiatr roznosi duże główne i snopy słomy, lecą niezliczone iskry, i spadają na całkiem wysuszone ze starości słomiane lub drewniane dachy. Słychać trzaski i huki, wybuchy pękających i rozpadających się domów. Wszystkie te odgłosy zlewają się w jedno z krzykiem, kwikiem, piskiem, płaczem i szlochem. Zdaje się, że to nie ludzie pędzą w szalonym biegu, lecz duchy i diabły. Pędzą na oślep i nazad. Z jednej strony na drugą. Zupełnie jak zatrute myszy. Jak te nie dorżnięte kury. A wielki, potężny, jasny ogień oświetla i upiększa ich szare, zmęczone, przerażone twarze. Kasrylewka pali się. Płonie niczym świeca.

#### Rozdział IV. Reb Juzipl toczy wojnę z Bogiem

Dopóki ogień trawił łaźnię, „Adam” i „Ewa” nie zwracali uwagi na reb Juzipla. Później jednak, gdy z łaźni pozostał tylko żelazny kocioł z kominem (nawet mykwa<sup>15</sup> doszczętnie spłonęła), „Adam” i „Ewa” rzucili się ku „rebemu”. A tu „rebego” nie ma. Na próżno szukali go przy studni, nad rzeką i wśród płonących ulic w mieście.

— Nie spotkaliście gdzieś rebego?

Łaziebny zadawał wciąż to samo pytanie nieszczęsnym uciekinierom spod ognia, pogorzelncom z miasta. Ci jednak byli tak przerażeni i zmieszani, że nie słyszeli, co do nich mówiono. Zdziwieni, hypali oczyma pełnymi strachu.

— Jakiego rebego? Czyjego rebego?

A gdzie był, gdzie się podział reb Juzipl? Reb Juzipl, rabin Juzipl we własnej osobie, skoro tylko zauważył, że miastu grozi niebezpieczeństwo, zerwał się, złapał stary, z ognia uratowany sztrajml<sup>16</sup> oraz starą laskę i puścił się w drogę do swoich Żydów, do miasta, nie zdając sobie sprawy, dokąd i po co idzie. Przy jego osiemdziesięciu latach był to nie lada spacer. Mając przed oczyma potężne morze płomieni wcale nie odczuwał zmęczenia. Ponosiło go. Był uskrzydłony. Podążał w kierunku starej bożnicy, w której całe swoje życie spędził na obcowaniu z Bogiem. Czyżby Bóg go zawiódł i nie uczynił cudu, aby ocalić jego, reb Juzipla, dom? Czyżby Pan Bóg — Twórca Wszechmocny — nie zechciał ocalić *Tory*, swojego własnego Pisma Świętego?

Pochłonięty tymi myślami, nasz reb Juzipl przybył do starej bożnicy akurat w momencie, gdy dookoła niej buszował ogień. Ze wszystkich stron strzelały płomienie. W ich świetle ukazał się na wpół rozwalony dach. Wyłoniły się żółte, odlupane z tynku ściany starej kasrylewskiej bożnicy. Jeszcze chwila i Dom Boży stanie w płomieniach.

I nie może reb Juzipl ogarnąć rozumem, dlaczego Żydzi milczą. Dlaczego nikt nie stara się ratować starej bożnicy? Dlaczego nie ratują świętych ksiąg? Ksiąg, w których zawarta jest cała *Tora*? Zamiast tego widzi Żydów pędzących tam i nazad jak dzikie,

<sup>15</sup>mykwa — basen z bieżącą wodą w łaźniach żydowskich, służący do rytualnych kąpiel. [przypis tłumacza]

<sup>16</sup>sztrajml — chasydzki kapelus z obramowany lisim futrem. [przypis edytorski]

wystraszone istoty. Rzucają się w ogień, ratują stare i chore kobiety. Wyciągają z ognia małe dzieci, taszczą jakieś ławki, łózka, poduszki, garnki i inne „skarby”. O Domu Bożym całkiem zapomnieli. Zostawili go na pastwę żywiołu. Jak tak może być? Reb Juzipl usiłuje krzyknąć, próbuje wzywać pomocy: „Święte miejsce pali się! Płonie bożnica!” Nikt go nie słucha. Mija chwila i reb Juzipl jest w bożnicy sam, samiuteńki.

Podchodzi natychmiast do Arki Świętej, wyjmując jeden zwój *Tory*, potem drugi i ledwo uchodzi z życiem. Jest już na ulicy. Zwój położył z dala od drzwi, na połamanym stolku, który ktoś wyrzucił z domu. Sam staje koło nich i tak się na głos do Boga odzywa:

— Co mogłem, to i zrobiłem. Ile byłem w stanie, tyle uratowałem. Pozostałe Święte Księgi pozostawiłem Tobie. Nie ruszę się stąd ani na krok. Chcę zobaczyć, jak Ty spalisz swoją własną *Torę*. Pismo Święte, które dałeś nam za pośrednictwem Twego sługi Mojżesza na Górze Synaj!

W tym momencie nadszedł laziebny, nasz znajomy „Adam Pierwszy”. Serce mu odpowiedziało, że rebe powinien być w pobliżu bożnicy. Ujrzawszy rebe stojącego przy płonącej bożnicy, bez zbędnych ceregieli wziął go w swoje potężne ręce człowieka nawykłego do znoej pracy i wraz ze zwojami świętych ksiąg poniósł w dół, daleko od ognia. Zaniósł reb Juzipla do spalonej łaźni nad brzegiem rzeki.

#### Rozdział V. Po kataklizmie

Tak to już jest w zwyczaju tego świata, że w czasie, gdy trwa wojna, nie zwraca się zbyt wiele uwagi na nieszczęścia z nią związane. Poległych zaczyna się liczyć dopiero po ustaniu wojny. Gdy ona mija, przystępuje się do obliczania strat.

Tak też było w Kasrylewce. Dopiero nazajutrz po pożarze zaczęto oceniać rozmiary nieszczęścia. Najpierw, oczywiście, wymieniano informacje z gatunku dziwnych. O tym, jak, kto i gdzie dowiedział się o pożarze. Przy tej okazji każdy miał na podorędziu swoją historię. Bardzo długą historię. O tym, jak to właśnie wczoraj, jakby na urągowisko, wrócił do domu wcześniej niż zwykle, grubo przed wieczorem. Nie miał tego dnia nic do roboty. Tak się złożyło, że tego wieczoru był wściekle głodny i jakby na złość nie było nic do jedzenia. Na domiar złego zapadł w głęboki sen akurat na pół godziny przed pożarem i jakby na złość sen miał wyjątkowo smaczny. Wtedy słyszy: „Gwałtu! Rety! Pali się!”

Inny opowiada jeszcze ładniejszą historię, też z gatunku udziwnionych. Wczoraj wstał bardzo wcześnie, wcześniej niż zwykle. O samym brzasku dnia. Poszedł na rynek. Zamierzał coś tam utargować. Może jakąś skórkę tchórza, worek kaszy czy worek kartofli. Grunt, aby coś zarobić. W rynku jednak ani żywej duszy. Wszystkiego jeden chłop z workiem węgla. Zwraca się więc do niego: „Goju, ile chcesz za ten worek węgla?” Tamten odpowiada: „Złotego rubla”. Pyta więc po raz drugi: „A może starczy pół?” Odpowiada tamten: „Nie, tylko cały”. Uparł się przy rublu i trzyma się go kurczowo. Choć bij, zabij. Zakupił więc u tego goja worek węgla. Wziął go na plecy i tak dalej, i tak dalej. Trzy bite godziny ciągnie swoją historię, aż wreszcie dochodzi do pożaru. I tu okazuje się, że w czasie pożaru spał jak zabity. Ledwo go dobudzili.

Trzeci opowiada jeszcze piękniejszą historię. Zaczynają od dnia przedwczorajszego, czyli na dwa dni przed pożarem. Jego opowieść jest bardzo długa, znacznie dłuższa od tej z workiem węgla. I raptem wtrąca się jakaś kobieta, która podważa całą jego relację.

— Co mi tam będzie pan bajki opowiadał. Nic podobnego nie było! Bzdury. Ja wam opowiem, jak się zaczęło. W czwartek poprzedzający pożar rozgniałałam właśnie mąkę na chałę, mąkę, którą przywiózł Berl, syn Bruchy. Ależ to była mąka. Niech mnie Bóg skarże. Taki rok na naszych wrogów. Oględnie mówiąc dotknięta była goryczką...

I potoczyła się przez trzy bite godziny historia o gorzkiej mące i takichże drożdżach. Historia o dzieży, którą pożyczyła od sąsiadki imieniem Pesia. A Pesia to chodząca dobroć. I tak dalej, i tak dalej. Historia bez końca... Zdawało się, że do samego pożaru już chyba nigdy nie zdoła dojść. Nawet gdyby żyła wieki.

Pospołu z tymi pięknymi historiami i opowiadaniem o pożarze słychać było również płacz, lament i skargi wydobywające się ze zgorzkniałych serc i dotkniętych do żywego dusz. Skargi opuszczonych i osamotnionych, biednych, nieszczęśliwych i pożałowania godnych. Oto stoi matka, załamująca ręce w żalosnej skardze z powodu utraconego dziecka, które spłonęło w kołysce. Tam stoi Żyd, który oplakuje po cichu śmierć swego starego



schorowanego ojca, który akurat owej nocy spał na strychu, choć nigdy dotychczas mu się to nie zdarzyło. Spłonął. Pozostał po nim jeno popiół. Tam zaś krąży jakaś dziewczyna, która rękami bije się nieustannie po głowie i woła: „Mamo! Mamo! Mamo!”

Nie miejcie mi za złe, drodzy czytelnicy, że przerwę ten opis w samym środku. W czasie pisania stoi właśnie nade mną muza, a jest ona podobna do wszystkich istot z Kasrylewki. Biedna, ale wesoła. Nie znosi łez. Stroni od smutnych scen. Uważa, że na miano łez zasługują tylko te, które są mokre i błyszczą. Wszystkie zaś pozostałe łzy, które pisarz przelewa na papier, są to, powiada moja muza, łzy suche, sztuczne, pozbawione wszelkiej wartości. Twierdzi też, że prawdziwy ból, to nie ten opisywany i publikowany, ale „ten, który boli”. Dlatego też odchodzę od smutnych scen. Nie będę ich opisywał. Zatrzymam się tylko na opisie strat, jakie ponieśli moi kasrylewianie w czasie pożaru. Sęk jednak w tym, że nie można dokładnie ich obliczyć. A zresztą, co to pomoże? Co takie obliczenie da? Czy ktoś zwróci im straty? Towarzystwa asekuracyjne zdążyły już się zmówić i skreśliły Kasrylewkę z mapy kraju. Jakby nigdy nie istniała. Zresztą kto jest w stanie wycenić czyjeś mienie, zwłaszcza, że już dawno poszło ono z dymem i ulotniło się z wiatrem? Mienie w ogóle, a mienie kasrylewskie w szczególności, posiada swoistą wartość, której nie sposób wycenić. Stare szmaty i połamane graty są bardzo drogie (jeśli nie droższe) i tak samo cenne dla biedaka, jak najpiękniejsze lustra i najdroższe rzeczy dla bogacza. Bogacz, jeśli utraci jakąś rzecz, może ją odkupić. Ma pieniądze. Kto natomiast biedakowi zwróci to, co ogień mu zabrał?

Tak medytowali pogorzelnicy z Kasrylewki. Doszli też do wniosku, że samym filozofowaniem niczego nie wskórają. Trzeba coś zrobić, coś wykombinować, znaleźć sposób na uratowanie miasta. Co i jak zrobić, aby miasto pozostało miastem? To nie sztuka dopuścić do tego, aby całe miasto rozlazło się po świecie, aby wszyscy mieszkańcy poszli po prośbie i wyciągali ręce po jałmużnę, jak to zwykle czynią „pogorzelnicy”.

Tfu! To nie ma sensu! Trzeba zrobić wszystko, aby Kasrylewka pozostała Kasrylewką. Oto nad czym łamano sobie głowę.

Na płomienne i wstrząsające listy, które zostały wysłane do wszystkich zakątków diaspory żydowskiej, odezwało się raptem kilka miasteczek tak samo biednych jak Kasrylewka. Przesłały do Kasrylewki trochę chleba, niewiele starych ubrań i parę złocisz w gotówce. Wszystko to starczyło na jeden ząb. Sytuacja stała się krytyczna. Było już tak źle, że zaprzestano nawet płakać, wdychać i żalić się. Tak bywa zwykle z człowiekiem, który zamarza. Cicho i spokojnie kona. Życie powoli się z niego ulatnia. Zaczyna zasypiać wiecznym snem. I oto zjawił się, jak zwykle w godzinę próby, reb Juzipl. Tryskał siłą, którą Bóg tchnął w jego słabe ciało. Zwołał zebranie wszystkich gospodarzy z miasta. Zwołał je sam. Nie korzystał z usług i pośrednictwa szamesów<sup>17</sup>. Nie starał się wywyższać. Stał przed zgromadzonymi i odezwał się tymi oto słowami:

— Dzieci moje żydowskie, słuchajcie uważnie tego, co wam powiem. Nie moje będą to słowa, ale Tego, co wiecznie żyje. On będzie przemawiał przez moje grzeszne usta. Będziecie usatysfakcjonowani. Zapewniam was, że z woli Najwyższego wszystko będzie dobrze. A w czym rzecz? Rzecz w tym, że w istocie zostaliśmy spaleni. Razem z naszymi bożnicami, synagogami, ze świętymi księgami. Zginęli ludzie, zginęły Bogu ducha winne małe dzieci. Nie ulega kwestii, że kara, która nas spotkała, jest straszliwa i dotkliwa, ale sprawiedliwa. Zasłużyliśmy na nią. Ciężko wobec Boga zgrzeszyliśmy. Rozpaczać jednak zbyttno nad nią też nie powinniśmy. Po pierwsze, rozpacz i żaloba nic tu nie pomogą. Po drugie, może się wydać Panu Wszechmogącemu, że pożar Kasrylewki oplakujemy bardziej niż zburzenie Świątyni, niż zagładę Jerozolimy. Przytoczę dla przykładu opowieść o pewnym królu. Dawno temu był sobie król. Miał on syna, jedynaka...

I, dla przykładu, opowiadał im reb Juzipl bardzo ładną opowieść z morałem o królu. Tak, jak to było w jego zwyczaju. Zawsze lubił opowiadać historie o królach. A zakończył tymi oto słowami:

— Z tego łatwo wywnioskować, że nie powinniśmy grzeszyć rozpaczą. Powinniśmy uzbroid się w siłę, wziąć do ręki kije wędrownie i ruszyć drogami diaspory. Zróbcie tak,

<sup>17</sup>szames — tak nazywano służę bożnicy, synagogi oraz żydowskiej gminy wyznaniowej; właściwie jest to woźny bożnicy, gminy lub rabina. [przypis tłumacza]

jak wam, dzieci moje, mówię. I ja też z wami pójdę. Bądźcie pewni, że gdziekolwiek się znajdziemy i dokądkolwiek dotrzemy, spotkamy się z uznaniem i sympatią ze strony naszych bogatych braci, którzy nie dadzą nam zginąć. Wstańcie więc Żydzi — pora napiąć mięśnie, przygotować siły. I jako rzeczce *Pismo*, ruszajmy w drogę. Chodźmy!

W trakcie wygłaszania tej przemowy, reb Juzipl zaczyna się wyprostowywać. Pochylony grzbiet wyciąga się jak struna. Jego twarz oblewa jasny blask. Czuje przyплы świeżych sił. Jest młody. Czuje się jak młodzieniec, jak bohater, jak gotowy do walki siłacz. I w zgromadzonych Żydów wstępuje otucha. Są gotowi iść. Wyłania się tylko jeden problem: dokąd najpierw pójść? Jest tyle, bez uroku, żydowskich miast i tyłu, bez uroku, bogaczy!

Rozdział VI. Cicho! Sza! — Kasrylewka rusza w świat

Powiada *Pismo*: „Kto i kim są ci wędrowcy?” A sens tych słów tłumaczono tak: Kto z Kasrylewki ma ruszyć w świat? To pytanie poruszyło całe miasto. Fiszel w jednej ze swoich korespondencji napisał, że miasto przypomina gejzer. Tak wówczas w nim kipiało. Ochotników do wyprawy było co niemiara. Co tu gadać, wszyscy mieszkańcy miasta chcieli wyruszyć i zasłużyć się. A może każdy chciał po prostu przewietrzyć się, rozprostować gnaty, rozruszać kości? Siedząc plackiem na jednym miejscu człowiek więdnie, pleśnieje. W każdym człowieku tkwi jakiś popęd, który gna go w świat. Czasami ogarnia go pragnienie poznania świata. Chce zobaczyć innych ludzi, a po powrocie podzielić się nowinami. A tych nowin chciałby z sobą przywieźć jak najwięcej. Cóż bowiem może być bardziej przyjemnego dla człowieka jak to, by po powrocie ze świata spotkać się z uznaniem ze wszystkich stron? Witają go wtedy serdecznie. Wszyscy pchają się do niego, aby uścisnąć mu dłoń, wszyscy chcą obejrzeć jego twarz. O co tu chodzi? Twarz jak twarz. A jednak jest to przybysz ze świata i twarz ma inną. A kiedy przybywa i otwiera usta, zaczynając opowiadać o wydarzeniach ze swojej przebytej drogi, o cudach wielkiego miasta, wszyscy ludzie, a liczba ich dochodzi do setek, wbijają wzrok w jego twarz i chłoną każde jego słowo. On zaś stoi, bez uroku, twardo przed tłumem i opowiada. Opowiada i coraz bardziej nabiera w oczach ludzi jakiegoś osobliwego wdzięku. Z miejsca staje się „kims” w mieście. Staje się człowiekiem przez duże C, bohaterem na co najmniej kilka dni. Prawda, te kilka dni szybko mija i bohater przestaje być bohaterem, traci swój wdzięk i upodobnia się znów do wszystkich ludzi Kasrylewki. A mimo to, kto nie chciałby być bohaterem? Choćby przez godzinę. A mówiąc między nami, czyż jest możliwe, żeby całe miasto zerwało się i hurmem ruszyło w świat? Dlatego postanowiono wybrać delegację w niewielkim składzie. I tu dopiero się zaczęło. Kogo? Właśnie, kogo wybrać? Rzecz jasna, że w skład delegacji powinni wejść co bogatsi i bardziej nobliwi obywatele miasta. Ale bądź tu mądry i przeprowadź w Kasrylewie dokładnie linię podziału między bogaczem i niebogaczem. Między nobliwym i nienobliwym gospodarzem. W Kasrylewie w zasadzie wszyscy nobliwi gospodarze i wszyscy bogacze, nie obrażając nikogo, to niemal biedacy.

Wracając jednak do rzeczy, każde miasto ma jednak swoją elitę, swoją czołówkę. Nonsense! Łaziebnego czy woziwody nie wybierzesz przecież na delegata. Postanowiono więc wybrać gabajów<sup>18</sup> (starostów) ze wszystkich bożnic i stowarzyszeń i, oczywiście, starego rabina Juzipla.

Każdy zapakował swoje manele, zabrał z sobą niezbędne narzędzia pracy, to znaczy tałes<sup>19</sup> i tefilin<sup>20</sup>, parasole i pozostałe akcesoria. Wynajęto dwa przykryte budą wozy i wyprawiono uroczyste pożegnanie. Wszyscy mieszkańcy wylegli na ulicę, aby odprowadzić wybranych delegatów. Życzeniom szczęśliwej podróży nie było końca. I tak ruszyli w drogę.

Dwie doby minęły naszym wybrancom na jeździe po bitym i udeptanym błocie traktu. Trzęsło nimi niemilosiernie. Zatrzymywali się na krótko w przydrożnej karczynie, aby tylko odsapnąć i wtedy, gdy trzeba było odprawić modlitwę, coś przekąsić lub nakarmić konie. Dopiero trzeciego dnia, rozbici, na śmierć zmordowani, dotarli do stacji kolejowej.

<sup>18</sup>*gabe* a. *gabaj* — jeden z przełożonych bożnicy, pełniący nad nią nadzór. [przypis tłumacza]

<sup>19</sup>*tates* — szal modlitewny. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*tefilin* a. *filakteria* — dwa skórzane pudełka, w których umieszczone są wersety z *Biblij*. Jedno pudełko przytwierdza się rzemieniem do lewej ręki (obok serca) i drugie do czoła (do myśli). [przypis edytorski]

Tu nasi wybrańcy rzucili się hurmem do kasy. Wszyscy naraz, tłocząc się, kupili bilety. Tłum czekający na peronie ustępował im z drogi i pokpiwując cicho, wołał: „Cicho! Sza! Kasrylewka rusza w świat!” I to nie chrześcijanie, broń Boże. Ci na odwrót, zatrzymywali się i z wielkim szacunkiem oglądali naszych delegatów, którzy jednym tchem, wszyscy naraz, rozgadali się, żywo gestykulując rękami. A gdy rozległ się pierwszy dzwonek obwieszczający odjazd pociągu, nasi wybrańcy wpadli w popłoch. Wśród zamętu, przepychania i nieprzytomnej bieganiny rozbrzmiewały okrzyki: „Lejzor! Luzer! Chananie! Michał!”

Żandarm spojrział na dozorcę takim wzrokiem, że ten zmuszony był zasłonić sobie pięściami ospowatą twarz. Nie chciał, aby widziano, że śmieje się całą gębą, szczerząc przy tym białe, olbrzymie zęby. Wydał tylko piskliwy okrzyk: „Jak wrony zlecieli się Żydzi”. Jeszcze mniej spodobali się nasi Żydzi brygadzie kolejowej. Konduktorzy wpełnęli ich do jednego wagonu. Zmieszali z tłumem podróżnych. Obeszli się z nimi nie tak, jak z szanownymi gospodarzami, starostami bożnic, delegatami udającymi się w podróż w ważnej i służącej dobru ogółu sprawie. I tu w wagonie zaczęła się dla naszych wybrańców seria kłopotów, zmartwień, cierpień i poniżeń. Słowem, zaczęła się prawdziwa diaspora.

Po pierwsze, trafili do wagonu, który, gdyby nie siedzieli w nim ludzie, można by uznać za przeznaczony dla świń. Straszliwy brud, gęsto i czarno od dymu, że tylko siekierę powiesić, smród nie do zniesienia. Nasi kasrylewianie, aczkolwiek nie należeli do zbyt rozpieszczonych i delikatnych, poczuli, że się dławią, że mdleją. A cóż dopiero mówić o ciasnocie. Głowa przy głowie. Pasażerowie — sami prości ludzie. Robotnicy z dziwnie jakoś pachnącymi torbami na plecach i z jeszcze bardziej osobliwie cuchnącymi łapiami na nogach. Bez przerwy kurzyli jakieś obrzydlistwo. Dymem z niego można się było udławić. Miejsc siedzących nie było. Przy lada próbie zajęcia jakiegos miejsca padały okrzyki: „*Paszol won parchaty. Zaniato!*” Po naszemu, czyli po żydowsku, znaczy to: „Bardzo przepraszam, szanowny Żydie, miejsce zajęte”. Wszystkie miejsca były zajęte. Nawet te puste. Nasi wybrańcy z Kasrylewki zmuszeni byli więc stać. Zbili się, niczym owieczki, w kupę w kącie wagonu i dusząc się od ciasnoty nie przestawali rozmawiać. A rozmawiali głośno, krzykliwie, wymachując nieustannie rękami i jak zwykle wszyscy naraz.

Rozmawiali, rzecz jasna, o kolei, o współczesnych środkach lokomocji. Potępiali je w czambuł. Za nic mieli te piękne, w ostatnim czasie odkryte wynalazki. Zateęsknili nagle za wozem pokrytym budą, którym jeździło się w Kasrylewce. Mimo jego wad było w nim jednak znacznie wygodniej niż tu.

— Durnie — rezonowali nasi wybrańcy — idioci i w ogóle wariaci wymyślili kolej. Trzask, wrzask i trzęsionka. Cha, cha, cha.

A tam, w gabinetach i laboratoriach za wysokimi progami, siedzą setki tysięcy uczonych, całe rzesze świątłych ludzi, którzy pochylają się nad książkami i papierami. Piszą, rysują, wystukują depesze, łamią sobie głowy i dokonują wciąż nowych wynalazków po to, aby się lepiej, szybciej i taniej jeździło. Doszli już do powietrznych okrętów, do samolotów, ale zielonego pojęcia nie mają, nie śni im się nawet, że tu, w wagonie, jedzie grupka kasrylewskich notabli, którzy krytykują ich wynalazki, oceniają je negatywnie, nie zostawiają na nich suchej nitki. I robią to publicznie i głośno.

Cicho! Sza, Kasrylewka rusza w świat.

## Rozdział VII. Kasrylewka wśród „narodów”

Nasi wybrańcy z Kasrylewki tak długo ostrzyli sobie języki, tak długo pokpiwali z kolei i innych wynalazków i odkryć współczesnych, aż im się to wreszcie sprzykrzyło. Zaczęli się wtedy rozglądać na wszystkie strony w nadziei, że znajdą jakieś wolne miejsce, przede wszystkim dla starego reb Juzipla, który był już porządnie zmęczony jazdą. I Bóg im przyszedł z pomocą, znaleźli takie miejsce i posadzili go obok jakiegoś faceta, prawdziwego gagatka, ubranego w czerwoną, wypuszczoną na wierzch spodni koszulę i trzymającego w rękach harmonię. Facet był pod gazem, prościej mówiąc — był zalany w sztok. Przewracał galkami oczu, grał na harmonii i śpiewał całkiem fajną piosenkę:

Kostiuszkina mat'  
Sobirałaś pomirat'  
Sobirałaś pomirat'

Umieriet', nie umierła,  
Darom wriemia prowieła.

I jeszcze raz to samo, ale głośniej, o jeden ton wyżej:

Kostiuszkina mat'  
Sobirałaś pomirat'  
Sobirałaś pomirat'  
Umieriet', nie umierła,  
Darom wriemia prowieła.

I znowu tak samo, ale jeszcze głośniej i jeszcze szybciej:

Kostiuszkina mat'  
Sobirałaś pomirat'...

I tak dalej, bez przerwy, jak maszyna.

Jak by nie było, był to jednak sąsiad wesoły. Z drugiej strony Bóg obdarzył reb Juzipla stworzeniem ubranym w jakiś dziwny kozuch barani. Stworzenie było złe i gniewne. Nieżyczliwym, jadowitym okiem spozierało na świat i nieprzerwanie pluło. Każdemu splunięciu towarzyszyła jakaś szczególna zawziętość, a nawet okrucieństwo, tak jakby plującego ktoś zdenerwował jakimś zbędnym słowem. Szczęście, że reb Juzipl tego nie zauważył. Był bowiem w tej chwili w zgoła innym świecie. Jego myśli ulatywały hen, daleko od wagonu. Były w dużym i dalekim mieście. Dotarły do notabli tego miasta, do tych, którzy coś znaczą, do tych, którzy są wielcy.

Jak wszyscy Żydzi z Kasrylewki, reb Juzipl żył w świecie imaginacji. Zatopiony w rozmyśleniach, błędził po szlakach fantazji. W tej chwili na skrzydłach wyobraźni przeniósł się do największych spośród „wielkich”. Przed jego oczyma stał olbrzymi pałac o wspaniałym, złotym wystroju. Oto na honorowym miejscu, na wysokim krześle, siedzi bogacz. Zauważywszy przybyłych Żydów, wstaje z krzesła, wita ich serdecznie i pyta, jakie mają życzenie. Wtedy przed innymi występuje właśnie on, reb Juzipl, i powiada: „Sprawa jest taka a taka...” i odczytuje bogaczowi cały elaborat o Kasrylewie, jej Żydach, ich troskach, nieszczęściach i zmartwieniach. Kasrylewscy Żydzi od zawsze byli biedni i nieszczęśliwi, a dziś, po wielkim kataklizmie, są nimi szczególnie. Bogacz wysłuchuje go do końca, podchodzi do szafy i wyjmując z niej okazałą sumę, w te słowa odzywa się do niego, to znaczy do rebego:

— Jak pan uważa, wystarczy?

— Jeszcze jak — odpowiada reb Juzipl. Zaczyna mówić do siebie, gestykulując żywo rękami. Przewraca oczami, rusza głową i wcale nie zauważa, że przed nim, na ławce, siedzą ludzie, a wśród nich kobiety o czerwonych policzkach. Gryzą pestki, śmieją się całą gębą i kpią sobie z naszych kasrylewskich delegatów w żywe oczy. Przedrzeźniają ich, parodiują ich sposób mówienia i nabijają się z ich pejsów<sup>21</sup>. Szczególnie zaś zabawiają się kosztem reb Juzipla, jego sztrajmlem i kapotą.

Śmiech i kpiny wywołały, jako to powiadają, reakcję. Kasrylewscy Żydzi nie pozostali na nie głusi. Nie przemilczeli tego. Zaczęli ze swojej strony krytykować szyderców, dowcipkować na ich temat, a szczególnie rzucać uwagi pod adresem owego faceta w czerwonej koszuli, który miał harmonię i śpiewał piosenkę, i któremu nie zbrzydło powtarzanie w kółko tych samych słów: „*Kostiuszkina mat', sobirałaś pomirat' — sobirałaś pomirat'.*”

— Widać, że ten goj zdrowo już sobie dogodził — zauważył jeden z naszych kasrylewian. Drugi podtrzymuje go w tym sądzie słowami wypowiedzianymi niby po hebrajsku:

— Z oczu mu to widać!

— Chlusnął, żeby nie usnął — odzywa się jeszcze jeden i patrzy przy tym dla niepoznaki w sufit.

Inny znów kończy wersem: — I przepelniony jest po brzegi.

<sup>21</sup>pejsy — długie pasma włosów na skroniach, zwieszające się przed uszami, noszone przez ortodoksyjnych Żydów. [przypis tłumacza]

— Drapie się przy tym za kołnierzem.

— Podobna się wam ta melodia? Zapewne jest to piosenka chasydzka<sup>22</sup>. A jakie ma mądre słowa. Głęboka w treści. Matka Kostiuszki omal nie umarła. Drobnostka!

Nawet reb Juzipl, który daleki był od wszelkich kpin, nie mógł się powstrzymać i zapytał ironicznie swoich kolegów:

— Co mają znaczyć te dziwne i cudaczne słowa piosenki?

Znalazł się natychmiast ktoś, kto wyjaśnił mu sens piosenki:

— Był widocznie, rozumie pan, taki człowiek, który nazywał się Kościuszko. A ten Kościuszko miał matkę. Matka zaś — powiada on — wybierała się umierać, ale nie umarła.

Reb Juzipl natężył umysł, ale nie jest w stanie zrozumieć tkwiącego w piosence sensu.

— Co znaczy szykowała się do śmierci? Czy śmierć zależy od woli człowieka? Umiera się z powodu nędzy...

— Toż to „osłopodobne” pospólstwo. O kim tu mówić? — odzywa się po hebrajsku któryś z wybrańców. Kiwa głową i patrzy z góry na wagonowe towarzyszo. Natychmiast ktoś z towarzysza obdarza go „komplementem”, przedrzeźnia i parodiuje sposób, w jaki Żydzi się modlą. Bije się ręką w piersi i na cudaczną melodię powtarza wciąż: „Tatku! Mamciu! *Tatele! Memele!*” Towarzyszo pęka ze śmiechu.

— To z nas się śmieją! Śmieją się z Żyda! Wszędzie kpią z nas — zauważa jeden z delegatów. Z serca wyrywa mu się westchnienie. Głową kiwa reb Juziplowi, a ten patrzy na owo stworzenie, które przedrzeźnia i parodiuje Żydów.

— Nie z nas się śmieje, moja dziecińco, ale z siebie. Z nas nie ma się czego śmiać, duszo ty moja. Nad nami trzeba płakać i z naszego losu trzeba wyciągnąć nauczki. W przeszłości coś znaczyliśmy, a kim jesteśmy teraz?

I przy tej okazji reb Juzipl opowiada dla przykładu jak zwykle historyjkę o królu. A gromada jej słucha, być może nie po raz pierwszy. A ów typek z wypuszczoną na spodnie czerwoną koszulą obniża stopniowo coraz bardziej tonację śpiewanej piosenki (widocznie i jemu to zbrzydło):

Kostiuszki mat',  
Sobirałaś  
Pomirat',  
Pomirat', pomirat'.

— *Szolem alejchem*<sup>23</sup>! Witajcie — odzywa się nagle jakiś nowy osobnik. Zdawało się, że spadł z nieba. — Skąd i dokąd to zmierzają Żydzi? A dlaczego wpakowaliście się akurat do wagonu z tymi oto? Przyjdźcie do nas, do naszego wagonu. Tam przynajmniej będziecie wśród naszych, wśród swoich.

#### Rozdział VIII. Kasrylewka wśród „swoich”

Jak ryba dopiero co złapana w sieć i wypuszczona z powrotem do wody, tak poczuli się nasi delegaci, gdy tylko przenieśli się do innego wagonu, w którym znaleźli się wśród „swoich”, wśród Żydów. Trudno powiedzieć, aby na nowym miejscu było czystiej lub schludniej. Być może, że było im tam nawet gorzej, albowiem w poprzednim wagonie tłum w swojej większości siedział na podłodze i nie miał zbyt dużo tobołów. Każdy miał po jednej torbie i parze butów. Ot i wszystko. Tu zaś, wśród Żydów, gwar był niepomiernie większy. Ciasnota też. Tobołów zaś tyle, że nie było gdzie szpilki wetknąć.

Powszechnie wiadomo, że każdy Żyd zabiera z sobą w podróż po dwa, a nawet trzy pakunki. A kobiety poza zwykłymi pakunkami zabierają z sobą również poduszki, kołdry i przeróżne szmaty, których nie zliczysz. W drodze Żydzi wyglądają przeto nie tylko na pasażerów. Wyglądają na wędrowców, na emigrantów, którzy wybierają się gdzieś do

<sup>22</sup>chasydzi — spolszczone *chasidim* (hebr.), dosłownie: „pobożni”, nazwa zwolenników chasydyzmu, ruchu religijnego, który powstał w Polsce w drugiej połowie XVIII stulecia, a którego założycielem był rabi Israel Baal Szem Tow (1700–1760). Chasydyzm przeciwstawiał się rabinicznemu judaizmowi, kładąc nacisk na osobistą modlitwę. Mistyczne zjednoczenie z Bogiem miały zapewnić ekstazy i tańce. [przypis tłumacza]

<sup>23</sup>*szolem alejchem* — dosł.: „pokój z wami”; przywitanie u Żydów. [przypis tłumacza]

dalekich krajów, w których za żadne pieniądze nie można dostać ani poduszek, ani kolder, ani szmat. Dlatego też czują się wszędzie jak u siebie w domu.

Żydzi, dokąd by się nie udali, zabierają ze sobą, ku chwale Boga, swój dom rodzinny, swoje getto, swoją diasporę. Dlatego chyba zawsze i wszędzie zachowują swoje właściwe i jedyne oblicze. Nie zmieniają się tak szybko. Czują się dobrze tylko wtedy, gdy są razem. A świat idzie im na rękę. Chcecie być razem, no to bądźcie...

Po wejściu do nowego wagonu, skoro tylko zauważyli, iż są wśród swoich, rozłożyli się niczym u własnego ojca w winnicy. Położyli swoje toboły na tobołach innych Żydów, rozsiedli się wśród nich, nie zważając na ciasnotę. Nie omieszkali poprosić ich o zrobienie miejsca. Nawet zrobili uwagę, iż nic nie szkodzi, jeśli tamci się trochę posuną. Co zresztą szkodzi, iż nawet niektórych z nich stąd usuną? Przecież są między swoimi, między Żydami.

Nie martwcie się. Nie będzie, uchowaj Bóg, żadnej kłótni. Nikt nie będzie nikogo beształ z powodu takiego głupstwa. Co innego przygadywanie do słuchu. Tych rzeczy się nie zabrania. To i owszem. Na przykład ktoś następuje komuś na nogę. Poszkodowany zrywa się i rzuca, ale tak jakby mimochodem:

— Ależ ma pan, za przeproszeniem, nóżkę!

Albo ktoś kładzie komuś walizkę niemal na plecy. Właściciel pleców zaczyna kpić nie ze sprawy, ale z walizki. Spod nosa rzuca uwagę:

— Zdaje mi się, że pańska walizka nigdy chyba nie chorowała.

Gdy ktoś zasłania komuś światło, ten powiada:

— Wie pan, co panu powiem? Obawiam się, że pan nie jest ze szkła...

A jeśli mimo to zdarzy się, że dwóch Żydów będzie toczyło spór o miejsce, to wtedy posypie się grad dowcipów i docinków:

— Wujku, pan wybaczy, ale miejsce jest moje!

— Doprawdy? A z czego to wynika?

— Bo ja tu siedziałem.

— To co z tego? Czy pan na tym miejscu sobotę odprawił?

— A czy tu napisane jest, że to miejsce należy do...?

Zajmujący to miejsce nie leni się. Wstaje i faktycznie szuka owego napisu. Wśród obecnych wybucha śmiech. Stojący czuje się obrażony i odzywa się do siedzącego:

— Pan, zdaje się, przebrał trochę miarę.

— Przebrał miarę? — odzywa się siedzący, a śmiech rośnie i potężnieje. Gdy śmiech się przeciąga, znajdują radę. Ścieśniają się trochę, przesuwają się nieco i jest miejsce dla stojącego. Mój Ty Boże, siedzi tu, bez uroku, tylu Żydów, to niech sobie posiedzi jeszcze jeden. Ci, którzy toczyli spór i wymieniali docinki, przez chwilę jeszcze się dąsają na siebie, ale wnet wyciągają zegarki: — Która to godzina na pańskim zegarku?

— A na pańskim?

Zaczynają też wyglądać przez okno.

— Co to za stacja?

— Nie wie pan?

Wdają się w rozmowę o stacjach, kolei i interesach. Rozmowa toczy się wartko i gładko. Nowy przybysz, widząc zatopionych w rozmowie, jest przekonany, że to niechybnie dwaj współnicy, bliscy krewni, albo wręcz bardzo dobrzy przyjaciele z jednego miasta.

Niechaj tam różni mędracy dowcipkują, ile dusza zapragnie. Niech sobie wymyślają różnego rodzaju aforyzmy i porzekadła, jak na przykład: „Siedzieć to tylko między gojami — leżeć tylko między Żydami”, albo: „Z Żydem dobrze jest tylko kugel<sup>24</sup> jeść” itd. Ja mam swoje zdanie. Żydzi, a szczególnie Żydzi z Kasrylewki, czują się wśród swoich znacznie lepiej, bardziej swojsko, aniżeli wśród obcych.

Rozdział IX. O „Żydzie, co to...”

Osobnik, który spadł naszym delegatom z nieba i przetransportował ich do swego wagonu, należał do owych rzadkich indywiduów, które spotkać można tylko w podróży. Przy pierwszym zetknięciu jesteś już jego przyjacielem, zdaje się, że znacie się od lat. Ale kto to jest, nie wiesz. Kim jest, też nie wiesz. Z równą dozą słuszności możesz uważać

<sup>24</sup>kugel — rodzaj leguminy, przysmak podawany jako deser po obiedzie sobotnim. [przypis tłumacza]

go za Żyda, za kramarza lub za faktora<sup>25</sup> giełdowego. Najprawdopodobniej jednak jest krawcem, albo też osobą znaczącą u *naczelstwa*. Kręci się zapewne koło spraw związanych z udzielaniem zezwoleń na „prawo osiedlenia”.

Średniego wzrostu i średniej postury. Czarny, o odcieniu właściwym dla Ormian. Czarna, mała bródka. Oczy również czarne — niespokojne. Kapelusik zsunięty do tyłu. Ruchliwy, żywy, nie mogący usiedzieć w miejscu. Żądny czynu. Przymus robienia czegokolwiek pcha go do pracy, do stałego ruchu, do rozmów z ludźmi. Zwłaszcza do tych ostatnich. Rozmowa to jego żywioł. Jeśli w wagonie spotka Żyda, to jego wygrana. A jak nie ma Żyda, to też dobrze. Rozmawia z gojem, z żołnierzem, z dziedziczką, z księdzem. Z braku laku dobry będzie i konduktor, palacz lub robotnik smarujący koła wagonu. Byle zresztą kto, niechby nim był sam diabeł, aby tylko miał postać człowieka. A siły ma niespożyte. Potrafi każdego skłonić do mówienia. Chyba, że natrafi na niemego od urodzenia. Doskonale bowiem wie, jak, z kim i od czego zacząć rozmowę.

A rozmawiać z wami potrafi na każdy temat. O czym tylko zechcecie. Można powiedzieć, że nie ma prawie takiej rzeczy na świecie, o której nie byłby w stanie mówić, o której by nie miał pojęcia. Nie ma też chyba człowieka na świecie, którego by nie znał. Z takim człowiekiem siedzieć w jednym wagonie to największa przyjemność. Przy tym wszystkim jest z natury dobrym człowiekiem. Jest szczery, otwarty i przystępny. Może was pierwszy raz w życiu na oczy zobaczyć i już gotów jest pójść tam, dokąd zechcecie. Może chcecie pójść po bilety do kasy? A może chcecie, aby wam pomógł spakować rzeczy? Proszę bardzo! Z największą przyjemnością. Przy tej okazji zajrzy wam do walizki. Oceni i wyceni, ile jest warta wasza walizka, wasz kozuch, albo zegarek, który nosicie. Obliczy też dokładnie i powie co do minuty, o której to godzinie będziecie w domu. Powie też, ile będzie kosztował bagaż. Udzieli rady, jaką trasę powinniście wybrać, i gdzie się zatrzymać. W czasie udzielania tych rad będzie was trzymał za guzik, albo wiercił palcem dziurkę. Kapelusik jeszcze bardziej zsunie mu się do tyłu, oczy nabiorą ognistego blasku. Odniesiecie wrażenie, że wykonuje jakieś bardzo pożyteczne zajęcie. Słowem, był to taki facet, o którym u nas się mówi:

— „Żyd, co to...”

Dla naszych kasrylewskich pasażerów ten „Żyd, co to...” był, można powiedzieć, oaza na pustyni, lekarstwem w chorobie, szpikiem dla kości. Okazją nie byle jaką. Wypełniali przecież poważną misję. Pierwszy raz w życiu mieli być w obcym i w dodatku tak wielkim mieście. W mieście, którego nawet we śnie nie widziały ich babcie i dziadkowie. Nie mają pojęcia, jak stąpać po takim mieście, jakie drzwi otwierać. A do tego dźwigają na swoich barkach brzemień takiej świętej sprawy. Nasz facet również ucieszył się ze spotkania z delegatami Kasrylewki. Dowiedziawszy się, do kogo i z czym wybrali się w drogę, zasypał ich gradem porad. O tym, jak mają postępować od pierwszej chwili, począwszy od przybycia na dworzec, aż do celu ich podróży. A wybrańcy Kasrylewki nie odrywali od niego wzroku, przytakiwali mu nieustannie i chłonęli każde jego słowo.

— Wybraliście się, moi kochani Żydzi — perorował im czule jak ojciec, uśmiechając się i gładząc bez przerwy swoją bródkę — wyprawiliście się, moi kochani, w bardzo ważnej sprawie. Można nawet dodać, że w świętej sprawie. Oby wasza wyprawa zakończyła się sukcesem. Co do tego jestem przekonany. Jestem tego pewny, tak jak tego, że dziś na świecie jest wtorek. Najważniejsze, żebyście wiedzieli, co i jak. Miasto jest duże i bardzo rozrzucone. Jest, chciejcie mnie dobrze zrozumieć, gojowskie. Ale Żydów w nim nie brakuje. Zwłaszcza bogatych. Co, oczywiście, nie znaczy, że nie ma tam biednych Żydów. Jest ich nawet sporo. Może nawet więcej niż bogatych. Ale z nimi nie będziecie przecież mieli do czynienia. Biedaków macie dosyć u siebie. Moja więc rada: udajcie się do bogaczy i to do tych największych. A kto to są ci najwięksi? Zapewne chcielibyście wiedzieć? Weźcie więc, za przeproszeniem, kawałek papieru i ołówek, i zapisujcie. Podaję nazwiska i adresy, jak również dokładne dane o społecznym pochodzeniu i zasługach każdego. Ja ich, zrozumcie, znam osobiście i jestem z nimi w najlepszej komitywie. Za pan brat. To wielcy potentaci. A każdy z nich chciałby drugiego prześcignąć, przeskoczyć, połknąć, zjeść z kopytami, gdyby tylko mógł. A każdy pcha się do góry. Stara się naśladować tego prawdziwego, wielkiego potentata, tego lwa wśród zwierząt. Z wyrazu

<sup>25</sup>faktor (daw.) — pośrednik. [przypis edytorski]

waszych twarzy poznają, iż wiecie już, kogo mam na myśli... Tak właśnie brzmi jego imię. *Nomen omen*<sup>26</sup>. Zwie się Lejb, czyli Lew. On jest prawdziwym królem, bogaczem pełną gębą, krezusem, potentatem, milionerem. Chcecie zapewne wiedzieć, jaki jest jego majątek. Lepiej nie pytać. Ile byście sobie nie wyobrazili, to on posiada dwa, trzy, dziesięć razy więcej. Można śmiało powiedzieć — pięćdziesiąt milionów. Nie będzie błędem, jeśli powiem — siedemdziesiąt milionów. A jeśli grzecznie mnie poprosicie, to może nawet całe sto. Do niego powinniście dotrzeć pod sam koniec, gdy już będziecie po wizytach u pozostałych „wielkich”. Przecież zależy wam na grubszej forsie, na okazałej darowiznie. A okazała darowizna to tylko u niego. Jeśli natraficie na sprzyjający moment, to sprawa z głowy. U niego tysiąc, pięćdziesiąt czy sto tysięcy to tyle, co splunąć. Albo poczekajcie chwileczkę, mam pomysł. Dam wam lepszą radę.

Tu nasz „Żyd, co to...” pogrążył się w myślach. Poskubał się w bródkę, po czym z miną człowieka, któremu wpadł do głowy szczęśliwy pomysł, odezwał się:

— Posłuchajcie, moi kochani Żydzi, tego, co wam powiem. Powiadacie, że wasze miasteczko poszło z dymem. Z tego wniosek, że potrzebny wam jest budulec — drzewo. Właśnie niedaleko waszej miejscowości ten bogacz posiada las, jak to się u nas mówi, las z drzewem. Dla takiego milionera jak on, to fraszka wypisać kwit do lasu. Tekst kwitu po hebrajsku brzmiałby tak: „Proszę wydać na mój rachunek...”

I „Żyd, co to...” wykonuje w powietrzu znak ręką, jakby to uczynił bogacz piórem. Nasi kasrylewscy delegaci, słysząc te słowa, zrywają się ze swoich miejsc, a w ich oczach pojawiają się łzy. W tym momencie jednak „Żyd, co to...” ściga ich na ziemię. Doszedł widocznie do wniosku, że nieco przeholował, że natchnął ich zbyt wielką nadzieją. Znowu się poskrobał w bródkę i tak do nich rzekł:

— Muszę jednak, drodzy moi Żydzi, raz jeszcze wam powtórzyć, że wszystko zależy od momentu, od sprzyjającej chwili, na jaką natraficie. Jeśli, nie daj Bóg, wstał on lewą nogą, to wam nie zazdroścę. On należy do ludzi, na których wszyscy patrzą. On, rozumiecie, jest taki wielki bogacz, taki potentat. On, jak powiadacie po hebrajsku: „I co taki potrafi zrobić?” Oczywiście, gdybyście nie byli Żydami, to ho, ho!

Przy tych słowach wśród Żydów z Kasrylewki nastąpiło zamieszanie. Nie mogli zrozumieć, co miał na myśli. Co to znaczy, gdyby nie byli Żydami? A kim mieli być? Hermafrodytami<sup>27</sup>? „Żyd, co to...” zorientował się, że go nie zrozumieli. Zaczął wtedy wyjaśniać.

— Zrozumcie, moi kochani, że człowiek, o którym mówię, jest wielkim, jest prawdziwym potentatem. Cieszy się ogromnym mirem<sup>28</sup> wśród chrześcijan. Generałowie przychodzą do jego domu. Siedzą tam z nim przy jednym stole. Tak, jak ja tu z wami. A skoro, jak widzicie, chrześcijanie są z Żydem w takiej komitywie, to jasne, że się za nich wstawi.

Nie można się upierać przy tym, że ten komentarz był dla naszych kasrylewskich delegatów całkiem jasny. Nie przestawali głaskać swoich bród i nie ustawali w peanach na cześć wielkich i bogatych. Wyczytywali z listy wszystkich wielkich i mniejszych potentatów. Wymieniali ich nazwiska, przytaczali adresy. Przy każdym wymienionym bogaczu dołączali krótką charakterystykę. Z tych charakterystyk mogłaby powstać oddzielna książka, gdybyśmy to uznali za sprawę najważniejszą. A że za najważniejszą uważamy sprawę kasrylewskich pogorzalców, przeto wracamy do nich w momencie, gdy znajdują się w wielkim nieżydowskim mieście, tam, gdzie zostawiliśmy ich na samym początku ich świętej misji.

## Rozdział X. W świecie chaosu i zamętu

Wielkie miasto ze swoimi „wielkimi” wydało się naszym kasrylewskim wybrańcom światem chaosu i zamętu, znanym im z biblijnego opisu. Zgodnie z nim istota pojęcia „świat zamętu” polega na tym, że dusza ludzka błądzi i unosi się po świecie, wdziera się do wszystkich jego zakamarków, widzi, słyszy i czuje wszystko. Jednak ciało nie bierze w tym udziału. Nie ma go. Może to z powodu wielkiego podniecenia, wywołanego opowiadaniem tego „Żyda, co to” w wagonie, a może dlatego, że po raz pierwszy w ży-

<sup>26</sup>*Nomen omen* (z łac.) — imię znaczące, stanowiące proroctwo. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*hermafrodyta* — obojnak, osoba posiadająca zarówno męskie, jak i żeńskie organy płciowe. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>*mir* — szacunek, poważanie. [przypis edytorski]



ciu znaleźli się w tak wielkim mieście, nasi delegaci oderwali się od ziemskiego świata. Błądzili w zaświatach. Ich dusza błąkała się już wśród tych „wielkich”, natomiast ciało pozostało daleko od niej, nie wiadomo gdzie.

Od pierwszej chwili sprawa ułożyła się nie tak, jak należy. Nie tak, jak to sobie wyobrażali. I to pomimo, że postępowali zgodnie ze wskazówkami i systemem zalecanym przez owego faceta o płonących oczach z pociągu. Kierowali się podanymi przez niego nazwiskami, ulicami i numerami domów. Najpierw zapukali do drzwi pomniejszych „wielkich”, następnie do większych „wielkich”. Za każdym razem wspinali się coraz wyżej i wyżej. Nie można powiedzieć, że im się nie wiodło. Posypały się nawet datki. „Istny grad datków posypał się na nas” — chwalili się potem przed mieszkańcami Kasrylewki. Czy tak w istocie było, tego nie wiemy. Jedno jest pewne. W Kasrylewce do takich datków nie byli przyzwyczajeni. Takich sum w życiu nie widzieli. A jeżeli już, to we śnie i to nieczęsto. A jednak coś ich bolało. Wydawało im się, że nie są wśród swoich. Czuli się jak obcy. Przyjmowano ich chłodno. Wręczano datek i „przepraszam, do widzenia”. Byli tacy, którzy nie chcieli ich widzieć na oczy. Jałmużny udzielali „państwo” nie puściwszy ich za próg. Inni znów byli po prostu źli. Nie dopuszczali ich do słowa. Krótko załatwiali sprawę: „Co? Spaliliście się? Zwyczajna rzecz. Nie jesteście wyjątkiem”.

Znaleźli się i tacy, którzy krzydzili na nich i wyzywali od najgorszych, używając epitetów w rodzaju „pogorzelnicy”, „żebracy”. Jakiś młodzieniec o bladej twarzy, spiczastym nosie i podwójnej bródce, zaczesanej z przedziałkiem pośrodku, kazał sobie pokazać książkę.

— Jaką książkę?

— Książkę, w której zapisane są otrzymane datki.

Wtedy wystąpił już sam reb Juzipl:

— Datki, które otrzymujemy dla pogorzelników, zapisane są w takim języku i takim pismem, którego ani wy, ani nawet my nie potrafimy odczytać...

Tym razem reb Juzipl mówił w sposób zawołowany. Uśmiechał się jak zwykle, ale w jego głosie wyczuwało się rozdrażnienie. I nie chodziło mu o to, że ich niesłusznie posądzają. Bolał go chłód, który napotykali wszędzie, chłodne przyjęcie doznawane u każdego z owych „wielkich”. Reb Juzipl przyzwyczajony był do tego, że w Kasrylewce każdy Żyd, który ofiarowywał jałmużnę, a mógł to być nędzny grosz lub nawet pół grosza, dawał ją z całego serca. Albowiem poza tym, że wspierał człowieka w potrzebie, że ulżył biedakowi, czuł, że dokonuje zbożnego czynu. Reb Juzipla szczególnie zdziwił fakt, że nie znalazł się wśród tych wszystkich „wielkich” nikt, kto by ich przywitał prostym, ciepłym swojskim żydowskim powitaniem: *Szolem alejchem*. Nikt nie raczył nawet zapytać o Kasrylewkę, nie chciał wysłuchać ich serdecznej relacji o nieszczęściu, które ją spotkało. Gdy tylko któryś z delegatów zaczynał opowiadać o katastrofalnym pożarze, jaki przeżyli, bogacz natychmiast otwierał sakiewkę. Łatwo się domyślić, że chciał przez to powiedzieć: „Macie swoje i idźcie z Bogiem”.

Reb Juzipl, który zawsze zwykł bronić każdego człowieka i w tym wypadku szukał dla „wielkich” jakiegoś usprawiedliwienia.

— Ludzie po prostu żyją w świecie chaosu i zamętu!

Tak sobie myślał i dziarsko, pewnym krokiem szedł dalej. Był to chód mocny i szybki, nieproporcjonalny do jego wieku. Był już wieczór, gdy nasi delegaci z Kasrylewki dotarli do samego największego z „wielkich”, do „lwa wśród zwierząt”, jak go nazywał facet z pociągu. I tu sobie przypomnieli jego słowa: „Gdyby nie byli Żydami — to och! och!”

To „och, och” i chłód, jaki napotykali wszędzie, osłabiły ich początkową odwagę. Przed zapukaniem do drzwi w serca wkraść się niepokój. Za nimi był przecież „lew wśród zwierząt”. Przez dłuższą chwilę stali pod drzwiami i dyskutowali, czy zadzwonić tak, jak dzwoniли dotychczas w poprzednich domach, czy też może...?

— Co „może”?

— Nic!

— Czemu więc powiada pan „może”?

— A kto mówi „może”?

— Jeśli pan nie mówi „może”, to dlaczego nie dzwoni?

— A gdzie to jest napisane, że ja? A czemu nie pan?

— Zaczyna się historia z Żydem!

— Sza dzieci! Spokój! — reb Juzipl przerywa spór i naciska dzwonek w drzwiach. Naciska powoli, ledwo, ledwo. Na tyle, na ile pozwala mu jego osiemdziesiąt lat.

Rozdział XI. Za wysokimi progami

Stojąc pod drzwiami największego spośród „wielkich”, przed siedzibą „lwa wśród zwierząt”, nasi delegaci z Kasrylewki mieli okazję pomedytować trochę nad „wysokimi progami”. Co się tam może dziać? Czym się właściwie zajmują „wielcy” w swoich apartamentach w chwili, gdy za ich drzwiami stoją „maluczcy” ze swoimi małymi sprawami, małymi interesami, prośbami, planami i marzeniami? Może właśnie w tej chwili pochylają się nad buchalteryjnymi księgami<sup>29</sup> swoich wielkich przedsięwzięciach, łamią sobie nad nimi głowy i tak są tym zaprzętnięci, że nie mają pojęcia, co się dzieje na dole? A może wiedzą i rozmyślają, jak i co robić, aby naprawić zło tego świata za pomocą złota, którym Bóg ich obdarzył dla dobra swego narodu, albo nawet całej ludzkości? Albo może ot, tak zwyczajnie sobie siedzą, korzystając po prostu z uciech tego świata. Jedzą, piją i śpią jak zwykli, zwyczajni ludzie?

Czasu do medytowania nasi delegaci mieli sporo. Po słabym dźwięku dzwonka poruszonego przez starego reb Juzipla nikt nie pokwapił się, by otworzyć drzwi. Mieli czas przedyskutować, kto z nich miałby przemawiać, jak mają się przedstawić temu „największemu z wielkich”. Rzecz jasna, że przemawiać powinien rabin Juzipl. Nikt inny nie wchodził w rachubę. Pozostało tylko ustalić, jak ma zacząć rozmowę. Według tego, co im facet z pociągu nagadał i nastraszył, trzeba było dobrze wiedzieć, jak z nim postępować i co mówić. Nieprzypadkowo w księgach napisano: „Życie i śmierć w mocy języka.” A morał zawarty w tych słowach jest taki: jednym, jedynym słowem można czasem zepsuć tyle, że nie naprawisz tego za pomocą nawet tysięcy słów.

Poglądy na tę sprawę podzieliły kasrylewian na dwa obozy. Na prawicę i na lewicę. Prawica, do której należeli starsi wiekiem delegaci, wybrała drogę prawą, czyli, jej zdaniem, drogę słuszną. Twierdziła, że do bogacza trzeba przyjść z błagalną modlitwą. Należy przed nim odmalować katastrofę Kasrylewki w najdrobniejszych szczegółach. Mniej więcej w taki oto sposób:

— Dopiero niedawno istniało miasto. Miasto jak wszystkie inne miasta. I oto nagle w nocy zerwał się gwałtowny wiatr. Wiatr zmieszany z ogniem. A ogień zesłany został przez Boga. I poszło z dymem całe miasto. I starta została Kasrylewka z powierzchni ziemi.

Nie należy przy tym żałować ciemnych barw przy odmalowywaniu obrazu bosych, nagich i głodujących pogorzalców, koczujących pod gołym niebem. Jak najtragiczniej trzeba przedstawić niedolę tych ludzi, wyciągających ręce po kawałek chleba, cierpiących i płaczących. Nie zaszkodzi przy tym samemu porządnie rozplakać się. Dlaczegoż by nie?

Młodzi, należący oczywiście do lewicy, twierdzili wręcz odwrotnie:

— Po jakie lichy potrzebny tu płacz? Ni w pięć, ni w dziewięć. Co to? Baby jesteście? Czyżbyście myśleli, że bogacze czuli są na lzy? Ich trzeba wziąć na sprawiedliwość, na prawo moralne. „Czyż godzi się — należy postawić im pytanie — aby w tym samym czasie, gdy tu złoto leży na ulicy a ludzie pędzą próżniaczy żywot, obojętni na wszystko, nasi bracia z krwi i kości umierali tam z głodu?”

— Oj, biada! — starsi złapali się za głowy. — Ani chybił, utną nam głowy i to bez noża. Tak to, młodzi panowie.

Szczęście, że był reb Juzipl. Uspokoił ich szybko. Jego cicho wypowiedziane słowa jak zwykle poskutkowały.

— Dzieci moje — powiedział — daremny wasz spór. Czy człowiek, istota z natury słaba, może z góry wiedzieć to, co ma powiedzieć? Czyż nawet ów zły i przewrotny Bilam z Biblii, przekupiony po to, aby rzucać oszczerstwa i przeklinać Żydów, zdawał sobie sprawę, że Bóg Wszechmogący popłucze mu słowa i przewróci je do góry nogami? Zdobędziemy go nie błagalną modlitwą, nie powoływaniem się na sprawiedliwość, ale bajką z morałem. Jeśli Bóg rozkaże, to opowiem mu, dla przykładu, bajkę o królu, który w porywie gniewu na swoje sługi kazał spalić własny pałac...

Szkoda, że ta historyjka z morałem została przerwana w samym środku. Nie z winy reb Juzipla, ani też któregośkolwiek z pozostałych wybrańców. Sprawił to osobnik zupeł-

<sup>29</sup>księga buchalteryjna — księga rachunkowa. [przypis edytorski]

nie postronny. Był to ów stwór, o którym pisałem na samym początku, w pierwszym rozdziale. Prawdopodobnie ten „gliniarz”, którego postawiono na ulicy dla utrzymania porządku, miał na oku naszych delegatów. Nie spodobała mu się ta chodząca od domu do domu grupa, zatrzymująca się przed każdym wywieszonym numerem, która, lustrując dom od zewnątrz, zaczynała głośno dyskutować. Gdy przed ostatnim domem zaczęli naraz gdać jak gęsi, policjant nie wytrzymał i puścił się w ich kierunku. Tym razem z większym impetem i z większą werwą.

Spostrzegli przed sobą wroga i wyczuwając grożące z jego strony niebezpieczeństwo, nasi delegaci zamarli ze strachu. Jak jeden mąż postanowili wziąć nogi za pas. Powstało jednak pytanie — dokąd? Cofnąć się oznaczało wpaść wprost na gliniarza. Dlatego też ze wszystkich sił zaczęli dobijać się do drzwi, dzwonić i dzwonić. I Bóg przyszedł z pomocą. Drzwi, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, otworzyły się. Pojawił się w nich jakiś facet o czerwonej, dobrze spasionej gębie. Ubrany był w garnitur z wyciętymi połami, a na rękach miał białe rękawiczki. Kipiał gniewem, wymachiwał rękami, krzyczał i przeklinał. Zachowywał się tak, jakby przed sobą miał dzikich ludzi, bandytów, chuliganów, którzy w biały dzień zamierzali dokonać napadu na dom jego pana.

Zobaczywszy przed sobą otwarte drzwi nasi „chuligani” z Kasrylewki dali w nie nura. Jednak facet o czerwonej i spasionej gębie, natężywszy wszystkie swoje siły, wypchnął ich z powrotem. W tej samej chwili zjawił się „gliniarz” z szablą u boku. Mocno zagwizdał i natychmiast jakby spod ziemi wyrósł jeszcze jeden policjant, również uzbrojony od stóp do głowy.

Daremne były prośby naszych wybrańców, aby ich wpuścił do środka. Choćby tylko za próg. Choćby nawet do kuchni. Na próżno podnosili wzrok ku oknom za „wysokimi progami”. A nuż zdarzy się cud? Jak Bóg chce, to i cuda się zdarzają. A nuż bogacz we własnej osobie, albo ktoś z jego rodziny, ich zauważy, zobaczy, że Żydzi znajdują się w niebezpieczeństwie i wtedy wyda polecenie, aby ich nie tknięto.

Nie mieli jednak szczęścia. Nikt zza „wysokich progów” nie wyjrzał przez okno i ich nie dostrzegł. Nasi delegaci, najbardziej reprezentatywni gospodarze Kasrylewki z reb Juziplem na czele, zostali z wielkimi honorami zaprowadzeni do takiego *locum*, za które nie płaci się komornego i w którym wszyscy są na równych prawach. Nawet Żydzi z Kasrylewki mogą tam sobie siedzieć i siedzieć. Przez długie lata.

## Rozdział XII. Cud

Ten, kto myśli, że w obecnych czasach nie zdarzają się cuda, myli się głęboko. Prawda, że cuda zdarzają się dziś rzadko, ale wydarzenie z aresztowanymi delegatami z Kasrylewki zaiste należy do nich zaliczyć.

Czytelnik może sobie uroić, że jako pisarz z pewnością przesadzam, że wymyślam niestworzone historie. Śpieszę tedy zapewnić, iż wszystko, co opisuję, jest czystą prawdą. Właśnie w chwili, gdy pod drzwiami bogacza, tego „lwa wśród zwierząt”, zaistniał incydent z kasrylewskimi delegatami, akurat w momencie, gdy w trwodze i strachu spozierali na okna jego rezydencji i powtarzali w duchu znany werset hebrajski: „Skąd przyjdzie pomoc? Czy będzie to pomoc boska czy też ludzka?”, przechodził tamtędy nasz znajomy z pociągu, ten „Żyd, co to...”

Szedł, by załatwić własne sprawy. Szedł jak zwykle szybko, z kapeluszem zsuniętym do tyłu, cały pogrążony w myślach. Zauważywszy swoich znajomych Żydów otoczonych policjantami, zatrzymał się. Wyczuł pismo nosem. Zrozumiał, co się święci. Już gotów był wskoczyć w sam środek i wywołać skandal. Już miał zawołać: „Dlaczego? Z jakiego powodu! Bogu ducha winni...”

Wkrótce się jednak zmitygował. A może nie tak powinien postąpić? Zbyt dobrze siebie znał. Był w gorącej wodzie kąpany. Kto wie, jakie słowa mogą mu się wyrwać. Zdał sobie sprawę, że z mocnymi niedobrze jest zadzierać. Zawsze to jednak lepiej należyce rozważyć sprawę. Jeszcze bardziej zsunął kapelusik do tyłu, schwycił się za bródkę, przytknął oko na znak, że główka pracuje, zawrócił i tym samym jak dotychczas szybkim krokiem wycofał się. Tak postępuje człowiek, który wpadł na dobry pomysł i postanowił ten pomysł doprowadzić do końca.

A dokąd też mógł się udać?

Sam nie wiem, dokąd. Przypuszczam, że udał się do „lwa wśród zwierząt”, albowiem jeszcze tej samej nocy rozdzwonił się telefon za „wysokimi progami”. Dzwonił długo.

I w policji zakotłowało się. Skrzybiały pióra, lał się atrament, papiery zostały zapisane, a aresztowani, którzy szykowali się już do dalekiej drogi „etapem”, zostali nagle w środku nocy obudzeni. Wyrwano ich z ciemności i wprowadzono do jasności. A dokonano tego w bardzo szybkim tempie, jakby wcale nie byli małymi, nic nie znaczącymi ludźmi z Kasrylewki, ale Bóg wie kim. Prawda, że krzesel im nie podstawiono, usiąść nie prosili. Cóż dopiero mówić o przeprosinach. Za to nikt nie słyszał, broń Boże, aby ktoś na nich krzyknął: „Żydzi!” Wręcz przeciwnie. Cicho, elegancko, aczkolwiek na chybcika, nastąpiło uwolnienie kasrylewskich „chuliganów”. Łudzaco przypominało to wyjście Żydów z Egiptu. Pomniejsi pisarze i pismacy nie mogli się nadziwić temu, co się zdarzyło. Z powodu takich Żydlaków — tyle zamieszania.

W pierwszej chwili, gdy otwarto cele i powiedziano im, aby pofatygowali się na górę, nasi aresztanci, wymieniając spojrzenia, zaczęli po cichu się żegnać. Nie padło przy tym ani jedno słowo. Co ich mogło czekać tam na górze? O tym tylko Pan Bóg w niebie mógł wiedzieć. Oby wszystko skończyło się tylko na więzieniu. A czym w obecnych czasach jest więzienie, skoro szubienica jest na porządku dziennym? Ale to jeszcze nie wszystko. Każdy Żyd ma żonę i dzieci, a jeśli rzecz się tyczy żony i dzieci, to Żydzi (a musimy się do tego przyznać) są strasznymi egoistami.

Na chwiejnych nogach z sercem przepełnionym strachem i rozpaczą stanęli nasi delegaci przed tymi, w których rękach spoczywał ich los. Tylko jeden szedł naprzód dziarskim, mocnym krokiem, mimo że zmuszony był opierać się o laskę. Był to staruszek, reb Juzipl.

— Kto wśród was jest samym panem rabinem?

Pytanie zadane zostało na pół serio, na pół drwiąco.

— To ja — odpowiedział reb Juzipl z jakąś niezwykłą siłą w głosie. Wystąpił naprzód, gotów ponieść wszystkie ofiary. Tak, jakby sam jeden chciał wziąć na siebie oszczercze brzemie i iść na szafot za wszystkich swoich Żydów.

Wspaniały, wprost cudowny, był w tej chwili ten osiemdziesięcioletni starzec. Jego żółta, pomarszczona, delikatnie przezroczysta twarz jaśniała pełnym blaskiem. Zdawało się, że otacza ją aureola. W jego starych oczach zapalił się młodzieńczy ogień. Tylko ręce mu się trzęsły i drżały ramiona.

Czekał na to, co mu powiedzą. Był gotów wysłuchać wszystkiego najgorszego, co tylko źli i okrutni ludzie mogą wymyślić. Kogo słucha ten starzec, dźwigający na swoich barkach osiemdziesiąt lat? Założył ręce do tyłu i patrzył im prosto w oczy. W jego postawie i spojrzeniu była wielkość i zuchwałość. Czegoś takiego śmiertelnie przerażeni delegaci z Kasrylewki na twarzy swego rabina nigdy nie widzieli.

Była to wzniosła chwila, która trwała bardzo długo. Może nawet całą wieczność.

— To ty jesteś więc owym rabinem?

Słowa zostały wypowiedziane znowu na pół serio i na pół drwiąco.

— Oto masz z powrotem pieniądze, które zebraliście dla swoich braci pogorzalców. Zabierzcie swoje serdaki (mieli na myśli tałesy i tefiliny) i swoje pończochy (tu widocznie chodziło o ich parasole) i jazda pociągiem do domu! Do rana żeby nam tu śladu po was nie było! Marsz!

Po powrocie do domu nasi wybrańcy mieli co opowiadać. Niemało przydarzyło im się cudów w drodze. Niemało przeszli ciężkich prób z powodu pogorzalców. Opowiadali o podróży, o samej jeździe i o tym, co było po przyjeździe. O tym, o czym rozmawiali i o tym, co widzieli. O datkach, które hojnie się posypały. O prawdziwym niemal potopie datków i darowizn (najpierw był tylko deszcz datków, teraz już był potop). I o tym, jak ich aresztowano przed „wysokimi progami” i zaprowadzono do takiego „wspaniałego przybytku”, zabrano pieniądze i wsadzono do „kozy”. I wreszcie o cudzie. O tym, jak Pan Bóg pokazał, co potrafi. Jak zwolnili ich i zebrane pieniądze zwrócili co do grosza. Co więcej, dorzucili im jeszcze coś na dodatek. Gdy byli już gotowi do drogi powrotnej, dopędził ich jakiś człowiek w wysokim kapeluszu i wręczył okazałą sumę. Był to datek na rzecz pogorzalców z Kasrylewki od owego „wielkiego”, którego facet z pociągu nazywał „lwem wśród zwierząt”. No i niech ktoś powie, że nie ma Boga na świecie!

Słowem, nasi delegaci mieli co opowiadać. Starczy im na niejedno opowiadanie. Sądzę, że wystarczy im na całą zimę. A być może pozostanie jeszcze trochę i na lato.

Tylko reb Juzipl nie zabierał głosu. Nabrał wody w usta. Wrócił z podróży zmęczony. Nie w sensie cielesnym. Był załamany duchowo. W dodatku był zajęty sobą. Przygotowywał się do innej podróży. Wybierał się w drogę, z której nikt jeszcze nie wrócił. Nie sądzicie, że reb Juzipl, mimo że był rabinem i miał już ponad osiemdziesiątkę, mimo że był człowiekiem samotnym, bez dzieci i rodziny, nie miał nic do roboty w momencie, gdy miał zejść z tego grzesznego świata.

## NOWA KASRYLEWKA

### Wstęp

W ostatnim czasie zaczęły ukazywać się na świecie rozmaite opisy miast i krajów oraz różne inne pożyteczne książki. Pomyślałem sobie: wszędzie i we wszystkim naśladujemy innych. Inni mają gazety, mamy i my. Oni mają Nowy Rok i my też mamy Nowy Rok. Oni mają choinkę i my mamy choinkę. Oni mają książki *Cała Moskwa*, *Cały Petersburg*, *Cały Berlin*, *Cały Paryż*, to dlaczego my nie mielibyśmy mieć książki *Cała Kasrylewka*?

A ja, Szolem Alejchem, sam urodzony w Kasrylewce, niedawno temu udałem się tam na groby moich rodziców i zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób mógłbym się odwziąć moim braciom i siostram za ich gościnność. Chyba tylko tym, że upamiętnię Kasrylewkę, rozślawiając jej imię w świecie. Miałem przy tym na celu utrwalenie jej bardziej dla dobra ogółu, aniżeli dla własnej korzyści. Niechaj ludzie przybywający do Kasrylewki wiedzą, gdzie mają się zatrzymać, jak najwygodniej do niej dojechać, gdzie można zjeść dobry obiad, wypić kieliszek wina, gdzie można spędzić mile czas, co można zobaczyć w teatrze itp. Różne przyjemności czekają dziś na odwiedzającego to miasto. Kasrylewka bowiem jest zupełnie inna niż dawniej. Wielki postęp zachodzący dziś w świecie wdarł się również do niej. Wywrócił ją do góry nogami. Dlatego też nazwałem ją Nową Kasrylewką.

### Rozdział I. Kasrylewski tramwaj

Do Kasrylewki przyjechałem pociągiem. Chwała Bogu, miasto ma już połączenie kolejowe. Był wczesny jesienny ranek, grubo przed poranną modlitwą. Padał drobny deszcz. Utworzyły się spore kałuże. Już na dworcu dopadła mnie cała chmara domowych służ. Rude brody, rude kapoty. Żółte blaszki na żółtych wyblakłych kaszkietach.

— Wujku! „Grand Hotel”!

— Hotel „Francja”, wujku!

— Wujku! „Portugalia”!

— Wujku! Hotel „Turkalia”!

Udało mi się, przy boskiej pomocy, przemknąć przez ten szpaler cało i zdrowo. Wypadłem jednak na inne bractwo. Byli to bałaguly<sup>30</sup> — furmani w wysokich butach, z batami w rękach. Bractwo o mało mnie nie rozszarpało. Jakiś kościsty młodzieniec siłą wyrwał mi z ręki walizkę. Podniosłem krzyk: „Moje rękopisy! Moje papiery!”. Dwaj pozostali furmani ujęli się za mną. Chcieli mnie wziąć na swoje furmanki. Wybuchła między nimi bójka. Skorzystałem z tego, wyrwałem walizkę, wysliznąłem się z ich rąk i pobiegłem do tramwaju.

— Do mnie braciszku, do mnie! Cała jazda jeden piątek. Piątek od główki. Jadziem aż do ulicy Belfilir. Wszystkiego pięć kopiejek! Jeden Żyd — jeden piątek.

Tak wydiera się ochrypłym głosem sam konduktor, młodzieniaszek z rudą bródką. Na szyi zwisa mu torba. Na głowie ma kaszkiet z jakimś guzikiem pośrodku. Obok niego stoi drugi osobnik, Żyd w podartej kapocie i z batem w ręku. Furman „tramwaju”. Obydwaj pokazują mi stojącą w pobliżu, przechyloną na bok budę na kółkach. Jest to niby tramwajowy wagon. Szyby ma wybite. Przy długim dyszlu stoi w zaprzęgu biały konik. Głowę ma opuszczoną i drzemie.

— Ostrożnie — ostrzega mnie konduktor — trzeba uważać, aby nie wpaść w dziurę. W podłodze brak jednej deski. Tramwaj jest w remoncie.

<sup>30</sup>bałagula — furman. [przypis tłumacza]

Usadawiam się powoli w wagonie, kładę obok siebie walizkę i czekam. Jest chłodnawo. Dla rozgrzewki uderzam nogą o nogę.

— Konduktorze — zwracam się do młodzieńca — pojedziemy wreszcie, czy też pójdziemy piechotą?

— Jeśli Bóg pozwoli, to przy jego pomocy! — odpowiada mi konduktor.

— Daj mi trochę tytoniu, Josl! — zwraca się do konduktora furman w podartej kapocie i z batem w ręku.

— A machorkę nie łaska, panie Kasriel? — z miejsca odparowuje konduktor Josl. — Dobry tytoń może wam jeszcze zaszkodzić.

— Nie strugaj wariata, smarkaczu jeden! Daj papierosa.

Konduktor i furman skręcają papierosy.

— Kiedy wreszcie pojedziemy? — pytam po raz wtóry konduktora.

— Dzisiaj — odpowiada flegmatycznie i podaje ogień furmanowi.

A ja czekam i czekam. Powoli zaczyna przybywać pasażerów. Najpierw pakuje się do budy Żyd w podartym kożuszku. Z wydzielanego przez niego zapachu trudno ustalić, co za zwierzę nosiło to futerko. Na lisa za białe, na kota za czerwone. Po Żydzie w podartym kożuszku włazi Żyd bez kożuszka. Zmarł biedaczysko. Rozgląda się na wszystkie strony, wzdycha i szuka wygodnego dla siebie miejsca. Siada wreszcie w kącie przy drzwiach. Po zmarzniętym Żydzie wtaszczył się najpierw koszyk z jabłkami i tuż za nim Żydówka. Jest owinięta w trzy szale, a mimo to widać, że biedaczce jest zimno.

— Wiśta! Wio! Reb<sup>31</sup> Kasrielu, *poszol!* — odzywa się konduktor do furmana.

Josl gwizdnął i tramwaj ruszył. Nie zdążył przejechać kilku metrów, gdy zatrzymał się. Drzwiczki „wagonu” otwierają się i ukazują się w nich jakaś głowa.

— Nie ma tu czasem Mojszy?

— Co za Mojsze? — dopytuje się Josl konduktor.

— Pracuje w sklepie żelaznym?

— Tak, w sklepie żelaznym.

— Znam go.

Po tym stwierdzeniu Josl gwizdże i daje znak furmanowi. — Wio! Wiśta! Po... o... szedł!

I jedziemy dalej.

— Bilet — zwraca się do mnie konduktor. — Coś nie wydaje mi się pan znajomym. Chyba nietutejszy? Ma pan zamiar na dłużej się tu zatrzymać? Jeśli tak, to zawiozę pana na stację, a nie do hotelu. Stacja czysta i bez pluskiew. A co się tyczy jedzenia, to wskażę panu takie miejsce, gdzie za tanie pieniądze będzie pan miał samą przyjemność.

— Bardzo panu dziękuję — odpowiadam. — Mam tu znajomych.

Wtedy on:

— Kto to jest, kim są i czym się zajmują?

Naprawdę zmyślam jakieś imię, wyciągam je, że tak powiem, z *Agady*<sup>32</sup> i odczepiam się od niego. Zostawia mnie w spokoju i kieruje się do Żyda w podartym kożuszku. Każę mu wykupić bilet. Żydek w kożuszku wrusza ramionami:

— Co tam! Gdzie tam! Nie wiem, czy posiadam choć jeden grosz przy duszy.

— To już trzeci raz w tym tygodniu, jak jedzie pan bez biletu — konduktor Josl jest wyraźnie zły. Gniewa się.

— No to co? Mam z tego powodu iść na piechotę? Czy mam dla ciebie kraść? — Żyd w kożuszku jest także zły.

Josl konduktor macha ręką i podchodzi do zmarzniętego Żyda bez kożuszka. Ten udaje, że śpi.

— Przepraszam, proszę wykupić bilet!

Żyd udaje, że wyrwał się z głębokiego snu. Trze ręką o rękę.

— Bilet — powtarza Josl konduktor.

— Słyszałem — odpowiada po hebrajsku, chucha w pięści.

<sup>31</sup>*reb* — skrót hebrajskiego słowa *rabi*, które jest tytułem uczonego, rabina itp. U Żydów wyraz *reb* przed imieniem własnym oznacza szacunek dla osoby, do której zwracają się oni w ten sposób lub o której mówią. Młodszy wiekiem zawsze tak mówi do starszego. [przypis tłumacza]

<sup>32</sup>*Agada* — część *Talmudu* zawierająca legendy i mity. [przypis tłumacza]

— Na co mi się zda wasze „słyszałem” — mówi Josl ostro. — Wyciągnij pan, za przeproszeniem, piąta i masz pan bilet.

— Sza, sza — odpowiada zmarznięty. — Dlaczego tak ostro? Popatrzcie no na niego! Wielki pan!

— Nie udawaj pan wariata i proszę bulić za bilet.

— Było nie było, dla mnie coś pan z tego piąta opuści.

— Na pana to mogę wszystkie moje zmartwienia spuścić — replikuje Josl konduktor.

— Schowaj je pan dla siebie. Na zdrowie.

— W takim razie grzecznie poproszę pana pofatygować się i opuścić „wagon”.

Po czym zwraca się do furmana: — Reb Kasriel — stop!

Furman Kasriel zatrzymuje tramwaj. Jest wyraźnie zadowolony. Chabeta jeszcze bardziej.

— No to, za przeproszeniem, spływaj pan.

Zmarznięty Żyd siedzi jednak twardo i nie rusza się z miejsca. Dla rozgrzewki wymachuje nogami i trze ręką o rękę.

— Na co pan czeka? Na honory? Mam wziąć pana za kołnierz i wyrzucić na zbity pysk? Niech tylko zjawi się Welwl — kontroler. To nasz kasjer. Otrzyma pan za swoje. Reb Kasriel, poo... szedł!

I tramwaj znów rusza.

— Nie ma sprawiedliwości na świecie — odzywa się Żydówka od jabłek. — Czym ten Żyd jest gorszy od tamtego? Tamten może jechać bez biletu? Tylko dlatego, że tamten nosi kożuszek, a ten jest goły. Zje ci kawałek ławki? Myślisz, że ci postawią złoty nagrobek?

— Kto panią prosił o wstawiennictwo? Znalazła się obrończyni sprawiedliwości. Co pani porównuje tego Żyda do tamtego? Tamtego znam dobrze. To syn przyzwoitych rodziców. Niestety, podupał ostatnio. A ten, nie wiadomo kto. Żebrak jaki lub pęta.

— A jeśli biedak, to co? — Żydówka od jabłek wstaje. — Jeśli biedak, to trzeba go wyrzucić? Co to znaczy wyrzucić? No i proszę. Popelnił widocznie najcięższy z grzechów. Nie służył złotemu cielcowi. Koń przecież i tak ciągnie do miasta. Posiedzi sobie jeszcze jeden Żyd. A gdyby wyciągnął jeszcze jednego piąta, to co wtedy? Twój rosół będzie od tego tłuszcieszy?

— Nie pytam przecież pani o radę! Daj pani lepiej piąta i masz pani bilet.

— Oj Żydzi! — Żydówka zrywa się z miejsca i uderzeniem ręki wygładza suknię. — Wiedziałam, że i mnie będzie się czepiał. Jak pragnę szczęścia, wiedziałam.

— A co pani myślała? Że będę panią za darmo woził?

— Co znaczy? Ty mnie będziesz woził? Wagon mnie wozi, a nie ty. Przypiął sobie miedziany guzik i komenderuje. Pamiętam jeszcze, jak byłeś poganiaczem u Lejzora-Hersza, tego belfra z chederu<sup>33</sup>. Pamiętam, jak nosiłeś na barkach dzieci do chederu wraz z garnuszkiem na śniadanie. To co będziesz mi tu bajki opowiadał? Bilet. Szmile.

— Ja to mam szczęście, nieprawda? — Josl kieruje te słowa do mnie. Siada obok i kontynuuje. — Tak to oni wszyscy wyglądają u nas. Kto ma forsy i może płacić, ten drałuje na piechotę. Kto nie ma forsy i nie może płacić, ten jedzie tramwajem. A ty żyj tutaj, utrzyj starą matkę i siostrę wdowę. Widzi pan te buty? — pokazuje mi swoje podarte buty. — One już całkiem otwarte mają noski, chcą jeść...

Nagle rozlega się trzask. To zderzyły się dwa dyszle. Słychać rzenie dwóch koni. Dwa wagony spotkały się na jednej linii. Jeden zmierza w naszym kierunku, drugi w odwrotnym.

— Cholera! A szlag by cię! Niech cię piorun trzaśnie. Ciebie i twego ojca, i ojca twego ojca, aż do Praszczura Adama.

— Obyś się udławił dyszlem. Niech twoja gęba się skrzywi. Niech piorun trzaśnie w ojca twego ojca. Tobie to się bardziej należy.

— Gdzie masz oczy, bękarcie? Skoro ja jadę prawą stroną, to ty masz jechać lewą.

— A gdzie to jest napisane, parchu jeden, że ty powinieneś jechać prawą stroną, a ja lewą? A może właśnie jest akurat odwrotnie? Ja prawą, a ty lewą?

— Ośle. Po to właśnie są dwie linie. Ja tu, a ty tam!

<sup>33</sup>cheder — dosł.: „pokój”; nazwa szkoły dla początkujących, w której żydowscy chłopcy po ukończeniu piątego roku życia uczyli się czytania po hebrajsku modlitw oraz poznawali *Pismo Święte*. [przypis tłumacza]

— Sam jesteś osłem! Gdzie to jest napisane, a ty tu, a ja tam?  
— Wiesz co? Pies z tymi liniami tańcował. Niech diabli porwą wszystkie ich wagony i cały ich tramwaj. Daj lepiej, Kasrielu, zapalić. Niech się spalą wraz z tramwajem w jednym ogniu. Jak tam twoja stara? Uspokoila się trochę?

— Dopóki się ją bije. Spokojna jest tylko wtedy, gdy śpi. A co u ciebie?

— Co ma być? Konie działają mi na nerwy. Nie mogę ich już utrzymać na wodzy. Obawiam się, że je rzucę w diabły.

— Nie wiesz, co się robi? Zrób tak, jak ja. Zrób z nimi sztamę. I ty będziesz miał na owies, i one dadzą ci żyć.

— Niech im Bóg da cholere w bok. Ale, jak tam twój bułan. Już chodzi w zaprzęgu?

— Niech go ziemia pochłonie! Boi się bata i staje okoniem. Masz zapalkę? Daj ognia!

I dwaj furmani pograżają się w długiej rozmowie. Prowadzona jest w języku bałagulskim. Rozmawiają jak dwaj kochający się bracia. Również obydwaj konduktorzy nawiązują rozmowę. Atmosfera jest przyjazna. Trwa aż do przybycia Welwla, kontrolera, który wraca właśnie z uroczystości obrzezania u kasjera.

Z miejsca robi krzyk:

— A niech was szlag trafi w przód i środek. Znowu pokręciliście, znowu poplątaliście? Wasze szczęście, że jestem dziś w dobrym nastroju po uroczystości u kasjera Motka. To ci była uroczystość, powiadam wam. Niech go szlag. Na próżno nie siedzi przy kasie. Ja bym też tak chciał. To lepiej niż być kontrolerem. Uganiasz się jak pies. Żydzi, co tu się u nas dzieje? Znowu katastrofa? Znowu zderzyliście się? Gdzie wasze oczy? Pasażerowie — czort z nimi! Szczęście, że wagony są całe. A teraz, rozjeżdżajcie się, każdy w swoją stronę. Reb Kasrielu kochany, weź, za przeproszeniem, i odwiąż konia z przodu, zaprzęgnij go z tylnej strony wagonu i jedź z powrotem na dworzec. Reb Azriel zaś pojedzie za tobą.

— A dlaczego to los padł na mnie — odpowiada Kasriel. — Niech Azriel przepręgnie konia i jedzie z powrotem do miasta, a ja pojedę za nim.

— Reb Azrielu — odzywa się kontroler — bądź łaskaw, zrób to i jedź do miasta z powrotem.

— Figa z makiem! — powiada Azriel. — Wolę, aby Kasriel pojechał z powrotem na dworzec. Nic mu nie będzie.

— Gdybym nawet miał skonać, to nie zrobię tego. Choć bij, zabij, nie zrobię tego! Nie ruszę się z miejsca — odpowiada Azriel.

— To ci nieszczęście — wtrąca się Żydówka. Chwyta koszyk z jabłkami i wyłazi czym prędzej z tramwaju. — To ci para. I jeszcze płac im. Gdybym poszła na piechotę, dawno byłabym już w mieście. Sześć razy zdążyłabym obrócić tam i nazad. Ot i wymyślili sobie trambudę.

Chyba, pomyślałem sobie, trzeba wziąć nogi za pas i popielgrzymować do miasta. Biorę walizkę i ruszam, za przeproszeniem, na piechotę. Z tyłu nadjeżdżają furmani. Słychać gwizd, huk i śmiech.

— A co? Wielmożnemu panu nie chciało się jeść postnego chleba? Nie chciało się jechać ze zwykłym bałagulą na zwyczajnej furmance? Zachciało się wam trambudy? Jeszcze szczęście, żeście uszli cało, że nie zrobili z was jajecznicy. Właż pan wraz z walizką, do której chcesz budy. My wszyscy mamy spółkę. Trzymamy sztamę. Co Bóg da, to do spółki. Aby razem. Wio! Wio!

Włażę ze swoją walizką do budy i z wielką pompą wjeżdżam do Kasrylewki.

## Rozdział II. Kasrylewskie hotele

— Jeśli chce pan mieć tanie i wygodne *locum*, to zawiozę pana na przyzwoitą stancję — rzekł do mnie mój bałagula i zawiózł do dwukondygnacyjnego domu. Dom był zaniedbany. Ze ścian opadał tynk. Na wywieszce widniał następujący, dużymi literami wymalowany napis: „Hotel Turkalia”. Mój bałagula stuka batem w drzwi i krzyczy donośnym głosem:

— Noach! Noach! Gdzie ty, u licha, przepadłeś? Otwieraj! Sprowadziłem ci „jelenia”.

Na ten okrzyk otwierają się drzwi i ukazuje się w nich Żydek, którego zwą Noachem. Jest portierem w tym hotelu. Bez ceregieli chwyta moją walizkę i taszczy ją po schodach na piętro. Tu dopiero zadaje mi pytanie:

— A pan szanowny życzy sobie pokój ze śpiewem, czy bez?



— Co to za śpiew? — pytam.

— *Aktiejorów*. U nas mieszkają *aktiejorzy* żydowskiego trejratru. Po przeciwnej stronie korytarza zatrzymał się kantor<sup>34</sup> z Litwy z dwunastoma chórzystami. Przyjechali na sobotę. Powiadają, że niezgorszy nawet kantor. Istny skarb z tego kantora.

— Bardzo możliwe — powiadam — że istny skarb z tego kantora, ale ja wam go daruję. Dajcie mi lepiej pokój bez śpiewu.

— Jak sobie pan życzy — powiada do mnie portier Noach. — Mogę dać inny pokój. Wybór do was należy. Ale nie miejcie potem do mnie pretensji, jeśli tam nie będzie tak całkiem.

— Co znaczy — pytam — nie tak całkiem?

— Dla przykładu, tam może was coś gryźć.

— Kto — powiadam — może mnie gryźć?

— Kto może was gryźć? — odpowiada portier. — Ja was nie będę gryzł. Niedawno temu, na święto Pesach<sup>35</sup> przeprowadzono dezynsekcję, ale niewiele pomogło. Nawet nafta nie pomogła.

— Skoro tak — powiadam — to niech już będzie ze śpiewem.

I portier Noach wprowadza mnie do ciemnego pokoju, w którym unosi się jakiś dziwny zapach świeżo garbowanej skóry, zgniłych ogórków i machorki. Nie zdołałem rozejrzeć się, na którym to świecie jestem, Noach zerwał się i zaczął coś okładać pięściami. A robił to tak, jak wygląda się poduszka ścieląc komuś łóże. W czasie tej czynności gada do siebie i obrzuca kogoś straszliwymi przekleństwami:

— Ty frajerze jeden! Ty koczurze morski! Ty zielone ucho! Rogu wołowy! Zaraz ci zasunę w twój cyferblat. Zęby ci z dziąseł powyrywam. Z całego świata przyprowadzają do nas ludzi, a ty w tym czasie pakujesz się do łóżka ze swoimi buciorami. Rozłożył się jak u swego ojca w winnicy. Cie choroba. Ładny mi lokaj. Nie raczył nawet otworzyć okiennic. Co, nie mogłeś nastawić samowara? Oczyszczyć buty *aktiejorom*? Sprzątnąć u kantora i jego chórzystów? Mojsze-Mordechaj, spływaj! Idź do cholery.

Wtedy dopiero spostrzegłem barczystego młodzieńca w dużych, grubo smarowanych butach. Zrozumiałem, skąd pochodził ów zapach... Ciosy, które dostał od portiera, nie wywarły na nim wielkiego wrażenia. Wylał wargi i nic. Jakby nie o niego chodziło. Otworzył okiennice, spojrzał na mnie i roześmiał się.

— Popatrzcie no — powiada do mnie portier — może pan wie, z czego ten rechocze? Rozpiera go widocznie przyjemność od mego bicia, które dostał na czczo. Mojsze-Mordechaj, zmiataj do jasnej cholery! Ach, ty paskudny chłopie! Bułkojadzie! Makaroniarzu zatracony!

Mówiąc to dzieliła go po karku i wyrzuca za drzwi.

— Całkiem przyzwoity facet — powiada potem — ciut tylko leniwy. Mocny ma sen — bez bicia za żadne skarby się nie obudzi. Haruje biedaczysko jak koń. Co zarobi, oddaje siostrze. Ledwom wskórał, aby sobie buty sprawił. Co panu podać do herbaty? Świeże pieczywo, obwarzanki, suche ciasteczka z makiem albo też kasrylewskie naleśniki?

I Noach portier robi w tył zwrot i znika.

— Wujku, pan już po modlitwie? — jakiś facet wsuwa głowę w drzwi.

— Co to pana może obchodzić? — powiadam.

— Mam do pana prośbę — mówi tamten.

— A kto pan jest?

<sup>34</sup>kantor — śpiewak prowadzący modły przed pulpitem w bożnicy. [przypis tłumacza]

<sup>35</sup>Pesach — dosł.: „przeskoczyć, ominąć”; nazwa świąt wielkanocnych, pochodząca stąd, że według *Biblii* dziesiątą plagą, którą Bóg doświadczył Egipcjan przed wyzwoleniem Żydów z ich niewoli, było uśmiercenie egipskich niemowląt pierworodnych płci męskiej, czego dokonując Pan Bóg omijał (przeskakiwał) te domy, w których mieszkali Żydzi (pomazane uprzednio krwią baranka). W święta te Żydom nie wolno spożywać chleba, bułek ani żadnego pieczywa wypiekanego na drożdżach. Ponadto nie wolno używać naczyń, w których gotuje się przez cały rok, gdyż zachodzi obawa, by nie zjeść czegoś, co nie jest przasne. Używa się więc wtedy specjalnych naczyń oraz jadła dozwolonego przez ściśle przestrzegane przepisy religijne. Pesach jest też nazwą ofiary religijnej w formie uczy, libacji sakralnej. [przypis tłumacza]

— Żyd — powiada facet — obcy, nietutejszy. Chciałem na chwilę pożyczyć tałes<sup>36</sup> i tefilin<sup>37</sup>. Mój ukradli nie dalej jak wczoraj, tu na tej stacji.

Otwierają się szeroko drzwi i wsuwa się jeszcze jedna głowa. Bez czapki. Przemawia naraz w kilku językach.

— Różne towary. Panie, mam pończochy. Dobre pończochy. Mam rękawiczki zimowe. Z najlepszego materiału. Tanio, prawie za pół darmo. Jak Boga Kocham — mówi po polsku, rosyjsku, niemiecku i po żydowsku. — Niech pan sobie kupi pończochy. Nawet pół tuzina. Niech Bóg da panu zdrowie.

Nie wiedziałem, z kim mówię. Często mi się zdarza, że napotykam dziedzica, gadam do niego przez całą godzinę po żydowsku i wtedy obrywam. Dlatego też spróbowałem zagadnąć po polsku, po rosyjsku i po niemiecku. Dzięki Bogu, znam parę języków.

— Pary dobrych rękawiczek, ciepłych rękawiczek, nie weźmie pan? Ja sam, jak pan mnie tu widzi, byłem kiedyś wielkim kupcem. Jeździłem na największe jarmarki. Do Jarmolinca, Proskurowa i do Połtawy. Więc, znaczy się, pan nic nie chce? A może kawałek mydła? Grzebyk, *prima sort*, też nie? Dziękuję panu za utarg. Moje dzieci się ucieszą. A może kupi pan szcztoteczkę? A może krawat? Mam bardzo ładny. A może jeszcze pół tuzina pończoch. Sprzedam taniej. Nie chce pan? No, to wszystkiego dobrego.

Żyd bierze czapkę i odchodzi. Zjawia się inny. Ten już w czapce.

— Kup pan, wujku, u mnie pończochy. Dobre, tanie pończochy.

— Nie potrzebuję pończoch, dziękuję.

— Co znaczy — powiada Żyd — że nie potrzebuje pan pończoch? Przecież dopiero co kupił pan pół tuzina u tamtego. Ja też jestem Żydem. Teżem biedak obarczony licznym potomstwem. Z dwóch chłopców jeden chodzi do szkoły rosyjskiej, drugi terminuje u rzemieślnika, młodszy zaś chodzi do chederu. Dziękuję panu. Życzę zdrowia. Niech Bóg pana wynagrodzi.

Po nim wchodzi następny Żyd. Wysoki, chudy, z twarzą, na której widoczne jest przerażenie.

— Jeśli pragnie pan zrobić dobry i miły Bogu uczynek, to weź pan ode mnie resztę pończoch. Przez to zaoszczędzi pan sobie postu w Tisza b'Aw<sup>38</sup>. Pozostało mi kilka tuzinów par.

— Nie potrzebuję pończoch. Już mam ich dosyć.

— Daję je panu poniżej własnych kosztów — powiada Żyd. — Nie będę się targował. Ile pan da, tyle będzie. Oby Bóg za to dał panu zdrowie na długie lata. Mam syna, który kończy w tym roku gimnazjum. Chce studiować medycynę. „Nie będziesz ojciec — tak powiada do mnie — musiał więcej harować. Wtedy harował będę ja, a ty sobie odpocznieś.” Tak powiada mój syn. Ale póki co, trzeba go podtrzymywać, wspierać pieniędzmi, aczkolwiek już, bez uroku, sam trochę zarabia. Dziesięć karbowanów na miesiąc. Bądź pan zdrow. Życzę powodzenia.

Wchodzi Żydówka. Mówi z przyśpiewem.

— To pan jest tym gościem z Jehupca?

— Owszem i co z tego?

— Słyszałam, że pan przybył do Kasrylewki kupić pończochy. No i przyniosłam panu kilka tuzinów na próbę. Mam fabrykę pończoch. Od dziesięciu lat produkuję pończochy.

— Kto pani powiedział — pytam — że ja kupuję pończochy? Nie przyjechałam po pończochy. Nie potrzebuję ich.

Żydówka jednak nie słucha tego, co mówię i robi swoje. Miele językiem. Istny młyn.

— Moje pończochy słyną w całej Kasrylewce. Niech pan popatrzy, co to za pończochy. Co pan powie na przykład na tę parę?

<sup>36</sup>*tales* — dosł.: „narzuta”; szata liturgiczna, wełniana biała chusta w niebieskie lub czarne pasy, w którą owijają się żonaci mężczyźni podczas modlitwy porannej oraz w czasie innych, ściśle określonych przez przepisy religijne nabożeństw. [przypis tłumacza]

<sup>37</sup>*tefilin* — dosł.: „modlitwy”; nazwa dwóch skórzanych pudełeczek zawierających wypisane na pergaminie modlitwy — przepisy, które mężczyźni od trzynastego roku życia wkładają na głowę i lewą rękę podczas modlitwy porannej w dni powszednie. [przypis tłumacza]

<sup>38</sup>*Tisza b'Aw* — dosł.: „dziewiąty dzień miesiąca Aw”; w tym dniu w 70 r. n.e. Rzymianie zburzyli Jerozolimę wraz ze świątynią. W r. 586 p.n.e. w tym samym dniu miesiąca Aw, król babiloński Nebuchadnezar zburzył pierwszą świątynię jerozolimską. W czasie *Tisza b'Aw* obowiązuje post taki, jak w Jom Kipur. Wszystkie inne posty obowiązują Żydów obojga płci tylko od trzynastego roku życia. [przypis tłumacza]

— Na miłość boską! — krzyczę — Nie potrzebuję pończoch!

— Oto leżą przecież — powiada ona — u was na stole!

— Te pończochy to ja sam przywiozłem na sprzedaż.

Towarzysz Żydówce do samych drzwi. Zamykam je na klucz w obawie, że znowu ktoś przyniesie mi pończochy. Nagle ktoś puka.

— Kto tam?

— To ja — odpowiada ktoś zza drzwi.

— Co za „ja”? — boję się otworzyć drzwi. Znowu mogą się pojawić sprzedawcy pończoch. — Kto puka?

— Dawid — rozlega się głos zza drzwi.

— Jaki Dawid?

— Dawid Szpan.

— Co za Dawid Szpan?

— Dawid Szpan. Komisjoner.

— W jakiej sprawie? Może pończoch?

— Pan potrzebuje pończoch? Już lecę do sklepów i przynoszę.

— Nie! Nie! Nie potrzebuję pończoch.

Otwieram drzwi i natykam się na Noacha.

Jest obładowany bułkami, obwarzankami, ciastkami, plackami i naleśnikami.

— Dla kogo tyle prowiantu?

— Co się pan będzie martwił? Psom się tego, uchowaj Boże, nie wyrzuci. Są, bez uroku, tacy, co zjedzą. Ja sam mam sześć gęb w domu. Ponadto dwie obce sieroty. Powiedz pan lepiej, co z pana za dziwne stworzenie? Pan potrzebuje pończoch i nic mi o tym nie mówi? To aż trzeba było prosić Dawidka Szpana?

— Kto go prosił — powiadam — aby przyniósł pończochy?

— Nie wiem, kto prosił — powiada Noach. — Ja go na pewno nie prosiłem. Dawidek-złodziej przyniesie panu takie pończochy, że będzie na co patrzeć! Kasrylewskie pończochy!

Przy tych słowach wchodzi masywny Żydek o czerwonych policzkach. Twarz spocona, fajka-cybuch w ustach. Bez zbędnych ceregieli biorę go za rękę i pokazuję mu drzwi.

— Idź pan sobie do wszystkich diabłów wraz ze swoimi pończochami. Nie potrzebuję pończoch.

— Na litość boską! — portier Noach jest przerażony. — Kogo pan wyrzuca? To przecież nasz gospodarz, właściciel hotelu.

— Ach, tak. Proszę wybaczyć — witam go serdecznie i przystawiam mu krzesło. — Myślałem, że pan jest tym Żydem, który polecał po pończochy. Masz ci nieszczyście. Zarzucono mnie pończochami. Istny potop pończoch. Siadajcie. Bardzo proszę.

— Dziękuję, chętnie — powiada do mnie gospodarz. Siada na krzesło i pyka fajkę.

— Skąd Żyd przybywa? Może z Jehupca? Mam tam znajomka. To znaczy mój znajomek już właściwie nie mieszka w Jehupcu. Już dawno temu stamtąd wyjechał. Obawiam się, że już będzie osiemnaście lat, jak się wyprowadził z Jehupca. Może nawet dziewiętnaście. Przeprowadził się do Odessy, do krewnych, którzy mają tam skład pszenicy. Dwa składy — jeden w Odessie, drugi w Mikołajewsku. Odeski interes niczego sobie. Dobrze prosperuje. Mikołajewski jest teraz bity, nawet bardzo. Bije go na głowę Teodozja. A wszystko przez to, że w Teodozji zbudowano port. Teodozja stała się dziś miastem, co się zowie. W Teodozji też mam znajomych. Powiadają, że to piękne miasto.

Widzę, że zapowiada się na długą historię. Na historię bez końca. Udaje mi się wtrącić:

— O co to chciałem pana zapytać? Aha! Już wiem. Dlaczego pan nazwał swój hotel „Turkalią”?

— Pamiętam jeszcze Teodozję — odpowiada gospodarz. — Pamiętam ją jako miłe miasteczko. Ja sam, rozumie pan, jestem stamtąd. Tamtejszy, besarabski. Pochodzę z Besarabii<sup>39</sup>, z małego miasteczka Dubosady. To znaczy urodziłem się w Belcu. A pan szanowny był kiedyś w Belcu? Fajne miasto z tego Belca. Ale nie umywa się do Kiszyniowa.

<sup>39</sup>Besarabia — kraina historyczna, obecnie stanowiąca część Mołdawii i Ukrainy. [przypis edytorski]

— Tere fere kuku — wtrąca się portier Noah. — Może pan z gospodarzem rozmawiać trochę głośniejsze. Słuch ma popsuty. Głuchy jak pień.

Przysuwam się jak najbliżej do gospodarza i krzyczę mu wprost do ucha:

— Pytam się, dlaczego wasz hotel ma tak dziwną nazwę.

— Czemu pan tak krzyczy? Nie jestem głuchy. Dziwna nazwa, powiada pan? Co w niej dziwnego? „Italia” jest dobra? „Portugalia” to dobrze? A „Turkalia” pochodzi od Turka. A więc, na czym to ja się zatrzymałem? Na Kiszyniowie. A ludzie? U nas, w Besarabii, słyszy pan, to zupełnie inni ludzie. I jada się tam zupełnie inaczej. Gdy zasiadają do stołu, to zaczynają od wspaniałych ryb ze wspaniałej rzeki. Po tym — dobry, tłusty kawałek kade. Po nim zaś podają na dużym talerzu wspaniałą mamałygę<sup>40</sup>, którą kroją wszszedługą nicią. Potem podają świeże i gorące pampuszki<sup>41</sup>. Zapija się je prawdziwym winem besarabskim. Zakąskę do tego stanowi *nabut*, czyli cudowny groch.

Przy tej okazji gospodarz oblizuje się i dodaje mi apetytu do jedzenia. W czasie, gdy gospodarz opowiada o potrawach besarabskich, rozlega się śpiew litewskiego kantora:

I cieszę się z two-  
go królestwa stra-  
żnicy soboty, głosiciele  
jej rozkoszy.

A chór rozdziela się na dwie grupy. Jedna grupa śpiewa:

Turarirl! Turarirl!  
Turarirl! Turarirl!

Druga grupa podtrzymuje:

Pim-pom!  
Pim-pom!  
Pim-pom!

Z kolei z drugiej strony słychać śpiew *aktiejorów*:

Nóżki, ach nóżki,  
I nóż-ki!  
I ży-we  
Nóż-ki, ach nóżki!  
Taki rok na mnie.

Również posługacz, który czyści buty za moimi drzwiami, raz po raz pluje w szczotkę i zawodzi piosenkę:

Mam ja teściową,  
Ma ona zię-zię-cia,  
Bije on jej córkę  
I drży przy tym zięć.

Tuż po śpiewie słychać głos Żydówki, która klnie i beszta swego męża. To gospodyni szuka we wszystkich pokojach naszego gospodarza. Nie przestaje kłąć. Wyrzuca z siebie jakieś dziwne i nietypowe przekleństwa. Wszystkie niemal kończą się rymami:

— Cholerę w bok. Zmartwień na rok. Udar do głowy i cios mu morowy. Niechaj ogień go pali. Niech płomień go smali!

— Pan będzie jadł z gospodarzem i gospodynią? Czy też w restauracji — pyta mnie portier Noah.

<sup>40</sup>*mamałyga* — potrawa z mąki kukurydzianej. [przypis tłumacza]

<sup>41</sup>*pampuszki* a. *pampuchy* — placki drożdżowe gotowane na parze. [przypis edytorski]

— W restauracji! W restauracji!!

Rozdział III. Kasrylewskie restauracje

„Koszer — Tu są smaczne, świeże i koszerne potrawy — Sara Indyk.” Przeczytawszy takie ogłoszenie wspinam się czym prędzej po stromych, śliskich schodach na drugie piętro czerwonej, nagiej kamienicy. Nie zwracam uwagi na to, że zapachy dochodzące z kuchni nie są zbyt przyjemne dla nosa. Pusty żołądek nie przebiera.

— Gdzie tu można zobaczyć Sarę Indyk? — pytam o to starego Żyda o żółtej twarzy, który siedzi na podłodze i reperuje stary, sfatygowany materac.

— Daleko — odpowiada stary i klepie materac tak mocno, że aż zaczyna się z niego wydobywać zielony dymek.

— Wyjechała?

— Wyjechała! — stary kiwa przy tym głową. — Wyjechała na zawsze!

— Umarła? Sprawiedliwe są wyroki opatrności.

Wypowiadam to dosyć szybko i chcę się wycofać.

— Tak, umarła. W wigilię święta Pesach minie sześć lat od jej śmierci. Uwierz mi panie, że jej dotąd nie zapomniałem. Ani na chwilę. Jak zresztą można było ją zapomnieć? A jak gotowała? Jak piekła? Jak potrafiła obchodzić się z ludźmi? A jak potrafiła rozmawiać z człowiekiem. Jak potrafiła dostosować się do moich wariackich wybryków? Nie mogę tego zrozumieć do dziś. Czyż muszę panu to opowiadać? Pan ją chyba znał?

— Skąd — powiadam — mogłem ją znać? Jestem przecież po raz pierwszy w Kasrylewie.

— No to — powiada tamten — czemuś pan o nią pytał?

— Wcale nie o Sarę pytam. Pytam, czy tu mieści się restauracja „Sara Indyk”. Taki jest napis na ścianie. Chcę coś zjeść.

— Coś zjeść? To czemu pan od razu nie mówi? Rachelo! Rachelo!

Wnet zjawia się sympatyczna ciemna brunetka o czarnych, śmiejących się oczach. Rękawy ma zakasane. Na rękach, twarzy, fartuchu bieli się mąka.

— Co znowu? — czarnooka, pełna wdzięku kobietka wyciera rękawem nos. — Nie dadzą człowiekowi przesiać mąki! Co chwila tylko Rachelo! Rachelo!

— Ten pan chce coś zjeść — stary wypowiada to głośno i nie przestaje klepać materaca.

— Coś zjeść? — kobietka zadaje pytanie z dziwnym jakimś przyśpiewem, podobnym do tego, z jakim w bożnicy czyta się rozdziały z Biblii. Wytrzępuje fartuch i prószy mi w oczy mąką. — A co chciałby pan zjeść?

— A co pani ma? — staram się wypowiedzieć to w jej tonacji.

— A co pan chce? — mówi w tej samej tonacji, z przyśpiewem.

— Co ja chcę? No, powiedzmy, ryby. Macie może faszzerowane?

— Po targu rybnym? Też mi pomysł.

— To niech będzie barszcz — powiadam — skoro nie ma ryb.

— A gdzie pan to widział, aby po południu był barszcz? Barszcz trzeba ugotować. Wie pan coś o tym?

— Wszystko trzeba — powiadam — ugotować.

— Dobrze, że pan przynajmniej wie — powiada ona. — Dobrze i to.

— Sztuki mięsa też nie ma?

— A skąd miałoby się wziąć? Było i zostało zjedzone.

— No to — powiadam — niech będzie bulion.

— A z czym ma być bulion? Z grysikowymi kostkami, z macą<sup>42</sup>, czy też z migdałami?

— Niech będzie, z czym pani chce. Grunt, żeby był bulion.

— A kiedy chce pan mieć ten bulion?

— Co znaczy kiedy? Natychmiast!

— Co znaczy — powiada ona — natychmiast! Przecież pan chciałby zapewne, aby bulion był z kury. Jaki bowiem smak ma bulion bez kury? A kurę trzeba najpierw złapać,

<sup>42</sup>maca — cienkie, prażone placki, które Żydzi spożywają w święta wielkanocne zamiast chleba, na tę pamiątkę, iż gdy uciekali z niewoli egipskiej, nie zdążyli upiec sobie chleba na drogę, a ciasto bez drożdży, które z sobą zabrali, upiekło się na słońcu. [przypis tłumacza]

potem zanieść do rytualnego rzeźnika, oskubać, spreparować, posolić, oblać wrzątkiem, wymoczyć i postawić na ogień. Daj Boże, abym zdążyła przed nocą.

— W takim razie niech pani poda byle co. Może być kawałek mięsa, troszkę zupy, jajecznica z kilku jaj. A może ma pani coś słonego?

— Dziwny Żyd — zwraca się do starego. — Wszystko by chciał... Śledzie, jeśli ma pan ochotę, mogę zrobić.

— Niech będzie śledź, aby szybko.

— A jak pan sobie życzy? Z cebulką?

— Z cebulką!

— I z octem też?

— Z octem też!

— Z oliwą też?

— Tak, z oliwą też!

Jeszcze raz strzepuje fartuch, podkasuje rękawy i idzie po śledzie. Za chwilę wraca.

— A jak pan woli, żeby śledzie były z mleczem czy z ikrą?

— Niech będzie jaki bądź. Aby był.

— Wędzone rybki zje pan?

— Czemu nie?

— A głowacze odeskie?

— Z największą przyjemnością!

— Nie wiem jednak, czy już są. Zdaje mi się, ich jeszcze nie ma. A może już są? Nie! Jeszcze za wcześnie. Mimo to jednak pójdę zobaczyć, czy już są.

Rachela wychodzi i zaraz wraca.

— A na żydowską kielbasę ma pan chrapkę?

— Och — odpowiadam — jeszcze jaką! Niech pani kupi bez zastanowienia kielbasę. Bardzo lubię kielbasę.

— Pan zapewne ma na myśli warszawską kielbasę?

— Oczywiście. Naturalnie, że warszawską.

— Jeśli tak, to, za przeproszeniem, będzie pan łaskaw pojechać po nią do Warszawy. Tam pan już się jej naje do woli. U nas w sprzedaży jest kielbasa kasrylewska. Z naszej kasrylewskiej masarni. Trzeba mieć do niej żelazne zęby! Nożem jej nie ukroisz. Chyba, że siekierą. Czort wie, co oni tam pchają do środka, że jest taka twarda. Zdarzyło się, że kiedyś przebito kielbasę i znaleziono w niej gwóźdź. Widocznie wkładają do niej gwoździe, aby więcej ważyła.

— A może starczy już tego gadania? — stary zaczyna się denerwować. — Idź i przynieś, i niech będzie koniec.

— Co to znaczy idź i przynieś? Trzeba przecież wiedzieć, co przynieść! Każdy ma przecież swego konika, swoje wariactwa. Oto ty, na przykład, lubisz smażone ryby. Inny znów nie znosi smażonych ryb, a lubi pieczone. Albo taki przykład. Są u nas goście, którzy każą sobie ugotować mózdzek i zjadają go z siekaną cebulką i smalcem. Ale są również tacy, którzy w dzień powszedni zamawiają pieczeń z wysuszonymi ząbkami czosnku. A są i takie żarłoki, które duszę sprzedadzą za nadziewaną kiszkę z farfêlkami... I są również tacy, którzy za nic, nawet gdyby ich ozłocono, nie wzięliby do ust marynowanego w occie mięsa..!

— Proszę pani — przerywam jej — niech będzie, co będzie, byleby pani przyniosła. Jestem śmiertelnie głodny.

Rachela wychodzi i stary odzywa się do mnie:

— Ta ci ma gadane!

— To wasza córka?

— Jaka tam córka. To moja druga żona. Co tu gadać! Z całą pewnością to już nie to, co tamta. Tamta, wieczny jej pokój, była kobietą, jakiej dziś nie znajdziesz. To znaczy, ja tej obecnej też nie mam nic do zarzucenia. Haruje, nieboraczka, rzetelnie. Nie ma lekkiego życia. Ten materac, nad którym ślęczę, to cała nasza pościel. W dodatku jestem chorowity i kapryśny. Trzeba być z żelaza, aby wytrzymać ze mną i z moimi wariactwami. To znaczy, z natury ja nawet jestem dobry, ale jeśli jakimś słowem mi dopieką, to nie ręcę za siebie. Nikt nie może być wtedy pewny swego życia. Co mi tylko wpadnie do ręki, to

zaraz leci, gdzie popadnie. Taki jestem wybuchowy! Czy pan myśli, że nie uprzedzałem o tym mojej żony przed ślubem? Powiedziałem jej otwarcie, że słodczy u mnie nie zazna. Będzie musiała się zadowolić suchym kawałkiem chleba. O mleku i mięsie mowy być nie może. A co się tyczy harowania, to będzie musiała tyrać za trzech.

— Dlaczego więc wyszła za pana?

— Co znaczy — dziwi się stary — dlaczego? Z jakiego powodu? A mieszkanie to pies?

— Jakie mieszkanie — powiadam — ta kamienica do pana należy?

— Nie! — stary śmieje się. — Mam na myśli restaurację, która należy do mnie. To już interes zaprowadzony. Funkcjonuje od wielu lat. I jak by nie prosperowała źle, to jednak, bądź co bądź, dom. Gdyby pan zobaczył moją Rachelę, jak ładnie ubrana wychodzi na spacer, wziąłby ją pan za hrabinę. Bez uroku, piękna z niej kobieta! Prawda, teraz już trochę przybladła. Gdyby pan ją widział parę lat temu.

— Ile ma pan dzieci?

— Te, te, te! W tym cała bieda, że nie mam dzieci. Napije się pan? Dam panu trochę spirytusu.

— Z największą przyjemnością!

— Należę panu — powiada do mnie stary — do ciemnego kieliszka. Wyciąga zza pazuchy butelkę i małą czarkę. Nalewa mi trochę spirytusu. Mała wypita czarka zaostrza jeszcze bardziej mój apetyt. Czuję, że nie wytrzymam.

Wchodzi Rachelę. Klepie się po sukience i powiada:

— Niech mnie piorun trzaśnie. Zupełnie zapomniałam, że w domu nie ma bułki. Nie ma kawałka chleba. Jakie pieczywo pan lubi? Kołacz żydowski, bułkę francuską, czy też zwyczajny chleb?

— Co prędzej pani zobaczy, to proszę kupić. I niech pani, bardzo o to proszę, więcej nie pyta, co ja lubię. Ja wszystko lubię.

— Kapryśny gość — powiada Rachelę. — Przebiera i kaprysi, bardziej nawet niż mój mąż, który codziennie miałby ochotę na świeży chleb. Starego pieczywa nie weźmie do ust. A czy może być codziennie świeży chleb? Na to może sobie pozwolić chyba tylko Kobyłański.

— Ano, idź już, idź! — stary ją pogania. — Widzisz przecież, że człowiek umiera z głodu.

Rachelę wychodzi po pieczywo, a na jej miejsce wchodzi jakaś wysoka Żydówka o jednym oku. Jedną rękę wsunęła za stanię, drugą drapie się w ucho.

— Reb Mojsze-Jankiel, co robić? Poradz mi — wysoka Żydówka błagalnie zwraca się do starego. — U mego Szmulika znowu ucho nawaliło.

Nadchodzi Rachelę z pieczywem i zabiera się do przyrządzania śledzi. Wysoka Żydówka nie przestaje paplać o tym, jak jej Szmulikowi cieknie z ucha. Boi się, że bez lekarza znowu się nie obejdzie. Jest w kropce. Nie wie, do którego lekarza iść. Do którego by nie poszła, z góry wie, że pieniądze będą wyrzucone. Kasrylewscy lekarze bowiem, oby szlag ich trafił, to znani krwiopijcy. Kasrylewski lekarz, jeśli dacie mu mniej niż jeden złoty rubel, to wam forszę rzuci w twarz. A niech go. Profesora odstawia.

— Niech pan da jałmużnę biednemu, choremu człowiekowi — słowa te wypowiada Żyd o sianej twarzy. Wyciąga małą, wychudłą rączkę. Zda się, że została ona stworzona po to, aby żebrać. — Daj pan jałmużnę dla obłożnie chorego.

Przerywam swoją ucztę. Plącę za niedokończone jedzenie i wyrrywam z „restauracji” tam, gdzie pieprz rośnie.

Rozdział IV. Kasrylewskie wino i kasrylewscy pijacy

„Po takim obiedzie nie zaszkodziłoby wypić szklankę wina”. Tak sobie właśnie pomyślałem, gdy nagle zobaczyłem szyld z następującym hebrajsko-żydowskim napisem: „Tu się sprzedaje po przystępnej cenie wino gronowe, miód i piwo”. Schodzę w dół do ciemnej piwnicy. Pośród beczek i beczulek, wiader i butelek zauważam w kącie rosłego młodzieńca z przewiazaną opuchniętą twarzą. Stoi nad korytem i tasakiem rozbija rodzynki.

— A gdzie — pytam go — podziewa się gospodarz?

— Gospodarz? — powtarza młodzieniec, jednocześnie nabiera pełną garść rodzynek, pakuje sobie w usta i z apetytem zajada.

— Gospodarz jest w kamerze<sup>43</sup>. Robi „wimorozig”.

— Co znaczy — pytam — robi „wimorozig”?

— Pan chce wiedzieć — powiada do mnie młodzieniec — jak się robi „wimorozig” u nas, w Kasrylewce? Bierze się rodzynki i rąbie się tasakiem. Porąbane pakuje się do dużej beczki. Nalewa się wody z Gniłopiatki, dodaje chmielu i tedy wino zaczyna grać. Powstaje wtedy taki odór, że można się udusić. Następnie wlewa się dwa wiadra spirytusu, wsypuje taki specjalny proszek, który kosztuje jeden rubel za cały pud<sup>44</sup>. Potem dla oczyszczenia przepuszcza się to całe wino przez chłopską koszulę i kredą pisze się na beczce: „Wimorozig Akerman”. A jeśli chce pan, aby wino było czerwone, to do tego samego „wimoroziga” dodaje się trochę kolorku i wypisuje się kredą na beczce „Zmirowska Teodozja” albo „Węgierska Malaga”. A kasrylewscy smakosze żłopiają tę ciecz i palce liżą. Ale szta, oto nadchodzi gospodarz. Oby kopyta wyciągnął.

Zauważywszy nadchodzącego gospodarza młodzieniec zabiera się z całych sił do rąbania rodzynek.

— Pan w jakiej sprawie? — przede mną staje gospodarz. Jest niewysokiego wzrostu, rudy. Głos ma ochryply. Jedno oko mu się nie zamyka. Odnoszę wrażenie, że w czasie snu także.

— Chciałbym wypić szklaneczkę wina.

— Pojedynczą czarbkę wina? — gospodarz dhubie sobie w uchu i patrzy przy tym w sufit.

— Pojedynczą czarbkę wina.

— To po co wlał pan do piwnicy? Dlaczego nie wszedł pan na górę? Wyłaż pan, za przeproszeniem. W prawo!

Wyłażę z piwnicy, biorę kurs na prawo i trafiam do ciemnego pokoju, pełnego dymu i brudu. Znajduje się w nim kilka kulawych krzesel. Siedzą na nich Żydzi, palą papierosy i ciągną „wimorozig”. Nie śpiewają, nie krzyczą, nie uderzają rękoma w stół i nie wyczyniają żadnych brzydkich kawałów.

Co więc robią? Siedzą i żłopiają swój „wimorozig”. Palą papierosy, cicho wzdychają i, postękując, rozmawiają. Przy jednym ze stolików siedzi dwóch Żydów. Głowy mają opuszczone, widać, że już zabrakło im słów. Nagle jeden z nich zrywa się:

— Co powiesz Szymonie-Dawidzie na ten „wimorozig”?

— A co mam powiedzieć na ten „wimorozig”? — mówiący te słowa wygląda na wyrwanego z głębokiego snu. — To nie „wimorozig”. To boski napój. To nektar. To ci dopiero „wimorozig”.

— Trzeba by było go zapytać, czy na Pesach będzie miał taki sam.

— Już się teraz martwisz? Do świąt jeszcze daleko. Innych zmartwień nie masz? Tylko „wimoroziga” ci brakuje?

— A co? I tak marny mój los.

— Tak, marny twój los. Już przez samo to, że musisz przesiadywać tu całymi dniami, ukrywając się przed żoną, która domaga się pieniędzy na urządzenie soboty.

— Nie przypominaj mi żony. Już lepiej, żebyś mnie zastrzelił. Co ja jej mogę dać? Tylko zmartwienia i troski. Biada mi! Po stokroć biada!

— A czy ty uważasz, że mnie jest lepiej? I mój los marny, i mnie biada.

— Wiem, że i tobie nie lepiej. Biada nam obydwom. No to cyk. *Lechaim*<sup>45</sup>. Obyśmy zdrowi byli.

Przy innym stoliku też siedzi dwóch Żydów. Jeden w całej kapocie, a drugi w podartej. Ten w całej mówi, drugi zaś patrzy mu w oczy i przytakuje kiwając głową.

— Rozumiesz już, w jaki sposób Lewi-Icchok umie kombinować w interesach? Lewi-Icchok potrafi zakręcić, pokręcić, wkręcić siebie i wkręcić drugiego. Sam zaś potrafi się wykręcić w odpowiednim momencie. Ja zaś, kiedy przystępuję do interesu, lubię rzecz dokładnie rozważyć. Sza! Powoli! Tylko bez pośpiechu!... Gdy tylko wyniucham, jak sprawy stoją, zaczynam się rozglądać, rozważać. Może to, może tamto. Może tak, a może siak.

<sup>43</sup>kamera (daw.) — zamknięte pomieszczenie. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>pud — daw. rosyjska jednostka wagi. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>lechaim — toast przy wznoszeniu kielicha, znaczy „na życie”. [przypis tłumacza]



Co mi zaszkodzi. Jak by tam nie było, jak to się mówi, dobrze i godzinę pożyć. Jeśli jednak dostrzegam w oczach partnera niedobry błysk, wiem, że jest krucho, że jest nietęgo, to co robię? Robię krok w bok i sza! Niech to się dzieje beze mnie. Jeśli los zechce, to mi już teraz nie ucieknie. A jeśli trzeba interweniować i zabiegać, to się będzie zabiegało. Jeszcze jest na świecie Petersburg. Wiemy już, do których drzwi należy kołatać, wiemy, które drzwi się otworzą. Wiemy, co jest grane. Wiemy, jak trzeba gadać. Znamy ten język. A jeśli trzeba napisać, to znajdzie się takiego, co napisze. Najważniejsze, żeby było cicho. Żeby było cicho, sza — dla ilustracji ugryzł się we własną pięść i zaniemówił.

Przy innym stoliku siedzi kilku Żydów w różnych kapotach. Na głowie mają czapki różnego kroju. Wszyscy gadają naraz. Ich słowa zlewają się w jedno, powstaje mieszanka słowna o handlu, polityce, „wimorozigu”, o dawnych latach, dzisiejszych dzieciach. O lekarzach, o tramwaju, o podatku mięsny i o tym, jaki szlag powinien trafić ojców naszych kasrylewskich bogaczy. Nie da się utrwalić na papierze tego, o czym mówią. A z boku stoją zupełnie obcy ludzie. Ci nie piją „wimoroziga”. Przyszli tu ot, tak sobie. Ciekawi są, o czym tu się mówi. Przy okazji pogrzeją się trochę.

Ale oto przy stole rozsiadła się grupa Żydów, sączących wino i śpiewających, proszę sobie wyobrazić, nie po żydowsku. Śpiewają jednak cicho, składnie, w płaczącej tonacji, w jakiej się śpiewa *Psalmy*. Tekst jest przeplatanką słów ukraińskich i żydowskich:

Abramku! Abramku!  
Owinu ty nasz!  
Czemu ty nie prosisz  
Elobenu nasz!  
Albo nas *wykopit*,  
Albo nas *wyprosit*,  
Learcejnu nasz  
Lezemlu nasz?

Gdy dochodzą do *wykopit*, wzmacniają głos. Melodia nabiera akcentu burzy i grozy. Gdy dochodzą do *wyprosit*, nagle mięknią. Pochylają głowy i podnoszą ręce jak, nie przymierzając, pobożny kantor w Straszne Dni<sup>46</sup> na podium. Przy słowach *learcejnu nasz*, *lezemlu nasz* zaczynają szlochać. Płaczą rzęsiстыми łzami, zupełnie jak dzieci...

— Hej, hej — krzyczy ktoś i wrywa się z tej grupy. Jest to Żyd, któremu czapka zsunęła się już zupełnie z głowy. Oczy kleją mu się do snu, a język płacze między zębami. — Co by to było, gdyby nam na przykład ni z tego, ni z owego, oddali Ziemię Izraela? Aha Jenkl, wyobrażasz to sobie? I co powiesz na to? Ty przecież znasz się trochę na tym.

— *Erec Izrael*<sup>47</sup>? — powiada Jenkl i wyciąga swoją długą szyję, aby poskrobać się pod kołnierzem. — Mówisz o Ziemi Świętej? Ach, byłoby to całkiem niezłe. — Powiadają, że coś w tej sprawie robią ci, no, jak ich tam nazywają? No, ci, ci...

— Syjoniści? — wtrącił się trzeci z grupy. — Ale to wszystko guzik! Nic z tego nie będzie.

— Dlaczego? Przecież w tym coś musi być. Musi być jakiś sens!

— Wiem chyba, co mówię. Nie znoszę czczego<sup>48</sup> gadania. Wiesz przecież, że jeśli ja coś powiem, to jest to powiedziane.

— Wszyscyście osły! — wtrąca się jakiś rakowaty Żydek w błyszczącej kapocie. Mówi powoli. Cedzi każde słowo. Przykłada palce do nosa, usta wykrzywia na bok i uśmiecha się sam do siebie. Policzki mu płoną. — Durnie z was! Jakem Żyd. Skończone osły. Patrzę, przyglądam się wam i nic nie mówię. Przysłuchuję się temu, co mówicie. Syjoniści, szmoniści, wszystko to razem guzik z pętelką. Widzę, że nie macie zielonego pojęcia. Jeśli chcecie, to wam powiem, o co chodzi. A sprawa wygląda tak... Ale słuchajcie uważnie!

Bierze koniec bródki w usta, zamyka oczy i zaczyna rozmyślać. Trwa to bardzo długo. Potem zrywa się jakby ze snu i strzelając palcami zwraca się do gospodarza:

<sup>46</sup>*Straszne Dni* (hebr. *Jomin Noroim*) — tak nazywają Żydzi święta Nowego Roku i Sądneho Dnia, bowiem wówczas — według ich wierzeń religijnych — Bóg sędzi ludzi i wyznacza im los, zgodny z ich dotychczasowymi postępkami. [przypis tłumacza]

<sup>47</sup>*Erec Izrael* — Ziemia Izraela. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>czczy (daw.) — jałowy, nic nieznaczący. [przypis edytorski]

— Bądź pan taki dobry i podaj jeszcze jedną butelkę „wimoroziga”.

Rozdział V. Kasrylewski teatr

Wychodząc z winiarni spostrzegłem afisz, na którym widniały wydrukowane dużymi literami następujące słowa w języku żydowskim:

Po raz pierwszy w Kasrylewie!  
Teatr Żydowski!  
Prawdziwy Adler z Ameryki!  
Największy komik świata!  
Pękać będziecie ze śmiechu!  
Takiej Baby Jachny<sup>49</sup> od stworzenia świata nie było!  
Drugiego takiego Hocmacha nie spotkacie!  
Dziś gramy zupełnie nową operę: *Koldunia*<sup>50</sup>!  
Żydzi! Zostawcie wszystko, co macie!  
Żydzi! Idźcie do teatru! Żydzi! Czeka was rozkosz!  
Prędeż do kas!  
Biegnijcie wraz!

U dołu afisza sygnatura. Reżyser, dyrygent, dyrektor — Adler we własnej osobie. Ten autentyczny, prawdziwy Adler z Ameryki. Największy komik świata.

— Nie wie pan, gdzie się mieści teatr żydowski? — zagaduję pewnego Żyda, który akurat przebiega z paczką towaru pod pachą.

— Żydowski, powiada pan, ale co? — zagadnięty przeze mnie Żyd zatrzymuje się w biegu i obrzuca mnie spojrzeniem od stóp do głowy.

— Teatr żydowski — wyjaśniam.

— Jaki teatr?

— Teatr — wyjaśniam dalej — w którym gra się.

— Kto tam gra?

— Adler — powiadam — gra tam.

— A który Adler?

— Adler, ten prawdziwy Adler.

— Skąd jest ten Adler?

— Z Ameryki.

— Z Ameryki? To co on tutaj robi?

— Gra w żydowskim teatrze.

— A cóż on gra?

— *Koldunię*.

— A co to znaczy *Koldunia*?

Mam już dość i chcę odejść. Nie puszcza mnie jednak. Chce, abym mu powiedział, co to jest *Koldunia* i co to jest „trejater”. Kto to jest Adler, który przyjechał z Ameryki.

Odpowiadam mu, na ile to jest możliwe, dokładnie. Staram się wyjaśnić, co to takiego teatr, co to *Koldunia* i kim jest Adler. Mój Żyd wysłuchuje mnie uważnie, kłania się, spluwa i bez pożegnania zmywa się.

— Chano-Bejlo, dokąd to pędzisz?

To jakaś kobieta krzyczy na całą ulicę. Nie wymawia litery *r*.

— Do tchejotchu — odpowiada kobieta, która również nie wymawia *r*, oprócz tego zamiast *a* mówi *o*. — O, ty nie idziesz do tchejotchu?

— Żeby ją szlag tchafił! Co powiesz na tę moją wielką panią, tę bogaczkę kaschylewską? — żali się pierwsza kobieta. — Moja pani chce, abym akuchat dziś oskubała i zchobiła gęś. A niech jej się zchobi czychak na... I jeszcze jej się zachciało usmażyć ją na smalcu. Oby ją w piekle smażono, Boże mój jedyny! Cały świat wali do tchejotchu, a ja mam być przywiązana do kuchni. Oby ją przywiązano za wszystkie cztechy łapy. Boże kochany!

<sup>49</sup> *Baba Jachne* — odpowiednik polskiej Baby Jagi, postać z dramatu ojca teatru żydowskiego — Abrahama Goldfadena. [przypis tłumacza]

<sup>50</sup> *Koldunia* — tytuł dramatu Abrahama Goldfadena. [przypis tłumacza]

— Po co jej słuchasz? Zo włosne pieniądze możesz iść, dokąd chcesz.

— Toteż wcale jej nie słucham. Lecę do domu, przebiecham się i z miejsca zasuwam do tchejotchu. Nawet gdyby miała się wściec.

Obydwie kobiety rozchodzą się, ja tymczasem mam z kim pójść do teatru. Kobieta rozgląda się i spostrzega, iż krocze za nią. Zatrzymuje się, przez chwilę stoi bez ruchu i wnet kieruje się na prawo. Wtedy i ja skręcam w prawo. Wtedy ona w lewo. No to i ja w lewo. Ona zwalnia kroku. Ja w ślad za nią. Wtedy kobieta zaczyna biec. Tak, jak do pożaru.

— Co się stało? — dziwią się ludzie! — Dokąd lecisz? Bój się Boga!

— Jakiś nieszczęśliwy natręt — kobieta wskazuje na mnie. — Nie wiem, kto to jest.

W mig wokół nas tworzy się zbiegowisko. Mężczyźni, kobiety i dzieci. Zaczynają wytykać mnie palcami. Akurat przejeżdża bałagula<sup>51</sup>. Wskakuję do budy i każę się wieźć do teatru.

Przed teatrem pełno młodzieży. Chłopcy i dziewczęta przekomarzają się, śmieją. Padają słówka i słoweczka.

— Przepuście pana dziedzica! — to o mnie. Śmiechu co niemiara.

— Ostrożnie! Jeszcze, nie daj Bóg, zgnieciecie mu kapelusz! — bractwo bawi się moim kosztem.

Ledwo udało mi się przez nie przepchnąć i dopaść kasy. Małe okienko. Proszę o bilet. Bractwo napiera na mnie z tyłu, naciska ze wszystkich stron.

— A pan szanowny jaki chce bilet? — to pytanie zadaje mi kasjer, chudy młodzieniec o długiej szyi.

— A jakie ma pan bilety?

— Są za jeden rubel, za dwa i trzy.

— A droższych nie ma?

Bractwo stojące za mną nie przestaje hałasować.

Kasjer, usłyszawszy moje pytanie, zrywa się z krzesła, wysuwa głowę przez okienko i głośnym krzykiem obrzuca stojących za mną.

— A niech was piorun! Rozejść się! Zaraz zawołam *gorodowoja*, reb Luzera z sikawką. Chodź pan — powiada do mnie — do bramy. Bractwo rozstępuje się cokolwiek i udaje mi się przez bramę wejść na podwórze. Stoi tam wielka stajnia czy też barak, przez którego deski prześwieca światelko, i z którego dochodzą ludzkie krzyki. Drzwi do baraku są do połowy otwarte. Dwaj potężnie zbudowani młodzieńcy stoją przy nich na straży. Pilnują, aby nikt nie wdarł się do wnętrza bez biletu.

— Ludzie! Pojedynczo! Pojedynczo!

Te okrzyki wznosi Żyd o wyskubanej brodzie, z szablą u boku. Prawdopodobnie to sam Luzer — *gorodowoj*. Tłum jednak ma go gdzieś i nie przestrzega porządku. Nikt nie chce pojedynczo wchodzić. Każdy chce być pierwszy i wszyscy naraz napierają.

— Przepuść tego goja<sup>52</sup> ze szpadą! Nie widzisz, kto to idzie? — ryczy jakiś gość, który na siłę się przepycha. Sypie słówkami i docinkami pod adresem aktorów: „gwizdacz”, „łapserdak”, „zielony agrest”, „pusta kiszka”!

Rozglądam się. Kto to krzyczy? Jakaś znajoma mi mowa. Przyglądam się bliżej — i poznaję. Toż to Noach, portier z mego hotelu „Turkalia”. Za nim nadciąga spora grupa kobiet, chłopców i dziewcząt.

— Co to za kobieta? — pyta jakiś człowiek.

— To moja żona — odpowiada Noach. — Nie znasz mojej żony Sary-Perl? A to są moje dzieci.

— A to?

— To moja teściowa.

— A ta?

— To siostrzyczka mojej żony.

— A co to za młodzieniec?

— To jej narzeczony.

— A kto to jest ta dziewczyna?

<sup>51</sup>*bałagula* — furman. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*goj* — nie-Żyd. [przypis edytorski]

— To siostra narzeczonego.  
— A co to za młodzieniec?  
— A to jest narzeczony siostry narzeczonego.  
— A co to za dziewczyna?  
— To jest siostra, to znaczy siostra narzeczonego siostry narzeczonego.  
— Niczego sobie rodzinę macie, reb Noach.  
— Sól ci w oko! Kamień ci w serce — Noach jest oburzony. — Powiedziałbyś przynajmniej, bez uroku, ty aktorzy! Ty pajacu! Ty poganiaczu niedźwiedzi! Tfu! Ty gardłowiczu! Ty bułkożerco!

Tuż za portierem Noachem przepycha się w swoich wysokich buciskach posługacz hotelowy. Jeden z dwóch stojących przy drzwiach aktorów szturcha go z tyłu i wypcha do środka.

Po nim przemykają się inni. W większości bez biletów. Wśród nich dostrzegam właściciela mego hotelu „Turkalia”. Towarzyszy mu jakaś bardzo tęga kobieta. Toczy się, jakby była na kółkach. Kołysze się jak kaczką.

— Aha! I pan tutaj? — przez moment zapominam, że jest głuchy jak pień.

— Nie szkodzi — powiada na głos. Odnosi się wrażenie, że z nas dwóch ja jestem głuchy. — Nie najgorzej śpiewają.

— Pan tu po raz pierwszy? — pytam go grzecznie.

— To stajnia reb Lipy — odpowiada. — Przez cały rok trzyma tu konie. Czasem krowy.

— Chodź już! Chodź! — tęga kobieta szarpie go za poły. Wchodzą do środka. Zajmują miejsca w pierwszym rzędzie.

— Hej, aktorzy! Gdzie jesteście? — odzywa się dama w kapeluszu z białym piórkiem, cała w brylantach. Obok niej stoi kawaler, też w kapeluszu. Ma strzyżoną bródkę.

Przyskakuje do niej jakiś aktor. Jest to młodzieniec o wygłodniałej twarzy, w krótkiej marynarce i w brudnej koszuli.

— *Madame*<sup>53</sup> życzy sobie czegoś?

— Co znaczy życzy sobie? Kupiliśmy bilety. Dlaczego nikt nam nie wskaże naszych miejsc?

Aktor o wygłodniałej twarzy bierze od niej bilety i chce ich zaprowadzić do pierwszego rzędu. Tu okazuje się, że wszystkie miejsca są zajęte.

— Państwo wybaczą — zwraca się aktor do chłopca z dziewczyną. — Państwo usiedliście na swoich miejscach.

Ci nie zwracają na to uwagi. Gryzą pestki i plują do torebki.

— A kto panu powiedział, że siedzimy nie na swoich miejscach! — młody człowiek nie przestaje gryźć pestek.

— Proszę okazać bilety — aktor bierze od nich bilety i pokazuje, gdzie mają usiąść. Są to dalsze miejsca.

— Pan nie będzie mnie uczył, gdzie mam siadać. Co to jest, za przeproszeniem, święte miejsce, bożnica?

Aktor zapuszcza się z nim w długi dyskurs. Młodzieniec i dziewczyna nie ruszają się z miejsca. Nie przestają też gryźć pestek. Aktor o wygłodniałej twarzy próbuje przesadzić inne osoby, ale bezskutecznie. Publika siedzi twardo. Nikt nie chce ustąpić. Choć weź i wyprowadź cały teatr siłą.

Dama z białym piórkiem i brylantami złości się:

— Co to za porządku w kasrylewskim „trejatrze”? Zwrócić pieniądze. Gdzie tu jest *gorodowoj*?

Nie pozostaje nic innego, jak tylko ekstra dostawić dla niej dwa krzesła. Robi się trochę ciszej.

Powoli zapalają się lampki, zaczynają dymić i wydawać ostry zapach gazu. Pojedynczo pojawiają się przy scenie muzykanci. Nad sceną zwisa białe prześcieradło. Najpierw zjawia się bas — wysoki Żyd o gęstych pejsach<sup>54</sup> i złych oczach rozbójnika. Tuż za nim pojawia się bębniasta — garbaty Żyd o lysiej głowie. Następnie wchodzi trębacz —

<sup>53</sup>*madame* (fr.) — pani. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*pejsy* — długie pasma włosów na skroniach, zwieszające się przed uszami, noszone przez ortodoksyjnych Żydów. [przypis tłumacza]

niski Żyd o grubych wargach. Po chwili — flecista o twarzy gruzlika i trębacz o złodziejskich, rozbieganych oczach. Za nimi trzech młodzieńców ze skrzypcami, zaś na samym końcu pierwszy skrzypek, najstarszy ze wszystkich muzykantów oraz dyrygent. Jest to rudy młodzieniec w białym papierowym kołnierzyku i w krótkiej marynarce. Włosy ma mocno posmarowane brylantyną. Na szyi niebieski krawat. Staje twarzą do publiczności, pstryka wszystkimi palcami i uśmiecha się z daleka do jakiejś dziewczyny w białych rękawiczkach. Kapela zajmuje miejsca. Zaczyna stroić instrumenty. Dyrygent uderza smyczkiem po skrzypcach, trębacz o grubych wargach podaje ton, a za nim robią to wszyscy pozostali i zaczyna się przekomarzanie wszystkich instrumentów. Skrzypce rozkliwiają się, płaczą i szlochają. Trębacz wyciąga „holdir”, „holdir”! — zupełnie jak rozsierzony indyk. Bas burczy niczym niedźwiedź, zaś flet gwizdże na wszystkich. W sumie powstaje hałaśliwa mieszanka, jakby na jarmarku sto bab zaczęło gadać naraz, jakby wszystkie kaczkę i gęsi zaczęły w jednej chwili kwakać i gęgać.

Pojawia się jakiś młody człowiek w zielonej kapocie. W jednej ręce trzyma plik papierów, w drugiej pół bułki i dzwonołkę śledzia. Siada na ławeczce, umieszczonej wysoko, naprzeciw sceny i podjada sobie.

— Kto to jest? — słyszę, jak dama z białym piórkiem zadaje pytanie swemu kawalerowi.

— To ich sufler.

— Co to znaczy sufler?

— To znaczy ich podpowiadacz — odpowiada kawaler.

Z drugiej strony prześcieradła dochodzą odgłosy rozmów aktorów.

— A gdzie jest, do wszystkich diabłów, Fradl, nasza primadonna?

— Poszła do szewca. Nie ma w czym wyjść na scenę. Urwał jej się obcas.

— Nie mogła, cholera, pójść przed południem? Ładna mi primadonna!

— Abramku, zdejmi spodnie!

— Co, przeszkadzają ci moje spodnie?

— Ładna mi Baba Jachne w spodniach!

— Przecież na wierzchu mam sukienkę. Co to przeszkadza?

— Wiem, że na wierzchu nosisz sukienkę. A co się stanie, jak cię rzucę w ogień? Wtedy lecisz głową w dół i nogami do góry. Wszyscy zobaczą wtedy twoje spodnie.

— Daj lepiej pociągnąć twego papierosa, pęta jeden.

— Hocmach! Gdzie twoja broda? Dlaczego jeszcze jej nie przykleiłeś? Rywko! Pomaluj sobie twarz kredą? Menasze! Zrób sobie z tyłu garb, będziesz wyglądał bardziej na Żyda. Gdzie są nogi?

— Jakie nogi?

— Kto przyniósł nogi z jatki? Tysiąc razy mówiłem, że jak się gra *Koldunię*, trzeba mieć nogi! A niech was piorun, Welw! Co z ciebie za reżyser, frajerze jeden?

Nagle rozlega się dzwonek i głośnie stukanie. To z dzwoniem w ręku wbiega jakiś osobnik i niemilosiernie dzwoni. Mija kilka chwil i publiczność znowu zaczyna hałasować. Osobnik z dzwoniem pojawia się znowu. Powtarza się to jeszcze kilka razy, aż rudy skrzypek budzi się. Wykonuje kilka ruchów głową, raz w górę i raz w dół, poprawia kołnierz z niebieskim krawatem, uderza pałeczką i muzykanci zaczynają grać jakiś „kawalek”. Kończą i wtedy tłum znowu zaczyna hałasować. Muzykanci grają nowy utwór. Tłum się jednak nie uspokoja, dopóki prześcieradło nie idzie w górę i nie zaczyna się sztuka.

Najpierw wchodzi na scenę dziewczyna w ni to sukni, ni to koszuli. Włosy ma rozpuszczone, wygląda jakby ją dopiero co obito i sponiewierano. Śpiewa smutną piosenkę o biednej sierotce na nutę *Stoit góra wysokaja*. Publiczność podtrzymuje ją na duchu śpiewając: „Sierotka! Sierotka!” Z początku cicho, potem coraz głośnie i głośnie, tak, że dziewczyny już nie słychać. Wówczas któryś z aktorów wskakuje na scenę i prosi publiczność, aby zachowywała się cicho. Tłum milknie, ale nie na długo. Dziewczyna znowu zaczyna śpiewać, a publiczność znowu przylączy się, śpiewając: „Sierotka! Sierotka!”

Znowu pojawia się ten sam aktor. Potem musi się zjawić jeszcze kilka razy. Traci cierpliwość.

— Czy się wreszcie nie zamkniecie? Zaraz zawołam reb Luzera z sikawką. Wtedy jasny piorun was trzaśnie!

Tłum przestaje śpiewać. Zaczyna jednak wydawać sądy o grze, każdy według swego widzimisię. Jeden powiada, że śpiewaczka ma głos skrzypiącego łożka, drugi, że gdyby ktoś jej podał bułkę do zjedzenia, to zrobiłby dobry uczynek. Z tylnych ławek słychać okrzyki: „Ciszej! Ciszej!” Nic to jednak nie pomaga, aż do momentu, kiedy na scenę wpada Hocmach — Żyd w dziwnym sztrajmle<sup>55</sup>, o krótkiej brodzie i długich pejsach. Przewraca oczyma, a na plecach ma garb. Niesie koszyk z towarem, z którym biega po scenie jak wariat. Głośno wymienia to, co ma na sprzedaż: baty, laseczki, zapalki, nożyki.

— Papierowe pończochy! Kryształowe sukienki. Szpilki, nitki. Kupujcie kobiety, kupcie coś!

Za każdym razem łapie się za pejsy, podskakuje i krzyczy:

— Hocmach! Niech mnie szlag trafi!

Publiczność jest Hocmachem zachwycona. Biję brawo. Woła: „Hocmach, hurra!” Niektórzy widzowie stukają laskami o krzesła. Hocmach usiłuje uspokoić tłum. Staje i zaczyna wymachiwać rękami. Krzyk jednak rośnie:

— Hocmach, zatańcz! Zatańcz, Hocmach!

Nagle coś zatrzepotało skrzydłami, poleciało w dół i spadło prosto na kapelusz z białym piórkiem damy w brylantach. Ta ze strachu mdleje. W teatrze popłoch. Rozlegają się krzyki:

— Gwałtu! Żydzi! Ratunku!

Wtem ktoś krzyknął: — Pali się!

Nic więcej nie było trzeba. Zaczęło się. Skoki przez głowy, napór na drzwi, krzyki: — Chasiu, gdzie jesteś? Jankl, do mnie! Rywko, trzymaj się! Motl, umieram! Brucho, nie krzycz! Beniu, gdzie jesteś? Jentl? Mamo, jestem tutaj!

Jeszcze chwila, a byłby z nami wszystkimi smutny koniec. Szczęście, że portier Noach wpadł na pomysł i wybawił nas wszystkich od śmierci. Wskoczył na krzesło i rozdarł gębę:

— Idioci! Kretyni! Bałwany! Zwyczajne osły! Kozie brody! Głupie gardziele! Dusze niewieście! Co za hałas? Co za krzyki? Dokąd pędzicie? Zaraz będzie z was jajecznic! Durnie! Kogoście się przestraszyli? Głupiej kury? Nie zauważyliście, że kura zeskoczyła z belki? Reb Luzer, dlaczego pan nic nie mówi? Nastaw pan sikawkę! Muzykanci! Czort was i waszych ojców! Coś wesołego! I to już!

Muzykanci grają coś wesołego i tłum wraca na swoje miejsca. Wymykam się powoli z teatru, łapię dorożkę i każę się zawieść do hotelu „Turkalia”. Buda, którą jadę, trzęsie się na wybojach i zatrzymuje co chwila.

— Dlaczego pan się ciągle zatrzymuje?

— Czort go wie, wio! Zachciało im się oświetlić nasze kasrylewskie blocko, to wymyśleli jakieś tam „lamtarnie”, z powodu których nie można w ogóle jeździć. Konie boją się słupów. Nie są przyzwyczajone do tego, aby je oświetlano. Wio! Raz po raz wymyślają jakieś nowe plagi. Najpierw jakąś tam „trambudę”, oby ją ziemia pochłonęła! Wio! Po niej „lamtarnie” do straszenia koni. A potem zabronią pić wodę z Gniłopiatki. Wio! Pomoże im to, wyobraźcie sobie, jak umarłemu kadzidło. Woziwody mówią, że nawet gdyby mieli zginąć, nie dopuszczą do tego, aby mieszkańcy Kasrylewki pili wodę ze studni! Wio! Ci bogacze już sami nie wiedzą, co wymyślić. Oby ogień ich spalił! To ma podobno swoje źródło w Jehupcu. Bogacze z Jehupca nie mają widocznie większych kłopotów. Wio! Siedzą i łamią głowy, jak tu zabrać Żydom zarobek, jak wyrwać biedakowi ostatni kęs z ust. Niech ich nagła śmierć zastanie w Jehupcu. Wio, dzieci, wio!

## Rozdział VI. Kasrylewskie pożary

Przebywając na stacji w hotelu „Turkalia”, toczyłem co noc zacieklą wojnę ze wściekłymi bestiami, które napadały na mnie i znęcały się nade mną. A postępowały tak dlatego, że nie chciałem kłaść się z nimi do łożka i ścieliłem sobie posłanie na kanapie.

„No i cóżes wskórał, coś osiągnął?” Tak się ze mną droczyły. „I tak będziemy cię gryźć i w dodatku będziesz miał twardo pod głową. Nad ranem wszystkie gnaty będą cię bolały.”

Nagle słyszę jakiś dziwny dźwięk. Bom! Bom! Bom! i I wnet rozlegają się kroki biegnących ludzi, którzy krzyczą: „Pali się! Pali się!” Wstaję i podchodzę do okna. Jedna

<sup>55</sup>sztrajml — chasydzki kapelusz obramowany lisim futrem. [przypis tłumacza]

połowa miasta przedziwnie oświetlona, druga pogrążona w straszliwych ciemnościach. Szybko wkładam ubranie i wybiegam na dwór. Z daleka dochodzi jakiś dziwny krzyk, przypominający odgłos bez słów. Ludzie ciągną w tamtym kierunku. Są zaspani. Ziewają i drżą z zimna. Jeden drugiemu opowiada niestworzone rzeczy: kto pierwszy usłyszał o pożarze i jak usłyszał. I każdy snuje swoje przypuszczenia na temat, kto się właściwie pali.

Jeden powiada: — To Josł!

Inny stwierdza: — To Menasze!

A znów inny: — To ani Josł, ani Menasze! To Sara-Zisl!

— Skąd raptem Sara-Zisl? — zaprzecza ktoś. — Przecież dom Sary-Zisl stoi w nowej dzielnicy, a pożar buszuje w starym mieście.

— To tak się pali w starym mieście, jak ja jestem panią rabinową — wtrąca inny. — Nie widzisz, że się pali koło łaźni?

— Cicho, sza! Po co się spierać — ktoś próbuje łagodzić spór. — Chodźmy lepiej tam, to się dowiemy, jak naprawdę jest.

Ruszają. Podążam za nimi przysłuchując się ich rozmowie.

— Już ktoś zmówił błogosławieństwo na intencję pożaru!

— Z czego wnioskujeś?

— Bo był ubezpieczony.

— Skąd wiesz?

— A jakże inaczej. Gdyby nie był ubezpieczony, nie byłoby pożaru. Dom sam się nie zapala.

— Co powiesz Jankl? Ładny pożar? Cudo! Sama rozkosz!

Domek płonie jak świeca szabasowa<sup>56</sup>. Strzela mocno czerwonymi językami. Dachy już nie ma. Pękają krokwie, trzeszczą okna. A gęsty dym wije się czarnymi kłębami. Unosi się coraz wyżej i dalej, nad domami i chatkami. Słychać głosy kobiet, uskarżających się na nieszczęście, które spadło na nie w środku nocy. Rozlega się płacz dzieci, które nieubrane drżą z zimna i dlatego grzeją się przy ogniu pożaru. Obok na jednej pierzynie i kilku poduszkach, cudem wyniesionych z ognia, siedzi cała rodzina. Stojąca przy niej kobieta w ciąży i z garnkiem w ręku opowiada innej kobiecie, jak to się zaczęło.

— A zacząć, zaczęło się szybko, oj, biada mi, od stolarza Szymona. Ktoś tam poszedł nocą z lampą, oj, ja nieszczęsna. Wiór nie brakuje i możliwe, że znalazła się zapalka, albo papieros. A może to zrobił sam właściciel, mam na myśli Gedalię. Czy tak było, nie wiem. Ja przy tym nie byłam. Tymczasem, biada mi, zostaliśmy nędzarami. Straciliśmy wszystko. Wyszliśmy z pożaru z tym, z czym się urodziliśmy. Oj, ja nieszczęsna. Jeśli zapytacie mnie, po co dźwigam ten garnek, doprawdy nie potrafię odpowiedzieć. Sama nie wiem...

— Co za nieszczęście, co za cios! — jakaś kobieta załamuje ręce i płacze. Żali się głosem modlitewnym. — Co ja teraz pocznę? Nie zdążyłam niczego uratować. Z czego będę żyła? Gdzie się podzięję z moimi małymi dziećmi?

Do płonącego domu jak diabły wbiegają i wybiegają chłopcy. Skaczą w ogień. Ratują, co się da. To nogę od krzesła, to wahadło od zegara, to miotłę.

— A gdzie to się podziewa Eli z sikawką?

— Jestem! Jestem! — Eli daje o sobie znać. Mężczyzna małego wzrostu stoi i zмага się ze swoją sikawką.

— Co tam robisz? Co się tak długo guzdrzesz z sikawką?

— Muszę ją zaszyć. Rozdarła się.

— A gdzie jest Fiszel ze swoimi wiadrami? — krzyczy zachrypniętym głosem Żyd o twarzy przybrudzonej dymem.

— Fiszel! Fiszel! — wszyscy pomagają mu wołać Fiszela.

— Coście się tak „rozfiszlowali”? — wtrąca się jakiś osobnik. Prawdopodobnie jest to sam Fiszel. — Popatrzcie no, jak się „rozfiszlowali"! Tylko Fiszel, Fiszel i Fiszel.

— A gdzie są twoje wiadra? — zadają mu zewsząd to pytanie.

— Wiadra to są, ale co z nimi robić, jeśli nie ma Grunema z beczką.

<sup>56</sup>szabat (szabas) — sobota. [przypis tłumacza]

— A może byś pofatygował się Fiszelu i zdobył, póki co, parę wiader i wodę u sąsiadów?

— A dlaczego ja? Niech Eli to zrobi.

— Eli, złap wiadro i skocz po wodę!

— Nie dam rady, widzisz przecież, że zajęty jestem sikawką. Niech Motl idzie.

— Motl! Idź, zdobądź wiadro wody.

— A dokąd mam iść? Nie znam tu przecież nikogo. Niech idzie Anszel.

— Anszel! Zasuwasz po wodę!

— Ja? Pojęcia nie mam nawet, jakie drzwi otworzyć. Niech idzie Dawid.

— Sza! Sza! Grunem jedzie. Z beczką! Jedzie! Jedzie!

I wszyscy rzucają się w stronę Grunema po wodę. Pierwszy jest Eli z sikawką. Grunem, Żyd o błyszczącej, luszczącej się twarzy, idzie powoli, nie śpiesząc się. Poły płaszcza ma zakasane do tyłu. Za nim wlecze się chuda szkapa. Ledwo potrafi wyciągać kopyta z błota. Zarówno Grunem, jak i szkapa są mocno zasapani.

— Pięknie witajcie! Już myśleliśmy, że dziś nie zdążycie.

— Ładna mi bajeczka, nieco tylko za krótka — powiada Grunem. — A kto, jeśli nie ja, miałby zdążyć? Co to, chłopczyk jestem? Gdy usłyszałem pierwszy sygnał, już byłem przy koniu. Moja stara chciała mnie nawet zatrzymać. „Co będziesz — powiada — człapał po takim błocie? Szkoda konika. Biedaczysko jest po dniu pracy, zupełnie wyczerpany”. Ale kto by jej słuchał? Ja nie wyrzeknę się dobrego uczynku. Zwłaszcza, gdy chodzi o człowieka. Biedacy palą się. Ważna sprawa.

— Obyście długo żyli, reb Grunem! Nie mamy tu nawet kropli wody. I u sąsiadów, nawet na lekarstwo, jej nie znajdziesz.

Bractwo ochotniczej straży rzuca się z pustymi wiadrami do beczki. Pierwszy oczywiście jest Eli z sikawką. Zaczyna się przepompowywanie: pompują, ciągną, a wody ani śladu.

— Co się stało, reb Grunem? Czy pan zwariował? Zmysły postradał? Przyjechał pan z pustą beczką?

— Co znaczy pusta? Beczka jest pełna jak oko. Co mi tam będziecie gadali.

— Niech pan sam zobaczy. Beczka jest pusta jak bęben.

— Co znaczy, jest pusta? — Grunem ogląda ze wszystkich stron beczkę. — Co to za mowa, co za gadanie? Niech puste będą żołądki, kiszki moich wrogów.

Grunem opukuje beczkę palcami i nagle stwierdza, że nie ma zatyczki.

— Tak, racja, beczka jest pusta — chwytą się za głowę i wyrzuca z siebie grad przekleństw. Nie wiadomo nawet pod którym adresem.

— Cholera, nagła śmierć. Oby skoła! Oby w wodzie utonął. Kto mógł wyjąć zatyczkę? Niech go ziemia pochłonie! Gdzie się podziała zatyczka? Oj, nieszczęście. Oby cię ogień spalił!

Grunem wyladowuje całą swoją gorycz na biednym koniku. Uderza go batem po grzbiecie. Konik mrugnął tylko oczyma. Spuścił łeb, spojrzął w bok i pomyślał sobie zapewne tak: „Za co mi się to należy? Za co mnie uderzył? Niewielka to przecież sztuka wziąć konia, biedne nieme stworzenie, i za nic bić”.

— Życzę ci osiemdziesięciu ciężkich lat! — Grunem mówi to do siebie. — Już wiem, jak to jest. Nalewam i nalewam. I znowu nalewam i nalewam. Teraz już rozumiem. Beczka widocznie od początku nie miała zatyczki. Oby cię szlag trafił jeszcze tej nocy. Obyś rozpadła się na drobne kawałki.

— Wody! Wody! — ci, którzy gaszą pożar, wołają wciąż o wodę.

— Szybciej! Szybciej! Podajcie wiadra. Nieście je do nas! Dajcie wody!

— Jakie wiadra! Jaka woda? Widzicie przecież, że nie ma nawet kropli.

— Co znaczy, nie ma wody?

— To znaczy, że nie ma!

— A gdzie się podziała?

— Wyciekła. Cała woda wyciekła Grunemowi z beczki. Nic na to nie poradzimy.

Nagle rozlega się znowu ów dziwny dźwięk. Bom! Bom! Bom! I druga połowa miasta zostaje oświetlona.

— Jeszcze jeden pożar! Na Nowym Mieście! — kilkoro ludzi naraz podnosi alarm. Całe bractwo rusza w kierunku Nowego Miasta.



— Dwa pożary w ciągu jednej nocy, to jest już poza zasięgiem moich obowiązków — powiada Grunem do siebie samego. — Mam żonę i dzieci. Wynagrodzenia przecież nie otrzymuję. Chcę, to wożę. Nie chcę — nie wożę. A szkapa też nie z żelaza. Trzeba się nad nią litować. Naharuje się dosyć przez cały dzień, żeby się jeszcze mordować po nocach. Jakby nie miała nic więcej do roboty! Panowie z kahału<sup>57</sup> nie zmuszą mnie do tego. Niech biją łbami o ścianę. Chodź braciszku — powiada do konika — Jedziemy do domu.

## Rozdział VII. Kasrylewscy bandyci

Nad samym ranem wracam po pożarach do hotelu. Otwieram drzwi mego pokoju i staję jak wryty. Kręci się po nim trzech osobników ze świecą w ręku. Twarze zupełnie mi nie znane. Łóżko rozbebeszone, szafa otwarta. Moja walizka leży na samym środku pokoju. Moje papiery, moje rękopisy walają się po podłodze.

— Co to jest? Kto wy jesteście? Co tu robicie?

Pytania kieruję do najbliższej stojącego osobnika. Jest to Żyd z rudą brodą. Na nosie sterczy mu sinoblękitna brodawka.

— Pokaż mu nóż. Niech kipnie ze strachu — słowa są przekręcone. Wymieniane są w odwrotnym kierunku i brzmią tak: — Żakop um zón. Chein einpik ez ucharts.

Rudy Żyd, do którego zostały skierowane te słowa, nie odpowiada. Zamyka drzwi, schyla się i wyciąga z cholewy buta duży, ostry nóż. Wymachuje nim przed moim nosem, przysuwa go do mojej twarzy. Wykonuje nim ruchy w prawo i w lewo, w górę i w dół — jak czarodziej.

— Kto my jesteśmy? Tutejsi bandyci! — wyjaśnia mi jeden z szajki. Jest to ciemnolicy, czarnowłosy Żyd z bielmem na oku. W trakcie wypowiedzania słowa „bandyci” straszliwie błyszczą mu zdrowe oko. Zgrzyta przy tym zębami jak prawdziwy rozbójnik.

— Przetrzęsij mu kieszenie — powiada drugi, przekręcając w tym samym stylu słowa.

— Pieniążki! Bul forszę! — to trzeci z szajki wtrąca się ochryplym głosem. Jest to drab dość wysokiego wzrostu. Chwyta mnie za poły kapoty i potrząsa niczym lulawem<sup>58</sup> w Święto Szalasów<sup>59</sup>.

— Pieniędzy — powiadam — chcecie? Ode mnie chcecie wziąć pieniądze? A skąd ja do pieniędzy? Bóg uchował i uchronił mnie przed nimi.

— Powiedz mu, że kłamie — odzywa się trzeci, przekręcając słowa. — Oddaj natychmiast całą forszę! W przeciwnym razie możesz pożegnać się z życiem. Dajemy ci dwie minuty do zastanowienia i jedną na spowiedź przedśmiertną.

I aby mnie przekonać, że nie żartują, Żyd z brodawką na nosie podchodzi do mnie. Nożem wymachuje mi przed nosem. To w prawo, to w lewo, to w górę, to w dół. Tak, jak Żydzi wymachują lulawem<sup>60</sup> w Święto Szalasów.

— Czego sterczycie jak głąby? Jak te gliniane golemy<sup>61</sup>? Związać mu ręce i nogi! — to wysoki Żyd daje o sobie znać swoim ochryplym głosem. — A gdzie się podziały sznury? Związać go!

— Po co macie się trudzić? Weźcie — powiadam — mój cały majątek. Weźcie mój portfel z kilkoma rublami i zostawcie mnie. Co wy do mnie możecie mieć? Jestem ojcem rodziny. Mam, bez uroku, cztery córki i dwóch synów. Najmłodsze dziecko ma niespełna miesiąc.

Trzej bandyci chyba się naradzają. Narada odbywa się w języku złodziejskim. Przeliczają te kilka rubli z mojego portfela i biorą mnie na spytki. Oni zadają pytania, a ja udzielam odpowiedzi.

— Skąd Żyd?

— Z Jehupca.

<sup>57</sup>kahal — żydowska gmina wyznaniowa. [przypis tłumacza]

<sup>58</sup>lulaw — gałąź palmowa, nad którą w święto Sukot (Święto Szalasów) odmawia się błogosławieństwo. [przypis tłumacza]

<sup>59</sup>Święto Szalasów, Sukot — dosł.: „szalasy”; święto przypadające w pięć dni po Świątym Dniu. Jest to też święto zbiorów. W święto Sukot pobożni Żydzi stawiają sobie szalasy, na pamiątkę szalasów, w których odpoczywali ich przodkowie wędrujący przez 40 lat do Kanaan po wyzwoleniu ich przez Mojżesza z niewoli egipskiej. [przypis tłumacza]

<sup>60</sup>lulaw — gałąź palmowa, nad którą w święto Sukot odmawia się błogosławieństwo. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>golem — uformowane z gliny i ożywione niezdarne monstrum podobne do człowieka. [przypis tłumacza]

- Nazwisko?  
 — Szolem Alejchem<sup>62</sup>.  
 — *Alejchem szolem*. Jak brzmi Wasze nazwisko?  
 — Szolem Alejchem.  
 — *Alejchem szolem*. Pytamy, jak się nazywacie?  
 — Szolem Alejchem. Tak się nazywam.  
 — Cudaczne nazwisko. Czym się zajmujecie?  
 — Jestem pisarzem.  
 — Chodzi o wasz zawód. Z czego żyjecie?  
 — Jestem pisarzem.  
 — A co pan pisze? Podania? Papiery? Donosy?  
 — Felietony. Książki dla dzieci.  
 — Znaczy się, jesteście sprzedawcą książek. Literatem?  
 — Tak, literatem.  
 — To co pan tutaj robi?  
 — Przyjechałem obejrzyć Kasrylewkę.  
 — I nic więcej?  
 — Nic więcej.  
 — Żadnych interesów?  
 — Żadnych.  
 — A wydatki jakieś pan poniósł?  
 — Poniósłem.  
 — A na co to panu się zda?  
 — Żebym miał o czym pisać.  
 — Gdzie pisać?  
 — W gazetach.  
 — W jakich gazetach?  
 — W żydowskich gazetach.  
 — Czy są żydowskie gazety?  
 — A jakże inaczej?  
 — Czym się zajmują?  
 — Drukują się.  
 — Do czego one są potrzebne?  
 — Do czytania.  
 — Kto je czyta?  
 — Żydzi.  
 — A ktoś płaci panu za to, co pan pisze?  
 — Oczywiście.  
 — Tak też i mówcie! A co, na przykład, ma pan z tego? Ile pan zarabia na tydzień?  
 Pan pali? Gdzie są pańskie papierosy?  
 Wyciągam papierośnicę i podaję każdemu. Niech sobie zapalą.  
 — Zapytaj go — powiada jeden z bandytów, wymawiając słowa od tyłu do przodu  
 — czy papierośnica jest ze srebra.  
 — Srebrna? — to ten z bielmem na oku. Bierze papierośnicę do ręki. Waży ją. —  
 Srebrna, czy zwykła lipa?  
 — Zwyczajna. Za dwa ruble — wyjaśniam i wszyscy naraz zapalamy.  
 — A pomagaj go za zegarek — radzi drugi w złodziejskim języku.  
 — A gdzie pański zegarek? — bandyta z bielmem na oku obszukuje moje kieszenie.  
 — Nie ma pan zegarka?  
 — Mam — powiadam — mam zegarek. Nawet bardzo dobry, złoty zegarek. Zasta-  
 wiłem go jednak w lombardzie, w Jehupcu.  
 — Wielka szkoda! Grzech! — powiada ten z ochrypłym głosem.  
 — Przydałby się nam teraz! Właśnie potrzebujemy złotego zegarka. Jak Boga Kocham!  
 — A niech go szlag! Taki sam pętał, jak my — powiada po złodziejsku trzeci.

<sup>62</sup>*szolem alejchem* — dosł.: „pokój z wami”; przywitanie u Żydów. [przypis tłumacza]

— Dobranoc! — bandyci żegnają się ze mną i zabierają się do wyjścia. — Następnym razem, gdy zechce pan opuścić pokój, proszę zamknąć drzwi na klucz. Nie należy zdawać się na boże cuda oraz na łaskę i sprawiedliwość kasrylewskich złodziei. Proszę nie mieć nam za złe, żeśmy trochę panu dokuczili.

— Przeciwnie. Niech panowie nie mają mi za złe, że tak mało... — chcę ich odprowadzić do samych drzwi. Chcę nawet przekroczyć z nimi próg pokoju, ale ochrypli facet kładzie palec na ustach i wyśpiewuje na melodię *Kolduni*: — Ani mru, mru! Sza!

Rudy z brodawką na nosie znowu wyciąga nóż. Wymachuje nim kilka razy przed moją głową, jakby chciał powiedzieć: „Jeśli piśniesz choć jedno słowo, życie twoje nie warte złamanego szeląga”.

\*

— Gwałtu! Ratunku! Ratujcie! — krzyczę nie swoim głosem. Zacząłem się wydierać natychmiast po ulotnieniu się bandytów. Obudziłem wszystkich. Z całego hotelu zbiegli się ludzie. Kobiety w bieliźnie, mężczyźni, za przeproszeniem, w samych gaciach. Nic innego, tylko pożar.

— Znowu pali się?

— Znowu pożar?

— Gdzie się pali?

— Kto się pali?

— Cicho! Sza! Nikt się nie pali — to portier Noach się wtrącił. Po swoim zwraca się do mnie:

— Czego się pan rozryczał jak zwiariowane cielę? Co to za hałas? Czy to dom publiczny? Jeszcze, nie daj Bóg, pobudzie mi wszystkich *aktiejorów*.

— Bandyci — powiadam — rozbójnicy! Napadli mnie dopiero co. Ograbili!

Na słowo „bandyci” wszystkich ogarnął strach. Powstaje larum. Wszyscy naraz zaczynają gadać.

— Bandyci?

— Ilu ich było?

— Jak wyglądali?

— Było dwóch młodych i jeden stary!

— Mieli noże?

— A dlaczego pan milczał?

— Bał się pan krzyżeć?

— Masz ci bandytów! Niech Bóg uchowa!

— Wczoraj bandyci napadli też na inny hotel. Omal nie zadusili jakiejś kobiety. Znalezione po nich jakiś kawał żelaza.

— Strach samemu pozostać w pokoju...

— Wkrótce chyba trzeba będzie uciekać z Kasrylewki?

— Masz ci bandytów. Tylko ich brakowało!

— Łapcie ich! Łapcie ich! Łapcie! — okrzyk ten wdziera się nagle do środka zewnątrz. To wydiera się jakaś kobieta. Słysząc odgłosy bieganiny, wrzawę i szum. Widać zebrał się większy tłum. Słysząc jeden krzyk: — Łapcie ich! Łapcie ich!

— Mamy ich! Złapaliśmy!

— Mamy jednego. Mamy drugiego!

— Związać ich. Masz już trzeciego? Związać go! Związać go!

— Powoli. Nie głowę. Zwiąż mu nogi.

— Zeldo! Podaj chustę, Zeldo!

— Słyszeliście? Złapano ich — portier Noach komunikuje nam to w biegu. Z latarnią w ręku pędzi na dwór. My za nim.

— No, i co słysząc? — Noach rzuca pytanie w ciemność, w tę stronę, skąd dochodzą głosy. — Już ich macie?

— Mamy! Mamy! — to kobieta odpowiada z ciemności.

— Związani?

— Związani! Związani!

— Wszyscy trzej?

— Wszyscy trzej!

— Ano, popatrzmy. Zobaczymy przynajmniej, jak wyglądają — portier Noach zachęca nas do tego. Podchodzimy wszyscy razem. Mamy latarnię. Oświetlamy pojmanych bandytów. I cóż widzimy? Na ziemi leżą trzy spętane indyki.

Indyki opuściły swoje sine dzioby. Na błysk światła latami łypią oczyma. Ciężko oddychają. Kobiety na podwórzu, na wpół gołe, nie przestają gadać. Opowiadają cuda. O tym, jak to indyki, nie wiadomo jak, znalazły się poza klatkami. Czy to za sprawą złodziei, czy też za sprawą tchórza, który je przestraszył. Dzięki jednak Bogu, że je złapano. Inaczej byłaby strata, kto wie, jaka.

— Tfu! A niech was, kurołapki z Kasrylewki! — Noach nie posiada się z oburzenia. Na nich wyładowuje wszystkie swoje koszarne sny. — Niech was kopną wszystkie wasze indyki, kaczki i gęsi.

Noach nie przestaje kłąć. Sypie ostrymi słówkami i pieprznymi słoweczkami ze swego repertuaru. Tłum powoli się rozchodzi. Ten i ów zaczyna ziewać. Czas wrócić do swego łóżka i odpocząć.

Zostaję sam jeden na dworze. Dookoła pełno błota. Jestem nieco zmieszany. Noc kryje w sobie strach i zgrozę. Chłód i wilgoć przejmują mnie do szpiku kości. Gdzieś tam w oknach błyska światelko. Na niebie pojawia się jasna smuga. Słychać pianie kogutów. Niejednolite. Różne w dźwięku i stylu. Ku-ku-ryku!

Szarzeje. Dnieje.

## Rozdział VIII. Dom starców

Wszystko na tym świecie postępuje naprzód. Nasza Kasrylewka też nie pozostaje w tyle.

W ostatnim czasie Kasrylewka zrobiła poważny krok naprzód. Jeśli teraz wpadniecie do niej, waszemu zdumieniu nie będzie granic. Ile byście nie patrzyli, do syta napatrzeć wam się nie uda. Zobaczycie wysoką murowaną kamienicę, zbudowaną z żółtej cegły, pokrytą żelaznym dachem i z mnóstwem okien. Ujrzycie piękne wejściowe ozdobne drzwi, a nad nimi przybitą tablicę z białego marmuru. Na niej złote litery żydowskie: „Dom Starców”.

Stoicie sobie i patrzycie na ten dom jak na obraz. Wydaje się on być podobnym do drogiej aksamitnej łąy na starej, pozieleniałej i wyświechtanej kapocie. Cóż to? Skąd raptem się wziął taki wspaniały Dom Starców w biednej, nędznej Kasrylewce? Czy to komuś na złość? Komuś na przekór? A może to jakiś kawał? A może się komuś coś pomyliło? Oto, co mi opowiadano podczas mego ostatniego pobytu w Kasrylewce, gdy przyjechałem odwiedzić groby moich rodziców.

Było to wtedy, gdy przez Kasrylewkę miano poprowadzić linię kolejową. Z Moskwy przybyli jacyś dziwni faceci. Inżynierowie, mierniczowie, geodeci itp. Przede wszystkim jednak zwracał uwagę *podriadczyk* — dostawca. Chłop — jak to się mówi — z kośćmi. Do dzisiaj nikt nie zna jego nazwiska. Może był to człowiek Polakowa, a może i sam Polakow. Ale że był to bogacz pełną gębą, milioner, to nawet najmniejsze dziecko w mieście mogło zauważyć. Któż inny bowiem mógłby sobie pozwolić na to, aby samemu wynajmować dwa pokoje w hotelu, codziennie jeść kurę, codziennie — nawet w zwykły powszedni dzień tygodnia, w środek — złopać wino, odstawić amory z tą hultajką, młodszą synową właściciela hotelu? (Publicznie obnosi się ona z własnymi włosami i nienawidzi swego męża. Wszyscy o tym wiedzą.)

W owym to czasie nasz stary znajomy, reb Juzipl, nosił się z myślą postawienia w Kasrylewce domu starców dla starych, schorowanych biedaków. Dlaczego właśnie domu starców, a nie szpitala? Tu się zaczyna historia z nieskończoną ilością pytań. Gdyby się wziął za szpital, zapytalibyście zaraz, dlaczego nie za dom starców? Tu wam zdradzę pewną tajemnicę. Jeśli przez chwilę sądziliście, że reb Juzipl kierował się własnym interesem, że miał na myśli swoją własną starość, to grubo się mylicie. Reb Juzipl trzymał się zasady, że prawo do litości i opieki ma przede wszystkim człowiek stary i chory. To nie znaczy, że chory młody człowiek cierpi mniej. Ale gdy się jest chorym i w dodatku starym, to jest się po prostu zbędnym. Świat takich nie potrzebuje. Ma ich dość. Zwykły człowiek nie znosi schorowanych starców. Jest to fakt. Rzecz sprawdzona i ogólnie znana.

Słowem, uparł się reb Juzipl; Kasrylewka musi mieć swój dom starców. Dom starców jest ważniejszy niż wszystko inne. I aby każdy zrozumiał, jak dalece jest to konieczne, reb Juzipl wygłosił w sobotę w południe kazanie w bożnicy. Przytoczył w nim piękną przypowieść z morałem: „Kiedyś był sobie król. Miał on syna jedynaka...”

Nie chcę jednak przerywać toku mojej z wami rozmowy, wplatając w nią inną opowieść. Odkładam przeto przypowieść reb Juzipla na inną okazję. Chcę tylko nadmienić, że nie całkiem pasowała ona do sytuacji. Mimo to jednak tłum był zadowolony. Zawsze zresztą delektował się jego przypowieściami. Po prostu palce lizał. Gdyby tylko reb Juzipl potrafił zarabiać na kawałek chleba, tak jak potrafił opowiadać przypowieści...

Po wysłuchaniu przypowieści reb Juzipla głos zabrał jeden z miejscowych notabli. Rzecz normalna. Nikt inny nie odważyłby się przecież wystąpić przeciwko rabinowi w obliczu zgromadzonego tłumu.

— Owszem, rebe, pan zapewne ma rację. Przypowieść jest zaiste piękna. Jest tylko jedno ale. Skąd wziąć pieniądze? Dom starców będzie kosztował sporo, zaś Kasrylewka to miasto „kasrylików” czyli biedaków, nędzarzy, golców, żebraków i pętałów.

— Na to ci, dzieciно moja, opowiem inną przypowieść: „Kiedyś był król. Miał on syna jedynaka...”

Co zrobił król ze swoim jedynakiem, nie jest ważne. Ważne jest to, że nazajutrz reb Juzipl wziął sobie do pomocy dwóch poważnych obywateli miasta i uzbrojony w chustę udał się z nimi na rynek. Tam zaczął chodzić od jednego sklepu do drugiego, od jednego domu do drugiego i zbierał datki. Stary był to zwyczaj w Kasrylewce. Tak zbierano tam pieniądze. Rzecz jasna, że wielkiego kapitału nie zebrał. Reb Juzipl ma jednak czas. Nie śpieszy mu się. Może poczekać. Zbiórka może trwać i tydzień. Rzym nie został zbudowany w ciągu jednego dnia. Cóż bowiem pozostaje? Miasto zamieszkane jest przez biedaków. Jedyna nadzieja w przyjeźdźnych. W kupcach, którzy wpadają do Kasrylewki, albo w tych, którzy tędy tylko przejeżdżają i na krótko zatrzymują się w miejscowych hotelach. Jeśli się dorwą do takiego ptaszka, to oskubią go bez litości. Oskubany przysięgnie sobie po tysiącokroć, że w przyszłości ominie Kasrylewkę. Ostrzeże też wszystkich swoich znajomych przed tym miastem i jego nieznośnymi biedakami. Poradzi, by za wszelką cenę ominąć Kasrylewkę, nawet gdyby trzeba było dołożyć drogi.

Usłyszawszy, że do miasta przybył z Moskwy dostawca — Żyd, człowiek znanego milionera Polakowa, a być może sam Polakow, reb Juzipl ubrał się świętecznie. Włożył sobotnią kapotę, na głowę wsadził sztrajml<sup>63</sup>. Wszystko to razem nie pasowało do jego zwykłej powszedniej laski. Albo — albo. Jeśli to sobota, to skąd laska? Jeśli zaś powszedni dzień, to skąd sztrajml? Sprawa się wyjaśniła, gdy reb Juzipl zabrał ze sobą dwóch szanowanych notabli i udał się z nimi wprost do hotelu, do bogatego dostawcy.

Nie wiem, jacy są pozostali dostawcy moskiewscy, ale ten, który przybył do Kasrylewki zbudować linię kolejową, był niesłychanie dziwnym człowiekiem. Mały, pulchny, o tłustych policzkach, mięsistych wargach i krótkich rękach, przedstawiał sobą typ stworzenia niezwykle ruchliwego. Nie chodził, lecz biegł. Nie mówił, lecz krzyczał. A jak śmiał się, to od ucha do ucha. Oczka miał zawsze wilgotne, błyszczące łzami. Wszystko, co robił, robił na tempo. Na jednej nodze. Nerwus, że aż strach. Broń Boże nie utracić w to, co on chce. Nie mówię już o zaczepieniu go słowem. Wtedy nie jesteś pewien swego życia — czy mu się zapalają, gotów jest cię stratować, rozerwać na pół. Zaiste, dziwny człowiek z tego dostawcy.

W hotelu zarządził, aby, nawet gdyby to miał być sam gubernator (właśnie tak się wyraził), nie wpuszczać nikogo do jego pokoju bez uprzedniego pukania do drzwi. Dopiero po usłyszeniu zgody na wejście należy zameldować, kto pragnie z nim rozmawiać. Wtedy łaskawie zezwoli wejść, albo przesunie wizytę na następny dzień.

Rzecz rozumiała, że w Kasrylewce śmiano się do rozpuku z tego faceta. Kpiono sobie z jego głupiego postępowania. Coś podobnego! Słyszeliście, co wyczynia ten moskiewski dostawca? Nie dość, że pofatygowałem się i przyszedłem do ciebie do domu, to jeszcze muszę stać dłuższą chwilę pod drzwiami, aż łaskawie zezwolisz mi wejść, albo raczysz kazać przyjść jutro! Nie! Tak potrafi tylko moskiewski dostawca. Zdaje się, że nie trzeba szukać większego człowieka niż reb Juzipl. Rabin, człowiek uczonej, bogobojny. A mimo

<sup>63</sup>sztrajml — chasydzki kapeluszek obramowany lisim futrem. [przypis edytorski]

to drzwi do jego mieszkania dla każdego są otwarte. Kto chce, może wejść. Przecież, u licha, jesteśmy Żydami na tym bożym świecie!

Zobaczywszy przed sobą reb Juzipla we własnej osobie i do tego świętecznie odzianego, właściciel hotelu, brzuchaty Żyd z cybuchem w ustach i w niezapiętym garniturze, zmieszał się.

— Witajcie! Błogosławieni niech będą przybysze! Kot się widocznie umył! Taki gość! Sam rabin w moim domu! Co za zaszczyt! Proszę siadać, ale cóż to? Rebe do tego gościa? Ależ z największym uszanowaniem!

I właściciel hotelu zapomniał o tym, że „bez względu na osobę, nawet gdyby to miał być sam pan gubernator...” Odłożył cybuch, zapiął garnitur na wszystkie guziki i dawaj prowadzić rabina wraz z jego dwoma notablami do drzwi swego gościa. Sam natychmiast się ulotnił.

Czym był w tym czasie zajęty dostawca, trudno powiedzieć. Możliwe, że akurat robił obliczenia dla swojej projektowanej kolei. Może ustalał szlak, po którym miały przebiegać szyny, miejsce, gdzie miał stanąć dworzec? A może leżał w drugim pokoju i drzemał? Albo może, po prostu, siedział sobie i zwyczajnie rozmawiał, paplał z tą hultajką, młodszą synową właściciela hotelu? Z tą, która ma własne włosy na głowie, i która nienawidzi swego męża, i wszyscy o tym wiedzą. Kto to może wiedzieć, co Żyd — dostawca z Moskwy, chłop z kośćmi i w dodatku milioner — potrafi robić sam jeden w dwóch pokojach? Gdy kasrylewska delegacja wkroczyła do pierwszego pokoju, nie zastała go tam. Zauważyła tylko, że drzwi do drugiego pokoju są otwarte i że panuje tam jakaś dziwna cisza. Iść dalej nie chcieli. Byłoby to oznaką braku szacunku. A nuż śpi? Wpadli wtedy na pomysł i we trójkę jednocześnie zakaszleli. (Taki to zwyczaj panował w Kasrylewce). Dostawca usłyszał to i półżywy z przerażenia wybiegł z pokoju. Ujrzawszy nie znanych sobie gości, wpadł w gniew i rozdarł się na nich po moskiewsku.

— Kto wy jesteście? Czego wam trzeba, tacy i owacy! Kto was wpuścił? Tysiąc razy zapowiadałem, że bez zameldowania nie ma do mnie wstępu!

Ktoś wyraził przypuszczenie, że użył przy tym słowa „Żydy”. Strach nawet pomyśleć, żeby to było możliwe u Żyda. Jednak człowiek, który w dodatku jest milionerem, w stanie gniewu może zdobyć się na wiele gorszych rzeczy.

Nasz czytelnik, który zdążył się już dostatecznie zapoznać z rabinem z Kasrylewki, wie doskonale, jakim skromnym człowiekiem był reb Juzipl. Nigdy nie wywyższał się. Zawsze pragnął być ostatnim. Kierował się zasadą, że człowiek nie powinien się spieszyć. Nie ma nic do stracenia. Nigdy nie jest za późno. Nie spóźni się. Tu jednak zmuszony był wystąpić nieco wcześniej niż zwykle, bowiem dwaj jego towarzysze, ci szacowni obywatele Kasrylewki, przestraszyli się milionera, który, tupiąc nogami, rzucił się na nich z zaciśniętymi pięściami. Kto wie, kto to jest? Może to człowiek Polakowa? A może sam Polakow? Mimo najlepszych chęci musieli trochę się cofnąć. Chcieli być bliżej drzwi. Kto wie, co się może zdarzyć. Tylko reb Juzipl nie uląkł się. Myślał sobie: Albo — albo. Albo ten dostawca jest naprawdę wielkim człowiekiem, to wtedy nie ma powodu do obaw. Albo jest człowiekiem małym, to tym bardziej nie muszą się go bać. Wystąpił tedy przed niego z jakąś szczególną siłą:

— Pan wybaczy. Pan krzyczy. Możliwe, że pan ma rację... Nie miej pan nam za złe, żeśmy być może panu przeszkodzili. My jednak spełniamy bardzo zbożną powinność. Zaś orędownicy zbożnych czynności, jak napisane jest w *Pisimie*, nie przeszkadzają. My zbieramy datki, rozumie pan, na wzniosły cel, na dom starców...

Dostawca z Moskwy zaniemówił. Niespodziane najście, bez uprzedniego zameldowania, tych trzech Żydów, zachowanie tego starego człowieka w sztrajmle wydało mu się zarówno głupie, jak i bezczelne. Ogarnął go gniew. Rozsierdził się. Poczul, jak zaswędziało go w nosie. Cała krew uderzyła mu do głowy. Po prostu wyszedł z siebie, zupełnie się zatracił. Potem nie pamiętał niczego z tego, co zaszło. Jakby wbrew własnej woli podniósł rękę i z całej siły wymierzył starcowi policzek.

— Masz tobie! No i miejcie sobie dom starców!

Od tego uderzenia staremu spadł sztrajml razem z jarmułką. Przez chwilę kasrylewski rabin stał z gołą głową. Być może po raz pierwszy w życiu. Nie trwało to jednak dłużej niż dźwięk słowa. Reb Juzipl schylił się, podniósł sztrajml i czym prędzej przykrył gołą głowę. Następnie pomacał się w policzek, spojrzal na swoją rękę, czy aby, broń Boże, nie

krwawi. I w tej samej chwili przemówił do dostawcy. Głos miał cichy, przyjemny. Na twarzy błąkał mu się jakiś dziwny uśmiech. A mimo to twarz wydawała się martwa, jak u nieboszczyka.

— No i stało się. To pan, znaczy się, dał mnie. A co pan, panie szanowny, da dla biednych i chorych? Mam na myśli dom starców.

Co dalej było — nie da się opowiedzieć. Nikt nie wie, albowiem szacowni obywatele miasta, znani nam dwaj notable, skoro tylko usłyszeli mowę moskiewskiego dostawcy, nie zdzierzyli. Dali drapaka. Reb Juzipl zaś po prostu nie chciał na ten temat mówić. Kiedy wyszedł z hotelu, jego twarz jaśniała dziwnym blaskiem. Zwłaszcza lewy policzek jaśniał bardziej niż prawy. Z właściwym mu przyjemnym uśmiechem powiedział:

— *Mazl tou*<sup>64</sup>, Żydzi. Mogę wam zakomunikować nowinę: Mamy, przy bożej pomocy, dom starców. Dom starców, co się zowie. Wszyscy ludzie i sam Pan Bóg mogą nam go pozazdrościć...

Mali duchem ludziska sami może by nie uwierzyli rabinowi, gdyby nie usłyszeli na własne uszy tego, co powiedział moskiewski dostawca. A ten, stukając palcami w biały sztywny kołnierzyk, tak rzekł:

— Żydzi! Wystawię wam dom starców. Ja! Ja!

I nie tylko usłyszeli te słowa. Wkrótce zobaczyli na własne oczy, jak dostawca chodzi z rabinem po mieście i laską mierzy teren:

— W tym miejscu stanie dom. Taka będzie jego długość i taka będzie jego szerokość. I oto przywieźli już cegły, drewno i inne materiały. Słowem, ruszyło.

Prawda, znaleźli się tacy ciekawscy, którzy wzięli rebego na spytki. Zaczynali go badać, ciągnąc za słówka:

— Rebe, jak się rzecz miała? W jaki sposób przeprosił was za brutalne słowa? Co pan, rebe, jemu powiedział, i co on na to odpowiedział?

Reb Juzipl puszczał to jednak mimo uszu. Wykręcał się sianem z właściwym mu, przyjemnym uśmiechem.

— Ale dom starców będziemy mieli taki, że Bóg i ludzie będą się radowali!

Tylko jedno ale. Dom Starców po dziś dzień stoi pusty. Reb Juzipl jest już na tamtym świecie. Nie ma więc komu Domem Starców kierować. Mali ludziska z Kasrylewki mają już takie szczęście. Jeśli śnią im się konfitury, to brakuje im łyżki. Jeśli przygotowują łyżkę, to nie śnią się im konfitury.

## PESACHOWE<sup>65</sup> (WIELKANOCNE) WYWŁASZCZENIE

A

Kasrylewka zawsze małpowała Odessę. Od momentu jednak, gdy zaczęły się niepokoje społeczne, Kasrylewka nie odstępowała Odessy ani na krok. W Odessie strajk — w Kasrylewce strajk. W Odessie konstytucja — w Kasrylewce konstytucja. W Odessie pogrom — w Kasrylewce pogrom. Jakiś dowcipniś rozpuścił pogłoskę, iż w Odessie obcinają sobie nosy i w Kasrylewce zaczęto ostrzyć noże. Szczęście, że w Kasrylewce jeden ogląda się na drugiego. Każdy przeto czekał, aż drugi obetnie sobie nos. I tak czekają tam do dnia dzisiejszego.

Po tym, co wyżej napisałem, nie dziw, że nie ma prawie dnia, aby w gazetach nie ukazała się wzmianka o jakimś kolejnym nieszczęściu w Kasrylewce. O tym, jak pewnego

<sup>64</sup>*mazl tou* — dosł.: „gwiazda, dobry los”. Słowa te wśród Żydów oznaczają życzenia, gratulacje; wypowiada się je przy każdym radosnym wydarzeniu, jak urodzenie się dziecka, zaręczyny, ślub czy po zażegnaniu jakiegoś nieszczęścia, po pomyślnym zakończeniu czynności itp. [przypis tłumacza]

<sup>65</sup>*Pesach* — dosł.: „przeskoczyć, ominąć”; nazwa świąt wielkanocnych, pochodząca stąd, że według *Biblii* dziesiątą plagą, którą Bóg doświadczył Egipcjan przed wyzwoleniem Żydów z ich niewoli, było uśmiercenie egipskich niemowląt pierworodnych płci męskiej, czego dokonując Pan Bóg omijał (przeskakiwał) te domy, w których mieszkali Żydzi (pomazane uprzednio krwią baranka). W święta te Żydom nie wolno spożywać chleba, bułek ani żadnego pieczywa wypiekanego na drożdżach. Ponadto nie wolno używać naczyń, w których gotuje się przez cały rok, gdyż zachodzi obawa, by nie zjeść czegoś, co nie jest przasne. Używa się więc wtedy specjalnych naczyń oraz jadła dozwolonego przez ściśle przestrzegane przepisy religijne. *Pesach* jest też nazwą ofiary religijnej w formie uczt, libacji sakralnej. [przypis tłumacza]

dnia „banda” wpadła do piekarni i wywłaszczyła gospodarza z całego wypieku, albo o tym, jak w biały dzień zabrali pewnemu szewcowi prawie gotowe buty. Miał już przybić obcasy, gdy wpadli rabusie z okrzykiem: *Ruki w wierch*<sup>66</sup>. Albo o tym, jak to pewnego czwartku chodził sobie jakiś biedak z domu do domu po prośbie i nagle w jakiejś bocznej uliczce zastąpiono mu drogę, przystawiono pistolet do twarzy i obrabowano ze wszystkiego, co uzbierał.

Albo posłuchajcie takiej historii... Zresztą, nie będę powtarzał tego, co opowiada pewna Żydówka. Kobieta ma słabe nerwy. Czasy są niespokojne. Mała krowa może jej się wydać drzewem. Nie chcę wziąć na siebie „odpowiedzialności za społeczeństwo”.

Słowem, w Kasrylewce posypała się cała seria wywłaszczeń. Jedno straszniejsze od drugiego. Strach było żyć na świecie. Odezwała się tęsknota za dawnymi dobrymi czasami, gdy jeden *prystaw*<sup>67</sup>, który zwykł był brać w łapę, potrafił trzymać w jednym ręku całe miasto. Zaczęto wznosić błagalne modlitwy do Boga.

— Ratuj Boże Wszechmogący! Przywróć nam nazad<sup>68</sup>, Boże Serdeczny, stare czasy. I niech będzie tak, jak ongiś bywało!

To wszystko jest jednak tylko wstępem. Sama historia dopiero się zaczyna.

## B

Beniamin Łasteczka to największy bogacz w Kasrylewce. To człowiek wielki. Rozmiarów jego wielkości nie da się nawet określić. Po pierwsze, ma bogatych powinowatych na całym świecie. Ci powinowaci nie są już, prawda, teraz tak bogaci, jak niegdyś. Nie należy się temu dziwić, gdyż dzisiejsze plajty i złośliwe bankructwa są bez porównania większe. Dziwić się należy tylko temu, jak Żydzi z Kasrylewki się trzymają. Są mocniejsi od żelaza. Ścisnęli się razem w jednym miejscu jak śledzie w beczce. Mieszkają w kupie i jeden drugiego podgryza. Nawzajem zjadają się żywcem. Szczęście, że Ameryka co roku zabiera stamtąd prawie dwa razy tylu ludzi, ilu umiera tu z głodu, ginie w pogromach, czy też na skutek innych nieszczęść. Ale mimo wszystko, jak widzicie, z woli boskiej, znalazł się jeszcze w Kasrylewce Żyd-bogacz, imieniem Beniamin Łasteczka. Bogacz, któremu wszyscy tu zazdroszczą, że nie musi do nikogo zwracać się o pomoc, z wyjątkiem swoich powinowatych. A zwracać się do bogatego powinowatego to arcynieprzyjemna rzecz. Można powiedzieć — ciężki kawałek chleba. Większość bowiem bogatych powinowatych to z natury, wybaczone za słowo, wielkie świnię. A jednak Beniamin Łasteczka jest w Kasrylewce mimo wszystko bogaczem. Gdy komuś potrzebne jest wsparcie, to dokąd i do kogo się udaje? Do Beniamina Łasteczki oczywiście. A Beniamin Łasteczka wysłuchuje każdego. Czasami pomoże radą, czasami dobrym słowem, czasami nawet westchnieniem. Dobre i to. Czyż bez tego byłoby lepiej? I tak i siak kiepsko.

Jaka jest różnica między bogaczem z Kasrylewki a, na przykład, bogaczem z Jehupca? Bogacze z Jehupca mają miękkie serca. Nie mogą znieść widoku cierpień biedaków. Dlatego też zamykają drzwi na klucz i stawiają przy nich portierów. Nie dopuszczają do nich żadnego człowieka, który nie jest porządnie ubrany. Gdy zaś przychodzi upragnione lato, zrywają się niczym jaskółki do lotu i wyjeżdżają za granicę. I szukaj ich tam? A niech spróbuje kasrylewski bogacz pójść w ich ślady, to połamię mu wszystkie kości. Chce, czy nie chce, Beniamin Łasteczka jest pierwszy w kahale<sup>69</sup>. Jest jego głową. We wszystkich dobroczynnych przedsięwzięciach musi być pierwszym. Nie tylko pierwszym do dawania jałmużny, ale też pierwszym do zbierania datków od biedaków dla biedaków. Pierwszy chwytą za łaskę i w drogę, od domu do domu.

Cóż dopiero, gdy chodzi o zbieranie pieniędzy na macę<sup>70</sup> przed świętem Pesach. Rzućcie wtedy łaskawym okiem na Beniamina Łasteczkę. Choćby z daleka. Nie wiem, czy największy działacz społeczny na świecie, nawet w najbardziej palącym okresie walki wyborczej, tak się dwoił i troił, tak się pocił, jak nasz Łasteczka. A zaczynało się to już na

<sup>66</sup>*ruki w wierch* (ros.) — ręce do góry. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>*prystaw* (ros.) — komisarz policji. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>*nazad* (daw.) — z powrotem. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*kahal* — żydowska gmina wyznaniowa. [przypis tłumacza]

<sup>70</sup>*maca* — cienkie, prażone placki, które Żydzi spożywają w święta wielkanocne zamiast chleba, na tę pamiątkę, iż gdy uciekali z niewoli egipskiej, nie zdążyli upiec sobie chleba na drogę, a ciasto bez drożdży, które z sobą zabrali, upiekło się na słońcu. [przypis tłumacza]



cztery tygodnie przed świętem Pesach. Beniamin zaklina się, że od święta Purim<sup>71</sup> do Pesach śpi w ubraniu. Uwierzymy mu na słowo. Jaki miałby w tym interes? Za swój trud nie żąda pieniędzy. Prawda, możecie twierdzić, że ugania się za zaszczytami. Niech tak będzie. Komu to przeszkadza? Każdy człowiek ugania się za zaszczytami. Nawet władcy nie stronią od tego. Natury człowieka nie zmienimy. Tak to już jest.

### C

Zbieranie pieniędzy na macę dla ubogich należy do bardzo starych zwyczajów. Jest to niezmiernie konserwatywny środek filantropijny.

Mimo to nie sądzę, aby był on tak niewdzięczny, jak niektórzy chcieliby nam wmówić. Twierdzę, że filantropia<sup>72</sup> to klęska, niemal pogrom dla społeczeństwa. Nie chcę się z nikim wdawać w polemikę. Chcę tylko powiedzieć, że według mnie istnieje znacznie gorszy zwyczaj, a mianowicie: bogacze nie chcą zwyczajnie dawać datków. Trzeba im je po prostu wrywać zębami. A stokroć gorszym jest fakt, że oni, tak zwani nobliwi ludzie, którzy nie chcą dawać, usiłują wam wmówić dziecko w brzuchu. Twierdzą mianowicie, że kierują się w swojej odmowie „zasadą”. Przed takimi ludźmi należy uciekać, bo wyprani są oni z wszelkich uczuć i podobni do wysuszonych ryb. Wieje od nich smutkiem. Całe szczęście, iż ta „zasada” nie stała się jeszcze modną w Kasrylewce. Ci, którzy nie dają, nie dają z jednego powodu. Nie dają, bo nie mają. Gdy jednak nadchodzi święta wielkanocne i trzeba zebrać na macę dla ubogich, to nie ma usprawiedliwienia. Nie istnieje tu żaden wybieg. W Kasrylewce krąży takie porzekadło: „Każdy Żyd musi albo dać na macę, albo brać na macę”.

Dziwni ludzie z tych kasrylewskich Żydów. Tysiące lat minęło już od czasu, gdy ich prapradziadowie wyszli z niewoli egipskiej, a oni wciąż nie mogą się odzwyczaić od jedzenia macy przez osiem bitych dni każdego roku. Osobiście żywię obawę, że ta sucha potrawa nie tak prędko wyjdzie z mody.

Przez cały rok kasrylewski Żyd może puchnąć z głodu, ale gdy nadchodzi Pesach, musi być zaopatrzony w macę, nawet gdyby cały świat miał się przerwrócić do góry nogami. Nie było jeszcze takiego wypadku, aby Żyd umarł tam z głodu w święto Pesach. A jeśli jednak coś takiego się zdarzy, to trzeba to zapisać na konto całego roku. Nie umarł bowiem na skutek braku macy w ciągu ośmiu dni Pesach, tylko z powodu braku zwykłego chumecu<sup>73</sup>, czyli powszedniego chleba w ciągu 357 dni całego roku. Rzecz jasna, jest to zasadnicza różnica. Nie ma reguły bez wyjątku.

### D

Opisywany rok był dla Kasrylewki rokiem nadzwyczajnym. Jeszcze takiego nie było. Okazało się, że „macobiorców” było więcej niż dawców. Gdyby nie wstyd przed ludźmi, to prawie nikt z kasrylewskich Żydów nie wyrzekłby się wyciągnięcia ręki po darmową macę. Żal było patrzeć na naszego bogacza Beniamina Łasteczkę, gdy zasiadał w „komitecie” w ostatnim dniu poprzedzającym święto i wciąż musiał odmawiać:

— Nie ma pieniędzy! Wyczerpały się! Nie miejcie za złe!

— Oby pan dożył następnego roku — odpowiadali ci, których odprawił z kwitkiem — i obys pan przyszedł do nas po pieniądze na macę.

Biedacy, jeden po drugim, opuszczali podwoje „komitetu”. Ręce mieli puste. Policzki im płonęły, jakby wyszli z łaźni. Na głowy bogaczy posypały się z ich ust setki przekleństw. Oby lepiej wpadły do morza i nie sprawdziły się.

Wśród ostatnich odprawionych z kwitkiem osób znalazła się grupa młodzieńców. Byli to młodzi robotnicy, przez całą zimę pozbawieni pracy. Zdążyli już wysprzedać się ze wszystkiego, co mieli. Jeden już zdążył zastawić swój srebrny zegarek i za uzyskane w ten sposób pieniądze kupić papierosy. Wszyscy młodzieńcy oczywiście je wypalili. Tak, jak to bywa w komunie. W ten sposób chcieli zagłuszyć głód. Gdy przekroczyli pokój „komitetu”, wystąpił z ich upoważnienia jako generalny mówca krawiec damski nazwiskiem Szmul-Aba Fingerhut. I chociaż Szmul-Aba Fingerhut był wyznaczony na głównego mówcę, to jednak wszyscy pozostali mu pomagali. Wszyscy mówili naraz, wykładając

<sup>71</sup>Purim — żydowskie święto losu. [przypis tłumacza]

<sup>72</sup>filantropia — dobroczynność. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>chumec — kwaszony chleb. [przypis tłumacza]

swoje racje. Twierdzili, że umierają z głodu, że po prostu nie są w stanie utrzymać się na nogach. Pierwszy gabe<sup>74</sup> komitetu, czyli Beniamin Łasteczka, dał im wypowiedzieć się do końca. Wtedy zabrał głos:

— Nie miejcie za złe. Wasze słowa są daremne. Po pierwsze jesteście kawalerami, a my dajemy pieniądze na macę tylko żonatom. Po drugie, jesteście, bez uroku, młodzi i możecie iść do roboty, i zarobić na Pesach. Po trzecie, w tym roku mamy wyjątkowy urodzaj na biedaków. Jest dziś więcej biorców niż dawców. Po czwarte, wstyd powiedzieć, ale już od samego rana nie mamy złamanego szeląga w kasie. Jeśli nie wierzycie, to proszę zajrzeć do kasy.

I pierwszy gabe komitetu wyrzucił wszystkie swoje kieszenie. Były puste. Unaocznili im, że jest goły jak święty turecki. Młodzieńcy stanęli jak wrzy. Stracili mowę. Tylko ich przywódca, Szmul-Aba Fingerhut, który znany był ze swego niewyparzonego języka, wystąpił przed gabem z całą oracją na poły po żydowsku, na poły po rosyjsku:

— Szkoda, że nie zaczął pan od końca. Nie zmarnowałby pan *naprasno*<sup>75</sup> tyle prochu. Ja ze swej strony zgłaszam *wozrażenie*<sup>76</sup>. Sprzeciwiam się wszystkim pańskim „dowodom”. Po pierwsze to, że jesteśmy *cholostiaki*<sup>77</sup>, to tylko dla was zaleta. Mniej przez to biedaków w miasteczku. *Wo wtorych*<sup>78</sup>, co się tyczy waszej rady, abyśmy pracowali, to *sdiełajcie odolżenie* i dajcie nam pracę, a my wam pokażemy, co potrafimy. A potrafimy cały świat przewrócić do góry nogami. *W tretich*<sup>79</sup>, powiada pan, że jesteśmy biedakami. A kto temu winien? Z jednej strony kapitalizm, a z drugiej strony wyzysk proletariatu. *W czetworych*<sup>80</sup> to, że wyrzuciliście kieszenie na lewą stronę, wcale nie jest *dokazatielstwom*<sup>81</sup>. My ani przez chwilę nie wątpimy w to, że u pana *na primier*<sup>82</sup> w domu, szafy wypełnione są macą, cebulą, kartoflami i gęsim smalcem oraz temu *podobnoje*. Nie brak tam też i wina do czterech kielichów. Wszyscyście *burżuki* i *biezsowiestnyje eksploatatory*<sup>83</sup> i *bolsze niczewo*<sup>84</sup>! *Towariszci*<sup>85</sup>, chodźmy stąd!

Muszę tu dodać, że Kasrylewka, która małpuje we wszystkim Odessę i inne wielkie miasta, nie jest jeszcze na tyle postępową, aby taki wyzyskiwacz, jak nasz bogacz Beniamin Łasteczka, otworzył swoje szafy i rozdał biedakom macę, jajka, cebulę, kartofle, gęsi smalec i wino przeznaczone do czterech kielichów, a sam pozostał wraz z żoną i dziećmi ot, tak... Jestem jednak przekonany, tak jak dwa razy dwa jest cztery, iż moi kasrylewscy wyzyskiwacze uczyniliby to z całą pewnością, gdyby tylko Odessa lub Jehupec, czy też inne większe miasta dały ku temu przykład. Kasrylewka, moi drodzy przyjaciele, nie ma obowiązku być pierwszą jaskółką, która zwiastuje wiosnę.

## E

Z czystym sumieniem, wykąpany, w świątecznym nastroju, Beniamin Łasteczka zasiadł wraz z żoną i dziećmi w wieczór pesachowy do stołu sederowego<sup>86</sup>. Był spokojny, radosny, czuł się jak prawdziwy król w swoim królestwie. Po jego prawej ręce siedziała królowa, jego żona Sara-Lea. Odświętnie ubrana, wyglansowana, w nowej jedwabnej chuście, z której wyglądały dwa długie kolczyki. Były ze szczerego srebra próby 84 i kołysały się przy każdym ruchu.

Dookoła stołu siedziały dzieci. Książęta i księżniczki. Istny bukiet dobrze wymytych główek. Twarzyczki płoną ogniem. Oczka jaśnieją blaskiem. Nawet służąca Złata, która przez cały rok tkwi w jarzmie, dniem i nocą harując jak dziki osioł, dziś jest inna. Wy-

<sup>74</sup>*gabe* a. *gabaj* — jeden z przełożonych bożnicy, pełniący nad nią nadzór. [przypis tłumacza]

<sup>75</sup>*naprasno* (ros.) — na darmo. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>*wozrażenie* (ros.) — sprzeciw. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>*cholostiak* (ukr.) — kawaler, nieżonaty. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>*wo wtorych* (zniekszt. ros.) — po drugie. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>*W tretich* (ros.) — po trzecie. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*w czetworych* (ros.) — po czwarte. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>*dokazatielstwo* (ros.) — dowód. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*na primier* (ros.) — na przykład. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*biezsowiestnyje eksploatatory* (ros.) — wyzyskiwacze bez sumienia. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>*bolsze niczewo* (ros.) — nic więcej. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>*towariszci* (ros.) — towarzysze. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>*seder* — dosł.: „porządek”; uroczysta wieczerza w wigilię i pierwszy dzień Pesach, odbywająca się według ustalonego przepisami religijnymi porządku. [przypis tłumacza]

kąpana, wymyta firmowym mydłem, paraduje w nowej perkalowej sukience i w nowych bucikach. Na ciemnym, błyszczącym czole ma szeroką czerwoną przepaskę.

Wszyscy czują się znakomicie. Cieszą się i radują, jakby to oni, właśnie w tej chwili, wyszli z niewoli egipskiej. Z werwą i bigłem najmłodszy z „książąt” odwalił cztery znane sederowe pytania. A Beniamin Łasteczka, ojciec i król zarazem, zaczął powoli, śpiewnie i głośno udzielać odpowiedzi. Są one znane, tak jak pytania. „Byliśmy niewolnikami, ciężko pracowaliśmy dla faraona w Egipcie”. Zaczyna po hebrajsku i powtarza po żydowsku. „I Bóg nas stamtąd wyprowadził mocą swoją i cudami. Zesłał na faraona dziesięć plag”. I tu zaczął wylizywać po kolei śpiewnie i głośno wszystkie te piękne plagi. Nagle...

F

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. W ślad za nim drugie i trzecie. Kto to może być? Otworzyć, czy nie? Stało na tym, żeby otworzyć, pukanie stawało się bowiem coraz mocniejsze i coraz bardziej uporczywe. Król i królowa, księżęta i księżniczki zamilkli. Służąca Zlata podbiegła do drzwi i otworzyła je. Do izby wpadła paczka znanych nam młodzieńców ze swoim przywódcą Szmul-Abą Fingerhutem na czele z okrzykiem: „Wesołych świąt”. Nasz bogacz, Beniamin Łasteczka, poczuł, iż dusza ucieka mu w pięty. Zebrał się jednak w sobie i tak powiada do nich:

— Wesołych świąt, wesołego roku. Gość w dom. Co dobrego powiecie?

I wystąpił Szmul-Aba Fingerhut, jak to było w jego zwyczaju, z oracją na poły po żydowsku, na poły po rosyjsku:

— Wy sobie tu siedzicie w jasnym i świetlistym pomieszczeniu, przy szklance wina i *prazdnujecie*<sup>87</sup> uroczycie święto. My zaś, biedni proletariusze, *propadajemy*<sup>88</sup> z głodu. Uważam to za niesprawiedliwe. Rozkazuję wam oddać nam waszą świąteczną kolację. Nie radzę też pisać choćby słowem. Nie wolno otworzyć okna, wołać policji itp. W przeciwnym razie zostanie po was popiół... Towarzyszu Mojsze, gdzie jest bomba?

Ostatnie słowa wystarczyły. Cała rodzinka zastygła — po prostu została przykuta do krzesel. Gdy zaś „czarny Mojsze”, ciemnolicy szewczyk o niemal czarnych palcach podszedł do stołu i postawił na nim jakiś okrągły przedmiot zawinięty w szmatę, to z całą rodziną stało się to, co niegdyś z żoną Lota, która odwróciła się za siebie, by spojrzeć na zniszczoną Sodomę i Gomorę.

A Zlata, służąca Łasteczków, szcękając zębami zaczęła podawać do stołu najpierw gorące, pieprzne, pikantne ryby, potem rosół z tłustymi knedlami, placki i wszystkie pozostałe smakowite rzeczy. Bractwo wtrajało to z takim apetytem, aż uszy im się trzęsły. Widać, że dawno nic nie mieli w ustach. Popijali to wszystko winem. Starali się nie uronić ani kropli. Szybko załatwili się ze wszystkimi rytualnymi potrawami — z chrzanem, jajkami, z murerem<sup>89</sup> itp. Po sederze nie zostawili śladu. Pozostała tylko hagada<sup>90</sup>. A w trakcie jedzenia główny mówca Szmul-Aba Fingerhut pokpiwał sobie z kasrylewskiego bogacza, z Beniamina Łasteczki-wyzyskiwacza. Tak do niego mówił:

— Zawsze my czytaliśmy hagadę, a wy wtrajaliście knedle, ale w *nastojaszczije wremia*<sup>91</sup> wy czytacie hagadę, a my wtrajamy knedle. *Lechaim*<sup>92</sup> burzuje! Oby Bóg sprawił, żebyście wy stali się takimi proletariuszami, jak my. Na przyszły rok w konstytucji!

Powiedział to po hebrajsku.

### Epilog

Była już północ i biedny bogacz Beniamin Łasteczka i cała jego rodzina wciąż jeszcze siedzieli — bez ruchu, ogarnięci strachem. Na stole nadal leżał ten straszny okrągły przedmiot, owinięty w szmatę. Bractwo zapowiedziało przed odejściem, aby przez dwie godziny nie ruszali się z miejsca. Inaczej będzie kiepsko. Tej nocy nikt z rodziny nie spał. Dziękowali Bogu, że uszli z życiem.

<sup>87</sup>*prazdnawat'* (ros.) — świętować. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>*propadajemy* (ros.) — ginieemy. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>*murer*, właśc. *maror* — potrawa sederowa (gorczyca, chrzan), mająca przypominać gorzkie życia Żydów w niewoli egipskiej. [przypis tłumacza]

<sup>90</sup>*hagada* — opowieść o wyjściu Żydów z Egiptu, także opowiadanie interpretujące tekst biblijny z zawartym w nim przesłaniem moralnym. [przypis tłumacza]

<sup>91</sup>*w nastojaszczije wremia* (ros.) — w prawdziwych czasach. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>*lechaim* — toast przy wznoszeniu kielicha, znaczy „na życie”. [przypis tłumacza]

A co stało się z owym okrągłym przedmiotem, „nieszczęściem” leżącym na stole, przykrytym szmatą? Takie pytanie zadaje ciekawy czytelnik. Śpieszę z wyjaśnieniem. Błaszana puszka od pasty do obuwia wypełniona mąką macową nie jest niebezpieczna. Może sobie spokojnie leżeć nawet tysiąc lat. Nie wybuchnie. Chyba że, uchowaj Bóg...

Wesołych świąt!

## DWA TRUPY

(Z okazji święta Purim<sup>93</sup>)

Przedmowa

Trupy? Na cześć święta Purim? W takie święto, gdy za dobry uczynek uchodzi, aby Żyd się upił, a pisarz się wygłupił, trupy? Wiem, drogi czytelniku, że dzisiaj jest Purim, wiem, że ty powinieneś się upić, a ja mam się wygłupić, a mimo to serwuję ci historię o dwóch trupach. Nie ma rady. Jedno, co mogę zrobić dla Ciebie, to udzielić ci rady. Jeśli masz słabe nerwy, nie czytaj jej na noc.

Rozdział I

Chławne, czarny, krępy Żyd małego wzrostu był człowiekiem, który lubił zaglądać do kieliszka. Szczęście, że był dzieckiem Żyda i Żydówki. Inaczej byłby zapewne pijakiem. Nie upieram się przy twierdzeniu, że to tylko jego żydostwo powstrzymywało go od większego pijaństwa. Można sobie doskonale wyobrazić, że piłby za trzech gojów<sup>94</sup>, gdyby tylko miał za co. Finansowe sprawy dzierżyła w swoich rękach jego żona Gitl. Bacznie pilnowała, aby żaden żywy grosz nie wpadł w jego ręce.

Gdy szło o pieniądze, zaraz pojawiała się Gitl. Jeśli chodzi o prawdę, to Chławne pracował (był, niech mi wybaczy, że tak powiem, szewcem). Gotowe zaś buty odnosiła Gitl. Ona, rzecz jasna, inkasowała pieniądze. Taki stan rzeczy, oczywiście, nie odpowiadał Chławnemu.

— Kto ja, według ciebie jestem? Złodziej, czy co?

Na takie *dictum*<sup>95</sup> otrzymywał natychmiast od Gitli jasną i niedwuznaczną odpowiedź:

— Broń Boże! Kto twierdzi, że jesteś złodziejem? Jesteś tylko pijakiem. Czy nie tak?

Temu nie mógł zaprzeczyć. Byłoby to wbrew jego naturze. Z drugiej jednak strony, przyznać się otwarcie, że nie gardzi kieliszkiem, było mu trudno. Wpada wówczas na pomysł, by wykręcić się jakimś zgrabnym powiedzonkiem. Szewc Chławne bowiem nie tylko sływał z zamiłowania do kieliszka. Przepadał również, tak jak zresztą wszyscy Żydzi z Kasrylewiki, za zręcznym słówkiem, za przemyślnym powiedzonkiem. Drapie się wówczas w brodę, wbija oczy w sufit i tak powiada do Gitli:

— Nie masz już innego określenia. Wszystko u ciebie nazywa się pijaństwem! Czy widziałś kiedyś, aby ja porąbał kogoś po wódce? Ja, gdy chcę się napić, sam idę do sklepu i kupuję.

— No to idź, do jasnej cholery!

— Aby tylko z tobą. Z tobą to gotów jestem pójść w ogień i wodę!

— Masz i obyś zaniemówił!

Tak odpowiada Gitl swemu mężowi, szewcowi Chławnemu, i nie oglądając się za siebie chwytą but i ciska nim w męża. But jest prawie gotowy. Brak mu jeszcze tylko korka i paru fleków w podeszwie. Chławne „przyjmuje” ten niespodziewany prezent ze śmiechem i — jak zwykle — kwituje go właściwym sobie powiedzonkiem. A co dopiero, gdy Gitl wraca z zainkasowanymi za robotę pieniędzmi i wydziela mu parę groszy na zakup nici, wosku

<sup>93</sup>*Purim* (hebr.: losy) — radosne żydowskie święto obchodzone na pamiątkę cudownego ocalenia Żydów od zagłady zaplanowanej przez złego Hamana za czasów panowania perskiego króla Achaszwerosza. [z przyp. tłum: Haman — pierwszy minister Persji za panowania króla Achaszwerosza. Nienawidził on Żydów do tego stopnia, że skłonił króla, by ten wydał rozkaz ich zgładzenia. Tymczasem Achaszwerosz pokochał i poślubił żydowską dziewczynę Esterę, która postępując wedle wskazówek swego wuja i opiekuna Mordechaja, wpłynęła na cofnięcie okrutnego zarządzenia, ocalając w ten sposób swój lud. Haman i jego synowie zostali powieszani, a jego miejsce zajął wuj królowej, Mordechaj]. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>*goj* — nie-Żyd [przypis edytorski]

<sup>95</sup>*dictum* (łac.) — powiedzenie. [przypis edytorski]

i świńskiego włosia. Wtedy on mięknie jak wosk. Staje się słodszy od miodu. Niezmiennie wysoko ceni sobie wówczas żonę i wszystkie kobiety świata. Głaszcząc swoje wysokie i białe czoło (wszyscy szewcy mają wysokie i białe czoła) i z filozoficzną zadumą tak powiada:

— Nie wiesz, co król Salomon, niech mi to wybaczy, miał do kobiet, że je wpędzał do grobu? Wiesz chyba, co król Salomon mówił o was?

— Co król Salomon mówił tam, nie chcę wcale tutaj wiedzieć. Ty lepiej idź na targ po nici, wosk i świńskie włosie. Uważaj jednak, abys nie zabłądził i nie trafił do szynku.

Ta uwaga wydała się mu co najmniej dziwna. Wybuchnął śmiechem.

— Też mi pomysł! Do czego to podobne! To tak, jakby w sobotę odmówiono modlitwę z wieczoru piątkowego. Gdzie Rzym, a gdzie Krym! I co to za numer, aby w środku tygodnia lub w sobotę wieczorem, ni z tego, ni z owego wpaść do szynku?

Kiedy Chławne przelicza otrzymane grosze i przekłada monety z jednej ręki do drugiej, patrzy jednym okiem w sufit z filozoficzną zadumą. Dokładnie wylicza, ile mu potrzeba na wosk, ile na nici i ile na świńskie włosie. Wydaje z siebie głębokie westchnienie i cichym krokiem rusza w kierunku szynku.

## Rozdział II

Jak się nazywał ów mędrzec, który oświadczył, w oparciu o swoją wiedzę, że w Purim wszyscy pijacy są trzeźwi? Ja bym mu na to powiedział, za przeproszeniem, że jest zwyczajnym osłem. Dlaczego pijak ma przepuścić taki dzień jak Purim, kiedy upić się jak goj i być zalanym w sztok jak biblijny Lot, jest po prostu dobrym uczynkiem, uczynkiem miłym Bogu?

Pierwszym, który by zaprotestował przeciwko temu, byłby niechybnie szewc Chławne. O mało mu oczy nie wyszły z orbit z wypatrywania Purimu. Nie mógł się go doczekać. Gdy wreszcie nadeszło święto Purim, udał się najpierw do bożnicy, by wysłuchać megily<sup>96</sup> czyli apokryfu o Esterze. Policzył się z Hamanem, powiesił go wraz z dziesięcioma synami na wysokim, liczącym 50 stóp drzewie i miast wrócić do domu, by zakosztować smaku hamanowych makowników, wstąpił po kolei do kilku znajomych, swoich kolegów szewców. Razem wypili, razem wzniesli toasty z sakramentalnym *lechaim*<sup>97</sup>. Wyrazili przy tym życzenie: „Oby Bóg dał, żeby Haman i jego dziesięciu synów dożyli następnego roku, i obyśmy ich znowu powiesili, i żebyśmy mogli znów się napić. Amen”. Od tych kolejnych *lechaim* nasz bohater tak się zalał, że nie mógł trafić do domu. Zdawało mu się, że uliczka, na której mieszkał, bawi się z nim w chowanego. Oto stoi, zdaje mu się, tuż, tuż przed nią. Mruga do niego mnóstwem światełek, migocących w małych okienkach. Rusza więc ku niej naprzód i bęc głową o ścianę. Skąd się tu wzięła ściana? Jak długo pamięta, ściany w tym miejscu nie było. Nic, tylko ktoś ją tu naumyślnie postawił. Nie-wydarzony pomysł jakiegos Żyda, aby tu, w środku miasta, postawić „sukę”<sup>98</sup> na Święto Szalasów<sup>99</sup>. Szlag by trafił ojca jego teściowej. Inaczej obym się nie nazywał Achaszwerosz.

I Chławne łapie się obydwiema rękami za ścianę. Próbuje ją podciągnąć do siebie. Chce przewrócić szalas bogacza i nagle wywraca się sam. Pada jak długi i rozciąga się jak hrabia w słynnym błocie Kasrylewki.

Zostawmy go chwilowo na ziemi i wprowadźmy tymczasem drugiego bohatera naszej opowieści. Jest nim człowiek, który nosi wspaniałe niemieckie nazwisko — Rotszyld.

## Rozdział III

Tym nazwiskiem ochrzczono go w Kasrylewce dlatego, iż był największym biedakiem w mieście. Oczywiście, w mieście jest wielu takich biedaków jak on. Jest ich tylu, ile gwiazd na firmamencie<sup>100</sup>, ale takiego jak on nieszczęśliwca, takiego jak on pechowca w Kasrylewce nie było. Krąży po świecie porzekadło (pochodzi niewątpliwie z Kasrylew-

<sup>96</sup> *megila* — zwój pergaminu lub skóry służący do spisywania tekstu księgi świętej. [przypis tłumacza]

<sup>97</sup> *lechaim* — toast przy wznoszeniu kielicha, znaczy „na życie”. [przypis tłumacza]

<sup>98</sup> *suka* — szalas. [przypis tłumacza]

<sup>99</sup> *Święto Szalasów, Sukot* — dosł.: „szalasy”; święto przypadające w pięć dni po Sądny Dniu. Jest to też święto zbiorów. W święto Sukot pobożni Żydzi stawiają sobie szalasy, na pamiątkę szalasów, w których odpoczywali ich przodkowie wędrujący przez 40 lat do Kanaan po wyzwoleniu ich przez Mojżesza z niewoli egipskiej. [przypis tłumacza]

<sup>100</sup> *firmament* (z łac.) — sklepienie niebieskie. [przypis edytorski]

ki), że „do nieszczęścia trzeba mieć szczęście”. Żebyście wiedzieli, że porzekadło to, nie przymierzając, to prawdziwa nauka objawiona.

Kim był ten Rotszyld i skąd się wziął, tego nie mogę wam powiedzieć. Że był biedakiem, to już wiecie. Co robił? Chodził. Myślicie zapewne, że chodził po prośbie. A może zebrał? Nic z tych rzeczy. Jego chodzenie było bezinteresowne. Coś w rodzaju spaceru po błocie. Z tą różnicą, że stawiał drobne kroki, ale za to w bardzo szybkim tempie. Jakby miał do załatwienia jakąś ważną sprawę i miał na to mało czasu. Zatrzymywał się tylko wtedy, gdy go ktoś zatrzymał.

— *Szolem alejchem*<sup>101</sup>! Dokąd to zmierza pan Rotszyld? — Rotszyld staje, wyciera pot połam płaszcz a wyłupia gały, w których gnieździ się jakiś dziwny strach. Żółta, pomarszczona od głodu twarz krzywi się w uśmiechu. Dobywa z siebie ledwie słyszalny głos:

— Ot, tak sobie. Idzie mi się, chodzi się, a nuż Bóg coś da...

Powiedziawszy to Rotszyld rusza w dalszą drogę. Kroki stawia szybkie i drobne. Ten, co go zatrzymywał, stoi jeszcze chwilę, wzrusza ramionami, wreszcie wybucha śmiechem i splota:

— Tfu! A to ci pechowiec!

Od czasu, gdy przewzano go imieniem Rotszyld, nikt w Kasrylewce nie pamięta, aby kiedykolwiek zwracał się on do kogokolwiek z prośbą o jedzenie, picie lub o nocleg. A przecież wszyscy wiedzą doskonale, że Rotszyld jest z pewnością głodny i nie ma gdzie głowy złożyć! Na biedakach ludzie z Kasrylewki się znają. Można śmiało powiedzieć, że są w tej branży specjalistami. W ciemnościach poznają po głosie, czy człowiek jest głodnawy i ma ochotę tylko coś przegryźć, czy też jest prawdziwie głodny, po prostu umiera z głodu. Widocznie mają jakieś metody rozpoznawcze, jakieś znaki, tak jak lekarze, którzy potrafią według tętna ustalić, kto jest zwyczajnie, a kto śmiertelnie chory.

Gdybyśmy mogli podzielić głodujących ludzi na takich, którzy są zwyczajnie głodni i na takich, którzy są śmiertelnie głodni, to byśmy bez pudła mogli zaliczyć naszego bohatera Rotszylda do tych drugich. Zdarzało się bowiem nieraz, że przez wiele dni i nocy nie miał nic w ustach. Umarłby zapewne któregoś dnia na ulicy, gdyby nie było litościwych istot, które w porę dojrzały nieszczęsnego pechowca. Nie odmawiał poczęstunku, gdy mu go ofiarowano. Na pytanie, czy jest bardzo głodny, zwykle nie odpowiadał. Jednak żółta i wychudła od głodu twarz marszczy się przy tym w uśmiechu, a przerażone oczy patrzą w dół. Chyba ze wstydu, że człowiek doszedł do takiego stanu głodu. Z serca, mimo woli, wyrывa mu się ciche westchnienie. Jeden Bóg wie, co ono ma oznaczać.

Ludzie z Kasrylewki lubią sobie pożartować. Najpierw dają mu coś zjeść, a potem się z niego nabijają.

— Panie Rotszyld, niech pan powie prawdę. Ile forsy pan posiada i gdzie schowane są pańskie skarby?

Rotszyld opuszcza głowę. Wbija w ziemię przerażony wzrok. Na żółtej, pomarszczonej od głodu twarzy ukazują się coś w rodzaju uśmiechu. Milczy...

Młodzi, jak to młodzi, bezczelnie napierają na niego. Ciągną go za rękaw:

— *Szolem alejchem*. Jak się pan ma, panie Rotszyld? Co tam u pana, w Paryżu, słyhać?

Rotszyld opuszcza głowę. Wbija w ziemię przerażony wzrok. Na żółtej, pomarszczonej od głodu twarzy ukazują się coś w rodzaju uśmiechu. Milczy...

Dzieci z chederu<sup>102</sup>, smyki, dziatwa nie dają mu przejść przez ulicę. Ułożyły też o nim piosenkę:

Rotszyld to bogacz,  
Bogacz arcywielki.  
Forsą jest nadziany,  
Brak mu jedynie  
Pary całych spodni.

<sup>101</sup>*szolem alejchem* — dosł.: „pokój z wami”; przywitanie u Żydów. [przypis tłumacza]

<sup>102</sup>*cheder* — dosł.: „pokój”; nazwa szkoły dla początkujących, w której żydowski chłopcy po ukończeniu piętego roku życia uczyli się czytania po hebrajsku modlitw oraz poznawali *Pismo Święte*. [przypis tłumacza]

Dziatwy Rotszyld się boi. Bierze tedy nogi za pas i zwiewa. Swoimi drobnymi kroczkami ucieka, gdzie pieprz rośnie. Dziatwa goni za nim, nie przerywając śpiewu. Starsi na ten widok zaczynają ją ganić.

— Ach, wy łobuzy. Hultaje, tacy, owacy. Do chederu bękart! Do chederu!

Z pewnością znaleźliby się w Kasrylewce tacy, którzy ujęliby się za jego krzywdą. Nie daliby mu również skonać z głodu. Rzecz jednak nie w tym. Chodzi o to, że taki pechowiec jak on prędzej umrze z głodu, niż zdecyduje się wyciągnąć rękę o pomoc. A poza tym, powiedzmy sobie szczerze, czy mieszkańcy miasta Kasrylewki zobowiązani są dźwigać na swoich plecach każdego pechowca? Czy nie wystarczą im własne troski, własne zmartwienia i własne kłopoty materialne? Wdzięczni są Bogu za to, że jako tako, z żonami i dziećmi, sami zdołają przeżyć dzień.

Za to jednak, gdy nadchodzi święta sobota, Rotszyld ma zapewniony dzień bez głodu. Wszyscy Żydzi są tego dnia w bożnicy, Rotszyld jest dla wszystkich na widoku. Czy miasto pozwoli, aby Żyd w sobotę głodował? Jeszcze jeden człowiek przy stole to przecież tylko jeszcze jedna łyżka. Nie martwcie się, głodny nie wyjdzie. A jeśli nawet uczta nie będzie królewska, to też nie ma nieszczęścia. Żołądek gotów jest wybaczyć. Najważniejsze, że się siedzi przy jednym stole z Żydami. Na nim widać ślady chały, są ości ryb, a nad tym górują dwa miedziane lichtarze sobotnie. Wczoraj odmawiano nad nimi błogosławieństwo... To wszystko razem, plus słodko śpiewane przy stole sobotnie pieśni, posiada niezwykle czar. Niech się schowają różne wyszukane potrawy, cudowne wyzerki, które wymyśliła łakoma natura ludzka, aby wtrącić nas w otchłań piekła...

Wielka jest siła świętej soboty żydowskiej. Nie do poznania jest wtedy ani gospodarz domu, ani jego gość — pechowiec Rotszyld.

#### Rozdział IV

Wypościwszy się jak trzeba w dzień Postu Estery<sup>103</sup>, ledwo wytrawwszy do wieczora, udali się Żydzi do bożnicy, by wysłuchać megily — swojej zemsty na Hamanie. Ostatnich zdań modlitwy wysłuchali na jednej nodze i wygłodniali rzucili się w te pędy do domów. Każdy jak najszybciej chciał odbić sobie post „pod swoją winoroślą i pod swoim drzewkiem figowym”. Z apetytem pożerali świeże i jeszcze gorące ciasta hamanowe, purimowy specjał, składający się ze słodkiego ciasta nadziewanego makiem. Czy to z powodu głodu, czy też pośpiechu, aby jak najprędzej go zaspokoić, fakt, że całkiem zapomniano o Rotszyldzie. Słowem, jakby nie było w ogóle żadnego Rotszylda na tym świecie. Sam Rotszyld, gdy zobaczył, jak ludzie pędzą, ruszył swoimi drobnymi kroczkami w dal. Bez celu i bez określonego kierunku pętał się po zatłoczonych uliczkach błogosławionej Kasrylewki.

Przebiegając obok półrozwalonych i nikło oświetlonych chat i domów, zaglądał od czasu do czasu do okna. Widział tylko gęby i gardła. Gęby zapełniały się jadłem, a gardła je szybko pochłaniały. Dokładnie nie widział, co jedli, ale czuł namacalnie, że w grę wchodzi tylko świeże i słodkie trójkątne ciastka hamanowe, nadziane przepyszny makiem. Niemał czuł, jak rozplywają się w ustach, czuł ich rajski smak. Coś się odezwało w żołądku Rotszylda. Coś, albo nawet ktoś odezwał się w jego sercu. Usłyszał jakby rozkaz: „Durniu, czemu pętasz się tak po tym świecie chaosu? Otwórz pierwsze lepsze drzwi. Wejść do środka i powiedz: »Wesołych świąt, Żydzi! Może znajdzie się i dla mnie coś po tym poście? Od trzech dni nic w ustach nie miałem«. Przeraził się jednak samego siebie. Jeszcze nigdy taka myśl nie przyszła mu do głowy. Jak to, wpaść nagle do kogoś do domu? Nie jest przecież bandytą. I aby nie ulec podszeptom licha, które może sprowadzić go na nie wiedzieć jak złą drogę, rusza z kopyta w dalszą wędrówkę. Krąży środkiem ulicy po największym błocie. Wtem następuje na coś miękkiego. To coś jest grube i żywe. Pada na nie jak ścięty. Pod nim, w błocie, leży nasz bohater numer jeden, szewc Chlawne.

#### Rozdział V

Szewc Chlawne (po stokroć proszę mi wybaczyć, iż pozwoliłem sobie tak długo zostawić go w błocie) wcale nie czuł się w tej swojej nowej sytuacji tak źle, jak czytelnik

<sup>103</sup>*Dzień Postu Estery* — po wydaniu przez Hamana dekretu o wymordowaniu Żydów, Estera postanowiła udać się z interwencją do króla Achaszwerosza. Wcześniej jednak czyn ten poprzedziła postem, który jest obchodzony nadal przez pobożnych Żydów. [przypis tłumacza]

sobie wyobraża. W naturze człowieka jest coś takiego, co pozwala mu zaadaptować się do każdej, choćby najgorszej, sytuacji. Skoro z wyroku opatrności błoto miało być jego legowiskiem, to uznał za konieczne zrobić wszystko, aby leżeć jak najwygodniej. Tak, jak przystało na człowieka. I nie tylko tak leżał, wylądował przy tej okazji całą nagromadzoną uprzednio wściekłość na bogaczu reb<sup>104</sup> Josiem. Niech sobie ten ostatni nie myśli, że Chlawne jest, broń Boże, pijany. Przysięgał na wszystko, że co do pijaństwa, to nawet nie zaczynał pić. Oby tak dożył chwili, gdy zaprowadzi Wajzusego<sup>105</sup>, tego głupca z megily, do ślubu. Kto to śmiał posądzić jego — Chlawnego — o pijaństwo? Ta plotka niewątpliwie pochodzi od jego żony Waszti<sup>106</sup>. Oby szczezła!

Wypowiedziawszy imię Waszti, Chlawne natychmiast milknie i zamyśla się. Imię Waszti wbiło mu się do głowy, jak ćwiek, który wbijają w podeszwę. Pamięta przecież doskonale, że kiedyś jego żona nazywała się Gitl. I oto masz ci — Waszti. Jak z Gitli nagle zrobiła się Waszti? I nie tylko imię się zmieniło, ona także. Zupełnie nie ta sama kobieta. Ubrana jak królowa, w złotej koronie. Od stóp do głowy zanurzona w czystym złocie. Chlawne dochodzi do wniosku, że nie ma teraz sensu się z nią spierać. Wręcz przeciwnie, z taką krasawicą<sup>107</sup> trzeba trzymać sztamę. Przysuwa się do niej coraz bliżej i bliżej. Ona jednak odsuwa się od niego. Nie chce go. Prawdopodobnie z tego powodu, że on nie lubi wylewać za kołnierz. Psia jej mać! Nie wypada jej, żeby w mieście gadano, iż Waszti ma męża pijaka.

— Niech ja skonom! Żebym się z tego miejsca nie ruszył, jeśli kiedykolwiek wezmę nawet kroplę wódki do ust. Waszti, słyszysz? Jeśli nie wierzysz mi, to daję ci słowo honoru.

Na potwierdzenie tego Chlawne wyciąga rękę do uścisku. Wsuwa swoją grubą, o krótkich czarnych palcach, rękę w błoto. Dziwi go, że Waszti ma tak mokrą rękę i takie mokre, śliskie palce. Zupełnie nie może objąć Waszti w talii tak, aby jej aż dech zaparło. Rozwiera ramiona i mocniej obejmuje... kogo? Właśnie, że Rotszylda. Pechowca Rotszylda!

Zostawmy na razie Rotszylda. Niech sobie leży. My zajmiemy się Chlawnem.

## Rozdział VI

Naukowcy twierdzą, iż wszystko bierze się z przestrachu. Z przestrachu kobieta może ponieść. Z tego samego powodu człowiek może zwariować. Czasami, nie daj Boże, może dostać apopleksji<sup>108</sup> i umrzeć. Drogą takiego rozumowania naukowcy doszli do wniosku, że z przestrachu pijak może w sekundę wytrzeźwieć. Dlatego niech nas nie dziwi, iż Chlawne, skoro tylko oblał się pechowca Rotszylda, z przerażenia natychmiast wytrzeźwiał. Rzecz jasna, nie na tyle, aby mógł sam podnieść się z błota i stać się normalnym, samodzielnie poruszającym się człowiekiem. Stopniowo jednak wracał do siebie. Zaczął powoli odzyskiwać władzę we wszystkich członkach i rozjaśniał mu się umysł. Obudzony zmysł dotyku uprzytomnił mu, że Waszti to Żyd z brodą. Następnie obudził się zmysł słuchu. Usłyszał całkiem wyraźnie słowa:

— *Szma Izrael*<sup>109</sup>! Gwałtu, ratujcie Żydzi!

Zmysł zapachu upewnił go, że obydwaj leżą w błocie, w słynnym smrodliwym bloku Kasrylewki. Chociaż nie wiadomo, jak się starał przy pomocy zmysłu wzroku ustalić istotę, która przy nim leżała, w żaden sposób mu się to nie udawało. Księżyc skrył się bowiem za gęstymi chmurami, a ciemna noc rozpostarła swoje skrzydła nad Kasrylewką.

Również Rotszyld zaczął powoli wracać do siebie. Śmiertelny strach, jaki niedawno przeżył, minął. Obydwaj nasi bohaterowie odzyskali mowę. Wywiązała się między nimi taka oto rozmowa. Przekazuję ją w dosłownym brzmieniu:

<sup>104</sup>*reb* — skrót hebrajskiego słowa *rabi*, które jest tytułem uczonego, rabina itp. U Żydów wyraz *reb* przed imieniem własnym oznacza szacunek dla osoby, do której zwracają się oni w ten sposób lub o której mówią. Młodszy wiekiem zawsze tak mówi do starszego. [przypis tłumacza]

<sup>105</sup>*Wajzuse* — najgłupszy syn Hamana. [przypis tłumacza]

<sup>106</sup>*Waszti* — według *Księgi Estery* piękna żona króla Achaszwerosa, oddalona przez niego za publicznie okazywane nieposłuszeństwo; jej następczynią została Estera. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>*krasawica* — piękność. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>*apopleksja* — wylew krwi do mózgu. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>*Szma Izrael* — dosł.: „słuchaj Izraelu!”. Są to pierwsze słowa modlitwy odmawianej dwa razy dziennie podczas nabożeństw porannych i popołudniowych. Tę najstarszą z żydowskich modlitw recytowali już kapłani w Świątyni Jerozolimskiej. W diasporze stała się ona niejako hasłem narodu żydowskiego. Z tym wyznaniem na ustach szli na śmierć żydowscy męczennicy wszystkich czasów. [przypis tłumacza]



Chlawne: — To ty?  
Rotszyld: — To ja.  
Chlawne: — Co ty robisz w tym błocie?  
Rotszyld: — Nic.  
Chlawne: — Co za licho cię przyniosło?  
Rotszyld: — Nie wiem.  
Chlawne: — Tfu! Czym się zajmujesz? Rzemieślnik? Szewc?  
Rotszyld: — Nie.  
Chlawne: — W takim razie może właściciel domu?  
Rotszyld: — Nie. Nie!  
Chlawne: — To kim wreszcie, do wszystkich diabłów, jesteś?  
Rotszyld: — Jestem... Ja jestem śmiertelnie głodny.

Chlawne: — A więc to taka historia. Jesteś śmiertelnie głodny? Hm... A ja jestem śmiertelnie pijany. Sza! Jeśli się nie mylę, to ty jesteś chyba Rotszyld? Ależ tak, jakim Żyd. Od razu cię poznałem. A skoro tak, to chyba słusznym będzie, jeśli pomożesz mi wydostać się z tego błota. A jeśliś pewny, że masz nogi, to moglibyśmy razem przejść się do mnie do domu i coś przekąsić. Coś mi się snuje po głowie, że dziś mamy na całym świecie święto. Może Symchas Tojre<sup>110</sup>? A może Purim? Dokładnie ci nie powiem, ale święto z całą pewnością. Gdyby nawet wszyscy królowie ze wschodu i z zachodu przyszli i powiedzieli, że nie, to gwizdzą na nich.

Minęła chwilką i obaj nasi bohaterowie wykaraskali się z błota. Oparci jeden o drugiego — to znaczy Rotszyld podtrzymywał Chlawnego, aby się nie wywalił — ruszyli w drogę. Chlawnemu wytrzeźwiała bowiem tylko głowa. Nogi zaś dalej były do niczego. A gdy przyszli do...

W tym miejscu mam zamiar zostawić naszych bohaterów na spacerze. Tymczasem chcę zajrzeć na chwilę do mieszkania Chlawnego. Chcę zobaczyć, co porabia jego żona Gitl.

## Rozdział VII

Bez względu na to, co krytycy wypisują, i co szyderycy wygadują, żona pozostaje żoną. Dopiero zaczęło zmierzchać, a Gitl już wypatrywała męża, który miał wrócić z bożnicy po megile, aby pokrzepić go po postnym dniu. Nakryła stół świątecznym obrusem. Postawiła na nim oczywiście to, co jej Chlawne najbardziej lubił — butelkę i szklaneczkę. Może być, że w butelce nie było więcej wódki niż na jedną małą szklaneczkę, a może nawet na dwie szklaneczki. Było przecież święto. Za to znalazło się na stole ciasto hamanowe z makiem. Duże, długie i szerokie. Prawdziwe szewskie ciasto hamanowe. Zdawało się, że to ciasto uzałało się: „Gdzie jesteś Chlawne? Przyjdź i zjedz mnie!”. Chlawne nie mógł jednak tego słyszeć. W tym czasie przebywał jeszcze u swoich koleżków po fachu. Zdrowo sobie popijali na cześć święta Purim.

Na próżno szewcowa wypatrywała przez okno swego męża. Raz po raz podbiegała do drzwi. Każdy szelest, każdy dźwięk wydawał się jej zapowiedzią nadejścia Chlawnego. Chlawne jednak nie przychodził. Leżał w tym czasie samotnie w błocie i prowadził rozmowę z Waszti. Gitl nie wiedziała już, co myśleć. Spodziewała się najgorszego, jak to zwykle baby. Gdy zrobiło się bardzo ciemno, złapała szal i narzuciwszy go na plecy ruszyła na poszukiwanie męża. Nie odnalazła go jednak. Szewcy, z którymi niedawno popijał, zapewniali ją, przysięgając na wszystkie świętości, że Chlawne zaraz po megile udał się do domu. O żadnym picu mowy nie było. Kropli do ust nie wzięli. Chyba, że gdzieś spotkał Szymona Wolfa.

Na dźwięk tego imienia Gitl zadrżała. Ten Szymon Wolf kosztował ją niemało zdrowia.

Szymon Wolf też jest szewcem. Też lubi to, czym jej mąż Chlawne nie gardzi. Gdzie tam jednak Chlawnemu do niego! Szymon Wolf słynie na całym świecie. Nazywają go

<sup>110</sup>*Symchat Tora (Symchas Tojre)* — dosł. „radość Tory”; święto przypadające w ósmym dniu święta Sukot, związane z odczytywaniem *Pięcioksięgi Mojżeszowego*, którego rozdziały w ciągu całego roku odczytuje się podczas nabożeństw w świątyniach w sobotę i święta. W to święto wierzący przy śpiewie nabożnych pieśni obnoszą rodaly [przyp. tłum: *rodaly* — pięcioksięgi przeznaczone do celów rytualnych, spisane na sklejonych arkuszach pergaminu. Arkusze te owija się na ozdobnych drewnianych drążkach, następnie przywdziewa się je w ozdobne haftowane pelerynki i przechowuje w świątyniach, w specjalnie do tego celu przeznaczonej szafie, zwanej *aron-kojdesz* (święta szafa, arka.) wokół ambon w świątyniach. [przypis tłumacza]

nie inaczej, jak tylko Szymon-Wolf-pijak. Powiadają, że jego ojciec umarł od wódki. Pewnego razu z okazji święta Symchas Tojre pił się tak, że wódka w nim się zapaliła. Spłonął jak świeca. Z Szymonem Wolfem wydarzyła się kiedyś podobna rzecz, ale udało się go odratować. Gitl nie wierzyła w to, aby jej mąż zszedł się z nim na nowo. Przysiągł jej bowiem, dał jej na to słowo, przykładając ręce do tefilin<sup>111</sup>, że w życiu więcej z nim spotykać się nie będzie. Z tego to powodu wybuchła kiedyś wielka draka między Gitl a żoną Szymona Wolfa, Chaną-Zisl. Zaczęła się ona od słów i słóweczek, a skończyła się bardzo brzydko. Baby zaplątały się tak w woalkach i włosach, że nie sposób było je rozdzielić. Od tego czasu nie rozmawiają z sobą. Gdy się spotykają, jedna ustępuje drogę drugiej. Każda przy tym spluwa trzy razy.

Długo biła się Gitl z myślami: „Co robić? Iść do tej hultajki Chany-Zisl, czy nie?” Bała się nowego skandalu. I chyba sam Pan Bóg wtrącił się w sprawę i jej pomógł. Oto bowiem nim coś postanowiła, zauważyła na drodze jakieś idące w jej stronę okutane w ciemną szatę stworzenie. Gitl przesywa wzrokiem ciemności i dostrzega Chanę-Zisl. Obydwie gotowe są odskoczyć od siebie i jak zwykle splunąć trzy razy. Jakaś tajemna siła tym razem jednak je powstrzymuje. Obydwie naraz zaczynają gadać. Ich rozmowa jest krótka, ale rzeczowa:

— Dokąd o tak późnej porze?

— A pani dokąd?

— Ja szukam mego męża.

— To samo i ja.

— Gdzie oni mogą być?

— Żebym to wiedziała.

— Mój był w bożnicy.

— I mój tam był.

— Chyba już stamtąd wyszli?

— Wszystko na to wskazuje.

Obydwie kobiety wzdychają jednocześnie i każda idzie w swoją stronę.

## Rozdział VIII

Przygnębiona, pełna najczarniejszych myśli, wróciła Gitl do domu. Spojrzawszy na leżące na stole ciasto hamanowe odniosła wrażenie, że zadaje jej ono pytanie: „Co się stało z Chlawnem?” Ze zmartwienia rzuca się na łóżko i natychmiast zasypia. We śnie słyszy, jak ktoś puka w okno i woła ją po imieniu. Chce podnieść głowę i nie może. Nie podnosząc się z łóżka pyta: „Kto tam?” Odpowiedź następuje szybko. To szewcowa Chana-Zisl w towarzystwie szamesa<sup>112</sup> z Bractwa Pogrzebowego przysłała po całun. Gitl sama nie wie, skąd się u niej wzięło tyle sił, aby móc mówić na taki temat. Obojętnie, jakby tu chodziło o zwykłą dzieżę z mąką na chleb, albo o ćwiartkę kury na sobotę, zadaje pytania: „Czy oni się spalili?” „Spalili”. „Obydwaj?” „Obydwaj”. Ze strachu o mało co nie spadła z łóżka. Siada i słyszy, jak kilka par rąk szarpie drzwi. Włosy jeżą się jej na głowie. Ledwo słyszalnym głosem woła:

— Kto to?

— To my.

— Co za my.

— Otwórz drzwi, to zobaczysz.

— Są otwarte.

— Nie możemy utrafić w klamkę.

Poznaje męża po głosie. Prędko otwiera drzwi i widzi przed sobą dwa nieboskie stworzenia. Umazane w błocie, utytlane. Odskakuje do tyłu.

— Wesółych świąt, Gitl! — tak wita ją Chlawne i wtacza się wraz z Rotszyldem do izby. — Obym się tak nie nazywał Chlawne, jeśli zgadniesz, kto do ciebie przyszedł w gości. Przyszli do ciebie z okazji Purim dwa nieboszczyki. Bój się Boga, czemuś się tak przerażała? Trupy to my jesteśmy, ale nie z tamtego świata. Jeden z nas jest śmiertelnie

<sup>111</sup>*tefilin* — dosł.: „modlitwy”; nazwa dwóch skórzanych pudełeczek zawierających wypisane na pergaminie modlitwy — przepisy, które mężczyźni od trzynastego roku życia wkładają na głowę i lewą rękę podczas modlitwy porannej w dni powszednie. [przypis tłumacza]

<sup>112</sup>*szames* — tak nazywano sługę bożnicy, synagogi oraz żydowskiej gminy wyznaniowej; właściwie jest to woźny bożnicy, gminy lub rabina. [przypis tłumacza]

pijany, a drugi śmiertelnie głodny. Kto z nas jest śmiertelnie pijany, a kto śmiertelnie głodny, sama się domyślasz. Jesteś przecież niegłupia. Nie patrz tak. Nie poznałaś go? To przecież Rotszyld. Oby reb Josie szczeł razem z kasrylewskim błotem! Rotszyld, biedaczysko, tak się utyłał wraz ze wszystkimi wieprzami. Słyszysz mnie Gitl! Z ciebie faktycznie mądra kobieta! Waszti może się schować przed tobą! Ale cóż widzimy? Sobotnia buteleczka stoi na stole. Serce mi podpowiedziało, że mamy dziś na świecie święto. Trzeba coś wypić i przekąsić. A na przekąskę masz, widzę, tego trójkątnego bękarta<sup>113</sup>. A niech go szlag trafi, tak jak jego ojca Hamana! *Lechaim*, Rotszyld. Oby Bóg dał Hamanowi dożyć następnego roku, żebyśmy go mogli znowu powiesić w bożnicy wraz z jego dziesięcioma synalkami. Czemu nic nie mówisz, Gitl? Powiedz: amen.

## MLECZNE POTRAWY

(*Monolog kasrylewskiego żarłoka*)

Zaiste mędrcom był ów człowiek, który wprowadził zwyczaj nakazujący w święto Sza-wuot<sup>114</sup> spożywać na śniadanie coś mlecznego. I nie ludźmy się — co może być lepszego, bardziej świeżego, słodsze i tańsze od potrawy mlecznej? Prawda, mleczna potrawa też wymaga pieniędzy. Ale kudy<sup>115</sup> do niej mięsu? W nim jest tylko mięso i kości. Mleczna potrawa składa się zaś z mleka, sera, masła, śmietany, zsiadłego mleka i serwatki. Nie mówię już o różnego rodzaju przysmakach, które można przyrządzić z mleka. Z mięsa możecie mieć bulion, rosół, sztukę mięsa, pieczeń — i to wszystko. Jeśli chodzi o mleko, to może być kaszka z mlekiem, makaron z mlekiem, ryż z mlekiem, kluski z mlekiem, zacierka z mlekiem, bałabuchy<sup>116</sup> z mlekiem, farfelki<sup>117</sup> z mlekiem i po prostu samo mleko. A cóż dopiero potrawy z sera i masła. Czy ktoś jest w stanie je wyliczyć! Weźcie tylko pod uwagę: pierogi, naleśniki, kugel<sup>118</sup>, nadziewane ciasto, paszteciki, bliny i knedle. A ile jeszcze innych — trudno spamiętać.

Na przykład — kruche ciastka z serem, kasza z maślanką, ryby smażone na maśle, biały barszcz mleczny. Słowem potrawy, których nikt za żadne skarby się nie wyrzeknie, chyba że byłby skończonym durkiem. Takiemu to tylko siano dać...

Co do mnie, jeśli obudzicie mnie w środku nocy i podacie do jedzenia coś mlecznego, i jeśli to będzie w sześć godzin po zjedzeniu przeze mnie mięsa, to odpowiem bez namysłu: „Z największym uszanowaniem, z największą przyjemnością!”. Po co miałbym zaprzeczać? Jestem zwolennikiem mlecznych potraw. I nie tyle ja, co „ona”. W naszej Kasrylewie nazywają nas „żarłokami”, aczkolwiek co do jedzenia, to jemy tyle, ile wszyscy pozostali Żydzi z Kasrylewki, to znaczy tyle, co nic. Powstaje zatem pytanie: Skąd przewisko „żarłoki”? Żeby to ja wiedział. Może z tego powodu, że lubimy gadać o jedzeniu. Ja, na przykład, lubię wychodzić na targ i stać przy straganach z rybami. Ryby to moja największa przyjemność, oddałbym za nie wszystko. A może dlatego, iż u nas spożywa się dużo chleba, stąd dużo mąki idzie na pieczywo sobotnie. Jest, bez uroku, u mnie komu żuć. Mam, oby żyli i tylko zdrowi byli, trzy czwarte tuzina gąb i każda z nich, dzięki Bogu, ma apetyt. W sprawie żarcia nie ma z nimi kłopotów, nie trzeba, broń Boże, odwoływać się do rabina. Lekarzy też nie trzeba się radzić. Oby tylko było co jeść.

Ja bowiem, oby Bóg uchował was od mego losu, do wielkich bogaczy się nie zaliczam, co oczywiście nie znaczy, że jestem skończonym biedakiem. Fakt jednak faktem, bogaczem nie jestem. Jestem kramarzem, to znaczy mam sklep. Możecie sobie wyobrazić, co to za sklep. Oby moi wrogowie i wrogowie wszystkich Żydów nie mieli lepszego! To tylko sklep dla pozorów. Trzymam go jedynie ze względu na swego krewniaka. Mam, wyobraźcie sobie, takiego zamożnego krewniaka. Ze strony mojej żony, oczywiście. Jego

<sup>113</sup>na przekąskę (...) trójkątnego bękarta — ciasto hamanowe, *hamantasz*, ma kształt trójkąta. [przypis tłumacza]

<sup>114</sup>Sza-wuot — święto objawienia Tory Mojżeszowi na górze Synaj, zarazem święto pierwszych zbiorów. [przypis tłumacza]

<sup>115</sup>kudy (rus.) — gdzie. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>bałabuchy — rodzaj pierogów. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>farfelki — rodzaj tartych klusek, danie kuchni żydowskiej. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>kugel — rodzaj leguminy, przysmak podawany jako deser po obiedzie sobotnim. [przypis tłumacza]

ojciec i jej babka byli kuzynostwem. Wprawdzie dalekim, ale to jednak krewniak. Pochodzi z Jampola, gdzie uchodzi za bogacza. Ścisłej mówiąc, uchodził kiedyś za wielkiego bogacza. Dziś jest z nim nie bardzo, to znaczy trochę podupał. Ale jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Obym ja miał to, co on stracił. Gdybym miał tyle, ile on sypła procentów, to by mi wystarczyło z hakiem. Od czasu do czasu jedziemy do Jampola na groby rodziców. Raz ja, innym razem żona. Człowiek pragnie trochę się wypłakać. Krewniak przyjazdu naszego nie znosi, gniewa się. Może się gniewać. Pomoże mu to jak umarłemu kadzidło. Musi coś dać, chce czy nie chce. Jeśli nie w gotówce, to w towarze. Jeśli nie w towarze, to w postaci weksla<sup>119</sup>. Nie ma rady. „Ona” bowiem jak się rozbeczy, to człowiek chce ją szybko mieć z głowy. „Masz, ino nie płacz”. Gdy ją z daleka zobaczą, robi im się tam, w Jampolu, ciężko na sercu.

Najpierw usiłują ją zbyć wykrętami. „Nie ma go w domu” — powiadają. „Wyjechał z Jampola”. „Bardzo zajęty”. Wszystko na nic. Guzik z pętelką. Co nasze, to nasze. Co nam się należy, musi być oddane. Tylko bez wykrętów! A co sobie wyobrażacie? Z całą pewnością nie jest dobrze, gdy trzeba się zwracać do kogoś o pomoc. Ale co robić? Jak to się popularnie po hebrajsku mówi: „Dopóki dusza kołacze się w naszym ciele, to rżnij Walenty”. Człowiek, póki żyje, musi jeść.

Co zaś do jedzenia, to trzeba powiedzieć, że ludzie nie żyją wyłącznie po to, aby jeść. Człowiek to przecież nie zwierzę. Zwierzę to zwierzę, a człowiek to człowiek. Jak sobie nie podje, to jak będzie żył? Z tego jasno wynika, że jak się ma żonę i w dodatku dziecięć, bez uroku, gęb — to chleb czy też bułka na stole muszą mieć odpowiedni kształt i wymiar. Nawet pełna micha piętrzących się ku górze kartofli znika po kwadransie. Śladu po nich nie ma. Można przysiąc, że w ogóle nigdy nie było kartofli na świecie. Nie istniały. Istna rozkosz, zapewniam was, patrzeć, jak pałaszują te moje gęby. Ogarnia mnie wówczas niewysłowiona przyjemność. A cóż dopiero za radość, gdy w piątek wieczorem na stole zjawia się chała, wyjęta niedawno z pieca, świeża i pachnąca.

Zwołuję wtedy moje bractwo i tak do nich mówię: „Ratujcie dzieci!”. Zobaczylibyście, jak ratują. Dusza się raduje. A jeśli Bóg łaskaw i do chały dochodzi jeszcze gorący rosół z mięsa, zaprawiony czosnkiem i „sumieniem” (to znaczy więcej jest rosółu niż mięsa, można nawet powiedzieć, że prawie sam rosół), to aż dziw bierze na widok, gdy moi zaczynają maczać w nim pajdy chleba. Dobrze jest, mój narodek jest zadowolony. A co by było, gdyby, broń Boże, nie było tego rosółu? Wtedy jadłoby się chałę z chlebem, a raczej chleb z chałą. Kęs chleba i kęs chały. Możecie mi wierzyć, że dla głodnego żołądka to też potrawa. Najlepszy dowód z lemoniadą. Jedliście kiedyś chleb z lemoniadą? Nigdy? Spróbujcie kiedyś z samej tylko ciekawości. Pod jednym warunkiem. Przedtem trzeba się wygłodzić. Tak, aby serce mdało, ręce się trzęsły, żyły w nogach się wydłużyły. Wtedy, wierzcie mi, odczujecie smak raj. W normalnych warunkach lemoniada nawet szczypie w język. Gdy się jednak jest głodnym, to chleb z lemoniadą jest potrawą królewską.

Widzę w waszych oczach zdumienie. Skąd u nas taka biegłość w sztuce żarcia? Przecież mówiłem już wam, że w Kasrylewce zaliczają mnie do „żarłoków”. Dlatego też trzymam się zasady, iż człowiek żyje raz, a nie dwa razy. Gdy przez cały tydzień je jak pies, a w sobotę byle co, to niech przynajmniej w święto sprawia sobie przyjemność. Co wy na to? Nie tak? Czy jest za co, czy nie ma za co, uczta z mlecznej potrawy musi być. Bez żadnego ale! Najpierw cykoria z mlekiem. To należy do żelaznego repertuaru. Niezłomna to reguła. „Ona” bowiem, gdy tylko nadciąga święto Szawuot, zaczyna tęsknić za szklaną cykorią z mlekiem, którą stawia wyżej od wszelkich potraw mlecznych. Nie bierzcie jednak tego poważnie. „Ona” tylko tak mówi. Po szklaneczce cykori z mlekiem bierze ją ochota na coś innego. Na przykład na barszcz. Mam na myśli wspaniałą, „zieloną”, mleczną, świąteczną szawuotową barszcz z botwinki i cebulki. Młode, świeże buraczki poszatkowane na drobno. Barszcz zabielały śmietaną. Zapewniam was, że wszystkie smakołyki wysiadają przy takim mlecznym barszczu. U nas, wśród pospólstwa, gdyby nie było barszczu, nie utrzymałoby się żydostwo. Nie można by było przestrzegać żydowskich przepisów ani w święto Pesach<sup>120</sup>, ani w Szawuot. Różnica polega tylko na tym, że do

<sup>119</sup>*weksel* — dokument zobowiązujący do spłaty okazicielowi długu w określonym terminie. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>*Pesach* — dosł.: „przeskoczyć, ominąć”; nazwa świąt wielkanocnych, pochodząca stąd, że według *Biblii* dziesiątą plagą, którą Bóg doświadczył Egipcjan przed wyzwoleniem Żydów z ich niewoli, było uśmiercenie

pesachowego barszczu trzeba koniecznie mieć kawałek mięsa, albo kość, lub też łyżeczkę smalcu, a do szawuotowego barszczu nic nie potrzeba. Jest trochę mleka do zabielenia, to dobrze, nie ma, to wystarczy, że jest garnek od mleka. Moja czereda bowiem, jeśli dopuścisz ją do mleka, to nie wystarczy jedna koza. Co ja mówię? Trzy kozy to też będzie mało. Atoli w naszym posiadaniu jest tylko pół kozy. Dla wyjaśnienia dodam, że mamy do spółki z sąsiadem wspólną kozę. Cała historia z tą kozą. Wciąż wchodzi komuś w szkodę. Mamy z nią mnóstwo kłopotów. Niedawno postanowiła przestać się doić. To znaczy doić się doić, ale mleka nie daje. No, to bądź tu mądry i wydostań z niej pierożki i naleśniki.

— Oj — powiadam do żony — gdyby to pierożki były! Oddałbym za mleczne pierożki, lub za naleśniki, sam już nie wiem co! Gdybyś spotkała Sarę-Zisl, to spytaj się, czy, z woli boskiej, będą pierożki na święto Szawuot.

Ona na to:

— A z czego to, na przykład?

Odpowiadam:

— Po to jesteś przecież u mnie gospodynią.

Na to ona:

— Do pierożków trzeba mieć jajka. Chyba o tym wiesz?

— Też mi sztuka, zrobić pierożki z jajkami. Pokaż, że potrafisz zrobić pierożki bez jajek.

— Widzieliście mądrą? A co z serem?

— Z serem byłoby dobrze. Źle, że bez sera.

— To czego chcesz?

— Chcę, żebyś przynajmniej zrobiła gryczane pierożki.

— Do gryczanych trzeba mieć masło.

— A gdzie to jest napisane? W książkach?

— Ty lepiej powinieneś wiedzieć, gdzie to jest napisane. Tyś chodził do chederu<sup>121</sup>, a nie ja.

— Wiesz, co ci powiem, moja żono? Skoro nie mamy ani jajek, ani sera, ani masła, to pogadajmy przynajmniej trochę o potrawach mlecznych. Co byś, na przykład, przygotowała na ucztę świąteczną, gdybyś miała z czego?

— Póki żyję, nie widziałam jeszcze człowieka, który by tak jak ty całkowicie był pogrążony w sprawach żarcia.

— A co ci szkodzi, że sobie tak pogadamy? Dużo ciebie to kosztuje? Niech ci się zdaje, że masz wszystko. I ser, i masło, i jajka. Jaką to mleczną ucztę zrobiłabyś wtedy!

— A co byś chciał, abym zrobiła?

— Ciasto.

— Pijus jesteś i obzartuch. Ciasto pochłania całe masło.

— Niech będą leniwe pierogi.

— Dlaczego zaraz leniwe?

— Nie chcesz leniwych, niech będą knysze<sup>122</sup>.

— Z czym? Z kaszą?

— Też mi. Z kaszą to już będą placki kaszane, a nie knysze.

— To mogło się wylęgnać tylko w twojej, męskiej łepetynie.

— Może być, że ty się na tym znasz lepiej. Nie będę się spierał. Zapomniałem wymienić ryby smażone na maśle. Co o tym sądzisz?

— Wszystkiego mu się zachciewa! Karasie ci już w głowie?

---

egipskich niemowląt pierworodnych płci męskiej, czego dokonując Pan Bóg omijał (przeskakiwał) te domy, w których mieszkali Żydzi (pomazane uprzednio krwią baranka). W święta te Żydom nie wolno spożywać chleba, bułek ani żadnego pieczywa wypiekanego na drożdżach. Ponadto nie wolno używać naczyń, w których gotuje się przez cały rok, gdyż zachodzi obawa, by nie zjeść czegoś, co nie jest przasne. Używa się więc wtedy specjalnych naczyń oraz jadła dozwolonego przez ściśle przestrzegane przepisy religijne. Pesach jest też nazwą ofiary religijnej w formie uczyty, libacji sakralnej. [przypis tłumacza]

<sup>121</sup>cheder — dosł.: „pokój”; nazwa szkoły dla początkujących, w której żydowski chłopcy po ukończeniu piątego roku życia uczyli się czytania po hebrajsku modlitw oraz poznawali *Pismo Święte*. [przypis tłumacza]

<sup>122</sup>knyszka — ciasto nadziewane kaszą lub serem. [przypis tłumacza]

— Może być karp. Nie zaszkodzi lin. Szczupakiem też człowiek się nie otruje. A gdyby nawet znalazły się zwykle plotki, to też z tego powodu nie rozwiodę się z tobą. Grunt, aby tylko były dobrze usmażone.

— A to ci głodomór! Boję się, że nie odmówisz spożycia samych kartofli z pieprzną ikrą śledzi.

— Z największą przyjemnością. Aby tylko po nich były jakieś placuszki.

— Kiszka bez dna! Zapewne myślisz o blinach?

— Nic podobnego. Właśnie, że o placuszkach. Bliny to bliny, a placuszki to placuszki. Placuszki to taki rodzaj smakołyku, który smakiem przypomina knedle od siedmiu boleści. A może zrobisz knedle na mleku?

— Wszystkiego by chciał. Świat mu za mały. A może zrobić ci zupę mleczną?

— Zapewne z bałabuchami?

— Fe! Nędzarska potrawa.

— Widzieliście bogaczkę?

— Bogaczką nie jestem, ale za to mam przynajmniej bogatą rodzinę.

— Dużo masz z tej twojej rodziny!

— Z pewnością więcej niż ty ze swojej!

Słowem, moja rodzina, twoja rodzina. Słowo za słowo, jak to zwykle między żoną a mężem, gdy się rozgadają. Pokłócą się i przeproszą. Jest przecież święto. Dziś mamy Szawuot. A Szawuot to najlepsze, najmiłsze święto ze wszystkich świąt. Czy może być coś lepszego, słodsze i bardziej smakowitego od tego święta? Przez całą noc człowiek czuwa. Odmawia wszystkie sześćset trzydzieści nakazów i zakazów. To znaczy całą *Torę*<sup>123</sup>. Człowiek jest tym napompowany i skoro świt wali do bożnicy. Tam o suchym pysku nasłucha się *Akdomos*<sup>124</sup>, w których mowa o najdroższych potrawach przyrządzonych z legendarnego Lewiatana<sup>125</sup> i potężnego pustynnego byka<sup>126</sup>, przeznaczonego przez samego Boga na ucztę dla swoich Żydów w raju. A w raju płyną rzeki pełne oliwy, stoją rzędem od dawna przygotowane niezliczone butelki wina. Wszystko tam czeka. Nie wypada przecież, jak to u Żydów, powiedzieć, że na nas czeka. Jedna tylko, wierzcie mi, bieda i jedno zmartwienie, że mamy tylko raz w roku Szawuot... Czy nie ma pan czasem papierosika?

## POCIECHA Z DZIECI

(*Monolog*)

Bogaczem, jak wiecie, nie jestem. Daleko mi do tego. Ale to nic. Wystarczy, że mam własne mieszkanie. Mówiąc jednak między nami, co człowiek ma z mieszkania? Same kłopoty. Jeśli zaś chodzi o dzieci, to mogę się pochwalić. Mam z nich, dzięki Bogu, wielką pociechę. Znacznie większą od największego bogacza z Kasrylewki. Gdy nadchodzi święto, zbierają się u mnie wszystkie. Synowie, córki, synowe, zięciowie i wszystkie moje wnuki. I kto, powiedzcie mi, może się wówczas ze mną równać?

Weźmy dla przykładu święto Purim<sup>127</sup>. Ucztę purimową. Co za smak, proszę mi powiedzieć, ma taka ucztę, gdy przy stole zasiadasz sam z żoną?

Wyobraźcie sobie, że zjadłem już ryby, zaliczyłem rosół, makaron, cymes<sup>128</sup> i jeszcze coś niecoś. I co z tego? Guzik z pętelką! I koń, nie przymierzając, też je. Człowiek to jednak nie koń. A zwłaszcza Żyd i zwłaszcza w święto. A szczególnie w takie święto, jak Purim.

Nade wszystko, dzieci. Mam ich ośmioro, oby zdrowe były. Wszystkie córki zamężne, wszyscy synowie żonaci. (Miałem dwanaścioro dzieci, czworo z nich, niestety, zmarło).

<sup>123</sup>*Tora* — dosł.: „nauka”; nazwa *Biblii*, w szerokim pojęciu oznacza wiedzę, nauki religijne. [przypis tłumacza]

<sup>124</sup>*Akdomos* — utwór poetycki śpiewany podczas modłów w święto Szawuot. [przypis tłumacza]

<sup>125</sup>*Lewiatan* (bibl.) — potwór morski, symbol zła. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>*potężny pustynny byk* — *Szor Habor*, legendarny wół, byk pustynny pasący się na rajskiej łące, którego mięso — według wierzeń Żydów — spożywać będą sprawiedliwi po przyjściu Mesjasza. [przypis tłumacza]

<sup>127</sup>*Purim* — (z hebr. losy) święto upamiętniające cudowne ocalenie Żydów, których Haman, minister na dworze perskiego króla, postanowił zgładzić. [przypis tłumacza]

<sup>128</sup>*cymes* — słodka potrawa z ryżu lub makaronu i marchewki. [przypis edytorski]

Połowa z nich to córki, połowa synowie. Dochodzi zatem czterech zięciów i cztery synowe. Rachunek więc prosty. W sumie, bez uroku, szesnaście osób.

A gdzie wnuki? Chwała Bogu, wszystkie moje córki i wszystkie moje synowe co roku rodzą. Jedna ma jedenaścioro, druga dziewięcioro, inne znów po siedmioro dzieci. Bezplodnych, to znaczy takich, które by w ogóle nie rodziły, w mojej rodzinie nie ma.

Tylko z jednym synem, z tym średnim, miałem kiedyś kłopot. Moja synowa przez jakiś czas nie miała dzieci. Jak nie miała, tak nie miała. I zaczęła się wtedy kołomyjka. Lekarze, rabin i, nie przymierzając, znachor. Wszystko na nic.

Słowem nie pozostało nic innego, jak tylko rozwód.

Łatwo powiedzieć, rozwieść się. Gdy tylko doszło do sprawy rozwodowej, zaczynało się: kto? co? Synowa stanęła okoniem. Nie i nie.

Co znaczy nie? Uparła się. Twierdzi, że kocha go.

— Durniu jeden — powiadam do syna. — Nie słuchaj jej.

Wtedy on:

— Ja ją też Kocham.

I co wy na to? Mędrzec się znalazł. Ja mu powiadam, że „dzieci”, on mi na to, że „miłość”. Widzieliście kiedyś takiego ciamajdę?

Jednym słowem, nie rozwiedli się. I Bóg pomógł. Już chyba sześć lat minęło, jak zaczęła rodzić. I co rok prorok. Zасыpuje mnie wprost wnukami.

Ach, gdybyście widzieli moich wnuków. Wszyscy udani. Jeden ładniejszy od drugiego. Rozkosz na nich patrzeć. Powiadam wam, istne skarby.

A jak się uczą? Chcecie *Gemara*<sup>129</sup>? Bardzo proszę. Na pamięć znają. O *Pięcioksięgu*<sup>130</sup>, *Raszi*<sup>131</sup>, *Tanachu*<sup>132</sup>, gramatyce i wszystkich innych dzisiejszych przedmiotach już nawet nie mówię. A jak czytają i piszą! Po żydowsku, po rosyjsku, niemiecku, francusku i po, po, po...

Gdy czasem zdarza się, że mam przeczytać jakiś list albo napisać jakiś adres, lub coś innego, wybucha natychmiast wojna.

— Dziadku, ja to zrobię! Dziadku, lepiej jak ja to zrobię!

A że spytacie mnie o *parnose*<sup>133</sup>, o moje zarobki, to co? Jest przecież Bóg. Jego to już sprawa. Raz tak, raz inaczej. Raz lepiej, raz gorzej. Wyobraźcie sobie, że częściej gorzej niż lepiej. Przemęczy się człowiek i jakoś rok przemija. Aby tylko, jak to się mówi, zdrowie dopisało.

Memu starszemu synowi powodziło się niezgorzej. Mieszkał na wsi, która nazywała się Złodziejówka. Zarabiał zupełnie dobrze. Gdy jednak wyszedł *ukaz*<sup>134</sup> z dnia trzeciego maja, dobrano się do niego. On oczywiście nie dał się. Zakrzętnął się energicznie, by udowodnić, iż nie jest wcale nowym „osiedleńcem”. Przyniósł dokumenty, które stwierdzały, że mieszka tam od szóstego dnia stworzenia świata. Posłał je do senatu. Jednym słowem, nic nie wskórał. Nie pomógł mu nawet krzyk modlitewny *Szma Izrael*<sup>135</sup>. Wypędzono go. Do dnia dzisiejszego nie może do siebie wrócić. Mieszka przeto u mnie z żoną i dziećmi. A jakżeby inaczej?

Drugiemu memu synowi po prostu się nie wiedzie. Pechowiec, czego się nie tknie, idzie mu jak po grudzie. Nakupi zboża, cena leci w dół. Kupi woły — zdechną. Zajmie

<sup>129</sup>*Gemara* — dosłownie: zakończenie; nazwa części *Talmudu*, zawierająca komentarze do *Miszny*. [przypis tłumacza]

<sup>130</sup>*Pięcioksiąg* — pierwsze pięć ksiąg *Starego Testamentu*, zwanych też *księgami Mojżeszowymi*. Ta ostatnia nazwa nie wskazuje bynajmniej autora tych ksiąg, lecz tylko stwierdza, że podstawą ich jest tzw. prawo Mojżeszowe (stąd hebrajska nazwa *Księga Prawa*, *Prawo* — *Tora*). *Pięcioksiąg* opisuje, jak powstało to prawo, ilustruje też genezę i rozwój tego prawa wydarzeniami historycznymi lub uważanymi za historyczne. [przypis tłumacza]

<sup>131</sup>*Raszi* — skrót imienia rabiego Szlomo Icchaki (1040–1105), najpopularniejszego komentatora *Pisma Świętego* oraz *Talmudu*. [przypis tłumacza]

<sup>132</sup>*Tanach* — skrót od słów: *Tora* — *Pięcioksiąg*, *newiim* — *Prorocy*, *chtuwim* — *Pisma*, czyli cała *Tora*. [przypis tłumacza]

<sup>133</sup>*parnose* — zarobek, płatne zajęcie. [przypis tłumacza]

<sup>134</sup>*ukaz* (ros.) — zarządzenie władz. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>*Szma Izrael* — dosł.: „słuchaj Izraelu!”. Są to pierwsze słowa modlitwy odmawianej dwa razy dziennie podczas nabożeństw porannych i popołudniowych. Tę najstarszą z żydowskich modlitw recytowali już kapłani w Świątyni Jerozolimskiej. W diasporze stała się ona niejako hasłem narodu żydowskiego. Z tym wyznaniem na ustach szli na śmierć żydowscy męczennicy wszystkich czasów. [przypis tłumacza]

się lasem — zima będzie wyjątkowo ciepła. Słowem, szczęściarz. Gdyby utkwiał wzrok w rzece, ryby niechybnie by pozdychały. Pomyślałem więc i powiadam do niego:

— Wiesz co? Przenieś się z żoną i dziećmi do mnie. Było nie było!

Trzeciemu memu synowi powodziło się całkiem nieźle, dopóki jego dobytku nie strawił wielki pożar. Wyszedł z niego jak Adam z raju. Goły i bosi. Do tego z nie lada brzemieniem, na które składał się donosik i sędzia śledczy, kłopoty i zmartwienia, a na dodatek karta powołania do wojska. Nie pytajcie lepiej. Jest jak jest, czyli dobrze. Obecnie siedzi wraz z całą swoją gromadką u mnie. A jakżeby inaczej?

Tylko jednemu, memu młodszemu synowi, jest nie najgorzej. Zresztą, co to znaczy nie najgorzej? Pieniądzy to on nie ma. Ma za to bogatego teścia. Nie jest, co prawda, tak bogaty, jak człowiek stale zarabiający, prowadzi jednak wiele interesów. Wielki krętacz, kombinator, niech Bóg od niego uchowa. Tak długo kręci, aż sobie zakręci i drugiego wciągnie. I co? Za każdym razem potrafi się gagatek wykręcić. Nieraz już stracił zarówno swoje, jak i cudze pieniądze. Mówię wtedy do niego:

— Czego pan się dobrał do pieniędzy mego syna?

A ten mi odpowiada:

— A panu co do tego? Miał pan w nich udział?

Mówię do niego:

— Mój syn na razie jest dla mnie dzieckiem.

A on:

— A moja córka nie jest dla mnie dzieckiem?

Wtedy ja:

— E!

Na to on:

— Be!

Powiadam więc:

— A niech tam!

Jego odpowiedź:

— Skończmy!

Słowo za słowo. Wołam mego syna i tak mu powiadam:

— Pluń na twego teścia, tego bogacza i krętacza, i przenieś się do mnie. Co Bóg da, to da. Abyśmy byli razem.

Jeśli chodzi o zięciów, to już w ogóle nie mam szczęścia. Ale to zupełnie. To znaczy, że pretensji do nich nie żywię. Nie wstydzę się, broń Boże, za nich. Mam bowiem, możecie mi wierzyć, takich zięciów, jakich największy bogacz nie posiada. Porządni, z dobrych rodzin, ludzie z głową na karku.

Jeden zięć pochodzi z bardzo nobliwej rodziny. Istne cacko. Można powiedzieć „jedwabne dziecko”. Bardzo udany. Ma wszystkie zalety. Uczony wielkiej miary. Ślęczy tylko nad księgami. Jest na moim wikcie od ślubu. Gdybyście go znali, uznalibyście z pewnością za wielki grzech, gdybym go puścił w świat. Bóg wie, co by się z nim stało?

Mój drugi zięć nie wywodzi się już z tak nobliwej rodziny. Jest to istny skarb. Promień światła. Czego on nie umie? Umie czytać i pisać. Zna rachunki. Świetnie śpiewa i tańczy. Gra w szachy i, jak powiadają, gra doskonale. A mimo to, jeśli komuś nie jest sądzony, nie będzie kimś. Jak powiada król Salomon: „Nie dla mędrców chleb sądzony”. Wszyscy uczeni bez butów chodzą. Próbowałem z nim na wszystkie sposoby. Był już pachciarzem, kramarzem, melamedem<sup>136</sup> i swatem. Nic z tego nie wyszło, choć się zabij. Siedzi teraz u mnie wraz z dziećmi. Nie wyrzucę przecież własnej córki na ulicę.

Mam jeszcze jednego zięcia. Nie jest co prawda uczonym, ale też nie jest byle kim. Głowę ma nie od parady. *Gemarę* też zna. Gęba niczego sobie. Gdy ją otwiera, słowa sypią się niczym perły. Rozkosz słuchać. Jedną ma tylko wadę. Jest za delikatny. Przewaga ducha nad ciałem, to znaczy nie jest całkiem zdrowy. Jeśli popatrzyście na niego, to wydaje się, że nie dokucza mu nic złego. A jednak? Chodzi o to, że się nadmiernie poci. A na dodatek ten kaszel. Od czasu, jak zaczął kaszleć ze świstem jakimś paskudnym, nie może złapać

<sup>136</sup>*melamed* — dosł.: „nauczyciel”; uczył on dzieci żydowskie (od najmłodszego wieku, częstokroć od trzeciego roku życia) czytania po hebrajsku, znajomości *Pięcioksięgu*, modlitw, a także *Talmudu* i innych dzieł religijnych. [przypis tłumacza]



tchu. Lekarze zalecają mu pić mleko i jeździć na letnisko do Bobryka. Tam, powiadają, jeżdżą wszyscy chorzy, gdyż jest tam taki las, który jest lekarstwem na kaszel. Mam zamiar, jeśli Bóg pozwoli, w przyszłym roku na lato, o ile żyć będzie, pojechać z nim do Bobryka. Tymczasem, nim wyzdrowieje, leży, rzecz oczywista wraz z żoną i dziećmi, na moich plecach. A jest inne wyjście?

Mam ponadto jeszcze jednego zięcia, który dla odmiany jest zupełnie prostym człowiekiem. Można powiedzieć — człowiekiem znojnego trudu. To, oczywiście, uchowaj Bóg, nie oznacza, że jest rzemieślnikiem. Jakimś tam krawcem lub szewcem. W każdym razie nie jest byle kim.

Jest, że tak powiem, „rybakiem”. Handluje rybami, tak jak jego ojciec i dziadek. Cała jego rodzina zna się na jednej rzeczy. Na rybach, rybach i rybach.

Zapewne chcielibyście wiedzieć, skąd do mnie trafił taki zięć? Prawdopodobnie tkwi w tym jakiś głębszy sens. Jak to się mówi: „W każdej rzece różne pływają szczupaki”. Prawdopodobnie mojej córce przypadł taki szczęśliwy los. Właśnie takiego miała wziąć za męża.

To znaczy, ja do niego nic nie mam. Moja córka ma nawet z nim szczęśliwy żywot. Z natury bowiem jest dobrym człowiekiem. Brylant. Niezwykle nam wszystkim oddany. Co zarobi, to oddaje żonie. Wspiera i pomaga również pozostałym zięciom oraz moim synom, ile tylko może. Co tu jest do dodania? Haruje na nas wszystkich. Dla każdego z nas żywi głęboki szacunek. Zdaje sobie bowiem sprawę z tego, kim jest, a kim my jesteśmy. On to rozumie. On to czuje. On to on, a my — to jednak my. Tego lekceważyć nie można.

Bywa, że na spotkaniach z ludźmi dochodzi do rozmów na różne tematy. Moje dzieci podejmują rozmowę na temat komentarzy do *Pisma*. Zabierają głos w sprawach przepisów prawnych, albo szczególnie trudnych ustępów *Gemary*, albo o wyrwanym z kontekstu wersecie *Pisma*. On, biedaczysko, musi wtedy siedzieć cicho. To bowiem pozostaje dla niego niedostępną tajemnicą. Może, rzecz jasna, szczyć się swoimi szwagrami. Może na nich harować. A jakiego zdania wy jesteście? Nie tak? A jak?

Teraz, skoro już trochę poznaliście moją rodzinę, łatwiej możecie rozumieć moje zadowolenie i radość. Rozumiecie, jaką mam pociechę i satysfakcję, gdy w święto, powiedzmy w Purim, zasiadam do stołu wraz z moimi wszystkimi dziećmi, wszystkimi wnukami. Na stole piękny, wymyślny, potężny kołacz, purimowy, naszpikowany rodzynekami i pełen szafranu. Zaprawione pieprzem pikantne ryby z chrzanem. W rosole żółci się makaron. Kieliszek alkoholu, a jeśli Bóg łaskaw, to butelka wimorozigu albo szklaneczka wiśniówki, gdy się tylko znajdzie. Jeśli Bóg nie łaskawy, to wystarczy zwykły kieliszek wódki. Też ujdzie. A po tym rozlega się pieśń. Ja zaczynam od *Szoszanas Jaakow*<sup>137</sup> i powtarzam kilka razy. Dzieci natychmiast podchwytyją:

Radość i satysfakcja.

A małe łobuziaki, moje wnuki, śpiewają cienkim głosem:

Światło dla Żydów. Światło dla Żydów.  
Światło dla Żydów.

I wnet puszczają się w tany. Kto wtedy może się ze mną równać? Co mi tam Brodki? Co mi tam Rotszyld? Królem jestem zaiste. Chybaście to zauważyli. Bogaczem to ja nie jestem, ale pociechę z dzieci mam. Znacznie większą, dzięki Bogu, od największego bogacza w Kasrylewce.

## BEZ UROKU

(*Monolog*)

<sup>137</sup>*Szoszanas Jaakow* — *Róża Jakuba*, pieśń-modlitwa. [przypis tłumacza]

— Tak jak mnie tu widzicie — powiada do nas, siedzących pod budą na jego wozie, kasrylewski bałagula<sup>138</sup> — jestem Żydem, który posiada, bez uroku, dwa własne koniki. Ten gniady biega już u mnie ósmy rok. Jak sami widzicie, jest trochę ciężkawy w nogach i nietęgi z niego biegacz. Za to, bez uroku, tęgi z niego żarłok. Drugi, kasztan, też, bez uroku, nielichy. Mając takie dwa koniki i, z łaski Boga, kilku dobrych pasażerów i wielu mniej dobrych, można, bez uroku, nieźle zarobić. Można mieć *parnose*<sup>139</sup>, a nawet trzeba je mieć, albowiem w domu jest żona i sześć, bez uroku, żarłocznych dzióbeków. Ona, bez uroku, ciągle rodzi. Co rok prorok! Na imię ma Ester. Być może z tego powodu ma twarz nie z tego świata. Ongiś była, bez uroku, piękna, delikatna, zgrabna, po królewsku kształtna. Ja wtedy byłem jeszcze pomocnikiem bałaguly. Chłopak był ze mnie silny, mocny, bez uroku, jak żelazo. Niczego się nie bałem. Ani zimy, ani lata, ani śniegu, ani błota. A jeśli w błocie wóz się wywrócił, to co? Podstawiałem plecy, podnosiłem go i wyciągałem, nawet nie skrzywiwszy się. Taki był ze mnie chłop.

Ona zaś, znaczy Ester, była sierotą. Co prawda, z dobrego domu. Córka melameda<sup>140</sup>. Nie była jedynaczką, tylko jedną z ośmiu, bez uroku, dziewcząt wdowy, więc ta chciała ją czym prędzej wydać za mąż. Rajono jej mężów spośród najlepszych, bez uroku, rodzin. Był jednak mały szkopał. Panna nie miała posagu. A myśmy mieszkali pod jednym dachem, to znaczy w jednym domu. Pewnego dnia, akurat było święto i wszyscy mieszkańcy domu byli w bożnicy, odzywam się do niej, to znaczy do Ester: „Ester, czy ty mnie weźmiesz?”. Ona milczy. Otwieram więc znowu usta i powiadam: „Ester, nie zważaj na to, że jestem zwykłym poganiaczem u jakiegoś bałaguly. Weź pod uwagę — ciągnę dalej — że zdołałem zaoszczędzić trzydzieści kilka, bez uroku, karbowańców. Jak się tylko ożenię, zaraz kupię konika i sam, z Bożą pomocą, stanę się furmanem. Chłopak ze mnie pracowity, bez uroku, pracować potrafię. U mnie będzie ci jak w raj. Niczego ci nie zabraknie”. Ja mówię, a ona milczy.

Jednym słowem, pobraliśmy się. A jak zamieszkaliśmy razem, ona zaczęła rodzić. Co rok, bez uroku, prorok. A kiedy zaczęła rodzić, pojawiły się choroby. A jak zaczęła chorować, to chorowała i chorowała. Powiadam wtedy do niej: „Ester, jaki sens ma to twoje chorowanie? Co z tego może wyjść?”. Ona na to wybucha śmiechem. Wtedy ja powiadam: „Ester, tobie do śmiechu, a we mnie krew zastyga, kiedy patrzę na ciebie. Może byśmy się tak wybrali do doktora. Może znajdzie dla ciebie jakieś lekarstwo?”. No i zaczęliśmy się wybierać do doktora. Wybieraliśmy się i wybierali, ale jak to zrobić? Jak znaleźć czas, kiedy przez wszystkie dni tygodnia haruję? Chyba, że w sobotę.

Słowem, któreś soboty udało nam się wybrać do doktora. Przychodzimy do niego i od razu zadaję pytanie: „Co zrobić — powiadam — panie marszałku z tą jej chorobą?”. Doktor opukał ją, ostukał, przebałał i tak do mnie powiada: „Twoja żona nie jest zdrowa”. Na to ja się odzywam: „Panie konsyliarzu, dobrze, że mi pan to powiedział, bo inaczej to bym nie wiedział”. Wtedy on mówi do mnie: „Nie to miałem na myśli. Chciałem ci powiedzieć, że masz o nią dbać i strzec jak żrenicy oka. Ona nie powinna — powiada do mnie doktor — więcej rodzić. Jeśli urodzi jeszcze jedno albo dwoje dzieci, wykituje”. „Wykituje? A niech pan sobie, szanowny panie doktorze, odgryzie język! Ona — mówię dalej do niego — jest u mnie jedna, jedyna. Ona jest mi droższa ode mnie samego, droższa od moich koników. A pan mi tu będzie prawil o jakimś wykitowaniu. Do czego mi potrzebne pańskie rady? Daj jej pan lepiej jakiś skuteczny lek, żeby przestała chorować”. Co ja się będę długo rozwodził. Zapisał jej lekarstwo, jakieś tam proszki. Przychodzimy do domu i zaraz do niej powiadam: „Ester, słyszałaś, co ten mądry doktor powiedział?”. A ona w śmiech.

Mija rok, mijają dwa lata, a z nią jest coraz gorzej i gorzej. Dzieci zaś, żebyście je widzieli, są wszystkie, bez uroku, zadbane i, jedno w drugie, udane. Starszy chłopak ma już, bez uroku, trzynaście lat. Chciałem go kiedyś posłać do chederu<sup>141</sup>, wykształcić i zrobić

<sup>138</sup>*bałagula* — furman. [przypis tłumacza]

<sup>139</sup>*parnose* — zarobek, płatne zajęcie. [przypis tłumacza]

<sup>140</sup>*melamed* — dosł.: „nauczyciel”; uczył on dzieci żydowskie (od najmłodszego wieku, częstokroć od trzeciego roku życia) czytania po hebrajsku, znajomości *Pięcioksięgu*, modlitw, a także *Talmudu* i innych dzieł religijnych. [przypis tłumacza]

<sup>141</sup>*cheder* — dosł.: „pokój”; nazwa szkoły dla początkujących, w której żydowscy chłopcy po ukończeniu piętego roku życia uczyli się czytania po hebrajsku modlitw oraz poznawali *Pismo Święte*. [przypis tłumacza]

z niego uczonego w Piśmie, ale nic z tego nie wyszło. W głowie miał tylko koniki. To samo było z drugim i to samo z trzecim synem. Wracam z podróży do domu, wyprzęgam koniki i co? Moi chłopcy już są przy mnie. Jeden na wozie, drugi pod wozem, trzeci na jednym koniku, czwarty na drugim koniku, a najmniejszy siedzi na dyszlu. „Łobuzy — powiadam do nich — lepiej by było, gdybyście zajrzeli do modlitewników!”. Boli mnie, złości i doprowadza do wściekłości, że ja ciężko haruję, aby płacić za ich naukę, a oni nic. Miotam się z moją budą tam i nazad, a zarabiam, bez uroku, na ten codzienny kawałek chleba, ale też nie więcej niż na kawałek chleba. Połowa bowiem zarobku idzie na moje koniki. One, bez uroku, muszą codziennie otrzymać swoje porcje owsa. Wóz również trzeba smarować, a utrzymanie domu też nie bagatela. Ja również jestem człowiekiem! W rozjazdach, w drodze, ja, samodzielny bałagula, a nie jakiś tam pomocnik, potrzebuję od czasu do czasu wypić trochę wódki i zagryźć jakąś zakąską. Przecież nie mogę wypluć duszy. A tu bywa czasem tak, że ni z tego, ni z owego, padnie ci konik w drodze i koniec. Skończyła się twoja kariera.

Na szczęście Bóg zesłał nam piękny prezent — odrobinę szabasu<sup>142</sup>. Kiedy przyjdzie sobota, nikt z was mnie nie pozna. Jestem wtedy całkiem innym, bez uroku, człowiekiem.

Kiedy w piątek rano przyjeżdżam do domu, to pierwsze kroki kieruję do łaźni. Tam się, bez uroku, tak wyparzę, że ciało przyobleka się w nową skórę. Świeży i rześki wchodzę do domu i widzę na stole nasze dwa piękne, mocno już starte, mosiężne świeczniki i dwa duże, bez uroku, kołaczki. Ryby zapachem dają też znać o sobie. W izbie jest ciepło, wszystkie kąty lśnią od czystości. Nic innego, tylko przeglądać się w nich, jak w lustrze. Czulent<sup>143</sup> piecze się już w piecu, kot wygrzewa się przy kominku. Powtarzam po raz drugi przypadający na ten tydzień rozdział z *Biblij*. Potem idę do bożnicy, aby się pomodlić i wracam do domu, złożyć życzenia „dobrej soboty”. Wypowiadam wszystkie należne *szolem alejchemy*<sup>144</sup>. Kieliszkiem doskonałej wódki odpawiam wspaniałą sobotni kidusz<sup>145</sup>. Zjadam świętą, bez uroku, kolację — prawdziwą rybę, klarowny rosół i „cymesowy” cymes<sup>146</sup>, po czym kładę się, by odpocząć. Noc przesypiam, jak prawdziwy król.

Z rana idę do bożnicy niczym, bez uroku, hrabia. W domu zaś czekają już na mnie wszystkie wspaniałe szabasowe potrawy. Prawdziwie pańska rzodkiew, koszerna cebula, siekane jajka z piękną wątróbką, doskonała pieczeń przyprawiona dobrym czosnkiem, gorący rosół z tłustym kuglem<sup>147</sup>, z którego ścieka smalec. Po takiej uczcie można, bez uroku, dobrze pospać. A kiedy człowiek po takim obiedzie dobrze się wyśpi, to chciałby, bez uroku, czegoś się napić. A jeśli zaczyna cię we wnętrzu coś tam palić, to kwas jabłkowy okazuje się niezłym napojem, a cymes z gruszek niezłą potrawą. A kiedy, bez uroku, wypije się kwartę jabłkowego kwasu i zakąsi się go gruszkowym cymesem, to łatwo zabrać się do czytania *Psałmów*. Można, bez uroku, odwalić bez przerwy sporo rozdziałów. Albowiem tak, jak mnie tu widzicie, chociaż jestem bałagula, to *Psałmy* są u mnie jak pieśni. Oby tak moje bękarty po nas, oby po stu dwudziestu latach... Ale, ale, a niech ten konie szlag trafi. Prr... Prr... Stój! Ach bodajbyście przepadły!

I oto nagle kasrylewski bałagula naskoczył na swoje koniki, które poniosły wóz z góry w dół z takim impetem, że nim zdążyliśmy się zorientować, już leżeliśmy razem z wozem w lepkiem błocie. Pasażerowie, którzy siedzieli w budzie z przodu, znaleźli się, za przeproszeniem, pod nami. Gniady i kasztan leżą z wykręconymi do tyłu łbami, machają kopytami, rżą, usiłując wyrwać się z tej płataniny, ale nie mogą.

— Od kiedy doszedłem do rozumu — powiada do nas zawstydzony kasrylewski bałagula, któremu udało się wreszcie postawić konie na nogi — od kiedy stałem się furmanem, a minęło od tego czasu ze dwadzieścia kilka lat, zdarzyło mi się to, myślicie, ile razy? Ano zgadnijcie! Wszystkiego trzy razy. To jest, bez uroku, ten trzeci raz.

<sup>142</sup>szabas (szabat) — sobota. [przypis tłumacza]

<sup>143</sup>czulent — jednodaniowa potrawa szabasowa składająca się z mięsa wołowego, kartofli, kaszy perłowej, czasem śliwek i innych przypraw, tradycyjnie spożywana przez Żydów aszkenazyjskich na obiad. [przypis tłumacza]

<sup>144</sup>szolem alejchem — dosł.: „pokój z wami”; przywitanie u Żydów. [przypis tłumacza]

<sup>145</sup>kidusz — dosł.: „uświęcenie”; tak nazywa się błogosławieństwo odmawiane nad winem w wigilię sobót i świąt oraz w dni sobotnie i świąteczne tuż po nabożeństwie przedpołudniowym. [przypis tłumacza]

<sup>146</sup>cymes (jid.) — słodka potrawa z ryżu lub makaronu i marchewki; tu: rarytas, smakołyk. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>kugel — rodzaj leguminy, przysmak podawany jako deser po obiedzie sobotnim. [przypis tłumacza]

## JEMU TO MOŻNA POZAZDROŚCIĆ

Jak długo Kasrylewka istnieje jako miasto, nikt nie widział takiego pogrzebu, jaki miał kantor<sup>148</sup> reb<sup>149</sup> Mejlech.

Kantor Mejlech był skończonym nędzarzem, jak zresztą wszyscy obywatele tego miasta. Zasłużył zaś sobie na taki pogrzeb tylko dlatego, że umarł w Sądny Dzień<sup>150</sup> w czasie modlitwy *neile*<sup>151</sup>.

Tak umiera zwykle cadyk<sup>152</sup>. Wielki cadyk.

Słońce miało się ku zachodowi. Już żegnało Kasrylewkę, zaglądało do okien starej bożnicy i oświetlało martwe, umęczone twarze, żółte tałesy<sup>153</sup> i białe kitle ludzi wyglądających jak żywe trupy.

To, co pospolicie nazywa się głodem, żywe trupy już dawno przestały odczuwać. Czują tylko, jak uchodzą z nich siły, jak powoli ulatnia się z nich życie. Ludzie ci siedzieli pochyleni nad świątecznymi modlitewnikami. Kiwali się nad nimi i raz po raz orzeźwiali się kroplami nasercowymi. Niektórzy wachali tabakę. Wszyscy podśpiewywali melodię intonowaną przez kantora reb Mejlecha.

Kantor reb Mejlech był postawnym, pięknym mężczyzną. Jego twarz okalała długa i szeroka niczym kołnierz broda. Od rana stał przed pulpitem. Stał przed Bogiem z wysoko uniesionymi rękami. Modlił się żarliwie z jakimś szczególnym zamiłowaniem. Płakał. Błagał Najwyższego o litość dla obywateli miasta, którzy wybrali go na rzecznika swoich spraw. Miał uzyskać dla nich odkupienie grzechów i wybłagać dobry, lepszy przyszły rok.

Na takim adwokacie, jakim był reb Mejlech, zacni obywatele starej bożnicy mogli w zupełności polegać.

Po pierwsze, ze względu na walory głosowe. Starzy mieszkańcy opowiadają, że w młodości znany był z potężnego głosu, przypominającego istny ryk lwa. Wystarczyło, by otworzył usta, a ściany bożnicy trzęsły się w posadach, zaś okna rozdzwaniały się jak dzwony. Do tego był specjalistą od płaczu. Jak nikt ronił łzy, umiał płakać jak wierzba. Na ten widok cała bożnica wpadała w szloch. Na starość głos mu osłabł. Pozostał tylko płacz. Był to jednak płacz, który rozsadał ściany, płacz, który potrafił ożywić zmarłych.

Reb Mejlech wznosi ręce do góry i wyklóca się z Bogiem, spiera się z nim. Spór jest płacziwy. Na melodię typową dla modlitwy *neile*.

— *Oj-wej, tate! Oj-wej, oj-cze. Oj-wej, oj-wej!*

A wtedy każdy odczuwa skruchę, żałuje za swoje grzechy i prosi Boga, aby mu ją wymazał, dał odpuszczenie, zapomniał o tym, co było złe i podarował nowy rok życia. Rok dobry dla niego i dla jego gołych, bosych i głodnych dzieciątek.

Na wspomnienie gołych, bosych i głodnych dzieciątek, na wspomnienie niewinnych duszyczek, serca ludzi miękną jak wosk. Gotowi są pościć jeszcze trzy dni i jeszcze trzy noce, aby tylko wybłagać u Tego, który jest wieczny, dobry nowy rok...

I reb Mejlech, nasz kantor, po krótkim odpoczynku, łapie drugi oddech.

Nieartykułowane dźwięki przeplatają się z płaczem i błaganiami.

— *Oj-wej! Oj-wej! Oj-wej!*

Nagle zapada cisza. Słychać jakieś uderzenie. Zdaje się, że coś upadło. Rozlegają się szepty.

<sup>148</sup>kantor — śpiewak prowadzący modły przed pulpitem w bożnicy. [przypis tłumacza]

<sup>149</sup>reb — skrót hebrajskiego słowa *rabi*, które jest tytułem uczonego, rabina itp. U Żydów wyraz *reb* przed imieniem własnym oznacza szacunek dla osoby, do której zwracają się oni w ten sposób lub o której mówią. Młodszy wiekiem zawsze tak mówi do starszego. [przypis tłumacza]

<sup>150</sup>Sądny Dzień, *Jom Kipur* — dosł.: „dzień przebaczenia”, święto znane Polakom pod nazwą Dzień Pojednania lub Sądny Dzień. Pobożni Żydzi wierzą, że w tym dniu Bóg wyznacza losy wszystkich ludzi na następny rok, według ich dotychczasowych uczynków. W czasie tego święta Żydzi umartwiają się, modlą się od rana do nocy i postczą, przy czym nie tylko nie wolno im jeść, ale nawet napić się wody. Post obowiązuje od południa dnia poprzedzającego święto do wieczora dnia następnego, a od południa wigilii święta do następnego ranka — nawet małe dzieci. [przypis tłumacza]

<sup>151</sup>*neile* — modlitwa kończąca *Jom Kipur*. [przypis tłumacza]

<sup>152</sup>*cadyk* — dosł. „sprawiedliwy”; Żydzi zazwyczaj nazywają tak słynnych rabinów, uczonych, bogobojnych mężów słynących ze sprawiedliwości, dobroci i pobożności. [przypis tłumacza]

<sup>153</sup>*tales* — dosł.: „narzuta”; szata liturgiczna, wełniana biała chusta w niebieskie lub czarne pasy, w którą owijają się żonaci mężczyźni podczas modlitwy porannej oraz w czasie innych, ściśle określonych przez przepisy religijne nabożeństw. [przypis tłumacza]

— Sza. Sza. Szames<sup>154</sup>! Szames!

Nadbiega Chaim, szames bożnicy. Chwyta reb Mejelecha za ręce. Podtrzymuje go. Kantor odrzuca głowę do tyłu. Oczy ma na wpół przymknięte. Twarz ma bladą jak kreda. Wargi martwe. Igra na nich jakiś gorzki uśmiezek.

Tłum się podrywa. Podają reb Mejelechowi krople nasercowe. Opryskują go wodą. Przyciskają mu skronie. Nic nie pomaga. Kantor reb Mejelech nie rusza się. Kantor reb Mejelech umarł...

---

Wilk, gdy napada na stado i porywa owieczkę, wywołuje wśród pozostałych owiec zamieszanie. Jest to popłoch krótkotrwały. Wnet po tym zbijają się w kupę i tylko dreszcze przechodzą po ciele każdej owcy.

Tak też było w starej bożnicy, gdy umarł kantor reb Mejelech.

Przez krótką chwilę panowało w niej zamieszanie. Zrobiło się gwarno. Z pomieszczenia dla kobiet wydarł się jakiś dziwny pisk. To Cywia, żona kantora, straciła przytomność. Na ten widok kilka kobiet wpadło w omdlenie.

Wtedy reb Juzipl dał znak gabemu<sup>155</sup>. Ten uderzył w blat pulpitu. Ma być cicho. I wtedy Chaim, szames bożnicy, który przewodził porannej modlitwie, podszedł do pulpitu i podjął dalsze modły. Wszyscy zgromadzeni w bożnicy zaczęli się modlić dalej. I trwało to tak długo, dopóty Nisl, trębacz, nie zadął w róg po raz ostatni.

Potem odmówiono błogosławieństwo i przystąpiono do powszedniej modlitwy wieczornej *maariw*<sup>156</sup>, po której wszyscy wyszli na dwór powitać nowy księżyc. Następnie udano się do domu, aby coś przegryźć po wielkim poście. Każdy chciał się pokrzepić. Jedni kawałkiem kury ofiarnej i szklanką czegoś gorącego, drudzy zwykłym kawałkiem chleba ze śledziem i szklanką wody.

W godzinę po posiłku wszyscy wylegli na podwórze przed bożnicę. Zapelnili je po brzegi. Nie było gdzie szpilki wetknąć.

Zgromadzili się tu wszyscy. Mężczyźni i kobiety, chłopcy i dziewczęta. Nawet dzieci wyjęto z kołysek. Jak jeden mąż cała Kasrylewka przyszła na pogrzeb.

Zacni obywatele, gospodarze domów, sami zajęli się pogrzebem. Zadbali o dobry uczynek. Nie dopuścili szamesów. Nie dziwota. Taki nieboszczyk!

Noc była jasna i ciepła. Świecił księżyc. Jego blask oświetlał całą Kasrylewkę. Zdało się, że księżyc cieszy się z tego, że Żydzi przyszli złożyć hołd kantorowi reb Mejelechowi przed oczekującą go daleką drogą. Gdy zatrzymali się z trumną przed starą bożnicą, reb Juzipl zaczął odprawiać egzekwie.

Zgromadzony tłum płakał.

Reb Juzipl udawał, przy pomocy odpowiednich cytatów z *Pisma*, że śmierć kantora reb Mejelecha nie była zwykłą śmiercią zwykłego człowieka. Starał się wykazać, że tak umiera tylko wielki cadyk, który z tego miejsca idzie prosto do raj. Takiemu cadykowi każdy człowiek powinien zazdrościć i życzyć sobie takiej śmierci. Nie każdy może sobie zasłużyć na śmierć w Sądny Dzień w czasie *neile*, przed pulpitem, w momencie, gdy Bóg zdążył odpuścić człowiekowi wszystkie grzechy. A jeśli taki cadyk umiera, to całe miasto powinno iść na jego pogrzeb, powinno płakać i lamentować.

— Lamentujcie przeto Żydzi i płaczcie nad cadykiem, którego utraciliśmy. Proście go, żeby się wstawił za nami przed tronem Najwyższego. Niech wyprosi dla nas nowy dobry rok. Już czas najwyższy, żeby Bóg ulitował się nad Kasrylewką i jej Żydami!

Zebrany tłum płakał, zalewał się łzami. Wierzył głęboko, że wysłał do Najwyższego najodpowiedniejszego rzecznika i orędownika swoich spraw. W tej chwili każdy ze zgromadzonych życzył sobie być na miejscu kantora.

A reb Juzipl widocznie zapomniał przy odprawianiu egzekwii, że ma do czynienia ze zmarłym, albowiem tak zakończył:

— Idź w pokoju. W zdrowiu, szczęściu i powodzeniu podążaj!

---

<sup>154</sup>*szames* — tak nazywano sługę bożnicy, synagogi oraz żydowskiej gminy wyznaniowej; właściwie jest to woźny bożnicy, gminy lub rabina. [przypis tłumacza]

<sup>155</sup>*gabe* a. *gabaj* — jeden z przełożonych bożnicy, pełniący nad nią nadzór. [przypis tłumacza]

<sup>156</sup>*maariw* — dosł.: „zmiersch”; nazwa modlitwy wieczornej. [przypis tłumacza]

Długo, jeszcze długo po tym nie przestano w Kasrylewce rozprawiać o śmierci i pogrzebie kantora. Każda taka rozmowa kończyła się, przy wtórze westchnień, następującymi słowami:

— Tak, jemu to można pozazdrościć!

## NIE MA NIEBOSZCZYKÓW

Pierwszego sierpnia przybyłem do Kasrylewki odwiedzić groby rodziców. Stary, prastary cmentarz wygląda znacznie lepiej od samego miasta, sprawia wrażenie o wiele żywszego od niego. Są na nim grobowce w kształcie małych domków. Są one znacznie ładniejsze od najładniejszych domów w mieście. Należy przy tym nadmienić, że jest to niezwykle suche miejsce. Nie ma tu śladu owego typowego dla miasta gliniastego blocka. Na cmentarzu oko nasze cieszy zielenią. Latem rośnie tam trawka, kwitnie nawet kilka drzew owocowych. Słychać trele ptaków, przelatujących z jednej gałęzi na drugą. Słychać, jak gruchają i przekomarzają się w swoim ptasim języku. Tu wyraźnie widać, jak w górze, na niebieskim tle, świeci kulista, olbrzymia jarmułka w kształcie słońca. Powietrze jest tu wspaniałe. O niebo lepsze, bardziej świeże i zdrowsze od powietrza w mieście. Zarówno tu, jak i tam, w mieście, ludzie są martwi. Tu leżą głęboko zakopani w ziemi. Tam żywi przypominają martwych. Są na dnie ludzkiego bytowania. Różnica polega tylko na tym, że tu martwi leżą na jednym miejscu, tam zaś wałęsają się, krążą. Tu zażywają już odpoczynku, nie wiedzą, co to troski. Tam jeszcze się męczą, nikt nie wie, jak długo.

Nad grobami napotkałem kilka kobiet zanoszących się od płaczu. Przedkładały tu na głos swoje skargi. Głośno lamentowały i krzyczały. Jedna z nich nie przestawała przywoływać zmarłej matki, aby powstała z grobu i spojrziała na nią, swoją córkę. Niech zobaczy, co się z nią stało.

— Wstań, mamusiu, z grobu. Spójrz, mamusiu kochana. Rzuć okiem, serdeczna, kochana mamusiu, na twoją córkę jedynaczkę. Na twoją Sarę-Perl, która stoi nad tobą i drży. Byłam żrenicą twojego oka. Zobacz, co się ze mną zrobiło. Ciężko mi tu, bieda. Zostałam na poniewierce ze swoimi pisklętami, moimi małymi dziećmi. Są one gołe i bose. Nie mam dla nich koszuli. Popatrz na to, co się stało z twoim Srulikiem. Ciągłe mi choruje. Od kiedy przeziębił się na jarmarku, wciąż niedomaga. Bez przerwy trzeba latać do doktorów. Musi pić mleko, a mleka nie ma. Dzieciątka wołają ciągle ham, a chleba nie ma. Opłat za czynsz domaga się wciąż krawiec, reb<sup>157</sup> Henzl. U niego wynajmuję teraz mieszkanie. A pieniędzy nie ma. Za Herszele mam zapłacić melamedowi<sup>158</sup>. W tym roku stuknie Herszele trzydzieści lat. Będzie *bar micwa*<sup>159</sup>. Jestem też winna melamedowi za poprzedni sezon nauki. A pieniędzy nie ma. Czego by się nie tknąć, to nie ma i nie ma.

Inna kobieta przysłała na grób ojca. Żali się na męża. Wszyscy uważali go przedtem za porządnego faceta. Skarb, mówiono, a nie człowiek. Istne cacko. Wszystkie dziewczęta zazdrościły jej takiego kawalera. Wyszło potem na jaw, że z niego szarlatan, rozrzutnik całą gębą.

— Za to, że w święto wywołują go w bożnicy do odmówienia *maftir*<sup>160</sup>, wyrzuca pięćdziesiąt guldenów. Za honor odmawiania pierwszego rozdziału ofiarował bożnicy przed rokiem trzysta kawalków. A ile pieniędzy trwoni na książki. Wciąż je kupuje. Gotów dla nich poświęcić ojca i matkę. A to, że ja choruję, że w oczach marnieję, zupełnie go nie obchodzi.

<sup>157</sup>*reb* — skrót hebrajskiego słowa *rabi*, które jest tytułem uczonego, rabina itp. U Żydów wyraz *reb* przed imieniem własnym oznacza szacunek dla osoby, do której zwracają się oni w ten sposób lub o której mówią. Młodszy wiekiem zawsze tak mówi do starszego. [przypis tłumacza]

<sup>158</sup>*melamed* — dosł.: „nauczyciel”; uczył on dzieci żydowskie (od najmłodszego wieku, częstokroć od trzeciego roku życia) czytania po hebrajsku, znajomości *Pięcioksięgu*, modlitw, a także *Talmudu* i innych dzieł religijnych. [przypis tłumacza]

<sup>159</sup>*bar micwa* — dosł. „syn przepisów”. Każdy chłopiec w dniu swoich trzynastych urodzin staje się pełnoletni wobec obowiązujących przepisów religijnych. W tym dniu nakłada po raz pierwszy tefilin i odtąd odpowiada za wszystkie swoje postęпки. Podczas tej ceremonii wygłasza przemówienie, w którym popisuje się znajomością *Pisma Świętego* lub *Talmudu*. Następnie jego ojciec publicznie dziękuje Bogu, że wybawił go od poniesienia kary za grzechy syna, za którego dotąd był odpowiedzialny wobec Stwórcy. [przypis tłumacza]

<sup>160</sup>*maftir* — określenie czytających w bożnicy ostatnie partie *Tory*. [przypis tłumacza]

Trzecia przysłała na grób męża złożyć mu *mazl tow*<sup>161</sup>. Wydaje za mąż pierwsze dziecko. Nie ma pieniędzy na posag. Obiecała połowę posagu wnieść od razu. Nie ma jednak pieniędzy. Co więcej, nie ma nawet porządnej koszuli dla córki, ani nowych bucików, a cóż dopiero mówić o wydatkach na wesele. Skąd wziąć na muzykantów? Skąd wziąć na to i na tamto? Głowa jej po prostu pęka. A nuż ze ślubu będą nici. Co wtedy pocnie?

I tak wszystkie kobiety płaczą i użalają się nad swoim losem. We łzach topią swoje troski. Wydaje im się, że jeśli pogadają ze swoimi najbliższymi, podzielią się z nimi brzemieniem własnych kłopotów, to łżej im się zrobi na sercu. I faktycznie rozmowa ze zmarłymi przynosi ulgę.

Krażę dookoła starych, zapadłych grobów. Staram się odczytać napisy na pochylonych ku ziemi nagrobkach. Dostrzega mnie z daleka reb Arie, grabarz. Zwraca ku mnie twarz okoloną brodą. Oczy ma zaczerwienione.

— Kogo szukasz?

Reb Arie jest bardzo stary. Tak stary, że nikt nie wie, ile ma lat. Sam zresztą też nie wie. Mimo to jest schludny. Jego buty błyszczą czystością. Broda uczesana — każdy włos na swoim miejscu. Uważa na siebie jak matka, która się trzęsie nad swoim jedynakiem. Spożywa lekkie potrawy. Codziennie na śniadanie pije gotowaną wodę z cukrem. „Jemu to się powodzi” mówią ludzie z Kasrylewki. I wszyscy mu doprawdy zazdroszczą.

— *Szolem alejchem*<sup>162</sup> reb Arie! Co pan tu porabia?

Podchodzę do niego i witam się. Jest wieczór. Słońce ma się ku zachodowi. Złotymi promieniami pokrywa wierzchołki nagrobków. Reb Arie rękoma zasłania się przed słońcem. Ogląda mnie swoimi zaczerwienionymi oczyma. Głaszcze brodę i wbija we mnie swój wzrok.

— Kto ty jesteś? Do kogoś przyszedł?

Reb Arie jest tak stary, że może sobie pozwolić na tykanie każdego.

Wyjaśniam mu, kim jestem i kogo szukam. Reb Arie poznaje mnie. Wyciąga rękę na powitanie. Otwiera usta i wydobywa z nich słowa zmieszane z gwizdem.

— Ach, to ty? Znałem twego ojca. Twego dziadka też znałem. Na imię mu było Wewrik. Porządny był z niego człowiek. Twój wujek Pinie też był porządnym człowiekiem. A twój stryj Berko leży tu u mnie. I ciocia Chana też. Wszystkich znałem. Wszyscy pomarli. Najporządniejsi ludzie pomarli. Nikt z porządných nie pozostał. Moi też pomarli — wzdycha. — Najpierw pochowałem dzieci. Wszystkie. Potem ona zmarła. Była kobietą bez skazy. Kobieta — cadykiem<sup>163</sup>. Zostawiła mnie samego na starość. Niedobrze jest.

— Niedobrze?

— Całkiem niedobrze. Nie ma nieboszczyków.

— Nie ma nieboszczyków? — pytam zdziwiony.

— Nie ma nieboszczyków — odpowiada Arie.

— Czy ludzie przestali w Kasrylewce umierać?

— Co się tyczy umierania — powiada Arie — to owszem, umierają. Ale kto umiera? Dzieci albo biedacy. A co z nich człowiek ma? Na całuny nie starcza. Po pierwszej modlitwie *kadisz*<sup>164</sup> podarują ci kawałek suchego chleba. Ale co robić? Czy mam wybór? — ręką pokazuje na płaczące kobiety. — Oto rozwalily się na grobach jak jakieś panusie. A co ja z nich mam? Napłaczą się, naszlochają jak bębny. Co im to szkodzi? Dużo je to kosztuje? A ty człowieku chodź, prowadź, pokazuj im, gdzie leży ojciec, gdzie leży matka, gdzie pochowany jest wuj, gdzie spoczywa ciocia. Słowem, jestem służącym ich ojców. Zdarza się, że taka jedna tak się rozplacze, że aż pada zemdlona. Muszę ją cucić, dać jej coś do picia, a bywa, że muszę jej dać i kawałek chleba. A skąd ja mam brać? Z czego? A nieboszczyków nie ma. A żyć trzeba. I wnuczce sierotce trzeba dać posag.

<sup>161</sup>*mazl tow* — dosł.: „gwiazda, dobry los”. Słowa te wśród Żydów oznaczają życzenia, gratulacje; wypowiada się je przy każdym radosnym wydarzeniu, jak urodzenie się dziecka, zaręczyny, ślub czy po zażegnaniu jakiegoś nieszczęścia, po pomyślnym zakończeniu czynności itp. [przypis tłumacza]

<sup>162</sup>*szolem alejchem* — dosł.: „pokój z wami”; przywitanie u Żydów. [przypis tłumacza]

<sup>163</sup>*cadyk* — dosł. „sprawiedliwy”; Żydzi zazwyczaj nazywają tak słynnych rabinów, uczonych, bogobożnych mężów słynących ze sprawiedliwości, dobroci i pobożności. [przypis tłumacza]

<sup>164</sup>*kadisz* — modlitwa za zmarłych, którą po raz pierwszy odmawiają tuż po pogrzebaniu zwłok wszyscy potomkowie osoby zmarłej płci męskiej. *Kadisz* odmawia się podczas każdej modlitwy porannej i wieczornej w ciągu pierwszego roku po śmierci człowieka, a następnie w każdą rocznicę śmierci. [przypis tłumacza]

A dziewczyna już w latach. Znalazł się nawet narzeczony. Miał być ślub. Narzeczony nawet niczego sobie — wdowiec z kilkoma tylko dziećmi. Miał fach, zarabiał nieźle. To znaczy, że jak mu się wiodło, to i zarabiał. Odbyło się nawet spotkanie narzeczonych. Doszło do porozumienia, już miały być zaręczyny. Wtedy on: „Nu, a co będzie względem posagu?”. Wtedy ja: „O jaki posag chodzi?”. Wtedy on: „Przecież obiecano mi. Była przecież mowa o tym, że pan daje pięćdziesiątka tytułem posagu”. Ja na to: „Pięćdziesiąt rubli? Koszmarne sen. Oby moi wrogowie mieli takie koszmarne sny. Pięćdziesiąt rubli? Skąd u mnie takie pieniądze? Pójdę może kraść? A może mam wykraść trupom całuny i sprzedać?”. Jednym słowem z zaręczyn nici. A pogadaj z tymi panami z Kasrylewki, to okaże się, że oni mają rację. Powiadają: „Reb Arie, niech pan nie grzeszy. Pan ma fach w rękę”. Ładny mi fach! Jeśli był kiedyś i gdzieś jakiś porządny nieboszczyk, fajny jakiś człowiek, kawał jakiegoś bogacza, to już dawno umarł. A nowych takich nie ma. Nie ma nieboszczyków. Nie ma.

## STĘSKNIŁEM SIĘ ZA DOMEM RODZINNYM

Nie ma takiej rzeczy na świecie, o której by w Kasrylewce nie wiedzano. Nie ma takiej nowinki ze świata, o której nie można by było się dowiedzieć od prostych, zwykłych jej mieszkańców.

Co prawda dochodzą one do Kasrylewki z pewnym opóźnieniem. Nie pochodzą też z pierwszej ręki. Ale co w tym złego? Nie ma nieszczęścia. Przeciwnie, uważam to wręcz za zaletę. Za dużą zaletę.

Mówiąc bowiem między nami, co tracą kasrylewianie na tym, że dowiadują się o dzisiejszych, pożałuj Boże, dobrych nowinach i zbawiennych wydarzeniach, o których głośno w świecie, o miesiąc lub dwa, a nawet o rok później? Co w tym złego?

Krótko mówiąc, kasrylewianie dowiedzieli się, z pewnym co prawda opóźnieniem, że istnieje takie słowo, jak syjonizm.

Tak więc dotarło ono do świadomości małych, zwykłych ludzi z Kasrylewki. Nieco później, gdy rozgryźli już sens tego słowa, gdy stwierdzili, że pochodzi od figurującego w modlitewniku słowa *Syjon*, że syjoniści to takie towarzystwo, które ma zamiar przetransportować wszystkich Żydów do Ziemi Izraela, w mieście zawrzało. Zresztą, co ja wam tu będę opowiadał?

Pusty śmiech ogarnął ludzi. Zrywali boki. Odgłosy śmiechu słychać było, moim zdaniem, na kilometry. A dowcipy i powiedzonka, które posypały się pod adresem doktora reb<sup>165</sup> Herzla, doktora reb Gordona i na wszystkich pozostałych doktorów, należałoby zebrać ze wszystkich miast, spisać i wydać w postaci specjalnej książki. Zapewniam was, że znaleźlibyście w tej książce znacznie więcej pieprzu i soli, niż w owych słodkich jak lukrecja słowach i mądrych przemówieniach, którymi zadrukowują co roku drugą stronę wszystkich kalendarzy.

Mają kasrylewianie jedną niewątpliwą zaletę. Dopóki śmieją się, dopóty śmieją się naprawdę. Skoro zaś naśmieją się do syta, zaczynają rzecz rozgryzać. Raz i jeszcze raz, i wtedy zaczyna im coś świtać. Tak też było z syjonizmem. Z początku śmiano się, nagrywano, sypano dowcipnymi powiedzonkami. Potem zaczęto przysłuchiwać się temu, co się mówi i pisze w gazetach. Zaczęto powtarzać i jeszcze raz przeżuwać pojęcie „powrotu”, a gdy następnie usłyszano o jakimś żydowskim banku z żydowskimi akcjami, nabrano respektu. Bo skoro mowa o banku, to oznacza, że jest to, jak widać „interes”, a więc w grę wchodzi forsa. A z forszą można dziś zrobić na tym świecie wszystko, zwłaszcza zaś u Turczyna z czerwoną jarmułką na głowie. Turczyn to niemal to samo, co kasrylewianin. Od tego momentu Kasrylewka zabrała się na serio i z apetytem do syjonizmu.

Kasrylewianie to tacy ludzie, dzięki Bogu, od których możecie uzyskać wszystko, co wam się podoba. To, co wczoraj wydawało im się niemożliwe, równe wyczynowi Mojżesza, kiedy spowodował rozstąpienie się wód Morza Czerwonego, to dziś wydawało im się być rzeczą zwykłą, prostą i łatwą. Tak łatwą jak zjedzenie obwarzanka, czy wypalenie papierosa. Co może być łatwiejsze od wykupienia z rąk Turka ziemi Izraela? Nie oszukuj-

<sup>165</sup>reb — skrót hebrajskiego słowa *rabi*, które jest tytułem uczonego, rabina itp. U Żydów wyraz *reb* przed imieniem własnym oznacza szacunek dla osoby, do której zwracają się oni w ten sposób lub o której mówią. Młodszy wiekiem zawsze tak mówi do starszego. [przypis tłumacza]



my się. Co to za przeszkoda? Jeśli chodzi o pieniądze, to nie ma sprawy. Jeden Rotszyld (gdyby tylko chciał) może odkupić całą Ziemię Izraela wraz ze Stambułem i z samym Turczyńcem. O cenę na pewno nie trzeba będzie się targować. Jakoś tam będzie. Złotówka więcej, złotówka mniej. Pozostaje właściwie tylko jedna sprawa. A nuż nie zechce sprzedać? Głupstwo. Dlaczego miałby nie chcieć? Po drugie, gdybyśmy tak zaczęli rzecz dokładnie badać, to byśmy doszli do tego, że jesteśmy krewnymi Turka i to bliskimi. Żydzi i Turcy to przecież Icchak i Izmael<sup>166</sup>.

Krótko mówiąc, zwołano jedno zebranie, potem drugie i trzecie. Przy Bożej pomocy powstało towarzystwo. Są już jego członkowie. Dokonano wyboru prezesa, wiceprezesa, skarbnika, sekretarza i korespondenta prasowego. Każdy członek towarzystwa zobowiązał się płacić składkę — szekel<sup>167</sup>. Jeden kopiejkę, drugi dwie kopiejki na tydzień. Młodzi ludzie występowali z płomiennymi przemówieniami. Wygłaszali przepiękne oracje. Słowa „Syjon”, „syjonizm”, „syjoniści” rozlegały się coraz głośniej i głośniej. Nazwiska doktora Herzla, doktora Nordau i wielu innych doktorów padały coraz częściej. Członków towarzystwa przybywało. Pieniądzy uzbierało się też niemało. Zwołano wtedy wielkie zebranie, aby postanowić, co zrobić z nagromadzoną forszą. Powstał dylemat: albo zgromadzony kapitał pozostawić na razie na miejscu i utworzyć z niego specjalny fundusz dla potrzeb kasrylewskich syjonistów, albo też przekazać go do dyspozycji „centrali”. Był też trzeci wariant. Zaczekać jeszcze trochę, aż kapitał urośnie do większych rozmiarów i wtedy miasto stałoby się udziałowcem w banku żydowskim.

Zebranie należało, można powiedzieć, do najbardziej gorących i burzliwych, jakie kiedykolwiek miało miejsce w Kasrylewie. Zdania były podzielone. Wielu opowiadało się za „centralą”. Jeśli nie my — twierdzili — i nie wy, wspólnie nie podtrzymamy „centrali”, to z czego będzie ona czerpać na swoje utrzymanie? Inni znów twierdzili coś wręcz przeciwnego. „Centrala”, powiedzieli, może się obejść bez Kasrylewki.

— Nie jesteśmy zobowiązani troszczyć się o cały świat. Czy ktoś troszczy się o Kasrylewkę? Niech każdy dba o siebie. To w zupełności wystarczy!

Wstał wtedy prezes towarzystwa, reb Noach Joseles, zięć bogacza, młodzieniec jeszcze bez brody, maskil<sup>168</sup> i wyrzekł kilka ciepłych słów:

— „Czterdzieści wieków — tak zaczął podniesionym nieco głosem — cztery tysiące lat patrzają na was z wysokości tych oto piramid!”. Tymi słowami zwrócił się kiedyś wielki Napoleon do swojej gwardii, gdy ruszył na podbój Egiptu. Chciałbym tymi samymi słowami zacząć moje do was przemówienie, z małą tylko odmianą. Od dwóch niemal tysięcy lat znajdujemy się, moi bracia, nie na wysokościach piramid, ale na głębokim dnie. Od dwóch niemal tysięcy lat wypatrujemy nie naszej gwardii, ale Mesjasza. Czekamy na jego przyjście. Ma nas wyzwolić z diaspory i zaprowadzić do ziemi naszych przodków, do Ziemi Izraela. Od niemal dwóch tysięcy lat nie ustajemy w postach w siódmym dniu miesiąca Tammuz<sup>169</sup>. W ciągu dziewięciu dni nie spożywamy wtedy mięsa. A gdy nadchodzi dziewiąty dzień miesiąca Aw<sup>170</sup>, siadamy w skarpetach na ziemi i gorzko oplakujemy zniszczenie naszej Świątyni Pańskiej, naszego *Bejt Hamikdaszu*. Od dwóch niemal tysięcy lat ciągle wspominamy, po siedemdziesiąt razy dziennie, Syjon i Jerozolimę. Można zapytać, co zrobiliśmy, co uczyniliśmy dla Syjonu i dla Jerozolimy?

<sup>166</sup>*Żydzi i Turcy to przecież Icchak i Izmael* — według biblijnej opowieści Icchak (Izaak) i Izmael byli braćmi przyrodniemi, synami Abrahama. Izaak, urodzony przez Sarę, żonę Abrahama, przejął po ojcu przywództwo rodu i został przodkiem Żydów. Izmael, urodzony wcześniej przez służącą Hagar, został wygnany z matką na pustynię i stał się przodkiem plemion arabskich, późniejszych wyznawców islamu. Do izmaelitów zaliczano później również Turków i Tatarów. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>*szekel* — moneta, starożytna jednostka pieniężna używana na Bliskim Wschodzie i w Grecji, o wartości wahającej się od 1/50 do 1/100 miny. [przypis tłumacza]

<sup>168</sup>*maskil* (hebr.) — dosł.: „wykształcony, oświecony”; zwolennik ruchu o nazwie *Haskala* (Oświecenie), zapoczątkowanego wśród Żydów w końcu XVIII w. i stawiającego sobie za cel świeckie wykształcenie, naukę języków obcych, walkę z fanatyzmem religijnym i zacofaniem oraz reformę życia żydowskiego. [przypis tłumacza]

<sup>169</sup>*Tammuz* — mniej więcej druga połowa czerwca i pierwsza połowa lipca według kalendarza juliańskiego. [przypis tłumacza]

<sup>170</sup>*dziewiąty dzień miesiąca Aw (Tisza b'Aw)* — w tym dniu w 70 r. n.e. Rzymianie zburzyli Jerozolimę wraz ze świątynią. W r. 586 p.n.e. w tym samym dniu miesiąca Aw, król babiloński Nebuchadnezar zburzył pierwszą świątynię jerozolimską. W czasie *Tisza b'Aw* obowiązuje post taki jak w Jom Kipur. Wszystkie inne posty obowiązują Żydów obojga płci tylko od trzynastego roku życia. [przypis tłumacza]

Szkoda, że w Kasrylewce nie było stenografa, który by zwyczajem szanujących się miast utrwalił na piśmie, słowo po słowie, wspaniałą mowę prezesa Noacha. Musimy się przeto zadowolić tymi kilkoma słowami, które przytaczam z pamięci. Końcówka jego przemówienia w wielkim skrócie przedstawiała się następująco:

— Obecnie — tak zakończył swoje przemówienie prezes, z którego czoła pot łał się strumieniami — obecnie, gdy dożyliśmy czasu, że stary Isrulik obudził się ze swego snu, rozprostowuje swoje gnaty i rozgląda się po świecie w poszukiwaniu swego miejsca, rzucając hasło „synowie Jakuba<sup>171</sup>, chodźmy i ruszajmy”, powinniśmy, moi państwo, nie zdawać się na nikogo. Nie powinniśmy czekać na żaden cud. Nie polegajmy na tak zwanych wielkich i możnych. Jeśli bowiem zdamy się na nich, to długo jeszcze przyjdzie nam czekać. Łatwiej paść śmiercią od pioruna, niż wydobyć od możnego złotówkę na rzecz Syjonu. Sami i tylko sami powinniśmy wznosić nasz gmach. „Jeśli ja nie będę dla mnie, to kto?”. Możemy być dumni z tego, że dożyliśmy czasów, gdy Żydzi ośmielili się mówić o własnym banku. Z całą pewnością musimy uważać, aby Kasrylewka nie została w tyle za innymi miastami i aby kasrylewscy Żydzi mieli swój udział w naszym własnym banku żydowskim! Muszę jednak wam powiedzieć, moi panowie, że według rachunku, który za chwilę przedstawi nasz skarbnik, nie mamy jeszcze całej sumy potrzebnej do opłacenia chociażby jednej akcji. Brakuje nam więcej niż połowa, to znaczy około pięciu do sześciu karbowanów. Dlatego też będzie słusznie, abyście tu i teraz zdobyli się na ten krok i złożyli się wspólnie, każdy według swoich możliwości. Musicie zebrać całą sumę, to znaczy dziesięć rubli. I to bez żadnych ale! I niech nasi bracia na całym świecie wiedzą, że w Kasrylewce też są ludzie, w których sercach tli się święta iskierka żydowska. I niech doktor Herzl zobaczy, że jego trud nie poszedł na marne.

O tym, że należy bić brawo i robić owację, jeszcze w Kasrylewce, dzięki Bogu, nie wiedzieli. I bez tego było gwarno, i bez tego było krzyku co niemiara. Gdyby jeszcze ludzie bili brawo i wiwatowali, człowiek straciłby, do jasnej cholery, słuch.

W Kasrylewce gdy komuś spodoba się jakieś słówko, to całkiem zwyczajnie podchodzi do mówcy i wali go po plecach.

— Co powiecie o naszym prezecie? Co?

— Pysk, żeby go jasny piorun trząś!

— A jaki znawca! Pomieszał groch z kapustą, *Gemara*<sup>172</sup> ze *Starym Testamentem* i wszystkimi księgami.

— Trzeba by było mieć głową dużą jak kopuła kościoła, żeby to wszystko spamiętać.

— Durniu, przecież on ślęczy nad księgami w dzień i w nocy.

Słowem, stanęło na tym, że trzeba wykupić akcję. Łatwo powiedzieć, ale jak to zrobić? Nie lada sztuka. Mieszkają w takiej zabitej deskami dziurze, a żydowski bank znajduje się nie wiedzieć gdzie. Może w Londynie? I zaczęła się kołomyjka z listami. Listy tam i listy tu. Szmaja, sekretarz i zarazem korespondent kasrylewskich syjonistów, zniszczył sobie wszystkie palce pisaniem na maszynie, nim dowiedział się, jak i dokąd wysłać pieniądze. Gdy już się o tym wyiedział, powstał nowy klops. Był nim miejscowy poczmistrz, gruby, tęgi facet. Taki sobie „delikatniś”. Nie znosił zapachu czosnku (aczkolwiek sam się nim zajadał). Gdy kilku Żydów naraz przychodziło na pocztę, zatykał sobie nos i nie przerywając pisania i czytania, odzywał się...

— *Szolem*<sup>173</sup>... Szłomka... Czosnek...

Gdy Szmaja podał mu pakiet, cisnął mu nim w twarz. Niby koperta źle zaadresowana. Za następnym razem postąpił podobnie, mówiąc, żeby poszedł po lakę do pieczętowania. Za trzecim razem nie miał się już czego czepiać. Wziął, wtedy pakiet w ręce i zaczął go badać ze wszystkich stron. Postawił pieczęcie, zalakował i nie patrząc Szmai w twarz, rzucił:

— Co za interes masz z Londynem, że wysyłasz tam pieniądze?

Widać Szmai wtedy wyrwało się, a może chciał zaimponować poczmistrzowi (fakt, że wszyscy korespondenci lubią się chwalić):

<sup>171</sup>*synowie Jakuba* — biblijny patriarcha Jakub, zwany również Izraelem, był przodkiem wszystkich Żydów. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>*Gemara* — dosł.: „zakończenie”; nazwa części *Talmudu*, zawierająca komentarze do *Miszny*. [przypis tłumacza]

<sup>173</sup>*szolem alejchem* — dosł.: „pokój z wami”; przywitanie u Żydów. [przypis tłumacza]

— Te pieniądze przeznaczone są dla naszego własnego banku żydowskiego.

Poczmistrz ze zdziwieniem popatrzył na Szmaję.

— Żydowski bank? Skąd dla Żydów bank?

Szmaja przez chwilę zastanawiał się: „Skoro faktycznie jesteś żydożercą, to ci pokażę, jak wygląda bank żydowski”. I zasuwa mu gadkę pełną przesady i wyolbrzymień (wszyscy korespondenci lubią przesadzać) o tym, że bank żydowski jest największym bankiem w świecie. Posiada dwieście tysięcy milionów funtów szterlingów w złocie. Na nasze pieniądze to taka suma, którą trudno sobie wyobrazić, trudno przeliczyć. Funt szterling bowiem na nasze pieniądze równa się prawie stu.

Na to odzywa się poczmistrz, oblizując przy tym językiem pieczętkę i wciskając ją w lakę.

— Tu już łęsz jak pies. Funt szterling wynosi ledwo dziesięć karbowańców.

— To jest zwykły funt — usprawiedliwia się Szmaja. — Mówię o złotym funcie, a złoty funt stoi znacznie wyżej.

— *Paszol won, durak*<sup>174</sup>! Komu opowiadasz takie bajki? Żyd musi kłamać! Żyd musi oszukiwać! Gdyby ktoś inny był na moim miejscu, to by ci z kretesem zabrał pakiet! Czy zdajesz sobie sprawę, że mam prawo zaarrestować cię wraz z twoim pakietem i razem z twoim całym kahałem<sup>175</sup> za to, że wysyłacie nasze pieniądze do Londynu? My tu będziemy harowali, nosem ryli w ziemi, a żydki chcą przyjść na gotowe, żreć i żłopać, i do tego jeszcze chcą przetransportować nasze złoto czort wie dokąd. Do jakiegoś tam „banku żydowskiego!”

Szmaja spostrzegł się, że narobił bigosu. Nabrał więc wody w usta i milczał. Skulił się jak kotka. Gdyby mógł, oddałby wszystko, żeby tylko cofnąć wypowiedziane przez siebie słowa. Było jednak za późno. (Wielu korespondentów nieraz chciałoby wycofać się ze swoich relacji, które roją się od kłamstw i przesady, ale słowo się rzekło, kobyłka u płotu). Nasz korespondent z Kasrylewki był zadowolony, że dostał pokwitowanie i w te pędy wywiązał z poczty, jak człowiek, który dopiero co dostał po tyłku.

Po wysłaniu pieniędzy kasrylewscy syjonisci zaczęli czekać z dnia na dzień na nadejście wykupionej akcji. Minał miesiąc, minęły dwa, trzy i cztery miesiące, i nic. Nie ma pieniędzy i nie ma akcji. Wtedy zabrano się do sekretarza i korespondenta w jednej osobie, czyli do Szmai. Albo wysłał nie tam, gdzie trzeba, albo adres został źle wypisany. Dostało się naszemu Szmai. Nie dość, że nie przestawał pisać listów do komitetu, do centrali i do Londynu, musiał jeszcze wysłuchiwać pretensji kasrylewan, którzy swoimi docinkami sporo sadła zalali mu za skórę...

Dla *misnadgim* (przeciwników chasydyzmu), to znaczy dla uczciwych, pobożnych Żydów oraz dla chasydów<sup>176</sup>, którzy dalecy byli od syjonizmu, było to wodą na młyn: „A co, nie wiedzieliśmy wcześniej, że tak będzie?” W ten sposób drażnili syjonistów. „Czyż nie mówiliśmy wam, że wyludzą tylko od nas forszę i wystawią do wiatru?”

Ale Bóg ulitował się nad naszym korespondentem i pewnego poranka nadszedł list z Londynu z zawiadomieniem, że akcja, którą wykupili, jest już przygotowana do wysyłki. To znaczy, że nie jest jeszcze w Kasrylewce, ale u jej wrót. Należy ją tylko ostemplować.

I znowu minął miesiąc. Minęły dwa, trzy i cztery miesiące, a akcji nie ma. Bractwo znowu dobrało się do sekretarza: „Gdzie twoja akcja? Jeszcze ją stemplują?” I nie żałowano mu docinków, jak to zwykle w Kasrylewce. To ostemplowanie jeszcze mniej się podobało Szmai, niż sama akcja. Z powodu tego stemplowania o mało co nie zaczął pluć krwią. Zakasał rękawy i zaczął znów pisać listy do wszystkich zakątków diaspory żydowskiej. Czy godzi się — zapytywał w listach. Czy słyszał ktoś coś podobnego? Tak długo przetrzymywać wysyłkę akcji, a potem tak długo ją stemplować? Gdyby miano ją ostemplować dziesięćmi tysiącami stempli, to i tak dawno już byłaby ostemplowana! Syjonistom zaś codziennie powtarzał:

<sup>174</sup>*paszol won, durak* (ros.) — idź precz, durniu. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>*kabał* — żydowska gmina wyznaniowa. [przypis tłumacza]

<sup>176</sup>*chasydzi* — spolszczone*chasidim* (hebr.), dosłownie: „pobożni”, nazwa zwolenników chasydyzmu, ruchu religijnego, który powstał w Polsce w drugiej połowie XVIII stulecia, a którego założycielem był rabi Israel Baal Szem Tow (1700–1760). Chasydyzm przeciwstawiał się rabinicznemu judaizmowi, kładąc nacisk na osobistą modlitwę. Mistyczne zjednoczenie z Bogiem miały zapewnić ekstatyczne śpiewy i tańce. [przypis tłumacza]

— O co chodzi? Czekaliście tak długo, to możecie jeszcze trochę poczekać. Z całą pewnością krócej będziecie czekali niż dotychczas.

I tak też się stało. Nie minęło nawet dziewięć miesięcy, jak nadszedł pakiet na adres rabina reb Juzipla. (Nasz korespondent nie chciał mieć do czynienia z poczmistrzem). Zwołano zebranie wszystkich członków. Rzecz oczywista, że w mieszkaniu reb Juzipla. I tak jak to jest w zwyczaju wszystkich Żydów, a szczególnie Żydów kasrylewskich, nikt nie miał nigdy czasu i każdy chciał być pierwszy. Nic też dziwnego, że pchano się drzwiami i oknami do mieszkania reb Juzipla, i każdy chciał pierwszy na własne oczy zobaczyć tę akcję. Tę żydowską akcję „naszego banku żydowskiego”.

Czytali ją wszyscy. Wpatrywali się w nią jak w lustro. Westchnień było sporo i każdy miał przy tym jakiś własny pomysł. Zrobiło się trochę weselej, jaśniej. Dusze odżyły, jakby po dłuższej tułaczce zatęskniły za domem. Radość zagościła w mieszkaniu reb Juzipla. Wszystkich ogarnęła nagle ochota do tańca i do płaczu jednocześnie.

Po tym, gdy wszyscy się już dobrze napatrzyli, reb Juzipl, rabin, który mimo swego stanowiska, nigdy nie pchał się na czoło, wyrzekł te oto słowa:

— Ano, pokażcie i mnie!

Wsadził na nos okulary, patrzył i patrzył, i powoli zlustrował ze wszystkich stron tę akcję z „żydowskiego banku”. Gdy zobaczył na niej litery żydowskie w języku hebrajskim, włożył sobotnią czapkę i odmówił błogosławieństwo „a, że dożyliśmy”. Po czym znowu patrzył na akcję i jego twarz jakoś sposepniała. Można było przysiąc, że łzy pojawiły się mu w oczach.

— Rebe, czemu pan się martwi? — rozległy się pytania. — Trzeba się radować. Trzeba tańczyć. Trzeba iść do końca... Skąd ten smutek u was?

Nie od razu reb Juzipl odpowiedział. Wydobył skądś z kieszeni pod kapotą jakąś dziwną chustę. Wysmarkał nos, choć mnie się zdawało, że wytarł oczy, i westchnąwszy, powiedział złamanym głosem:

— Ach, stęskniłem się za domem rodzinnym.

## WIELKIE ZAMIESZANIE WŚRÓD MAŁYCH LUDZI

Rozdział A. Gdy autor pogada sobie trochę ze swoimi Żydami

Widocznie niebiosy zawyrokowały o tym, że Kasrylewka i jej mieszkańcy mają mieć więcej trosk niż inni ludzie na świecie. Gdzie tylko pojawi się jakieś nieszczęście, jakaś klęska, plaga lub inne jakieś лихо, tam nie może się obejść bez Kasrylewki. Kasrylewianie biorą je sobie bardzo do serca. Już nie mówię o Dreyfusie<sup>177</sup>. Chyba pamiętacie tę aferę. Nic też dziwnego, że Kasrylewka tak z tego powodu cierpiała. Przecież chodziło o naszego człowieka. Co nasze, to, jak się mówi, nie obce. Ale co powiedzieć o Burach? Tam przecież chodziło o Anglików, którzy na nich napadli, ujarzmili i wykończyli. Trudno powiedzieć, co się wtedy działo w Kasrylewce. Mało to, myślicie, polało się wtedy krwi z tego powodu w starej bożnicy? Sza, tylko bez strachu!

Nie sądzicie chyba, że mam na myśli zwykłą ludzką krew, broń Boże. Do krwi kasrylewianom daleko — gdy tylko ją zobaczą, mdleją. Mam na myśli zupełnie coś innego — cierpienie duchowe, wstyd. Z jakiego, myślicie, powodu? Tylko z tego, że ludzie mieli odmienne poglądy. Powie ktoś tak, a drugi z miejsca mu odparowuje. Ujmie się ktoś za Burami, natychmiast inny staje po ich stronie, mówiąc:

— Czego chcą od tego biednego narodu, który nikomu nie wadzi, na nikogo nie napada? Czego się czepiają Burów, którzy siedzą cicho na swojej ziemi i ciężko pracują?

Wtedy zjawia się inny i staje się orędownikiem Anglików. Udowadnia przykładami, że Anglicy to najbardziej oświeceni ludzie na świecie.

— Bękarcie, co mi tam będziesz trajlował o oświeceniu i uczciwości Anglików, skoro mordują ludzi, szatkują ich jak kapustę!

— A kto ponosi winę, żeś głupi jak osioł!

— Sam jesteś osłem w postaci człowieka.

<sup>177</sup> *Dreyfus, Alfred* (1859–1935) — francuski oficer pochodzenia żydowskiego, niesłusznie oskarżony o szpiegostwo na rzecz Niemiec, skazany na dożywotni pobyt w kolonii karnej w 1894, ulaskawiony w 1906; jego sprawa podzieliła społeczeństwo francuskie, prowokując wielu intelektualistów do ostrych wypowiedzi (Dreyfusa bronili m. in. Emil Zola i Marcel Proust). [przypis edytorski]

Krótko mówiąc, zaczęli się bić. W ruch poszły pięści, a potem w grę weszły dowody, papiery i wszelakie inne draństwo. Na pierwszy rzut oka rzecz wydaje się zgoła dziwna. Co wy, żebracy, nędzarze, golcy i pętacy, macie wspólnego z krajem, który leży, czort jego wie, gdzieś w zapadłym zakątku Afryki?

Albo inny przykład. Co wy sobie głowę suszycie z tego powodu, że kilku oficerów postanowiło pewnego razu o północy napaść i zamordować cesarza Aleksandra wraz z cesarzową Dragą, a potem wyrzucić ich przez okno? Jak to? Napaść w środku nocy, gdy człowiek śpi w najlepsze i wyciągnąć go z łóżka? To mogą zrobić tylko dzicy, kanibale, ludożercy mieszkający na pustyniach. Ja jednak mam inne pytanie. Dlaczego ma to was obchodzić bardziej niż innych? Nie macie innych trosk? Wydaliście już córki za mąż i pożeniliście synów? Pytam was: Dlaczego wsadzacie nos w nie swoje sprawy? Wierzcie mi, świat obejdzie się bez was. Każdy sobie rzepkę skrobie!

Autor prosi w tym miejscu czytelnika, aby nie miał mu za złe, że używa w rozmowie z kasrylewianami tak ostrych słów. Sam, drodzy przyjaciele zrozumcie, jestem z Kasrylewki. Tam się urodziłem, tam wyrosłem. Tam chodziłem do chederu<sup>178</sup>. Tam szczęśliwie się ożeniłem i stamtąd wyruszyłem moją małą łódką na szerokie, burzliwe i spienione morze, które nazywa się życiem. Fale na tym morzu są wyższe od niejednego dużego domu. I chociaż jestem stale zajęty i zagoniony, to jednak ani na chwilę nie zapomniałem swojego domu rodzinnego i moich kochanych braci, Żydów kasrylewskich, oby się mnożyli i rośli w siłę. I za każdym razem, gdy tylko na kogoś zwali się jakieś nieszczęście, gdzieś zdarzy się jakaś klęska, wtedy myśl moja ucieka do Kasrylewki. Co tam się dzieje? Co w moich stronach słychać? Kasrylewka, jakkolwiek biedna, samotna i porzucana, związana jest jakby drutem z całym pozostałym światem. Gdy uderza się w jeden koniec drutu, to słychać zaraz na drugim końcu. Albo inaczej: Kasrylewka podobna jest do dziecka w brzuchu matki, które połączone z matką pępowiną, czuje to wszystko, co ona odczuwa. Boli coś matkę, ból odczuwa i dziecko. Boli coś dziecko, odczuwa ten ból matka.

Jedno mnie tylko dziwi. Dlaczego Kasrylewka przeżywa wszystkie zmartwienia i odczuwa wszystek ból całego świata, zaś nikt, dosłownie nikt na świecie, nie przejmuje się Kasrylewką, ani nie odczuwa jej bólu? Dlaczego nikt, absolutnie nikt, nie interesuje się mieszkańcami Kasrylewki? Kasrylewka to coś w rodzaju pasierbicy tego świata. W wypadku jakiegoś nieszczęścia, gdy ktoś w domu zachoruje, to ta pasierbica nie może znaleźć sobie miejsca. Nie śpi, jest niespokojna, marnieje w oczach. A niech to! I gdyby nawet to dziecko, ta nieszczęsna pasierbica zachorowała, nikt nie zwraca na nią uwagi. Może sobie leżeć ze swoją chorobą byle gdzie, nikomu to nie szkodzi. Może spalać się w gorączce, jak piec. Może zdychać z głodu. Może umierać z pragnienia. Nikt, zapewniam was, nie zerknie nawet na nią okiem.

#### Rozdział B. Mały liścik i wielki szum

Po takim wstępie każdy już łatwo zrozumie i potrafi sobie wyobrazić kotłowanąę, jaka nastąpiła w Kasrylewie po sławnym, nie daj Bóg, wydarzeniu w dniu święta Pesach<sup>179</sup>... Zanim jednak nadeszła do Zajdla „gazeta” i zanim jeszcze ktokolwiek o czymś wiedział, miejscowy szojchet<sup>180</sup> (rzeźnik) otrzymał od swego zięcia liścik, którego treść przytaczam w dosłownym brzmieniu, zachowując styl i język, w jakim został napisany:

Do mego szanownego, kochanego i drogiego teścia, sławnego mędrca, którego imię znane jest na wszystkich krańcach świata. Również do mojej drogiej i kochanej teściowej. Do tej uczciwej, mądrej i pobożnej kobiety.

<sup>178</sup>cheder — dosł.: „pokój”; nazwa szkoły dla początkujących, w której żydowski chłopcy po ukończeniu piątego roku życia uczyli się czytania po hebrajsku modlitw oraz poznawali *Pismo Święte*. [przypis tłumacza]

<sup>179</sup>Pesach — dosł.: „przeskoczył, ominąć”; nazwa świąt wielkanocnych, pochodząca stąd, że według *Biblii* dziesiątą plagą, którą Bóg doświadczył Egipcjan przed wyzwoleniem Żydów z ich niewoli, było uśmiercenie egipskich niemowląt pierworodnych płci męskiej, czego dokonując Pan Bóg omijał (przeskakiwał) te domy, w których mieszkali Żydzi (pomazane uprzednio krwią baranka). W święta te Żydom nie wolno spożywać chleba, bułek ani żadnego pieczywa wypiekanego na drożdżach. Ponadto nie wolno używać naczyń, w których gotuje się przez cały rok, gdyż zachodzi obawa, by nie zjeść czegoś, co nie jest przasne. Używa się więc wtedy specjalnych naczyń oraz jadła dozwolonego przez ściśle przestrzegane przepisy religijne. Pesach jest też nazwą ofiary religijnej w formie uczty, libacji sakralnej. [przypis tłumacza]

<sup>180</sup>sojchet — rytualny rzeźnik. [przypis tłumacza]

Niechaj jako gwiazdy świecą ich imiona do końca świata. Pokój niechaj im będzie. Im i ich rodzinie, i całemu Izraelowi. Amen!

Drżącymi rękami, na uginających się kolanach piszę do was te słowa. Oto pragnę zawiadomić was, że pogoda u nas radykalnie się zmieniła. Ręka ludzka, ani też najtwardsze pióro nie jest w stanie tego opisać. Jeno my wszyscy jesteśmy dzięki Bogu cali i zdrowi. Ja i moja małżonka, jejmość Dwojrl, oby długo żyła, i wszystkie nasze dzieci, oby zdrowe były, Josele i Fejele, i Azrielekl, i Chanele, i Genendl. Tylko tyle, żeśmy się najedli strachu od tego gradu i od tej burzy, która tu była. Bogu jednak dzięki, wszystko minęło i już, jak wszyscy ludzie, nie mamy się czego i kogo bać. I prosimy was, to znaczy ja i moja połowica Dwojrl, żebyście się o nas, broń Boże, nie niepokoili. My i nasze wszystkie dzieci, Josele i Fejele, Azrielekl i Chanele wraz z Genendl, jesteśmy, chwała Bogu, zdrowi. Tylko, na miłość boską, odpiszcie nam natychmiast o wszystkim, co u was słyhać. Jaka u was pogoda, czy jesteście zdrowi. I jeszcze raz, na miłość boską, napiszcie w sposób wyczerpujący o wszystkim.

Już od dawna mądrzy ludzie zauważyli, że nie sposób znaleźć na świecie lepszych speców do czytania między wierszami od Żydów. Wystarczy im pokazać palec, a już wiedzą, o czym myślicie. Powiedzcie im jedno słowo, a oni już mają dwa inne. Nie ma dla nich tajemnic. Nie ma dla nich zagadek.

Liścik zięcia szojcheta nie schodził kasrylewianom z ust. Opowiadali sobie nawzajem z najdrobniejszymi szczegółami straszliwe historie, jak gdyby byli ich naoczni świadkami. I jakaś czarna melancholia niczym smutny cień pokryła ich oblicza. Raptem znikła gdzieś ich codzienna wesołość. Pozostała im tylko mała nadzieja, że może to tylko imaginacja, banialuki. Wszystko jest możliwe. Zięć szojcheta to przecież maskil<sup>181</sup>, człowiek uczony, dobry literat, znawca hebrajskiego. Może dla efektu poetyckiego zalał za daleko? Nie inaczej! Czczą gadanina. I aby pokrzepić się na duchu i przebrnąć przez czarną melancholię, zaczęli sobie nawzajem opowiadać śmieszne historie o dzisiejszych młodych maskilach, o ich skłonnościach do poetyzowania. Gdyby sytuacja była inna, byłby śmiech, że tylko za boki się trzymać. Obecnie nikt nie miał ochoty do śmiechu i nikt się nie śmiał. Jakiś dziwny smutek ogarnął wszystkich. Każdy w duszy był przekonany, że tam musiało się zdarzyć coś niedobrego. I ludzie udali się do Zajdla.

Zajdel, nasz stary znajomy, jedyny abonent gazety, dopiero co wrócił z poczty. Był wzruszony i jakby oburzony na cały świat. Od niego dowiedzieli się, że cała historia oparta jest na prawdzie.

— Szczęście, że chociaż tu, w Kasrylewie, taka historia nie może się wydarzyć. Takie nieszczęście nie może mieć tu miejsca!

W ten sposób pocieszali się nawzajem. W głębi duszy jednak każdy myślał: „Mało co — przy dużym wietrze z jednej iskry może powstać wielki, nie do opanowania pożar”. I powoli zaczęli kasrylewianie dokonywać obrachunku, jak wyglądają ich stosunki z sąsiadami, to znaczy z „innymi narodami”.

#### Rozdział C. Mowa o szabesgoju<sup>182</sup> Chwedorze i w ogóle o nie-Żydach

Jeśli Chwedora, szabesgoja, który gasi w piątek wieczorem świece w całej Kasrylewie, i dziobatą Hopkę, która bieli wapnem domy i doi kozy całego miasta oraz podobnych do nich nie-Żydów można nazwać mianem „inne narody”, to musimy dojść do wniosku, że Kasrylewka nie miała żadnych powodów do obaw. Tamtejsi Żydzi mogli sobie spokojnie żyć aż do nadejścia Mesjasza. Od dawien dawna bowiem mieszkają razem z tymi „innymi narodami” w zgodzie i pokoju. Żyją tak dobrze, że lepiej już, zda się, być nie może. Chwedor wie doskonale, że jest autochtonem, uprzywilejowanym obywatelem tej ziemi, a mimo to musi palić w sobotę w żydowskich piecach, gasić świece i wynosić pomyje. Musi

<sup>181</sup>maskil (hebr.) — dosł.: „wykształcony, oświecony”; zwolennik ruchu o nazwie *Haskala* (Oświecenie), zapoczątkowanego wśród Żydów w końcu XVIII w. i stawiającego sobie za cel świeckie wykształcenie, naukę języków obcych, walkę z fanatyzmem religijnym i zacofaniem oraz reformę życia żydowskiego. [przypis tłumacza]

<sup>182</sup>szabesgoj — nie-Żyd wykonujący za opłatą czynności zabronione wyznawcom religii Mojżeszowej podczas szabatu. [przypis tłumacza]

wykonać czarną robotę, do której od lat przywykł. A jeśli choć przez chwilę sądzicie, że go to oburza, że jest zły na Żydów, to grubo się mylicie. On doskonale rozumie, że on — to on, a oni — to oni. Świat nie może składać się z samych generałów. Muszą jeszcze być i prości żołnierze. Co prawda wielu generałów, to znaczy Żydów kasrylewskich, chętnie zamieniłoby się rolami z prostym żołnierzem Chwedorem. Świat nie może jednak istnieć w oparciu o samych żołnierzy, potrzebni są również generałowie. W ten sposób obydwie strony są zadowolone. Generałowie dlatego, że jest ktoś, kto ich obsługuje, a on, ten prosty żołnierz, dlatego, że jest kogo obsługiwać, jest u kogo zjeść i jest u kogo wypić łyk wódki.

— *A chodzi no siuda*<sup>183</sup>, *Chwedor, serdce! Na, pij czarku. Lechaim*<sup>184</sup>.

Tak zwracają się do niego w sobotę, po *kiduszu*<sup>185</sup>. Chwedor zdejmując czapkę. Kieliszek trzyma dwoma palcami, kłania się i życzy każdemu dobrego roku.

— Daj Boże *zdrawstwowat!* — jednym zamachem wlewa sobie wódkę do gardła. Krzywi się. Wykonuje ruch, który ma oznaczać, że po raz pierwszy w życiu pije taką gorzałkę.

— *Duże birke, nechaj jomu sto czertiw i odna wydma*<sup>186</sup>!

— *Na, zakusi*<sup>187</sup>, cholera ci w bok, *szmatok*<sup>188</sup> szabaskowej<sup>189</sup> bułki! — zwraca się do niego jeden z Żydów i podaje mu kawał białego kołacza.

Na podstawie przekleństw używanych przez Żydów z Kasrylewki gotowi jesteście pomyśleć, że traktują je oni na serio. Nic podobnego. Niech Bóg uchowa was przed taką myślą. Za Chwedora nie oddadzą nawet „worka” z barszczem. Dlatego, że człek uczciwy. Postawisz go przy złocie, nie ruszy. A robotny, jak dziesięciu diabłów. Napali w piecu, wyleje pomyje, przytrzyma kożę, aż jej Hopka nie wydoi, naniesie wiór do rozpalki, naleje wody do beczki, wypłucze naczynia stołowe jak prawdziwa gospodyni, a gdy zajdzie potrzeba, potrafi również ukołysać dziecko do snu. Nikt nie potrafi tak się bawić z dziećmi, jak Chwedor. Umie strzelać językiem, gwizdać wargami, wystukiwać melodię palcami, gulgotać i kwiczeć jak świnia. Zna mnóstwo sztuczek. I dlatego żydowskie dzieci z Kasrylewki tak lubią Chwedora i tak przepadają za szczeciastą jego gębą, za jego kłującym zarostem. Nie chcą zejść z jego rąk. Kasrylewskie Żydówki nie są z tego powodu szczególnie zadowolone. Zdarza się bowiem, że dziecko chce jeść, a akurat nie ma nic do żarcia i wtedy Chwedor może im w sekrecie podsunąć, nie daj Bóg, pajdę chleba nie wiadomo z czym.

Ale to nieporozumienie. Chwedor nic złego nie mógł zrobić. Doskonale wiedział, że to, co oni jedzą, on, Chwedor, może też jeść. Natomiast tego, co on je, oni nie mogą jeść. Dlaczego? To już jego sprawa. Dlaczego dmuchać lekko w świecę w soboty, dotykać świeczników, albo odnosić modlitewnik do bożnicy, może on, Chwedor, a oni nie? Też nie ma nad czym się zastanawiać. Niech każdy robi to, co do niego należy. A jeśli zdarza się, że czasami Chwedor nie może się powstrzymać, by nie wybuchnąć śmiechem na widok suchej macy<sup>190</sup> w Pesach i powiedzieć: „*Duże treszczyt, nechaj sto czertiw i odna wydma*<sup>191</sup>”, to z miejsca podcinają mu skrzydła: „*A twoja swynia, chazer, tutsze*<sup>192</sup>?” I Chwedor natychmiast milknie.

Chwedor jest jednak spokojny, ale tylko wtedy, gdy jest trzeźwy. Co prawda rzadko mu się zdarza, że się upije aż do utraty pamięci, lecz gdy tak się stanie, wtedy życie każdego

<sup>183</sup>*A chodzi no siuda* (ros.) — a chodź no tu. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>*lechaim* — toast przy wznoszeniu kielicha, znaczy „na życie”. [przypis tłumacza]

<sup>185</sup>*kidusz* — dosł.: „uświęcenie”; tak nazywa się błogosławieństwo odmawiane nad winem w wigilię sobót i świąt oraz w dni sobotnie i świąteczne tuż po nabożeństwie przedpołudniowym. [przypis tłumacza]

<sup>186</sup>*duże birke, nechaj jomu sto czertiw i odna wydma* — bardzo gorzka, niech ją sto diabłów i jedna wiedźma. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>*zakusi* (ros.) — zakąście. [przypis edytorski]

<sup>188</sup>*szmatok* (ros.) — kawalek. [przypis edytorski]

<sup>189</sup>*szabat* (*szabas*) — sobota. [przypis tłumacza]

<sup>190</sup>*maca* — cienkie, prażone placki, które Żydzi spożywają w święta wielkanocne zamiast chleba, na tę pamiątkę, iż gdy uciekali z niewoli egipskiej, nie zdążyli upiec sobie chleba na drogę, a ciasto bez drożdży, które z sobą zabrali, upiekło się na słońcu. [przypis tłumacza]

<sup>191</sup>*duże treszczyt, nechaj sto czertiw i odna wydma* — bardzo trzeszczy, niech ją sto diabłów i jedna wiedźma. [przypis edytorski]

<sup>192</sup>*A twoja swynia, chazer, tutsze* — a twoja świnia, Chazarze, lepsza? [przypis edytorski]

jest w niebezpieczeństwie. Chwedor zaczyna walić się pięściami w piersi. Płacze gorzkimi łzami i krzyczy:

— Co wy macie do mnie? Dlaczego pijecie moją krew? Dlaczego zjadacie mnie żywcem? Zaraz zrobię koniec z całą Kasrylewką! *Żydy nechrysti, nechaj jomu sto czertiw i odna wydma*<sup>193</sup>!

Tak długo ryczy, aż zapada w sen. A gdy solidnie się wyśpi, wraca do Żydów i znowu jest cichy i spokojny. Jak zawsze. Znowu jest porządnym „Chwedor-sercem”. Jak gdyby nigdy nic.

— *A de twoje czobyty*, cholera ci w bok?

To powiedziawszy, zaczynają mu prawić umoralniające kazania i przeklinać jednocześnie:

— *Szo ty sobi dumajesz*<sup>194</sup>, ty bosiaku jeden? Wykitujesz któregoś dnia, *budesz zdochnyt*<sup>195</sup> pod płotem. A niech cię jeszcze piorun, *szob ty buw*<sup>196</sup> ofiarą za cały lud Izraela, Boże jedyny!

Chwedor stoi wówczas i milczy, drapiąc się w głowę. Zdaje sobie sprawę, że to oni mają rację, a nie on. Patrzy w dół na swoje bose nogi i myśli: „Kiedy to zdążyłem sprzedać swoje buty? *A nechaj jomu sto czertiw i odna wydma*<sup>197</sup>”.

Takie to stworzenie z tego Chwedora.

Również inni mieszkańcy Kasrylewki, którzy mają stosunki z Żydami, zdają sobie sprawę z tego, że od szóstego dnia stworzenia rodzili się oni po to, aby być handlarzami, kupcami i pośrednikami kupieckimi. Nikt bowiem tak jak Żydzi nie potrafi handlować, kombinować i ruszać głową. Tak już jest. Po ichniemu brzmi to tak: „*Na to woni Żydy, szob handliwały*<sup>198</sup>”. I tak spotykają się często na targu. Znają się doskonale z imienia i nazwiska. Mają do siebie nawzajem dużo szacunku i dają temu wyraz: Hryćko powiada do Herszka — „*maszenik*<sup>199</sup>”, a Herszko odpowiada mu: „*zlodziej*”. A wszystko w tonacji przyjemnej, bez złości. A gdy się na dobrze pokłócą, obydwaj udają się „do rabina”. A reb<sup>200</sup> Juzipl, rabin Kasrylewki, który sam biegły jest w tej „mowie”, za każdym razem wydaje wyrok:

— *Nechaj buło połowina*<sup>201</sup>. Aby tylko nie dopuścić do obrazy bożej.

Rozdział D. Hopka — dusza żydowska i Makar — żydożerca

Dotychczas mówiliśmy o mężczyznach nie-Żydach. Obecnie pogadamy trochę o dzio-batej Hopce, która mówi po żydowsku, jak prawdziwa Żydówka. Jej język roi się od niezliczonej ilości słów hebrajskich, jak na przykład: *mirtszem*<sup>202</sup>, *nachtejse*<sup>203</sup>, *kenore*<sup>204</sup>, *lasate*<sup>205</sup>, *leawdl*<sup>206</sup>, *gitjontew*<sup>207</sup> i tak dalej. Samego zaś Chwedora poza oczyma nazywa nie inaczej, jak tylko „kapurenik”.

Hopka tak się zrosła z kasrylewskimi Żydówkami, że czasami zarówno ona, jak i one, zapominają, kto jest kim. Zlecają jej wtedy takie prace, które uchodzą za żydowskie. Na przykład chodzi Hopka do rabina w kwestiach rytualnych. Pomaga przy soleniu mięsa, przyczynia się do tego, aby drób był kosztowny, pomaga w porządkach pesachowych. Hopka przy tym wykazuje znacznie większą dbałość o rytualną czystość pokarmów niż Żydówki. Drży na samą myśl, że mleczne potrawy mogą się pomieszać z mięsnymi. Jak ognia boi

<sup>193</sup>*Żydy nechrysti, nechaj jomu sto czertiw i odna wydma* — Żydzi niechrzczeni, niech go sto diabłów i jedna wiedźma. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>*szo ty sobi dumajesz* — co ty sobie myślisz. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>*budesz zdochnyt* — zdechniesz. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>*szob ty buw* (rus.) — żebyś ty był. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>*A nechaj jomu sto czertiw i odna wydma* — a niech mu sto diabłów i jedna wiedźma. [przypis edytorski]

<sup>198</sup>*Na to woni Żydy, szob handliwały* — po to są Żydami, aby handlowali. [przypis edytorski]

<sup>199</sup>*maszenik* — łobuz, łajdak. [przypis edytorski]

<sup>200</sup>*reb* — skrót hebrajskiego słowa *rabi*, które jest tytułem uczonego, rabina itp. U Żydów wyraz *reb* przed imieniem własnym oznacza szacunek dla osoby, do której zwracają się oni w ten sposób lub o której mówią. Młodszy wiekiem zawsze tak mówi do starszego. [przypis tłumacza]

<sup>201</sup>*nechaj buło połowina* — niech będzie połowa. [przypis edytorski]

<sup>202</sup>*mirtszem* (z hebr. *im jirce baszem*) — jeśli Bóg zechce. [przypis tłumacza]

<sup>203</sup>*nachtejse* (hebr.), właśc. *mechetejse* — bardzo proszę, no i dobrze. [przypis tłumacza]

<sup>204</sup>*kenore* (hebr.) — bez uroku. [przypis tłumacza]

<sup>205</sup>*lasate* (hebr. *lees ata*) — tymczasem. [przypis tłumacza]

<sup>206</sup>*leawdl* (hebr.) — dla odróżnienia. [przypis tłumacza]

<sup>207</sup>*git-jontew* (hebr.) — wesółych świąt. [przypis tłumacza]



się chumecu<sup>208</sup> w święto Pesach. Na równi ze wszystkimi Żydami je wtedy tylko macę. Znakomicie trze chrzan i ma z tego tytułu autentyczną przyjemność, jakby była prawdziwą Żydówką. Przez długi czas *prystaw*<sup>209</sup> w Kasrylewce nie chciał dać wiary, że Hopka nie jest Żydówką. Tak długo nie wierzył, dopóki nie doszło do nader smutnego wydarzenia...

Przylapano ją na czymś i zamierzano zesłać daleko, daleko. Na szczęście dla niej w sprawę zamieszany był jakiś postronny osobnik, pisarz rady miejskiej Makar Chołodny. Był to wściekły żydożerca, antysemita, jeden z najinteligentniejszych judofobów<sup>210</sup> w Kasrylewce. Gdyby nie współczucie dla Hopki, miejscowi Żydzi mieliby pełną satysfakcję, bowiem tutejszy Haman<sup>211</sup> dostałby za swoje. Klęska Makara pociągnęłaby jednak za sobą Hopkę. Wtrąciłaby ją w nieszczęście. Dlatego też żydowscy świadkowie, gdy stanęli przed sędzią śledczym, odwołali swoje poprzednie zeznania. Po prostu stwierdzili, że to, co przedtem mówili, było zwykłym „szczekaniem”. No i cała sprawa została zatuszowana. Zdawałoby się, że od tej chwili Makar Chołodny powinien zawrzeć pokój z Żydami i stać się ich najlepszym przyjacielem. Ale jakby na ironię, stał się on jeszcze bardziej zaciekłym żydożercą, jeszcze większym antysemitą, jeszcze większym judofobem.

Można powiedzieć, że Makar niemal od dzieciństwa doznał wielu krzywd od Żydów i dlatego nosił w swoim sercu nienawiść — z początku do Żydów kasrylewskich, a później przeniósł ją na Żydów na całym świecie. Gdy był jeszcze małym chłopcem i na bosaka pasał gęsi swego ojca, zwykł był spotykać dzieci żydowskie wracające z chederu<sup>212</sup>. Zamiast mówić im „dzień dobry”, przedrzeźniał je i wymachując połamami swego ubranka, dla śmiechu przekręcał ich mowę, wołając: „tatele-mamele”. Nie chodziło mu, broń Boże, o to, by kogoś obrazić. Robił to ot, tak sobie, dla humoru, dla zabawy. Jednak dzieci żydowskie, potomkowie Jakuba, zaprawieni w nauce *Pięcioksięgu*<sup>213</sup> i *Raszi*<sup>214</sup>, poczuły się dotknięte i odpowiadały na jego zaczepki piosenką żydowską, której treści co prawda nie rozumiał, ale ze śmiechu, jaki wywoływała, domyślał się, że chcą mu zalać sadła za skórę. Makar nie mylił się. Piosenka bowiem brzmiała tak:

Kiszki grają  
cały dzień,  
Dla mnie chleb,  
A tobie śmierć.  
Dla mnie drób,  
A tobie grób.  
Dla mnie sanki,  
Tobie dół.

Głupie dzieciaki. Po pierwsze, sprawa ma się zupełnie inaczej. Chleb to ma Makar, a nie one. Na saniach jeździ Makar, a nie one. Po drugie zaś, jak mogą ryzykować zaczepkę z Makarem, nawet gdy ich jest wielu, a on jeden? Makar posiada niczego sobie rączki. Wystarczy na dziesięć sprytnych główek żydowskich chłopców z dwóch kasrylewskich chederów. Oj! Makar jeszcze wtedy wyjaśnił im w sposób przekonywający sens zawarty

<sup>208</sup>*chumec* — kwaszony chleb. [przypis tłumacza]

<sup>209</sup>*prystaw* (ros.) — komisarz policji. [przypis edytorski]

<sup>210</sup>*judofob* — człowiek nienawidzący Żydów. [przypis tłumacza]

<sup>211</sup>*Haman* — tu przenośnie: zaciekły antysemita [przyp. tłum.: *Haman* — pierwszy minister Persji za panowania króla Achaszwerosza. Nienawidził on Żydów do tego stopnia, że skłonił króla, by ten wydał rozkaz ich zgładzenia. Tymczasem Achaszwerosz pokochał i poślubił żydowską dziewczynę Esterę, która postępując wedle wskazówek swego wuja i opiekuna Mordechaja, wpłynęła na cofnięcie okrutnego zarządzenia, ocalając w ten sposób swój lud. Haman i jego synowie zostali powieszani, a jego miejsce zajął wuj królowej, Mordechaj. Na pamiątkę tego wydarzenia Żydzi obchodzą radosne święto Purim (hebr.) — dosłownie: losy.]. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>*cheder* — dosłownie: pokój; nazwa szkoły dla początkujących, w której żydowscy chłopcy po ukończeniu piątego roku życia uczyli się czytania po hebrajsku modlitw oraz poznawali Pismo Święte. [przypis edytorski]

<sup>213</sup>*Pięcioksiąg* — pierwsze pięć ksiąg *Starego Testamentu*, zwanych też *księgami Mojżeszowymi*. Ta ostatnia nazwa nie wskazuje bynajmniej autora tych ksiąg, lecz tylko stwierdza, że podstawą ich jest tzw. prawo Mojżeszowe (stąd hebrajska nazwa *Księga Prawa, Prawo* — *Tora*). *Pięcioksiąg* opisuje, jak powstało to prawo, ilustruje wydarzeniami historycznymi lub uważanymi za historyczne, genezę i rozwój tego prawa. [przypis tłumacza]

<sup>214</sup>*Raszi* — skrót imienia rabiego Szlomo Icchaki (1040–1105), najpopularniejszego komentatora *Pisma Świętego* oraz *Talmudu*. [przypis tłumacza]

w biblijnym zdaniu, które znali z nauki w chederze: „Głos jest głosem Jakuba, a ręce, to ręce Ezawa”.

Później, gdy Makar uczył się w *prichodzkaj* szkole, nieraz latem spotykał się z nimi w polu za miastem, a zimą na lodzie, na ślizgawkach. Za każdym razem dochodziło do draki. Na słowo „Żyd”, które jest właściwie normalnym słowem, tak jak na przykład *parch*, chłopcy z chederu odpowiadali „swynia”. Makar zaś na ich drwiny odpowiadał pięściami. Wtedy okazało się, jak dzieci Izraela uciekają przed Filistynami, i jak Filistyni, uzbrojeni w pałki i kamienie, gonią za nimi i ryczą, i krzyczą, i gwizdzą: A tui, tui, Żydy hej! Ter, ter, ter!

Rozdział E. O tym, jak antysemita przeistacza się w filozofa

Na *prichodzkaj* szkole Makar zakończył swoją edukację. Został, oby nikomu się to nie przydarzyło, sierotą. Po rodzicach odziedziczył mały domek i kawałek ogrodu. A że był już *gramotny*<sup>215</sup>, więc poszedł w urzędników. Wziął się za pióro, rękę w pisaniu wyćwiczył i został najpierw pisarzem zarządu miejskiego, potem sekretarzem, a następnie jeszcze kimś ważniejszym. Wtedy zaczęły się jego kontakty z Żydami i miał możliwość zapoznać się z nimi bliżej.

Początkowo kontakty te nie były nawet tak niebezpieczne. Obydwie strony przedstawiały na ostrych reprimendach, na docinkach i drwinach. On zwykle zaczynał: „*Oj, wej, Icko, Berko, szabes, kugell*”. A oni: „*Wasze błogrodije*” i pstryk po jego kołnierzyku z ostrzeżeniem, że coś tam łązi.

Zdarza się czasami, że takie ostrzeżencko bywa gorsze od dziesięciu przekleństw pod adresem czyjegoś ojca. Bywają też słowa, które są gorsze od tysięcy policzków. A jeśli o nie chodzi, to kasrylewscy Żydzi są spece nad specami. W tej dziedzinie to istne diabły. Za dobre porzekadło, za trafne słóweczko, kasrylewianin, jak powszechnie wiadomo, gotów jest iść na wszystko. Nie będzie żałował nóg, zaryzykuje stratę zarobków. Gotów jest nawet wystawić życie na szwank. Kasrylewski nędzarz, żebrak, który chodzi po prośbie, gdy go odprowadzają z kwitkiem, będzie się starał, aby mu przynajmniej zezwolono powiedzieć jakiś własny aforyzm. Często się zdarza, że za taki aforyzm obrywa zdrowo. Bywało, że głową musiał otwierać sobie drzwi. Wyrzucali go na zbity pysk. Ale warto było tak gorzko zapłacić za choć jedno udane powiedzonko. Tacy to już byli moi ludzie z Kasrylewki. Grubo się mylicie, jeśli sądzicie, iż można by było ich zmienić, albo że się ich wstydzę.

Ale wróćmy do naszego Makara. Zupełnie niepotrzebnie napytali sobie Żydzi z Kasrylewki niebezpiecznego i zacieklego wroga. Zapomnieli o treści słów zawartych w starym wersecie: „Wystregaj się małego goja”<sup>216</sup>. Sądzili, że Makar będzie wiecznie małym pisarczykiem w zarządzie miejskim. Zapomnieli, że Makar to nie byle kto, że sroce spod ogona nie wypadł, że mierzy wysoko. Dziwna rzecz! Nie mieli nawet czasu obejrzeć się, a oto Makar wyrósł na wielgachnego, zdrowego chłopca o gęstych czarnych włosach. Na głowie nosił kaszkiet z czerwonym otokiem i guzikiem. A skoro poczuł go na swojej głowie, prostował się jeszcze bardziej, wystawiał do przodu brzuch i robił się wyższy i grubszy, niż był w istocie. Ramiona stawały się jakby szersze, a krok bardziej żwawy. To już nie ten Makar! To już Makar Pawłowicz, będący za pan brat ze wszystkimi notablami w mieście. Z weterynarzem, felczerem, poczmistrzem... Ze wszystkimi.

Szczególnie przydało mu się kumoterstwo z poczmistrzem. Bardziej niż z innymi. Dzięki poczcie bowiem miał dostęp do źródła, z którego czerpał całą swoją wiedzę. Tym źródłem była jedyna gazeta, jaka docierała do miasta. Nazywała się ona „Sztandar”. Najpierw oczywiście przeglądał gazetę sam poczmistrz, po nim Makar Pawłowicz. Na ostatku zaś abonent, który za nią zapłacił — jakiś mały *puryc*<sup>217</sup> ze Złodziejówki, położonej niedaleko Kasrylewki. Nic mu się nie stało z tego powodu, że nowiny gazetowe czytał w kilka dni później. Szlag go nie trafił. I tak dniami i nocami zajęty był grą w karty. Kto z sąsiadów śmierdział groszem, ten bywał u niego. Tak twierdził sam poczmistrz.

A tymczasem Makar Pawłowicz miał co czytać i o czym opowiadać. „Sztandar”, jak wiadomo, był gazetą „żydowską”, zajmującą się Żydami, „dbającą” o ich interesy, poszukującą nawet środków na pozbycie się ich, oczywiście dla ich, czyli Żydów, dobra. Z niej

<sup>215</sup>*gramotny* — piśmienny. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>*goj* — nie-Żyd. [przypis tłumacza]

<sup>217</sup>*puryc* — dziedzic, magnat. [przypis tłumacza]

to czerpał Makar znakomity materiał informacyjny o Żydach. Poznawał ich jak tylko mógł. Stał się, przy bożej pomocy, specem we wszystkich sprawach żydowskich, a nawet, można powiedzieć, geniuszem, mędrcom, ekspertem od *Talmudu*<sup>218</sup>, *Szulchan Aruchu*<sup>219</sup> oraz zwyczajów i obyczajów żydowskich. A mówiąc dokładniej, nabrał „wiedzy” o lichwie, oszustwach i o wykorzystywaniu krwi chrześcijańskiej na macę. Te wszystkie sprawy zainteresowały niezmiernie naszego filozofa. Tak dalece go pochłonęły, że zapragnął dojść w swoim poznaniu do samego źródła, do samych korzeni, to znaczy, chciał się o nich dowiedzieć z pierwszej ręki, czyli od samych Żydów z Kasrylewki. I chociaż nienawidził ich tak, jak Żyd nienawidzi świń, to jednak miał wśród nich przyjaciół, z którymi po dzień dzisiejszy żyje we wspólnocie.

Rozdział F. Bogacz Mordechaj-Natan i Tema-Bejla, jego żona

Jednym z najbliższych, serdecznych przyjaciół Makara w Kasrylewiec był Mordechaj-Natan, bogacz i waśniak, który wyraźnie odcinał się od innych gospodarzy w mieście. Był jakby zgrzytem w chórze pozostałych gospodarzy żydowskich.

Mordechaj-Natan, jak to bywa z bogaczami, miał całe miasto w kieszeni. Mógł sobie pozwolić na wszystko, co chciał. Taksa, czyli monopol na ściąganie taryf, był w jego rękach. On też jest gabem<sup>220</sup> — pierwszym wśród pierwszych. Nadaje ton. Jest alfą i omegą. Słowem, jest bogaczem. Ale jeśli rzecz zbadać dogłębnie, to właściwie na czym polegało jego bogactwo? Nikt nie mógł tego określić. Gdybyście, na przykład, zatrzymali pierwszego lepszego kasrylewianina i zapytali go, ile też może posiadać Mordechaj-Natan, zapytany przystanie na chwilę, podrapie się w brodę, kiwnie głową i przy wtórze westchnień, cedząc słowa, powie:

— Mordechaj-Natan? Daj Boże, bez uszczerbku dla niego, mieć choć połowę, choć jedną setną jego majątku. Stroicie sobie żarty z niego? Mordechaj-Natan to Żyd bogacz. Bogacz pełną gębą.

— A co to znaczy bogacz? Na ile, na przykład, można go szacować?

— Szacować? Co tu szacować? Czy to się w ogóle da oszacować?

— Co Mordechaj-Natan posiada?

— Mordechaj-Natan? Po pierwsze posiada własny dom.

— A dalej?

— Z własnym obejściem.

— I co jeszcze?

— I kilka kóz.

— I co jeszcze?

— A sklep to nic? Sklep jak ta lala.

— I co dalej?

— A taksa się nie liczy?

— I co jeszcze?

— A pan znowu swoje „co jeszcze”. Co pan tak się tego „co jeszcze” uczepił? Za mało panu? A czego by pan jeszcze chciał? Żeby otworzył sobie bank? Aby sypał złotem? Jeździł karetą?

I kasrylewianin odchodzi od was pełen oburzenia. I ma rację. Czegóż bowiem więcej może żądać człowiek od Mordechaja-Natana? Żeby był większy niż jest? On i tak jest bogaczem, ważną figurą. Kto jest gabem w Bractwie Pogrzebowym? Kto jest pierwszym wśród pierwszych? Kto ma władzę w mieście? Mordechaj-Natan oczywiście. Kto urządza co sobotę „pożegnanie królowej” dla siedmiu notabli miasta? Mordechaj-Natan. Kto coś znaczy dla siedmiu notabli miasta? Mordechaj-Natan. Kto coś znaczy dla *naczelstwa*<sup>221</sup>? Mordechaj-Natan. Słowem, Mordechaj-Natan i Mordechaj-Natan.

Mordechaj-Natan, rozumiecie, zna życie, wie, jak postępować z *naczelstwem*. Co piątek, wieczorem, zaprasza do siebie na rybę *prystawa*<sup>222</sup>. Kasrylewski *prystaw* to wielki

<sup>218</sup>*Talmud* — obszerne dzieło stanowiące podsumowanie doktrynalno-religijnego, pobiblijnego dorobku judaizmu. Składa się z Miszny i Gemary. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>*Szulchan Aruch* — kodeks zawierający przepisy religijne regulujące postępowanie człowieka w każdej sytuacji. [przypis tłumacza]

<sup>220</sup>*gabe* a. *gabaj* — jeden z przełożonych bożnicy, pełniący nad nią nadzór. [przypis tłumacza]

<sup>221</sup>*naczelstwo* — władza. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>*prystaw* (ros.) — komisarz policji. [przypis edytorski]

miłośnik ryby po żydowsku. Nie może jej się nachwalić. Za każdym razem wynosi pod niebiosa sposób jej przyrządzania. Rozprawia o jej smaku, jej niewysłowionej słodczy. Po prostu oblizuje się.

— *Ne ma hutsze*<sup>223</sup> jak żydowska ryba z *tiortym chrienom*<sup>224</sup> — tę śpiewkę powtarza za każdym razem. Gospodarzowi oraz gospodyni taki komplement przypada do serca. Obydwoje rozplývają się ze szczęścia. Rosną we własnych oczach. Z nadmiernej satysfakcji pot ich zalewa. Mordechaj-Natan chce przekonać swego gościa, że Żydzi mają jeszcze lepsze rzeczy, niż ryba z chrzanem. Gość nie daje wiary.

— Mianowicie!

— Mianowicie...

I Mordechaj-Natan szuka takiej rzeczy u Żydów, która by była lepsza od ryby z chrzanem. Jest taka rzecz — *cymes*<sup>225</sup> — ale boi się powiedzieć. Gość może bowiem jeszcze przedłużyć swoją wizytę. Zechce zaczekać, aż podadzą *cymes*. Na co zaś gość Mordechajowi potrzebny? A może *kugel*<sup>226</sup>? A nuż każe sobie, ni z tego, ni z owego, podać *czulent*<sup>227</sup> sobotni w ten piątkowy wieczór? Mało to się może zdarzyć z żydowskim kuglem?

Mordechaj-Natan zadowala się więc w odpowiedzi tylko słabym uśmiechem. „Cha, cha”. Na to gość replikuje mu: „Cha, cha, cha”. Mordechaj-Natan jest zadowolony z tego, że gość się śmieje. Zaczyna mu więc wtórować do śmiechu: „Cha, cha, cha, cha”. Wtedy gość uderza Mordechaja łokciem w bok, rzucając jednocześnie uśmiech w stronę gospodyni. Oboje, to znaczy gospodarz i gospodyni, rozplývają się ze szczęścia. Nagle gość się podrywa. Wyciera sobie ręce i usta śnieżnobiałym obrusem ze stołu, zapina mundur na wszystkie guziki i tym razem już na poważnie, bez żartów, powiada:

— Czas na służbę!

Mordechaj-Natan i Tema-Bejla wstają od stołu i z honorami odprowadzają *prystawa* do drzwi. Nie odrywają od niego wzroku. Patrzą mu w twarz takimi oczyma, jakimi pies patrzy na swego pana. Obwąchują go jak psy. Chcą wiedzieć, czym pachnie ich gość. Nie ustają w pokłonach. Proszą go, aby, broń Boże, nie zapomniał odwiedzić ich w przyszłą sobotę.

— Cholera ci w bok! — takim, po cichu wymawianym błogosławieństwem, obdarza go gospodyni. Wścieka się i piekli na swego męża, który w dzień i w nocy, a nawet w sobotę zadaje się z *naczalstwem*. Mordechaj-Natan wysłuchuje tego i nic nie mówi. Dziwny z niego człowiek. Autor tej historii nie może się powstrzymać od odmalowania portretu tej pary małżeńskiej. Chce go pokazać całemu światu.

Mordechaj-Natan to człowiek wysokiego wzrostu i o długich rękach. Chudy i wysuszony, o sterczących policzkach, z powodu których twarz wydaje się być czworokątna, jak u Chińczyka. Podobieństwo to wzmacnia jeszcze bardziej słaby zarost na twarzy i bardzo rzadka bródka. Wargi Mordechaj-Natan ma zawsze szczelnie przymknięte. Usta, nieco skrzywione na bok, sprawiają wrażenie, jakby ich właściciel przechowywał jakąś tajemnicę. Zawsze jest poważny. Czoło ma usiane zmarszczkami. Nigdy nie podnosi głosu. Nie wypowiada żadnego zbędnego słowa. Tylko wtedy, gdy spotyka się z *naczalstwem*, przeistacza się w innego człowieka. Zmarszczki na czole wygładzają się, znikają. Twarz rozjaśnia się. Wargi się rozwierają. Zaczyna mówić i mamy przed sobą zupełnie innego Mordechaj-Natana.

A może wiecie, dlaczego tak lubuje się w *naczalstwie*? Chyba tylko dla honoru, dla zaszczytu. A nuż pewnego razu przyjdzie do niego jakiś kasrylewianin w potrzebie i będzie błagał:

— Jak to, reb Mordechaj-Natan, kto bardziej od was znaczy u *naczalstwa*?

Dla tego jednego słowa „znaczy” warto ponieść wszystkie ofiary, znosić drwiny i śmiechy. Warto też ponosić wydatki pieniężne. Dziwny człowiek z tego Mordechaj-Natana.

<sup>223</sup>*Ne ma hutsze* — nie ma nic lepszego. [przypis edytorski]

<sup>224</sup>*z tiortym chrienom* — z tartym chrzanem. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>*cymes* — słodka potrawa z ryżu lub makaronu i marchewki. [przypis edytorski]

<sup>226</sup>*kugel* — rodzaj leguminy, przysmak podawany jako deser po obiedzie sobotnim. [przypis tłumacza]

<sup>227</sup>*czulent* — jednodaniowa potrawa szabasowa składająca się z mięsa wołowego, kartofli, kaszy perłowej, czasem śliwek i innych przypraw, tradycyjnie spożywana przez Żydów aszkenazyjskich na obiad. [przypis tłumacza]

Żona Mordechaja-Natana, Tema-Bejla, dla kontrastu jest tęga i niskiego wzrostu. Przypomina moździerzki lub samowarek z czajniczkiem u góry. Jak tęga i okrągła jest jej dolna połowa ciała, tak mała i szpiczasta jest jej główka. Ten okrągły samowarek nieustannie kipi i szumi z wściekłości na męża, z gniewu na służącą, ze złości na kasrylewskie kozy. Z nienawiści, gniewu i wściekłości na kasrylewskie kobiety i na cały świat. Jedyne szczęście, że zarówno mąż, służąca oraz kasrylewskie kozy i kasrylewskie kobiety, jako też cały świat, mają ją gdzieś. Przejmują się nią tak, jak Haman przejmuje się hałasem grzechotek w Purim<sup>228</sup>. Mąż zajęty jest zawsze sprawami publicznymi — sprawami kahału<sup>229</sup>. Ma do czynienia z *naczalstwem*. Służąca robi jej na złość. Przypala kaszę bądź kartofle. Pozwala mleku wykipieć i rozlać się po płycie. Kasrylewskie kozy dopiekają jej do żywego. Skaczą na dach i zjadają powolutku słomę ze strzechy. Kasrylewskie kobiety uprzykrzają jej życie na targu. Przy stoliku z rybami, w jatce, przy modłach w bożnicy i, za przeproszeniem, w łaźni. Nie ma co. Świat jest na bakier z Temą-Bejlą. I na pewno nie bez przyczyny. Wszyscy przecież nie zwariowali...

Teraz, gdy zapoznaliśmy się trochę z tą parą, możemy spokojnie przejść do dalszych postaci, wokół których reb Mordechaj-Natan się kręci.

Rozdział G. „Pan na stanowisku” w sklepie i w domu bogacza

Następnym gościem bywającym u Mordechaja-Natana był nasz znajomy, Makar Pawłowicz. Nie był on jednak gościem domowym. Często przekraczał progi sklepu tekstylnego Mordechaja-Natana, który — wiecie to zapewne — był największym sklepem tej branży w Kasrylewie. Można tam było kupić wszystko: bawełnę, wełnę, ryps<sup>230</sup>, perkal<sup>231</sup>, cąg<sup>232</sup>, jedwab, trykot, szewiot<sup>233</sup>, aksamit, atlas, satynę, muślin i wszystko, czego serce zapragnie w najnowszych i najmodniejszych wzorach. Tego nawet w Jehupcu nie dostaniesz. Tak powiada Mordechaj-Natan i jego żona Tema-Bejla, tak też twierdzą subiecki<sup>234</sup> sklepowi Mordechaja-Natana. Spróbujcie im powiedzieć, że tak nie jest. Wszyscy kasrylewscy „wielmożni” i wszyscy dziedzice z okolic Kasrylewki to klienci Mordechaja-Natana. Również większość chrześcijan ma do niego pełne zaufanie i dlatego nie ma mowy o targowaniu się. Tema-Bejla może przysięgać na wszystkie świętości. Na nic jej się to nie zda. Jedno zaś słowo Mordechaja-Natana wystarczy. Jego słowo to rzecz święta. Tak już jest. I nie zadawajcie zbędnych pytań, dlaczego.

Również Makar należy do tych klientów Mordechaja-Natana, który w handlu z nim polega na jego słowie honoru. Makar to stary jego klient, jeszcze z czasów, gdy nie był Makarem Pawłowiczem, a tylko Makarem, któremu Mordechaj-Natan nie dałby na kredyt nawet szpulki nici. Bez pardonu i bez jakiegokolwiek żenady powiedziałby do niego na poły po hebrajsku, na poły po ukraińsku:

— Dał forszę, wziął mąkę. Wasze *broszy*, nasz towar.

Później, gdy Makar awansował jako urzędnik w zarządzie miejskim, Mordechaj-Natan otworzył mu kredyt. Rzecz oczywista, na kwitek, na wekselek. Mawiał przy tym do niego jak zwykle, na poły po hebrajsku i na poły po ukraińsku: „*Ne wybaczajcie, panicze, szolem babais, maszken bekeszene*, czyli spokój w domu, gdy fant w kieszeni...”

Później jednak, gdy Makar urósł w piórka, wdział kaszkiet z guzikami i wbił się w sztywny kołnierzyk, otworzył mu Mordechaj-Natan kredyt co się zowie. I gdy Makar Pawłowicz zjawiał się w sklepie, Mordechaj-Natan wychodził mu na spotkanie, podsuwał krzesło i witał serdecznie, tytułując go *wasze wysokobłagorodije*. Makar Pawłowicz zwykł rozsiadać się szeroko na krześle i zakładać nogę na nogę. Zapalał papierosa i ucinął z Mordechajem-Natanem rozmówkę prostą i nieskomplikowaną, zwracając się do niego w sposób przyjazny per „ty”:

— Hej, *posłuszaj* Mordechaj-nosie!

<sup>228</sup>Przejmują się nią tak, jak Haman przejmuje się hałasem grzechotek w Purim — podczas święta Purim w bożnicy odczytywana jest publicznie *Księga Estery*, a kiedy z ust czytającego pada imię Hamana, niegodziwego prześladowcy Żydów, wierni hałasują kołatkami i grzechotkami, żeby je zagłuszyć. [przypis edytorski]

<sup>229</sup>kahał — żydowska gmina wyznaniowa. [przypis tłumacza]

<sup>230</sup>ryps — rodzaj prążkowanej tkaniny. [przypis edytorski]

<sup>231</sup>perkal — cienkie płótno bawełniane. [przypis edytorski]

<sup>232</sup>cąg — rodzaj mocnej tkaniny bawełnianej. [przypis edytorski]

<sup>233</sup>szewiot — tkanina z wełny owiec gatunku Cheviot. [przypis edytorski]

<sup>234</sup>subiecki (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

A Mordechaj-Natan stoi przed nim z udawanym szacunkiem i dobrze zagranym repektem i myśli sobie przy tym: „Skąd się tu wzięłeś panie na stanowisku?”. A „pan na stanowisku” zapuszcza się w rozważania na temat Żydów, żydowskich interesów, *szachermacher*<sup>235</sup>, itd. Raz po raz wybucha śmiechem, przeplatany jakimś dziwnym pokaszliwaniem. Mordechaj-Natan ma wrażenie, jakby go ktoś metalowym arszynek<sup>236</sup> zdzielił po siódmym żebrze. Powstrzymuje się ze wszystkich sił i stara się uśmiechnąć. Uśmiech jednak jest tak paskudny, że gdyby spojrział w tym momencie w lustro, nabrałby do siebie obrzydzenia.

Gadka „pana na stanowisku” obraca się wokół spraw, które Mordechaja-Natana zupełnie nie obchodzą. Wyrzucenia Makara wchodzą mu jednym uchem, a drugim wychodzą. A brnąc dalej w gadce „pan na stanowisku” przechodzi do tematów, których Mordechaj-Natan nie jest już w stanie spokojnie słuchać. Zadaje mu mianowicie pytanie, czy to prawda, że Żydzi w sobotę w bożnicy przeklinają wszystkie inne narody, stawiając im różne zarzuty, i plują na kościół. Czy odpowiada prawdzie, że po wyjściu chrześcijanina Żydzi wylewają za nim pomyje? Takie to wyssane z palca bzdury stawia jako pytania.

Mordechaj-Natan chce się od niego uwolnić. Zagaduje go więc na temat zarządu miejskiego i jego przedsięwzięć, ale nic z tego. Gdzie tam? Makar nie daje się zbić z pantałyku, choć bij, zabij. Napiera na Mordechaja-Natana. Teraz albo nigdy. Niech się przyzna. Mordechaj-Natan próbuje wykręcić się żartem:

— Gdzie to *wasze wysokoblogorodije* wyczytał takie rzeczy?

Makar patrzy mu prosto w oczy i do głowy przychodzi mu taki pomysł. Znienacka dopada Mordechaja-Natana i przyciska go, jak to się mówi, do ściany:

— No, a krew?

— Jaka krew?

— Pesach. Maca. A tu cię mam.

Ale Mordechaj-Natan również wpada na pomysł. Szturcha „pana na stanowisku” w plecy, przesuwa ręką po jego kołnierzu i z paskudnym uśmiechem psa-lizusa rzuca:

— Ależ z pana dowcipniś. Cha, cha, cha!

Gdy ten podnosi się wreszcie z krzesła i odchodzi, Mordechaj-Natan wypowiada pod jego adresem pochwałę.

— „Pan na stanowisku” to trudny człowiek. Nie można, broń Boże, powiedzieć, że jest zły. To po prostu pies nad psami...

Pewnego razu w sobotę po południu Mordechaj-Natan siedział w domu i studiował jakiś rozdział *Pisma*. Nagle otwierają się drzwi i do pokoju wchodzi... Makar Chołodny. Z początku nasz bogacz trochę się przeraził. Był wielce zdumiony. Skąd nagle „pan na stanowisku” u niego? Wnet jednak przybrał przyjazną minę i z miłym uśmiechem poprosił gościa, by usiadł. Zdjął z głowy sobotnią czapkę, pozostając jedynie w jarmulce. Do żony zaś odezwał się głośno:

— Temo-Bejlo! Podaj nam coś do przekąszenia!

Makar powstrzymuje go ruchem ręki i powiada:

— Nie trzeba. Przyszedłem do ciebie w ważnej sprawie. To tajemnica.

Usłyszawszy słowo „tajemnica”, Mordechaj-Natan podrywa się z miejsca i chce zamknąć drzwi na klucz. Makar jednak bierze go pod rękę i powiada:

— Nie trzeba. Nie takaż to tajemnica, aby należało zamknąć drzwi. Chciałem cię zapytać o drobnostkę. Jesteś mądrym człowiekiem. Jesteś uczciwy. Od ciebie chciałbym się dowiedzieć czystej prawdy.

Mordechaj-Natan zaczyna głaskać swoje pejsy<sup>237</sup>. Czuje się podniesiony na duchu. Jest wyraźnie zadowolony z komplementu. Oczy z satysfakcji zachodzą mu jakby tłuszczem. Szkoda tylko, że nikogo przy tym nie ma.

— Z pewnością słyszałeś o wydarzeniu z dziewczynką?

Makar patrzy mu przenikliwie w oczy, jakby był sędzią śledczym.

Mordechaj-Natan nadstawia uszy, jak zając.

<sup>235</sup>*szachermacher* — oszustwo. [przypis tłumacza]

<sup>236</sup>*arszyn* — daw. rosyjska miara długości, ok. 3/4 metra. [przypis edytorski]

<sup>237</sup>*pejsy* — długie pasma włosów na skroniach, zwieszające się przed uszami, noszone przez ortodoksyjnych Żydów. [przypis tłumacza]

— Z jaką dziewczyną?  
 — Z dziewczyną, którą Żydzi zarżnęli. Wytoczyli z niej krew i przechowują na Pesach.  
 W pierwszej chwili Mordechaj-Natan wybuchł śmiechem: „Cha, cha, cha”. Zaraz jednak blednie, a po chwili zielenieje. W oczach pojawiają się płomienie.  
 — Kłamstwa i wymysły! — Mordechajowi-Natanowi trzęsie się głowa. W ruch wprawione są pejsy.  
 — Jak to? W gazetach stoi! — Makar nie spuszcza z niego oka.  
 — Gazety lżą jak pies! — wypala krzycząc Mordechaj-Natan.  
 — Gazety piszą, że jest protokół! — Makar usiłuje go przygwoździć. — Sam czytałem. Jest protokół.  
 — Kłamstwo i wymysł! — krzyczy Mordechaj-Natan. Na głowie trzęsie mu się jarmulka<sup>238</sup>. W ruchu są pejsy.  
 — Co jest kłamstwem i wymysłem? — Makar płonie z gniewu. — To, co ci przekazuję? Czy to, co jest w protokole?  
 — Wszystko jest kłamstwem i wymysłem! Wszystko! Od początku do końca z palca wyssane — mówiąc to Mordechaj-Natan wymachuje rękami. Twarz, oczy, pejsy są w nieustannym ruchu. Całe ciało drży. Rozpiera go wściekłość. W takim stanie Makar nigdy go jeszcze nie widział. Wyciągnął z tego wnioszek, że Mordechaj-Natan nie bez powodu jest tak wzburzony. Nie z innego zaś powodu, jak tylko z tego, że to prawda. Gdyby tak nie było, to dlaczego tak krzyczy? Dlaczego tak się rzuca? To tylko hucpa<sup>239</sup> żydowska każe mu na to wszystko, co zostało napisane, twierdzić, że to kłamstwo i wymysł. I Makar Chołodny podrywa się z oburzeniem. Wsadza na głowę kaszkiet z guzikiem i powiada:  
 — Za takie słowa jeszcze będziesz odpowiadał!  
 Rusza ku drzwiom. Mordechaj-Natan podąża za nim natychmiast. Już żałuje tego, co się stało. Chce go przeprosić i zatrzymać. Biegnie za nim.  
 — Panie! *Wasze wysokobłogorodije!* Makarze Pawłowiczu!  
 Nic z tego. Makar Pawłowicz jest już po tamtej stronie drzwi. Mordechaj-Natan nie może się pozbierać. Serce go boli ze zmartwienia. Zagryza się. Może faktycznie powiedział coś nie tak. Diabeł go skusił. I na domiar złego zjawia się Tema-Bejla. Chce koniecznie wiedzieć, co tu robił „pan na stanowisku”. Dlaczego tak prędko się ulotnił? I dlaczego tak trzasnął drzwiami?  
 — Zapytaj go sama! — Mordechaj-Natan nie może ukryć swojej wściekłości.  
 — Popatrzcie no na niego. Ale zły! Którą nogą dziś wstałeś? Co ci się stało?  
 — Kapuściany łeb!!! — ryczy na cały głos Mordechaj-Natan. Tema-Bejla omal nie mdleje. On sam zresztą przeraził się swego głosu. Z kuchni wpada również służąca, czarnolica litwaczka<sup>240</sup>. Jest półżywa ze strachu. Lamentuje:  
 — A niech was! Na śmierć mnie przestraszyliście.  
 I wtedy Tema-Bejla rzuciła się na nią z pięściami. Mordechaj-Natan zaś natarł na obydwie. Skończyło się na skandalu. Nie opiszę go jednak. Nie zasługuje na to.

#### Rozdział H. Kasrylewka wybiera się w drogę

Od tamtego czasu rozpoczął się dla Kasrylewki okres pełen zmartwień, cierpień i strachu. Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego Makar Chołodny stał się jeszcze większym żydożercą, niż był dawniej. Dlaczego przestał chodzić do sklepu naszego bogacza, który zresztą wstydział się z tego powodu. Nikomu nic nie mówił. Zachował to dla siebie.

Makar zaś rył pod Żydami, jak tylko mógł. Drażnił ich i ciągle zapowiadał, że wkrótce skończy się ich panowanie. Inni dobiorą się im do skóry i zażądadają rachunku. Spytają skąd pochodzi ich bogactwo? Ani to harują, ani orzą, ani sieją, tylko na gotowe przychodzą. Dlaczego im się to należy? Takie to i inne pretensje, zaczerpnięte ze „Sztandaru”, wysuwał. Właśnie w tym czasie wydarzyła się owa wstydliva historia z Hopką, która nadszarpnęła jego reputację. O mało co nie wpadł w nieszczęście. Mówiliśmy już zresztą o tym w poprzednim rozdziale. Gdy przy boskiej pomocy udało mu się wyjść z tego bez

<sup>238</sup>jarmulka — okrągła sukienka czapka na czubek głowy, charakterystyczna dla Żydów. [przypis edytorski]

<sup>239</sup>hucpa — czelność. [przypis tłumacza]

<sup>240</sup>litwak — tak nazywano Żydów z Litwy i Białorusi, którzy słynęli jako zaciekli przeciwnicy chasydyzmu i rabinów-cudotwórców. Litwak to synonim uporu, przekory, trzeźwości umysłu, człowiek wierzący tylko w to, co można zbadać, udowodnić. [przypis tłumacza]

szwanku, wtedy dopiero zaczął ryc pod Żydami z Kasrylewki. Za każdym razem dawał im do zrozumienia, że dopiero teraz nauczy ich rozumu. Wtedy właśnie nadszedł ów sławetny list od zięcia szojcheta<sup>241</sup>, który niczym pieśń zawędrował do każdego domu w mieście. Zajdel ze swoimi gazetami dołał oliwy do ognia, a po mieście krążyły różne historie, jedna straszniejsza od drugiej. Gruchnęła wieść, że wkrótce w Kasrylewce wydarzy się to samo.

Skąd to się wzięło? Kto pierwszy rozpuścił tę wieść? Tego po dziś dzień nikt nie wie i nigdy wiedzieć nie będzie! Przyszły dziejopisarz, który by przystąpił do opisanego tego okresu, historyk, który by grzebał w dokumentach i gazetach, niechybnie zatrzymałby się w wielkiej zadumie nad tą sprawą. Pióro zastygłoby mu w ręce, a myśli uniosłyby go hen, daleko...

Nie wiadomo, jak to się stało i skąd się wzięło, ale zła nowina rozeszła się po mieście lotem błyskawicy. Trzy wsie miały ruszyć na Kasrylewkę. I oto pewnego dnia rankiem cała Kasrylewka, jak jeden mąż, stanęła na nogi. Pakowano walizki. Ładowano w paki pościel i wszelkie inne szmaty. Przygotowywano do drogi dobytek. Jak przed pożarem. Żydzi wybierali się w drogę. Dokąd? Gdzie oczy poniosą. Matki tuliły małe dzieci do piersi. Lały się łzy i sypały się pocałunki. Uściskom nie było końca. Jakby ktoś chciał im te dzieci zabrać. Jak gdyby ktoś ich potrzebował...

Zamykano sklep za sklepem. Jeden oglądał się na drugiego, a zarazem każdy się spieszył, chciał być pierwszym. Chwedora tego dnia omal nie rozszarpali na kawałki. Każdy ciągnął go do siebie, by pomógł w pakowaniu. Po cichu, żeby nikt nie widział, wciskano mu po parę groszy. Jeszcze nigdy Chwedor nie zażywał takiego szacunku w Kasrylewce, jak tego dnia. Był ważny i jak nigdy dotąd nie zebrał do kupy tyle forsy. Wpakowano mu jej tyle, że w pewnym momencie nie wytrzymał i splunawszy potężnie, rzekł:

— *Niechaj jomu sto czertiw i odna wydma!*

Po czym udał się tam, dokąd chodził zawsze. Wypił nieliczy kielich na cześć tych, którzy opuszczali miasto. A gdy już był „gotów”, zaczął rozrabiać. Wymachiwał pięściami i krzyczał, że już najwyższa pora pozbyć się Żydów z Kasrylewki. Za sprawą szatana akurat obok przechodził Makar Chłodny z panem poczmistrzem. Usłyszeli oni, co na temat Żydów wygaduje Chwedor. Przystanęli więc i zauważyli, że kasrylewianie się pakują, szykują do drogi. Zaciekawili ich to. Zaczęli się przyglądać. Dokąd to Żydzi uciekają?

Na ich widok wśród Żydów powstało jeszcze większe zamieszanie. Natychmiast zaniechano dalszego pakowania. Niech piorun trzaśnie cały dobytek! Życie jest cenniejsze! Gdzie tylko była jakaś fura, jakaś szkapa lub para wołów, natychmiast ją wynajmowano, by w porę wyruszyć w drogę. A wszystko odbywało się w pośpiechu, na chybcika. Tak, jak to zapewne było przy wyjściu z Egiptu.

Najpierw wyleciały jak te orły furmanki z dużymi i małymi budami. Był tam reb Mordechaj-Natan, kasrylewski bogacz wraz z całą rodziną. W innych furmankach z budami jechali pozostali bogacze ze swoimi rodzinami. Za nimi ciągnęły chłopskie wozy zapchanne po brzeg kobietami, dziećmi i chorymi. Za wozami zasuwali mężczyźni — pośledniejsi gospodarze. Plebs walił, za przeproszeniem, na piechotę, w przyspieszonym tempie. Bał się oglądać do tyłu. A nuż gonią za nimi i poproszą, aby zawrócili.

W Kasrylewce zrobiło się cicho i pusto. Zupełnie jak na cmentarzu. Z istot żyjących pozostały tylko kozy — cały żydowski dobytek w Kasrylewce. Pozostała też dziobata Hopka, łąziebny i łąziebna i po stokroć, nie przymierzając, stary reb Juzipl.

O każdej z tych istot żyjących będziemy mówili w oddzielnych rozdziałach.

## Rozdział I. Spróbujcie rzecz zbadać w sposób naukowy

Uczeni zajmujący się przyrodą, badający nawyki i naturę każdego stworzenia, udowadniają w sposób przekonujący, że nic w naturze nie ginie i nic nie umiera. Powiadamy na przykład, że oto było drzewo, rosło i dojrzewało, kwitło i owocowało, aż po pewnym czasie zerwaliśmy z niego owoce. Zjedliśmy owoce, gałęzie przekwitły i liście z nich opadły. Drzewo ścięto. Drewno poszło na opał. Wydaje się przeto, że to już koniec. Czy tak jest naprawdę? Nie, powiadają uczeni. Nie tak się rzecz ma. Drzewo, twierdzą, rozłożyło się na czynniki. Z owoców, powiadają, mieliśmy odżywczą przyjemność. Liście napelniały nas wydzielanym przez siebie aromatem. Drewno dostarczało nam ciepła.

<sup>241</sup>szojchet — rytualny rzeźnik. [przypis edytorski]



Drzewo żyło więc i my żyliśmy. Gdy umarliśmy i ciała nasze złożono do grobu, też rozpadliśmy się na czynniki. Na naszym grobie wyrosła trawka. Zjadła ją koza i w rezultacie dała mleko. Mleko piło dziecko i nabierało sił do życia. Rosło i wyrosło. Przeżyło swoje życie i umarło. I znowu rozłożyło się na czynniki. Znowu trawka, kozy, mleko, małe dzieci i tak dalej, i tak dalej, aż do końca świata.

Zapewne domyślacie się, dokąd prowadzą te rozważania. Chodzi o stare, rozrzucone graty na pradawnym kasrylewskim cmentarzu, na którym groby, kozy oraz Żydzi z Kasrylewki tworzą w sumie jedną całość, jeden łańcuch, który ciągnie się od wielu, wielu lat. I kto wie, ile lat jeszcze będzie się ciągnął.

Jeśli chcecie wiedzieć, ile lat Kasrylewka istnieje jako miasto żydowskie, to w tym celu nie powinniście szperać w starych annałach. Na nic to się nie zda. Wystarczy pofatygować się na stary cmentarz w Kasrylewie i obejrzeć najstarsze nagrobki z figurującymi na nich napisami. Znajdziecie tam proste drewniane nagrobki i zwykle szare kamienie. Niektóre zawaliły się, niektóre pochylły się pod ciężarem lat. Tu i ówdzie migają na nagrobkach na pół zatarte blade litery: „Tu spoczywa mąż bogobojny, rabin i cadyk<sup>242</sup>...” (taki to a taki). „Tu spoczywa kobieta cnotliwa i mądra...” (taka to i taka). Trudno odczytać datę śmierci, wiadomo tylko, że było to dawno, dawno temu. Wiele bowiem grobów rozpadło się, wiele obrosło gęstą, bujną trawą. Pozbawione karmy kozy z Kasrylewki przedostają się poprzez rozwalony parkan cmentarza i zjadają trawę na grobach. Do domu wracają z wymionami pełnymi mleka. Biedne dzieci żydowskie z Kasrylewki mają już co jeść i skąd czerpać siły do życia. A kto wie, czym w istocie są te kozy? Może tkwi w nich dusza ludzka? Dusza człowieka nawet bardzo bliskiego? Kto wie, w jakim stopniu i jak mocno związane są te trzy czynniki — stary kasrylewski cmentarz, kozy zjadające na nim trawę i sami kasrylewianie we własnych osobach? Taki wniosek nasunął mi się owego dnia, gdy ujrzałem, jak Żydzi z Kasrylewki rozbiegali się, pozostawiając na łasce Boga cały swój dobytek, czyli kozy.

Było już po świętach Pesach. Śnieg stopniał, kwitła zielona trawa. Jej łodyżki wyciągały się ku słońcu, czerpiąc z niego ciepło, potrzebne do wzrostu i upiększania bożego świata, a właściwie każdego miejsca, na którym ludzie pozwalają trawie rosnąć. Kasrylewka jednak, ku naszemu ubolewaniu, nie jest miejscem przychylnym dla świeżej trawy. Nie jest też terenem, na którym mogłyby rosnąć i kwitnąć pachnące drzewa. Kasrylewka jest siedliskiem błota, piasku i kurzu. Unosi się nad nią smrodliwe powietrze, od którego można się udusić. Z trawą możecie się zetknąć tylko na cmentarzu. Tam też pociągnęła mnie wyobraźnia w owym dniu wielkiego zamieszania i popłochu. Tam też ujrzałem tę całą trzodę opuszczonych, osieroconych kóz. Serce mi się ścisnęło na ich widok i na wspomnienie dzieci, które tego dnia pozbawione zostały mleka. Patrząc na te biedne kozy i widząc, jak żałośnie się pałętają, jak przeżuwają, jak trzęsą bródkami, jak smutnie i dziwnie błyskają oczyma w głupim jakimś zadumaniu, zdawało mi się, że zwracają się do mnie i mówią: „Wujku, może pan wie, gdzie się zapodziali nasi gospodarze i gospodynie? Po jakiego diabła rozpierzchli się?”

Zostawiam za sobą cmentarz, uświęcone miejsce wiecznego spoczynku, i ruszam do miasta. Chcę wraz z wami zobaczyć tych, którzy po wielkim zamieszaniu, jakie ogarnęło miasto, pozostali. Mam na myśli łąziebnego, łąziebną i tego, który był na ich wikcie, czyli rabina Juzipla.

#### Rozdział J. Rzecz o reb Juziple

Nieraz już w moich nie wymyślonych, a na prawdzie opartych opowiadaniach, wymieniałem i przedstawiałem jedną z moich najulubieńszych postaci, reb Juzipla, rabina z Kasrylewki. Nigdy jednak dotychczas nie zatrzymałem się na dłużej przy tej postaci, a należało to zrobić, abyście mogli go dobrze poznać. Zdaję sobie sprawę, że wyrządziłem mu krzywdę. Pozwolę sobie więc ją teraz naprawić.

Reb Juzipl to człowiek w podeszłym wieku, schorowany starzec. Nigdy zresztą nie należał do siłaczy. Ciało ma słabe, połamane. Za to dusza w nim cała, zdrowa i czysta. Właśnie w to chore ciało Bóg tchnął wiecznie młodą i wiecznie świeżą duszę. Nakazał jej

<sup>242</sup>cadyk — dosł. „sprawiedliwy”; Żydzi zazwyczaj nazywają tak słynnych rabinów, uczonych, bogobojnych mężów słynących ze sprawiedliwości, dobroci i pobożności. [przypis tłumacza]

przy tym, żeby trzymała się w nim długo, bardzo długo — dopóki nie nadejdzie właściwa pora i sam Pan Bóg nie powie jej: „Chodź, pora już do rajy”.

Z całą pewnością do rajy. Co do tego nie ma wątpliwości! Piekło bowiem i związane z nim męki wraz ze wszystkimi innymi „przyjemnościami”, które czekają tam na każdego z nas, reb Juzipl przeżył już tutaj, na ziemi. Nie ma takiego nieszczęścia, takiego zmartwienia i takiej plagi, której by reb Juzipl nie zaznał od Wiekuistego. Ten, którego żywot jest wieczny, chciał widocznie wypróbować swego wiernego sługę, reb Juzipla. Dlatego też nie skąpił mu nieszczęść i hojną dłonią sypał je na niego, tak jak nowożeńca obsypuje się orzechami. Zabierał mu dzieci jedno po drugim. Rzecz oczywista, że przed śmiercią dosyć się namęczyły. Po nich zabrał mu żonę, bogobojną i sprawiedliwą rabinową, która była dla niego jak matka. Następnie przygarbił go i pochylił do ziemi. Obdarował go też na starość kilkoma chorobami i „zostawił na lodzie” jako samotnego wdowca. Aby dopełnić miary i dać mu poczuć właściwy smak piekła, natchnął Żydów z Kasrylewki myślą o wybraniu nowego, młodszego rabina. Jego zaś, reb Juzipla, powinni przenieść, za przeproszeniem, na wikt do łaźiebnego i łaźiebnej. Tam miał przeżyć ostatnie dni swego żywota. Wiekuisty mógł w tym wypadku przypuszczać, liczył też chyba na to na pewniaka, że teraz reb Juzipl niezawodnie zgrzeszy złym słowem. Tak zresztą było przed wiekami z Hiobem, który długo się trzymał, długo zachowywał jak człowiek pełen cierpliwości, dopóki nie zdzierzył i nie przeklął samego siebie.

Reb Juzipl, nasz stary rabin, był jednak innym człowiekiem. Do wielu rzeczy doszedł przy pomocy własnego rozumu. Również do wniosku, że wszystkie męki i cierpienia, które Bóg na niego zesłał, mają jakby dwie przyczyny: albo jest to próba, na którą Bóg go wystawia, cena, którą sypa za pobyt na grzesznej ziemi, aby potem na tamym świecie otrzymać zadośćuczynienie i nagrodę wielokrotnie większą, albo też zwyczajnie na nie zasłużył. Jeśli nie za własne grzechy, to za grzechy swoich biednych braci, dzieci Izraela. Odpowiadają bowiem one jedno za drugie. Jedno za drugie ma odpokutować. Tak, jak w spółdzielni, we wspólnocie. Jeśli kogoś złapie się na kradzieży, odpowiada cała spółdzielnia, każdy jej członek stosownie do wielkości swego udziału. Do takiego wniosku doszedł własnym rozumem reb Juzipl. Nie uskarżał się nigdy na swój los. Wyrzekł się wszystkich przyjemności. Zerwał ze światem, zignorował go zupełnie. Z uśmiechem wielkiego, arcywielkiego filozofa odciął się od niego, uznał go za mało ważne zjawisko. Zaskarbił sobie dzięki temu uznanie i miłość mieszkańców Kasrylewki. I mimo tego, że przestał być ich rabinem, mimo że nowy rabin zagarniał dochody, które jemu się przedtem należały, zażywał tego samego co dawniej szacunku. W bożnicy był nadal najważniejszą osobą. Wciąż tytułowano go mianem rabina.

Sęk jednak w tym, że z samego tytułu człowiek nie wyżyje. Ciało ma swoje wymagania. Żąda byle czego, aby tylko podtrzymać duszę. I wtedy kasrylewianie wpadli na szczęśliwy pomysł. W związku z tym, że łaźnia w Kasrylewce jest łaźnią publiczną, niech dochód z niej przypadnie staremu rabinowi. Tam też powinien zamieszkać. To nie znaczy, że w samej łaźni. Przy łaźni jest bowiem pomieszczenie, w którym siedzą łaźiebny i łaźiebna. Tam też jest alkierzyk, w którym reb Juzipl będzie mógł spokojnie ślęczyć nad księgami i studiować.

Studiować? Łatwo powiedzieć. Jak może reb Juzipl studiować? Wzrok ma już zepsuty. Ledwo dociera do niego światło. Mimo to nie martwcie się. Prawdziwy uczony, bez względu na wiek, znajdzie sobie robotę. Jeśli nie może czytać, uczy się z pamięci, modli się albo rozmyśla. A rozmyślać jest o czym! Rozmyśla stary reb Juzipl o świecie i o Stwórcy, który świat powołał do życia. I myśli, że we wszystkich swoich poczynaniach rację ma Stwórca, a wszystkie jego wyroki są słuszne. O wybranym przez Stwórcę narodzie Izraela też rozmyśla reb Juzipl. Bóg karze swój naród, ale tak, jak się karze ulubione dziecko. I o pozostałych narodach, i o wszystkich stworzeniach żyjących na ziemi — od największego zwierza do najmniejszego mola i robaczka pod kamieniem — rozmyśla stary rabin.

O wszystkie te istoty Bóg się troszczy. Każdą żywi hojnie. Tak sobie reb Juzipl rozmyśla i ogarnia go zadowolenie z Boga, świata, narodu Izraela, z siebie i ze swoich myśli, które wypowiada nieraz głośno, tak głośno, aby wszyscy mogli je usłyszeć. I jak wszędzie na świecie, tak też i w Kasrylewce nie brak ludzi, którzy rzecz pragną zbadać dogłębnie,

którzy lubią we wszystkim grzebać, chcą zadawać pytania. Usiłują pozartować sobie ze starego reb Juzipla i zapędzić go pytaniami w kozi róg.

— Powiada rebe, mól. Rebe mówi o robaczku. W takim razie proszę odpowiedzieć i wyjaśnić: skoro Najwyższy jest tak wielkim, dobrym i miłosiernym Bogiem, który żywi nawet robaczka pod kamieniem, to dlaczego nie żywi Żydów w Kasrylewce? Czyżbyśmy mniej znaczyli niż mól, niż robaczek gnieżdżący się pod kamieniem?

— Ależ dzieci z was — odpowiada stary z uśmiechem. — Dam wam przykład z królem. Wyobraźcie sobie, na przykład, że król zaprosił was na ucztę. Weszliście do przedpokoju i zauważyliście, że nie jest on ani okazały, ani jasny. Zabraliście się i poszliście. Tak się przedstawia i ta sprawa. Zadam wam pytanie: Co za znaczenie mogą mieć nasze cierpienia i krzywdy tutaj, w wąskim korytarzu w przedpokoju, w porównaniu z owym wielkim salonem, owym wspaniałym, bogatym pałacem Stwórcy, w którym ściany są ze szlachetnego złota, podłogi ze srebra, a kamienie z brylantów? Tam życie jest wieczne. Tam dusze cadyków siedzą na honorowych miejscach. Zażywają niewysłowionych rozkoszy i radują się światłem i nimbem łaski bożej. Sam Pan Bóg obsługuje je. Podaje im złote puchary napełnione najlepszym winem, a na srebrnych talerzykach smaczne kęsy ryby z legendarnego Lewiatana<sup>243</sup> oraz mięso z Szor Habora<sup>244</sup> (legendarny dziki byk).

Ostatnie słowa, to znaczy „wino”, „Lewiatan” i „Szor Habor”, reb Juzipl dodaje zwykle na użytek prostego tłumu. Ten stroni bowiem od spraw duchowych. Nie chce słyszeć o łasce i nimbie. Prosty, zwyczajny Żyd potrzebuje zwyczajnego kawałka ryby z kawałkiem pieczeni. Te zaś są w Kasrylewce rzadkością. Na te potrawy można sobie pozwolić tylko w sobotę lub w święto i to nie zawsze. Za takie słowa kasrylewianie serdecznie kochają starego rabina. Przede wszystkim przepada za nim plebs. A spośród niego, najbardziej kocha go ta sławna para małżeńska — łaźiebny i łaźiebna z miejscowej łaźni publicznej. Tej parze poświęcimy osobny rozdział w naszej opowieści.

#### Rozdział K. Adam i Ewa w raj

Jeśli jest jakiś sens w tym, co mówią Szmaja lub Fiszel, korespondent nie drukowanych korespondencji, że łaźnia w Kasrylewce jest po prostu rajem na ziemi, to nie wyda się wam dziwnym, iż dowcipnisie z miasta nazwali Berka łaźiebego Adamem Pierwszym, a jego żonę, łaźiebną, Matką-Ewą. Skąd te imiona się wzięły, trudno dziś ustalić. Może dlatego, że łaźiebna miała na imię Chawa, więc jej mężowi imię Adam pasowało jak ulał. A może dlatego, że sławna para mieszkała w tym odosobnieniu od wielu lat i żyła w nim jak w raj. A może dlatego, że Żydzi i Żydówki z Kasrylewki mieli honor oglądać tę parę w takim samym stroju, jaki nosili w raj Adam i Ewa, zanim zjedli owoce z Drzewa Świadomości. Tak czy siak musimy przyznać, że jeśli dowcipnisie z Kasrylewki przylepią komuś imię, to pasuje ono jak ulał. Jest idealnie skrojone, świetnie przymierzone. Wydaje się, że człowiek urodził się z tym imieniem. Pozostaje tylko złożyć mu życzenia, aby je nosił na zdrowie. Nikt już nie mógł sobie wyobrazić, aby mógł nosić inne imię. A jak inaczej można by było nazwać tę parę małżeńską, która spędzała wszystkie dni i lata tam, u podnóża góry daleko za miastem, daleko od nie znikającego blocka, tuż nad brzegiem rzeki, w której przegładają się nisko pochylone wierzby? W miejscu, gdzie latem rozlega się taki rechot żab, że głowa puchnie. Takie miejsce nie może się nazywać inaczej, jak tylko raj, a taka para małżeńska, jak łaźiebny i łaźiebna, to nic innego, jak tylko Adam i Ewa w raj.

Była to para stworzona dla siebie. A stworzona została chyba jeszcze w okresie sześciu dni stworzenia świata. On, wysoki, zdrowy, barczysty. Stary, wysłużony żołnierz o skołtunionej brodzie, chodzący zawsze w watowanej błyszczącej kapocie i w podwiązanych butach. Ona, wysoka, zdrowa, tłusta Żydówka o ciemnej, ospowatej twarzy i szarych, dobrych oczach. Na głowie nosi zwykle kraciasty szal. Spod trochę podkasanej sukni widać nogi w męskich wysokich butach.

Poza łaźnią para ta świata nie widziała. Nie miała o nim pojęcia. Ciągle tylko zajęta jest łaźnią. A to trzeba napalić w łaźni, a to trzeba ją remontować. Z założonymi rękami żadne z nich nie usiedzi. Chyba, że jest noc, gdy wszystek ogień w piecach łaźni zostaje

<sup>243</sup>Lewiatan (bibl.) — legendarny potwór morski, symbol zła. [przypis edytorski]

<sup>244</sup>Szor Habor — legendarny wół, byk pustynny pasący się na rajskiej łące, którego mięso — według wierzeń Żydów — spożywać będą sprawiedliwi po przyjsciu Mesjasza. [przypis tłumacza]

wygaszony. Wtedy Adam i Ewa zasiadają do stołu, na którym pojawia się micha kartofli. Zimą śpią na piecu, latem na dworze, na przyzbie<sup>245</sup>. Nikomu w Kasrylewce nie jest tak dobrze jak im. Nikt w Kasrylewce nie ma tak stałego i pewnego zarobku jak Adam i Ewa. Rat nie splacają, na klientów długo nie czekają. Ogólna nędza miasta nie jest przeszkodą dla łaźni. Żyd bez łaźni się nie obejdzie. Prawda, kokosów nie zarabiają, kapitału nie odłożą. Domu własnego, rzecz jasna, nie zbudują. Ileż bowiem, pożał się Boże, zapłaci Żyd w Kasrylewce za kąpiel w dzień przedsobotni? Weźcie też pod uwagę rozchody. Ileż to drzewa pochłania łaźnia? Kocioł jest stary, kamienie się rozpadają, przez ściany prześwieca, a z sufitu kapie. Każda kropla spadająca na gołe ciało parzy, pali. Z bólu człowiek aż podskakuje do góry. Z piersi wydobywa się „och” i „ach”. Zupełnie, jak z tymi grzesznikami w piekle, kiedy pędzą ich po rozżarzonych gwoździach.

Całą gorycz zboliałych serc wszyscy wylewają na łaźniewego. Na jego głowę sypią się przekleństwa. A łaźniewy nic. Robi swoje. Leje wodę na gorące kamienie i mruczy pod nosem: „Widzieliście ich? Łażnię zbudowano jeszcze za czasów Chmielnickiego, a oni chcieliby, żeby nie kapalo”. I własnymi rękami lata i remontuje starą łaźnię. Zatyka ściany, naprawia dach, czyści mykwę<sup>246</sup>, byleby tylko nie dać okazji miejscowym mędrcom do śmiechu, do drwin, do wymysłów, że w mykwie żaby rechocą.

Adam Pierwszy wstaje skoro świt, gdy sam Pan Bóg jest jeszcze pogrążony we śnie. Jego mocne ręce dźwigają jedno wiadro wody za drugim. Odmawia przy tym psalmy, całe rozdziały psalmów. Robi to w pośpiechu. A głos ma donośny, dźwięczny. Wydostaje się on z łaźni na zewnątrz i toczy się wraz z wiatrem brzegami rzeki, aby zginąć gdzieś daleko za nią, tam, gdzie na gałęzi drzewa uwija się ptak, który zakończył właśnie swój świergot, czyści dziób i myśli o przekąsce...

A wewnątrz izby przy łaźni panują jeszcze ciemności. Siedzi tam Chawa, łaźniewa, i lata bieliznę „rabina”. Wczoraj sama ją wyprała. Naprawia ją. Przyszywa łaty i guziki. Niech „rabin” ma co włożyć na siebie, gdy wstanie ze snu.

Ze snu? Pożał się Boże, co to za sen. Reb Juzipl kładzie się spać o północy i niedługo po tym, gdy nikt nie widzi, wstaje i myje ręce. Zabiera się do pracy bożej. Zaczyna odmawiać modlitwę. Co odmawia, jakie słowa wymawia, tego łaźniewa akurat nie rozumie, ale to nic. Ważne jest, że przyjemnie słuchać. Każde jego słowo chłonie z rozkoszą.

Łażniewa powoli wstaje. Porusza się na czubkach palców. Cicho sięga po dzieżę. Trzeba rozczynić mąkę na chałę sobotnią.

Kukuryku! To pieje biały kogut o czerwonych skrzydłach. Skoczył na próg izby i myśli sobie zapewne, że wielką uczynił łaskę, budząc ludzi do pracy.

— A kysz! Przepadnij! — Chawa odgania go i przepędza. Bodzie go słowami: — A kysz! Do wszystkich diabłów!

Kogut jednak nie zna się na rzeczy. Trzeba, czy nie, on pieje.

— Zaczekaj, zaczekaj! Jeszcze się u mnie troszkę podchowasz i wtedy zawiozę cię do rzeźnika. Będziesz miał swoje „kukuryku”. Będziesz mi wtedy kukurykał.

Wszystkie te słowa, którymi Chawa obdarza koguta, jednak na nic się zdają. „Rebe” i tak już wstał, dawno umył ręce i zabrał się do bożej roboty. Odmawia modlitwę. Co mówi, tego Chawa nie wie. Ale wystarczy, że mówi. Rozkosz słuchać. Każde jego słowo przepaja ją słodyczą. Z wielkim szacunkiem stawia przed nim garnek z cykorią. Jest gorąca, smaczna. Bucha z niej para i smakuje niczym owoc z raj.

#### Rozdział L. Reb Juzipl ma dobrą starość

Pomysł, aby stary rabin Juzipl żył z dochodów publicznej łaźni, należał do tych szczęśliwych pomysłów, na które tylko mogą wpaść kasrylewianie. Berko-łaźniewy, czyli Adam Pierwszy, który na podstawie pisemnej umowy miał za zadanie opalać drewnem przeznaczonym dla łaźni również bożnicę, robił to tak, że kasrylewscy gospodarze zimą marzli bez przerwy. Miał za każdym razem inny wykręt. A to mróz był za ostry, a to drewno za mokre, a to mgła na dworze.

Słowem, miał na to swoje z palca wyssane gadki i wydumane śpiewki. Ale niech tam. Byleby przynajmniej utrzymywał na starość reb Juzipla. Gotowi byli wybaczyć mu zimno

<sup>245</sup>przyzba — wał ziemi usypanej dookoła podmurówki chaty. [przypis edytorski]

<sup>246</sup>mykwa — basen z bieżącą wodą w łaźniach żydowskich, służący do rytualnych kąpiei; żartobliwie także mycie się, kąpanie. [przypis tłumacza]

w bożnicy. A ile potrzebuje, pożał się Boże, stary Żyd i do tego rabin, a szczególnie taki Żyd i taki rabin, jak reb Juzipl? W najlepszych swoich czasach zadawała się byle czym. Sama rabinowa, znana ze swej pobożności Tema, wieczny jej pokój, zwykła była opowiadać, że jej mężowi zawsze było wszystko jedno. Gdyby mu dali do zjedzenia gorący węgiel, zjadłby. Poparzyłby się, ale jadłby. Taki to był z niego „delikatniś”. Cóż dopiero teraz, gdy jest stary.

Z jednym tylko kłopot. Trochę ciasnowo ma u łazienych... Ale jest na to rada. Adam i Ewa mogą sobie całkiem spokojnie i wygodnie spać w łaźni, a „rebe” w izbie. Łaźnia i izba stanowią właściwie jedno pomieszczenie, są pod jednym dachem. Łaźnia ma też inną zaletę. Zimą jest w niej ciepło jak w prawdziwym raju. Prawda, ta zaleta jest nią tylko w zimie. Nadchodzi lato i zamienia się ona w wadę. Robi się strasznie gorąco. Nie tylko w łaźni, ale i w izbie. Można się od tego gorąca roztopić. Ale i na to jest rada. Można spać na dworze. Latem na dworze jest stokroć przyjemniej niż w izbie. Zwłaszcza tu, nad brzegiem rzeki. Prawdziwy raj. Prawda, ta zaleta kryje w sobie pewną wadę. Chodzi o żaby. Trudno tu zasnąć. A więc może jednak izba? A czyż w izbie nie ma żab? Czyż nie przytrafiło się kiedyś Chawie, że żaby wskoczyły jej na twarz? Mało to razy znajdowała je w łóżku albo w dzieży, albo po prostu w piecu?

Słowem, „rebe” ulokowali w izbie, zaś Adam i Ewa „osiedlili” się w raju, to znaczy w łaźni. Otoczyli go opieką i uważali, aby mu było dobrze, aby miał wszystko przygotowane na czas. Zarówno jedzenie, jak i picie. Z biegiem lat bardzo się do niego przywiązali. Pokochali go jak najbliższego człowieka.

Stary rabin zwracał się do nich per „dzieci”. Oni zaś „rebe”. I nie bez podstaw. W ciągu jednego dnia nasłuchali się od niego więcej mądrości, niż w ciągu całego swego życia. A wszystko, czego się od niego dowiedzieli, było dla nich nowe. W ich oczach ukazywał się jako człowiek, który dopiero co przybył z dalekiego kraju i ma mnóstwo ciekawych rzeczy do opowiedzenia. Nigdy nic podobnego nie słyszeli, nawet im się nie śniły takie opowieści. Z otwartymi ustami, z biciem serca w piersiach, siadała ta para zimą przy jego legowisku, latem zaś na dworze, na przyzbie i chłonęła jego słowa. Nie odrywała wzroku od „rebe” i słuchała. On zaś mówił o sprawach ducha. Opowiadał o boskich cudach, o ludziach na ziemi i o aniołach na tamtym świecie. Mówił o ziemi i o wszystkich stworzeniach, które na niej żyją. Rozprawiał o słońcu i niebie, o księżycu i gwiazdach, o planetach i innych ciałach niebieskich. I nieraz wydawało się Adamowi i Ewie, gdy tak siedzieli na dworze w owe ciepłe, jasne letnie noce, że ten starzec z pochylonym grzbietem, z krótką białą bródką i z tymi dobrymi, bardzo dobrymi oczami, składa się z ducha, a nie z materii. Mieli wrażenie, że oto odrywa się od ziemi, unosi i szybuje w powietrzu. Lata i znika gdzieś wśród gwiazdnych przestrzeni. I oni również mają uczucie, że coś ich ciągnie w górę, do owych przestrzeni, do owych gwiazd. Czują, że ciągnie ich ku owym duszom, które błędą w gwiazdzistych przestworzach w bezowocnym poszukiwaniu spokoju.

Jeden tylko Pan Bóg w niebie wie, że nikomu tak dobrze na świecie nie było, jak naszej parze i że nikt nie miał tak szczęśliwej starości, jak stary rabin, reb Juzipl z Kasrylewki, u Adama i Ewy w raju.

Rozdział Ł. Reb Juzipl chyba po raz pierwszy w życiu wpadł w gniew

Niebo i ziemia sprzysięgły się, aby nic wiecznie nie trwało na tej ziemi. Nikomu też i nigdzie nie powinno zawsze być dobrze. Jest taki Szatan-Prokurator, który wtrąca się w nasze sprawy. Stoi za plecami człowieka i pilnuje jego duszy, baczy, aby nie zapomniała o Bogu. Ten to szatan wtrącił się i tutaj, do raju, który opisaliśmy w poprzednim rozdziale, i o mało co nie wypędził z niego Adama i Ewy, a wraz z nimi naszego nieboraka, starego rabina. O mało co nie zniszczył gniazda, nie doprowadził do zerwania więzów miłości i przyjaźni. Niewiele brakowało, a szczęście panujące w raju uległoby zakłóceniu na zawsze.

Stało się to wówczas, gdy łaźniowa Chawa wróciła z targowiska z pustymi rękami. Chciała kupić ryby — a ryb nie było. Chciała nabyć kartofle — podobnie. Chciała wreszcie kupić wielką cebulę, ale cebuli też nie było. Na targu nie spotkała żywej istoty. Czyżby za wcześniej się tam wybrała? Postanowiła trochę poczekać. Dzień stał już w całej swojej krasie, a na targu nawet psa z kulawą nogą nie widać. Tu i ówdzie dostrzegła biegnących w pośpiechu Żydów. Widzi, jak się pakują, szykują do drogi. Co tu się dzieje? Uciekają? Dokąd? Ano, w świat!

I zanim Ewa wróciła do domu i zdążyła przekazać to, co widziała Adamowi i „rebemu”, pół miasta było już po tamtej stronie cmentarza.

Z początku reb Juzipl nie chciał w to uwierzyć. Uciekają? Co znaczy, uciekają? Potem wziął swoją sfatygowaną laskę z wygiętą blaszaną gałką. Laska liczyła tyle lat, ile wynosiła kadencja reb Juzipla na stanowisku rabina. Nie zważając na swoje lata, puścił się w drogę do miasta. Tam zastał jeszcze kilku Żydów wybierających się w drogę. Zatrzymał ich i ze słodkim uśmiechem na ustach zaczął ich ganić, prawić morały.

Żydzi wysłuchali go z gorzkim uśmiechem na ustach, westchnęli i odpowiedzieli:

— Owszem, rebe ma rację, ale mimo to niech rebe siada z nami na wóz, i jedźmy razem. Proszę posłuchać. Jedzie rebe z nami i to szybko!

— Pojechać? Dokąd? Po co? Z jakiego powodu?

Na nic jednak zdały się słowa reb Juzipla. Za chwilę i oni już byli po tamtej stronie miasta.

Wróciwszy do domu, do rajy, do łaźiebego i łaźiebnej, zastał ich wielce zatroskanych. Zbierało im się na płacz.

— Czym się tak przejmujecie, dzieci?

— Jak to — odpowiadają — nie wiecie, co się dzieje? Dopiero co była tu Hopka.

— Jaka Hopka?

— Ta gojka, co to w sobotę gasi świece. Opowiadała nam takie straszne rzeczy, że włosy stają dęba na głowie.

I Adam i Ewa zaczynają naraz mówić. Jedno stara się wyprzedzić drugie. Przekazują rebemu te wszystkie okropności z miasta, których naopowiadała im Hopka.

A reb Juzipl siedzi, opierając się na lasce, i słucha uważnie. Siedzi i myśli. Nie odzywa się ani jednym słowem. Wreszcie podnosi głowę, rozgląda się na wszystkie strony, odkłada na bok starą, sfatygowaną laskę, zdejmując czapkę i pozostając w samej jarmułce, odzywa się tak do Adama i Ewy:

— Słuchajcie, dzieci moje, tego, co wam powiem. Wszystko, coście mi tu naopowiadali, to czyste banialuki nie warte złamanego szeląga. Przyjmijcie oto do wiadomości, że Ten, który czuwa nad Izraelem, nie zmrzy oka i nie będzie spał. Bóg nie śpi. Opowiem wam historię z morałem o królu. Kiedyś był król...

— Co tam król? Co mi król? Weźcie pod uwagę to, co opowiadała Hopka — Adamowi słowa te wyrwały się nagle. Pożałował ich natychmiast. Czuł, że postąpił trochę gruboskórnie. Nie mógł już jednak tego naprawić. Reb Juzipl odwrócił się od niego, włożył na siebie tałas<sup>247</sup> i tefilin<sup>248</sup>, wziął do ręki księgę, sięgnął po starą laskę i usiadł przy stole. Siedzi, jak król w czasie wojny. Uzbrojony od stóp do głowy, rozgląda się z dumą i z poczuciem wyższości.

— Ano, niech ktoś spróbuje przystąpić tutaj?

Z jego czarnych oczu i siwych włosów bije taka odwaga i taki spokój, że Adam i Ewa poczuli, że nic strasznego im nie grozi. Mają na kim się oprzeć.

Rozdział M. Dwa miasta spotykają się i rozjeżdżają z niczym

Ludzie kłębili się na trakcie prowadzącym do leżącej w okolicach Jehupca Mazepowki. Pierwszym miejscem postoju była Kozodojewka — żydowskie miasto słynne ze swoich kóz. Sama zresztą nazwa na to wskazuje. Kozy tam inaczej się doją. Od kasrylewskich różnią się rogami, a właściwie tym, że nie mają rogów. Tam, gdzie zwykle rosną rogi, mają jakieś dziwne cacko — coś w rodzaju, nie przymierzając, tefilin na czole. Z natury są bardzo płochliwe, a ściślej mówiąc, są grzeczniejsze i głupsze od kóz kasrylewskich. Kozodojewska koza, jeśli natkniesz się na nią na środku ulicy, pokażesz jej wiązkę siana i powiesz: „Koz-koz-koz”, stanie z rozstawionymi nogami. Choć bierz i wydój ją...

Również kozodojewscy Żydzi nie są takimi Żydami, jak ci z Kasrylewki. Co, oczywiście, nie znaczy, że nie są takimi samymi Żydami. Mają te same dusze, te same żołądki.

<sup>247</sup> *tales* — dosł.: „narzuca”; szata liturgiczna, welniana biała chusta w niebieskie lub czarne pasy, w którą owijają się żonaci mężczyźni podczas modlitwy porannej oraz w czasie innych, ściśle określonych przez przepisy religijne nabożeństw. [przypis tłumacza]

<sup>248</sup> *tefilin* — dosł.: „modlitwy”; nazwa dwóch skórzanych pudełeczek zawierających wypisane na pergaminie modlitwy — przepisy, które mężczyźni od trzynastego roku życia wkładają na głowę i lewą rękę podczas modlitwy porannej w dni powszednie. [przypis tłumacza]

Są takimi samymi biedakami, jak kasrylewianie. Cała różnica polega tylko na tym, że oni w innej kolejności odmawiają werset z modlitewnika. Żydzi z Kasrylewki najpierw mówią: *Hojdu* (dziękujcie Bogu), a następnie „błogosławiony, który powiedział”, zaś Żydzi z Kozodojewki najpierw mówią „błogosławiony, który powiedział”, a potem: *Hojdu*. Z pozoru niby nic. Co za różnica? I tak i tak jest to modlitwa do Boga. Ale wcale tak nie jest.

Ongiś, w dobrych czasach, gdy kasrylewscy i kozodojewscy Żydzi żyli sobie nie najgorzej, mieli uczciwe zarobki i nie mieli większych kłopotów, z powodu tej różnicy łała się krew. Nieraz bywało, że Żyd z Kozodojewki przychodził pomodlić się do bożnicy w Kasrylewie. Kantor<sup>249</sup> stanął przed amboną, nasunął tałes, rozkołysał się i melodyjnie zaczął modlitwę według wzorca kasrylewskiego, a ten po swoim — powtarzał od końca i to z rozmachem. I odwrotnie. Kiedy Żyd z Kasrylewki przyszedł do bożnicy w Kozodojewce, a kantor, z oddaniem zamykając oczy i podnosząc ręce do góry, zaczął: „Błogosławiony ten, który powiedział, i świat się wyłonił”, kasrylewianin donośnym głosem odpowiadał: „Chwalcie Boga, odwołujcie się do jego imienia, rozgłoście wśród narodów jego czyny”.

Nie pierwsze słowa były przykre dla kozodojewskich Żydów. Dokuczliwszy był donośny i rozciągliwy głos, którym kasrylewianin wypowiadał słowa „jego czyny”. O co chodzi? Chcesz tak powiedzieć, to stań przed pulpitem i powiedz to po swoim, ale cicho. Po jakiego diabła rozciągać te „jego czyny”? Wiadomo, robisz to bracie na złość. A skoro jesteś złośliwym, należą ci się bity. I włożyli mu wówczas, ile się tylko dało. Tak powstała nienawiść między kasrylewskimi i kozodojewskimi Żydami, która ciągnęła się przez długie lata. Zaczęła się od batów, a kończyła na donosach, grubiaństwie i podkopywaniu.

Poruszyło to wówczas cały świat. Zupełnie obcy ludzie wmieszali się wtedy w ich żydowskie sprawy, w ich sądy. Drwili z nich, wyśmiewali się z ich obyczajów i zwyczajów. Nazwali ich fanatykami. Słowem, było fe. Całkiem brzydka sprawa.

Prawda, tamte głupie lecz szczęśliwe czasy dawno już minęły i tylko sam Bóg wie, czy kiedyś powrócą. I chociaż dziś obydwie miasta mają większe nieszczęścia, niż różnica w modlitewnym porządku, to nienawiść między kasrylewskimi i kozodojewskimi Żydami pozostała. Nie sposób wyjaśnić ją na zdrowy rozum komuś postronnemu.

Spróbuj, dla przykładu, wyjaśnić, dlaczego mały szajgac<sup>250</sup> w Kasrylewie na widok Żyda musi koniecznie chwycić czapkę w zęby, potrząsnąć nią i śpiewać: „Żyd, Żyd, *Chalamyd! Zabubiu, czerewik! A ja szow! Taj noszow! Taj pidniow! Taj piszow!*”<sup>251</sup>. Albo odwrotnie. Bądź taki mądry i wytłumacz, skąd to się wzięło, że Żydzi kasrylewscy, gdy rozmawiają o nie-Żydach, lubią używać słów hebrajskich, na ile tylko pozwala im ich znajomość: *daj urelowi w joda'im a cancenes jasz*, czyli daj gojowi w łapę butelkę gorzały, ale niepełną, z kawałkiem *lechem*, albowiem dziś jeszcze nie jadł i daj *im meszalem*, czyli opłać mu dwa *zehuwim*, czyli dwa złote i niech sobie idzie. Miej go jednak na uwadze, żeby czegoś nie zwędził. Są to sprawy, których zwykłym rozumem nie obejmiesz. Trzeba je wyczuć. Wróćmy jednak do Żydów z Kasrylewki i z Kozodojewki.

Są takie chwile w życiu człowieka, kiedy o wszystkim zapomina. Wszystko zostaje wymazane z jego pamięci. Wydaje się, że nigdy nie miało miejsca. Szczęście, że tak jest. Inaczej świat by nie istniał. Nie jest sprawą przypadku, że nasi mędracy wprowadzili zwyczaj, że w wigilię Jom Kipur<sup>252</sup> wybaczają sobie nawzajem grzechy.

Tak też znikła jak kamfora nienawiść między kasrylewskimi Żydami a Żydami z Kozodojewki, gdy tylko spotkali się na szlaku w trakcie ucieczki podczas zamieszek i po płochu. Koniec nienawiści. A spotkali się na samym środku drogi, w polu, niedaleko od

<sup>249</sup>kantor — śpiewak prowadzący modły przed pulpitem w bożnicy. [przypis tłumacza]

<sup>250</sup>szajgac — określenie pejoratywne nieżydowskiego chłopca. Potocznie w znaczeniu łobuziaka, urwisa. [przypis tłumacza]

<sup>251</sup>Zabubiu, czerewik! A ja szow! Taj noszow! Taj pidniow! Taj piszow! — Zgubił czerwieniec (grosik)! A ja szedłem! I znalazłem! I podniosłem! I poszedłem! [przypis edytorski]

<sup>252</sup>Jom Kipur — dosł.: „dzień przebaczenia”, święto znane Polakom pod nazwą Dzień Pojednania lub Sądny Dzień. Pobożni Żydzi wierzą, że w tym dniu Bóg wyznacza losy wszystkich ludzi na następny rok, według ich dotychczasowych uczynków. W czasie tego święta Żydzi umartwiają się, modlą się od rana do nocy i poszczą, przy czym nie tylko nie wolno im jeść, ale nawet napić się wody. Post obowiązuje od południa dnia poprzedzającego święto do wieczora dnia następnego, a od południa wigilii święta do następnego ranka — nawet małe dzieci. [przypis tłumacza]

owego miejsca, gdzie dawniej stała karczma żydowska zwana „Dębowa”, która na skutek wprowadzenia monopolu uległa zamknięciu. Nie dała rady.

Gdy Kasrylewka spotkała się z Kozodojewką natychmiast się zatrzymała. To samo uczyniła Kozodojewka. Nawiązał się między nimi ten oto dialog:

Kasrylewka: — Dokąd to, na przykład, jadą Żydzi?

Kozodojewka: — A dokąd to wy?

Kasrylewka: — My? My tak sobie jedziemy. Każdy w swojej sprawie. To znaczy za interesem.

Kozodojewka: — Całe miasto za interesem?

Kasrylewka: — A wy? Czyżbyście nie byli w komplecie?

Kozodojewka: — My, to co innego. My nie jedziemy. My uciekamy.

Kasrylewka: — Skąd wiecie, że my nie?

Kozodojewka: — Tak i mówcie. A dokądże uciekają Żydzi?

Kasrylewka: — A dokąd wy?

Kozodojewka: — My? My uciekamy do was.

Kasrylewka: — A my do was.

Kozodojewka: — A co będziecie u nas robić?

Kasrylewka: — To samo, co wy u nas.

Kozodojewka: — Słyszeliście? To po co my mamy uciekać do was, a wy do nas?

Kasrylewka: — Widocznie po to, aby zamienić się miejscami.

Kozodojewka: — Żarty na bok! Dlaczego uciekacie?

Kasrylewka: — Dlaczego wy uciekacie?

Dopiero teraz i tutaj, gdy obydwa miasta rozgadały się na dobre, gdy przypatrzyły się sobie dokładnie oczyma bezstronnych obserwatorów, dostrzegły, jak naprawdę wyglądają.

— Widzieliście coś podobnego? Bractwo wieje. A czego tu wiać? Dokąd? Oby ich zawiało!

Gadu, gadu, a z oczu płyną łzy. Wycierają je, chlipią i wzdychają.

— Biada nam, biada! Na co to zesłaliśmy!

I rozgadali się do syta. Napęcznieli od słów jak gąbki. Z serca trzeba było zrzucić ciężar. A potem podali sobie ręce. Serdecznie się pożegnali. Rozcałowali się jak prawdziwi przyjaciele. Jak powinowaci, jak członkowie nowo powstałej rodziny. Jak mąż z żoną, którzy przedtem się rozwiedli i znów połączyli. Wszystkie swoje koszmarnie sny wylądowali na głowy wrogów. Złożyli sobie życzenia, aby na tym się wszystko skończyło. Z gorzkim uśmiechem odmówili: „Niech będzie Jego wola”, po czym dali znak gojom-woźnikom, aby zawrócili z powrotem do opuszczonych miast.

I obydwa miasta rozjechały się. Kasrylewka wróciła do Kasrylewki, a Kozodojewka do Kozodojewki. Bezgłośnie przekradali się Żydzi do swoich rodzinnych miast. Jak ptaki, które wróciły do swoich gniazd. Po cichu każdy przystąpił do swojej pracy. I jeszcze długo po tym powtarzali sobie, przypominali i gadali o wielkim zamieszaniu, które przeżyli. A po to, aby następne pokolenia, dzieci naszych dzieci, też o tym wiedziały, postarałem się opisać tę wielką epopeję w naszym prostym żydowskim języku i wydać ją drukiem na wieczną rzeczy pamiątkę.

## BERL-AJZYK

„Ameryka to kraj błagi! Amerykańscy blagierzy!” Słowa te nie schodzą z ust świeżych emigrantów. Celują w nich zwłaszcza zieloni. Ci zaś nie mają pojęcia, co mówią. Ameryka to zero w porównaniu z Kasrylewką, a Amerykanie mogą czyścić buty kasrylewianom. Nasz Berl-Ajzyk potrafi zaś wszystkich Amerykanów zapędzić w kozi róg.

W naszym mieście, Kasrylewce, kiedy ktoś zacznie, na przykład, odstawiać gadkę po amerykańsku, czyli zacznie bujać, głędzić, albo zawracać gitarę, słuchający natychmiast mu przerywa: „Berl-Ajzyk ci się kłania”. I co? Facet natychmiast kapuje, o co chodzi i milknie.

O takim jednym bezczelnym Żydzie krąży w Kasrylewce charakterystyczna i związana z Berl-Ajzykiem anegdota. W naszym miasteczku wśród gojów<sup>253</sup> panuje obyczaj, że

<sup>253</sup>goj — nie-Żyd. [przypis edytorski]



w święto Wielkanocy przekazują sobie przy spotkaniu Dobrą Nowinę. Jeden powiada: „Chrystus zmartwychwstał”, a drugi odpowiada: „Zaprawdę zmartwychwstał”.

Otóż zdarzyło się, że pewien chrześcijanin przy spotkaniu z naszym bezczelnym Żydem przekazał mu właśnie tę nowinę. Żydowi zrobiło się, jakby to powiedzieć, trochę nieswojo. Jak tu się zachować? Odpowiedzieć, że „zaprawdę zmartwychwstał” — nie bardzo mu wychodziło. Jako Żyd jest przecież przekonany, że tak nie jest, że jego religia tego nie potwierdza. Odpowiedzieć gojowi, że to nieprawda, że Chrystus nie zmartwychwstał, oznacza, że zaraz dostanie niezłą nauczkę... Co więc zrobi? Przychodzi po rozum do głowy i powiada: „Tak, słyszałem to już dzisiaj od Berl-Ajzyka”.

A teraz wyobraźcie sobie, że ten oto Berl-Ajzyk pojechał do Ameryki, pobyl tam kilka ładnych lat, po czym wrócił do Kasrylewiki. Macie pojęcie, jakie zaczął cuda opowiadać o tej Ameryce?

— Po pierwsze, sama Ameryka — to kraj mlekiem i miodem płynący. Ludzie zgarniają pieniądze. Tam się żebrze naraz dwiema rękami. Złoto leży na ulicy. A interesów, czyli jak oni mówią byznesów, jest tam bez liku. Można dostać zawrotu głowy. Co chcesz, możesz tam robić. Chcesz mieć fabrykę, bardzo proszę, masz fabrykę. Chcesz rozsunąć firanki — twoja wola. Chcesz, na przykład, pchać armaty — pchaj sobie na zdrowie. A jeśli tego wszystkiego nie chcesz, to możesz się zabrać do handlu ulicznego, albo też pójść do pracy w „szopie”. Ameryka to wolny kraj. Możesz sobie spuchnąć z głodu, możesz nawet wyciągnąć kopyta na ulicy i nikt ci złego słowa nie powie. Nikt ci nie przeszkodzi.

A miasta — jakie są duże! Jak szerokie są ulice! I domy jakie są wysokie! Jest tam, na przykład, taki „domek” na Wall Street, który wierzchołkiem zahacza o chmury, a nawet wyżej. Podobno ma kilkaset pięter. I pomyślcie, w jaki sposób można dostać się na jego strych? Oczywiście, że po drabinie, która po ichniemu nazywa się „elewator<sup>254</sup>”. No i zdarza się, że masz coś do załatwienia na najwyższym piętrze. Wsiadasz wtedy z samego rana do tego „elewatora” na dole i wieczorem już jesteś na górze. Akurat jest to pora na modlitwę.

Któregoś dnia postanowiłem pojechać na samą górę. Byłem ciekaw, jaki widok rozciąga się stamtąd na miasto. Nie pożałowałem swego kroku. To, co zobaczyłem, tego już w życiu więcej nie zobaczę. A tego, co odczułem, nie da się opisać słowami. Wyobraźcie sobie taką scenę. Stoję na samej górze i patrzę w dół. I nagle czuję na lewym policzku dotyk czegoś tak zimnego, jak lód. Lód jest gładki. A może to nie lód, tylko wyrzeźbiony piec kaflowy. Jest w tym dotyku coś śliskiego. Obracam głowę na lewo, patrzę i co moje oczy widzą — księżyc.

Życie Amerykanów to ciągle gonienie. Nieustający wyścig. Jeden nieprzerwany pośpiech. Po ichniemu to się nazywa *hurry up*<sup>255</sup>. Wszystko odbywa się tam w pośpiechu, na chybcika. Nawet jedzeniu nie poświęcają wiele czasu. Załatwiają się z posiłkiem na jednej — żeby tak rzec — nodze. Pędem wpadają do restauracji i z miejsca każą sobie podać „sznapsa<sup>256</sup>”. Na zakąskę podają im na talerzu — sam to widziałem — coś takiego, co jest żywe, bo się jeszcze rusza. I nim zdąży się to pokroić, jedna połowa zlatuje z jednej strony talerza, a druga z drugiej. I już jest po zakąsce.

A pomimo to zobaczylibyście, jacy czują się silni i zdrowi. Prawdziwi atleci. U nich, na przykład, jest taka moda. Uwielbiają się bić na ulicy. Nie mają przy tym zamiaru was zabić. Co to, to nie. Oni lubią się bić dla sportu. Ot tak sobie. Staną tacy dwaj na ulicy, zakasają rękawy i zaczynają się okładać. Ciekawi są, kto kogo pokona. W ich języku to się nazywa *fight*<sup>257</sup>.

Pewnego dnia spaceruję sobie po ulicach Bronxu i naraz widzę, że wprost na mnie zasuwają dwaj krzepcy junacy. Zaczepiają mnie. Mówią, że chcą się ze mną bić. Chcą ze mną odstawić *fight*. Ja wtedy powiadam do nich: „*No, sir*<sup>258</sup>! Ja się nie biję”.

Tłumacząc im tak i siak, ale oni zagradzają mi drogę i nie dają iść dalej. Przychodzę po rozum do głowy. Dobrze, skoro już tacy jesteście, to pokażę wam, kto tu starszy. Zdejmuję z pleców tobolek, kładę go na ziemi i ściągam kapotę. I natychmiast spada

<sup>254</sup>*elewator* (z ang.) — winda. [przypis edytorski]

<sup>255</sup>*hurry up* (ang.) — pośpiesz się. [przypis edytorski]

<sup>256</sup>*sznaps* (z niem.) — spirytus, mocny alkohol. [przypis edytorski]

<sup>257</sup>*fight* (ang.) — walka. [przypis edytorski]

<sup>258</sup>*no, sir* (ang.) — nie, proszę pana. [przypis edytorski]

na mnie grad ciosów, spod którego wydostałem się ledwo żywy. Nic dziwnego, było ich przecież dwóch, a ja jeden. Od tego czasu nie uprawiam już *fight'u*. Nawet gdyby mnie złotem obsypywali.

A teraz przejdę do ich języka. U nich wszystko jest na odwrót i jakby na złość, i na przekór. My, na przykład, mówimy kuchnia, a oni *kitchen*. Nasz zwyczajny rzeźnik to u nich *butcher*. U nas sąsiad, a u nich *next* drzewiowy. Sąsiadka — *next* drzewiowa. Bałabusta, czyli gospodyni, to u nich *land* lordowa. Wszystko do góry nogami. Zachciało mi się kiedyś kupić koguta na ofiarę Jom-kipurową<sup>259</sup>. Powiadam wtedy do mojej gospodyni, żeby mi kupiła kura (koguta), a ona na to: „Jak to kura? Przecież kura jest dla kobiet”. Tłumaczę jej: „Nie chodzi mi o kurę, tylko kura” (koguta). Ale spróbuj dogać się z litwaczką<sup>260</sup>. Z litwakami jeszcze nikt nie doszedł do ładu. Gadu, gadu i tak bez końca. Wpadam wtedy na pomysł i powiadam do niej: „Niech mi pani kupi dżentelmena spośród kurczaków”. No i wreszcie zrozumiała, bo obdarzyła mnie pięknym słowem *all right*, które po naszymu da się porównać ze słowami „bardzo proszę, dlaczego nie”.

A teraz o tym, jakiej czci i poważania zażywają tam Żydzi. Żaden język i żaden naród nie jest tam tak poważany i ceniony, jak język żydowski i Żydzi. Żyd w Ameryce to istny cymes. Być Żydem, to nobilitacja. Można, na przykład, spotkać w święto Sukot<sup>261</sup> na *Vib Avenue*<sup>262</sup> Żyda z lulawem<sup>263</sup> i etrogiem<sup>264</sup> w rękach, który nie boi się, że go za to posadzą. Jeśli powiadam wam, że w Ameryce lubią Żydów, to wcale nie przesadzam. Tam nie lubią tylko żydowskich bród i pejsów<sup>265</sup>. Żyda z baczkami zostawiają w spokoju, ale włosy z brody będą tak długo skubać, aż Żyd sam ją zgoli. Z tego też powodu większość Żydów chodzi bez bród i bez wąsów. Toteż ich twarze przypominają gładkie talerze. Trudno wtedy poznać, kto Żyd, a kto nie. Jeśli nie po brodzie i nie po języku, to poznasz Żyda po tempie, w jakim się porusza i po gestykulacji podczas mówienia...

Abstrahując od bród i pejsów, są Żydami w każdym calu. Przestrzegają wszystkich żydowskich obyczajów, przepadają za żydowskimi potrawami, obchodzą wszystkie żydowskie święta. Pesach<sup>266</sup> u nich, to Pesach. A macę<sup>267</sup> mają przez cały rok. Dla niektó-

<sup>259</sup>*Jom Kipur* — dosł.: „dzień przebaczenia”, święto znane Polakom pod nazwą Dzień Pojednania lub Sądny Dzień. Pobożni Żydzi wierzą, że w tym dniu Bóg wyznacza losy wszystkich ludzi na następny rok, według ich dotychczasowych uczynków. W czasie tego święta Żydzi umartwiają się, modlą się od rana do nocy i poszczą, przy czym nie tylko nie wolno im jeść, ale nawet napić się wody. Post obowiązuje od południa dnia poprzedzającego święto do wieczora dnia następnego, a od południa wigilii święta do następnego ranka — nawet małe dzieci. [przypis tłumacza]

<sup>260</sup>*litwak* — tak nazywano Żydów z Litwy i Białorusi, którzy słynęli jako zaciekli przeciwnicy chasydyzmu i rabinów-cudotwórców. Litwak to synonim uporu, przekory, trzeźwości umysłu, człowiek wierzący tylko w to, co można zbadać, udowodnić. [przypis tłumacza]

<sup>261</sup>*Sukot* — dosł.: „szalasy”; święto przypadające w pięć dni po Sądny Dniu. Jest to też święto zbiorów. W święto Sukot pobożni Żydzi stawiają sobie szalasy, na pamiątkę szalasów, w których odpoczywali ich przodkowie wędrujący przez 40 lat do Kanaan po wyzwoleniu ich przez Mojżesza z niewoli egipskiej. [przypis tłumacza]

<sup>262</sup>*Vib Avenue* (ang.) — Piąta Aleja. [przypis edytorski]

<sup>263</sup>*lulaw* — gałąź palmowa, nad którą w święto Sukot odmawia się błogosławieństwo. [przypis tłumacza]

<sup>264</sup>*etrog* — odmiana owocu cytrusowego; z kształtu przypomina cytrynę, lecz ma zielonkawą barwę i jest o wiele kwaśniejszy w smaku oraz niezwykle aromatyczny. W święto Sukot podczas modlitwy porannej Żydzi odmawiają w bożnicy błogosławieństwo nad tym owocem. Czynią tak wszyscy modlący się, toteż pożądane jest, by każdy posiadał taki owoc. [przypis tłumacza]

<sup>265</sup>*pejsy* — długie pasma włosów na skroniach, zwieszające się przed uszami, noszone przez ortodoksyjnych Żydów. [przypis tłumacza]

<sup>266</sup>*Pesach* — dosł.: „przeskoczyć, ominąć”; nazwa świąt wielkanocnych, pochodząca stąd, że według *Biblii* dziesiątą plagą, którą Bóg doświadczył Egipcjan przed wyzwoleniem Żydów z ich niewoli, było uśmiercenie egipskich niemowląt pierworodnych płci męskiej, czego dokonując Pan Bóg omijał (przeskakiwał) te domy, w których mieszkali Żydzi (pomazane uprzednio krwią baranka). W święta te Żydom nie wolno spożywać chleba, bułek ani żadnego pieczywa wypiekanego na drożdżach. Ponadto nie wolno używać naczyń, w których gotuje się przez cały rok, gdyż zachodzi obawa, by nie zjeść czegoś, co nie jest praśne. Używa się więc wtedy specjalnych naczyń oraz jadła dozwolonego przez ściśle przestrzegane przepisy religijne. Pesach jest też nazwą ofiary religijnej w formie uczt, libacji sakralnej. [przypis tłumacza]

<sup>267</sup>*maca* — cienkie, praśne placki, które Żydzi spożywają w święta wielkanocne zamiast chleba, na tę pamiątkę, iż gdy uciekali z niewoli egipskiej, nie zdążyli upiec sobie chleba na drogę, a ciasto bez drożdży, które z sobą zabrali, upiekło się na słońcu. [przypis tłumacza]

rych potraw sederowych<sup>268</sup>, jak *charošet*<sup>269</sup>, mają specjalną fabrykę. Z innych potraw, jak *karpas*<sup>270</sup> i *maror*<sup>271</sup>, niektórzy Żydzi potrafią dobrze żyć. No, macie pojęcie, czym jest Ameryka?

— Owszem — pada odpowiedź — wszystko, co ty, Berl-Ajzyku, opowiadasz, jest piękne, ale nas strasznie ciekawi jedna rzecz. Powiedz nam, czy w Ameryce umiera się tak samo jak u nas, w Kasrylewce? A może żyje się tam wiecznie?

— Owszem, umiera się. Dlaczego nie mieliby tam umierać? W Ameryce jeśli śmierć już przychodzi, to w jednym dniu umiera naraz tysiąc, dziesięć tysięcy, dwadzieścia tysięcy, a nawet trzydzieści tysięcy osób. Tam mogą się zapaść całe ulice. Miasta zapadają się w czeluści ziemi tak, jak w swoim czasie Korach<sup>272</sup> na pustyni. Daje to wam wyobrażenie o Ameryce?

— Ale spokojnie. Cicho, sza. Skoro tak jest, to czym się twoja Ameryka chwali? Czy Amerykanie umierają inaczej niż my?

— Owszem, umierać to i oni umierają, ale rzecz w tym, jak oni umierają. I chodzi tu nie tylko o samo umieranie, wszędzie odbywa się to jednakowo. Umiera się, bo każdemu śmierć jest przeznaczona. Najważniejszy jednak w tej sprawie jest pochówek. Na tym właśnie polega istota rzeczy. Obowiązuje tu taka żelazna zasada, że każdy człowiek za życia już wie, gdzie będzie pochowany. Człowiek zawczasu udaje się na cmentarz, zwany tu *cemetery*, i wybiera sobie miejsce pochówku. Oczywiście, że trzeba zapłacić. Targuje się więc tak długo, aż dochodzi do porozumienia w sprawie ceny. Dokonawszy tego, wraca do domu, po czym zabiera swoją połowę na cmentarz i tam do niej powiada: „Spójrz, duszo moja. Widzisz to miejsce? Tu będziesz ty leżała, tuż obok ja, a tam nasze dzieci”. Potem idzie do zakładu pogrzebowego i zamawia sobie, by po stu dwudziestu latach pogrzeb był odpowiedniej klasy<sup>273</sup>. Klas pogrzebowych jest zaś w Ameryce ni mniej, ni więcej, tylko trzy. Pierwsza, druga i trzecia. Pierwsza klasa jest dostępna dla bardzo bogatych ludzi, milionerów. Kosztuje tysiąc dolarów, ale się opłaca. Jest to pogrzeb nad pogrzebami. Świeci wtedy słońce, powietrze jest czyste, obita srebrem trumna na czarnym katafalku. Na końskich łbach czarne pompony i białe pióropusze. Asystują wielebni rabini, kantorzy<sup>274</sup> i szamesi<sup>275</sup>, wszyscy ubrani w czarne garnitury z białymi guzikami. A za trumną korowód nie kończących się karet. Dzieci ze wszystkich szkół talmudycznych paradują z przodu i śpiewają pełnym głosem: *Cedek lefanaw jehalech* — niech sprawiedliwość toruje mu drogę. O tym śpiewie mówi potem całe miasto. Nie bagatela przecież — tysiąc dolarów.

Pogrzeb drugiej klasy też jest piękny. Kosztuje tylko pięćset dolarów. Ale co tu gadać? To już nie to, co pogrzeb pierwszej klasy. Wprawdzie trumna leży na takim samym czarnym katafalku, ale nie ma już srebrnych ozdób. Konie i wielebni żałobnicy wprawdzie również są w czerni, ale bez białych pióropuszy i białych guzików. Karety za trumną i owszem, ale nie w dużej ilości. Dzieci są, ale nie wszystkie i nie ze wszystkich szkół. Też śpiewają, ale nie zaciągają już tak głośno. Śpiew ich jest smutnawy, w stylu, że tak powiem, w jakim śpiewa się zwykle psalmy. Słowem, stosownie do pięciuset dolarów.

Pogrzeb trzeciej klasy można określić słowem podły. Kosztuje jedynie sto dolarów. Na dworze jest chłodnawo, niebo zachmurzone, trumna bez katafalku. Konie tylko dwa. Wielebnych osób towarzyszących też tylko dwie. Karety ani jednej. Dzieci z jednej tylko szkoły. Idą również z przodu i odwalają *Cedek lefanaw jehalech*, ale bez zaśpiewu. Robią to

<sup>268</sup>*seder* — dosł.: „porządek”; uroczysta wieczerza w wigilię i pierwszy dzień Pesach, odbywająca się według ustalonego przepisami religijnymi porządku. [przypis tłumacza]

<sup>269</sup>*charošet* — potrawa pesachowa składająca się z musu jabłkowego, orzechów, migdałów, cynamonu i wina, mająca przypominać zaprawę murarską (glinę) do wytwarzania cegieł, używaną przez Żydów podczas niewolniczej pracy w Egipcie. [przypis tłumacza]

<sup>270</sup>*karpas* — potrawa sederowa składająca się z pietruszki, spożywana podczas uczyty sederowej w święto Pesach. [przypis tłumacza]

<sup>271</sup>*maror* — potrawa sederowa (gorczyca, chrzan), mająca przypominać gorzyc życia Żydów w niewoli egipskiej. [przypis tłumacza]

<sup>272</sup>*Korach* — zbuntował się przeciwko Mojżeszowi (postać z *Biblii*). [przypis tłumacza]

<sup>273</sup>*po stu dwudziestu latach pogrzeb* — według *Biblii* (Rdz 6, 3), Bóg ustalił limit ludzkiego życia na 120 lat. [przypis edytorski]

<sup>274</sup>*kantor* — śpiewak prowadzący modły przed pulpitem w bożnicy. [przypis tłumacza]

<sup>275</sup>*szames* — tak nazywano sługę bożnicy, synagogi oraz żydowskiej gminy wyznaniowej; właściwie jest to woźny bożnicy, gminy lub rabina. [przypis tłumacza]

jakoś ospale, tak cicho, że ledwo słyhać. Przecież to za jedyne sto dolarów. Czego można więcej wymagać?

— Dobrze, ale co, na przykład, ma zrobić Reb-Ajzyku<sup>276</sup>, człowiek, który nawet tych stu dolarów nie posiada?

— Toteż nic dziwnego, że nie wylazi z kłopotów. Człowiekowi bez pieniędzy jest zawsze źle. Wie o tym każdy biedak. Ale nie myślcie, że w Ameryce zostawiają biedaka bez pochówka<sup>277</sup>. Urządzają mu pogrzeb za darmo. Jest rzeczą jasną, że jest to smutny pogrzeb. Bez jakichkolwiek obrzędowych ceremonii. Bez konia i bez wielebnych asystujących żałobników. Na dworze wtedy leje. Obecni są tylko dwaj szamesi<sup>278</sup>. Nieboszczyk w środku, a oni po bokach. Bez pieniędzy — powiadam wam — nie warto się urodzić. Świat jest podły. Słuchajcie Żydzi, ma ktoś z was jakiegoś zbędnego papierosa?

## MALI LUDZIE O MAŁYCH ASPIRACJACH

*(Miasto małych ludzi)*

Miasto małych ludzi, do którego mój czytelniku cię wprowadzam, leży w samym środku błogosławionej „strefy osiedlenia”, w której upchano Żydów jak śledzie w beczce, nakazawszy im, aby się mnożyli i rozmnażali. Nazwa tego sławnego miasta brzmi — Kasrylewka.

A skąd wywodzi się ta nazwa? Ano stąd.

U nas — jak każdy wie — biedak posiada, niczym biblijny Jetro, mnóstwo nazw: jest więc zwykły, prosty, aby nie rzec podły biedak, jest biedny człowiek, biedak-nieborak i biedak-gigant. Jest pętał, żebrak, kapcan, golec, nędzarz i nieszczęśnik, łączący w sobie nędzę z biedą. A każda z tych nazw wymawiana jest w innej tonacji. Jest jeszcze jedna nazwa „kasrylak”, albo „kasrylik”. Tę nazwę wymienia się już w zupełnie niepodobnej do tamtych tonacji. Mniej więcej tak: „Oj, a ja to jestem, bez uroku, kasrylik”. Kasrylik to już nie byle jaki żebrak, taki sobie zwykły pechowiec. Kasrylik, rozumiecie, to taki gatunek biedaka, który nigdy nie upada na duchu. Przeciwnie, on szczyci się swoją nędzą. Po naszymu określa się go tak: „Goły, ale wesoły”.

Zaszyte w dalekim zakątku, odcięte od świata, leży sobie to miasto, jakby osieroczone, pogrążone niby we śnie, zaczarowane, głęboko zanurzone w samym sobie. Tak, jakby cały ten harmider, gwar i hałas, bieranina, gonitwa i gorączka panujące na tym świecie nie miały z nim nic wspólnego. Jakby wszystkie pozostałe dobre rzeczy stworzone przez człowieka w trudzie i znoju, noszące zmyślnie nazwy w rodzaju „kultura”, „postęp”, „cywilizacja” i temu podobne piękne słowa, przed którymi prawdziwy człowiek zdejmuje z szacunkiem czapkę, nie dotyczyły się Kasrylewki. Zaiste, mali, mali ludzie.

Przez długi czas nie chcieli słyszeć o jakichś tam automobilach, o szybowaniu w powietrzu, o lotnictwie, a nawet o tym, że gdzieś w świecie istnieje jakaś tam kolej żelazna. Gdzie tam — mówili — puste słowa, czcza gadanina, płonne marzenia, wczorajsze dni, jarmark w niebie, krowa nad dachem lata i tyle.

Aż pewnego dnia wydarzyła się taka rzecz: Pewien mieszkaniec Kasrylewki, właściciel domu, musiał załatwić jakiś interes w Moskwie. Pojechał pociągiem i wrócił. Przysięgał na wszystkie świętości, że sam, we własnej osobie, wsiadł do pociągu i dojechał do samej Moskwy w niespełna trzy kwadransy. Oczywiście, że ludzie go zaraz obstąpili i zaczęli mu prawić wymówki: „Jak to wypada, aby porządny Żyd, uczciwy gospodarz domu, mógł takie ewidentne kłamstwa podeprzeć przysięgą”. Okazało się, że go źle zrozumiano. W pociągu przebywał tylko trzy kwadransy, resztę drogi przemierzył już na piechotę. Jak tam w istocie było, nie jest ważne, fakt faktem, że kolej istnieje. Co do tego nie ma dwóch zdań. Bądź co bądź porządny Żyd, właściciel domu, nie będzie się przecież zaklinał bez potrzeby na wszystkie świętości, nie będzie przecież ot, tak sobie, bujał. Nie wysie

<sup>276</sup>reb — skrót hebrajskiego słowa *rabi*, które jest tytułem uczonego, rabina itp. U Żydów wyraz *reb* przed imieniem własnym oznacza szacunek dla osoby, do której zwracają się oni w ten sposób lub o której mówią. Młodszy wiekiem zawsze tak mówi do starszego. [przypis tłumacza]

<sup>277</sup>pochówka — dziś popr. forma D.lp: pochówku. [przypis edytorski]

<sup>278</sup>szames — tak nazywano sługę bożnicy, synagogi oraz żydowskiej gminy wyznaniowej; właściwie jest to woźny bożnicy, gminy lub rabina. [przypis edytorski]

tego z palca. Na dodatek wytłumaczył im „na rozum”, na czym polega siła kolei żelaznej. Narysował nawet na papierku szkic, na którym w sposób poglądowy pokazał im, jak się koła pociągu obracają, jak komin parowozu gwizdże, jak wagony pędzą i jak w nich Żydzi jadą do Moskwy...

Mali ludzie grzecznie go więc wysłuchali. Głowami nawet jakby przytaknęli, ale w sercu po cichu i serdecznie się uśmieali. Na zakończenie ktoś z nich oświadczył:

— Co z tego, że się koła obracają, komin gwizdże, wagon pędzi, a Żydzi jeżdżą do Moskwy i wracają?

Już tacy, jak widzicie, są ci wszyscy mali ludzie. I nie są to jacyś melancholicy, albo jakieś wiecznie pogrążone w troskach istoty. Wręcz przeciwnie. Słyną w świecie jako ludzie obdarzeni humorem, jako twórcy ostrych i dowcipnych powiedzonek. Są to ludzie o żywym, wesołym usposobieniu. Biedni, ale weseli. Trudno powiedzieć, z czego się cieszą. Ze wszystkiego i z niczego. Żyją i wesoły pędzą żywot. Żyją? Ano spytajcie, proszę was, któregoś z nich, z czego dla przykładu żyje. Odpowiedź otrzymacie taką: „Z czego żyję? Przecież widzicie, że żyję. Żyje się, cha, cha, cha!”. I rzecz ciekawa. Nigdy nie spotkacie tam człowieka chodzącego spokojnie. Zawsze pędzą. Jak zatrute myszy. Tam i nazad. Nigdy nie mają czasu. Zapytajcie któregoś:

— Dokąd to pędzisz?

— Dokąd pędzę? Przecież pan widzi, cha, cha, cha... Pędzę, bo a nuż uda się coś złapać. A nuż uda się zarobić na szabat<sup>279</sup>.

Zarobić na szabat to ich marzenie. Przez cały tydzień będą pracowali w pocie czoła. Zaharują się na śmierć. Odejmą sobie od ust, aby tylko było na szabat. I oto nadchodzi święta sobota. A wtedy Jehupec może się przed Kasrylewką schować, Odessa ze wstydu rumienić, a sam Paryż wysiąść z kretešem. Powiadają — a jest to chyba fakt niezbity — że od kiedy Kasrylewka stała się miastem, żaden Żyd tam w sobotę nie głodował. Czy jest do pomyślenia, aby Żyd nie miał ryby na szabat? Jeśli się zdarzy, że nie ma ryby, to będzie mięso. Jeśli nie ma mięsa, znajdzie się śledź. Jeśli nie ma śledzi, wystarczy chała. Jeśli zabraknie chały, będzie chleb z cebulą. A jeśli nie ma chleba i nie ma cebuli, to zawsze się znajdzie sąsiad. On pożyczy, za tydzień sąsiad pożyczy od niego. Świat — powiada kasrylewianin — to kółko. Jakoś się kręci.

Dla tych małych ludzi najważniejszą rzeczą jest trafne, dowcipne powiedzonko. Za dobre powiedzonko gotowi są, jak mówią, sprzedać ojca i matkę. Po świecie chodzą różne o nich opowieści, które brzmią jak anegdoty, ale mogę was zapewnić, że to szczerza prawda.

Opowiadają, na przykład, o takim Żydzie z Kasrylewki, któremu obrzydło głodowanie we własnym mieście. Postanowił szukać szczęścia gdzie indziej. Wyruszył w świat i w ten sposób zawędrował do Paryża. Miał widocznie ochotę zawędrować do Rotszylda. A jakżeby inaczej? Być w Paryżu i nie zobaczyć się z Rotszyldem! Sęk jednak w tym, że do Rotszylda go nie dopuszczają. „O co chodzi? — pyta Żyd. — Moja podarta kapota? Ależ z was mądrale, gdybym miał całą kapotę, to po jakiego diabła udałbym się do Paryża?”. Ale sprawa niedobrze się zapowiada. Żyd z Kasrylewki nie upada jednak na duchu. Jakoś sobie radzi. Po krótkim zastanowieniu tak powiada do wartownika stojącego przy drzwiach pałacu Rotszylda:

— Idź i zamelduj twemu panu, że przyszedł do niego nie jakiś tam, pozał się Boże żebrak, ale solidny Żyd, kupiec, z takim towarem, jakiego w Paryżu za żadne skarby nie dostanie.

Usłyszawszy takie słowa wielce zaciekawiony Rotszyld poleca natychmiast wprowadzić kupca. Następują powitania — *szolem alejchem*<sup>280</sup> i *alejchem szolem*.

— Proszę usiąść — powiada Rotszyld. — Skąd Żyd przybywa?

— Z Kasrylewki.

— I co dobrego powiecie?

— A co mam powiedzieć, panie Rotszyld. Rzecz całkiem prosta. U nas się mówi, że pan posiada, bez uroku, nie najmniejszy majątek. Obym ja miał choćby połowę, albo nawet jedną trzecią z tego, co ma pan. Zupełnie by mi to wystarczyło. Honorów i zaszczytów też chyba panu nie brakuje, bo kto forszą dysponuje, o wszystkim decyduje. Ale,

<sup>279</sup>szabat (szabas) — sobota. [przypis tłumacza]

<sup>280</sup>szolem alejchem — dosł.: „pokój z wami”; przywitanie u Żydów. [przypis tłumacza]

krótko mówiąc, jednej rzeczy panu brakuje. Jakiej? Wiecznego życia. I właśnie tę rzecz mam panu do sprzedania.

Na dźwięk słów „wieczne życie”, Rotszyld natychmiast reaguje:

— Ile to będzie kosztowało?

— Będzie to kosztowało — zastanawia się — no... powiedzmy... ze trzy setki.

— A może byśmy się trochę potargowali?

— Nie, panie Rotszyld, nic z tego. Żebym ja miał tyle błogosławieństw, ile mógłbym więcej od trzech setek zażądać od pana, ale skoro już się raz rzekło, to przepadło.

W taki widocznie sposób przebiegała rozmowa i Rotszyld z pewnością odliczył Żydowi trzy setki w gotówce. Jedną po drugiej. Nasz Żyd chowa pieniądze do kieszeni i tak do Rotszylda powiada:

— Chcesz pan wiecznie żyć? Mam na to sposób. Porzuć pan ten hałaśliwy Paryż i przenieś się do naszej Kasrylewki. Tam pan nigdy nie umrze. Od kiedy bowiem Kasrylewka jest miastem, żaden bogacz tam jeszcze nie umarł.

I jeszcze jedną historię mam wam do opowiedzenia:

Pewien kasrylewianin dotarł kiedyś do Ameryki... ale co ja tam będę opowiadał. Gdybym chciał wam opowiedzieć o wszystkich faktach, pomysłach i wyczynach ludzi z Kasrylewki, musiałbym z wami siedzieć trzy dni i trzy noce i jednym ciągiem mówić.

Lepiej przejdę do opisu samego miasta. Z pewnością chcielibyście usłyszeć, jak wygląda Kasrylewka. To miasto piękne, jak szczerze złoto... zwłaszcza z daleka... Z daleka przypomina... jakby to wam powiedzieć... gęsto naszpikowany pestkami słonecznik, albo gęsto obsypaną pokrojonym makaronem deskę. Miasto leży przed wami jakby na talerzu. Z odległości jednej mili można dojrzeć wszystkie jego osobliwości. Leży ono na górze, a od jej podnóża wznoszą się jakby jeden nad drugim niezliczone małe domki. Wyglądają jak groby na starym cmentarzu, jak stare, pochylone macewy<sup>281</sup>. O normalnych ulicach nie ma mowy. Domy bowiem wzniesione zostały bez jakiegoś wyraźnego planu. Nikt tu cyrklem niczego nie wymierzył. Pustych, wolnych miejsc między domami też wiele nie ma. A właściwie dlaczego by miały być te, niczemu nie służące, wolne miejsca? Na takim pustym miejscu można by przecież postawić jeszcze jeden dom. Odpowiedni werset *Pisma* głosi przecież wyraźnie: „Świat Pan Bóg stworzył do zasiedlenia, do zamieszkania, a nie do oglądania”. A co tu jest do oglądania?

Mimo wszystko nie powinniście się martwić. Nie przejmujcie się, są tam również ulice. Duże i małe, wąskie i boczne. To, że nie są zbyt równe, że są kręte, wijące się z góry na dół i że ni z tego, ni z owego możecie wpaść na dom albo do piwnicy, lub runąć do rowu, nie powinno was zmartwić. Wybór przecież należy do was. Możecie przecież w nocy nie wychodzić bez latarki. A o tamtejszych małych ludzi też nie musicie się martwić. Kasrylewianin nigdy wśród swoich w Kasrylewie nie zabłądzi. Każdy trafi do swego domu, do swojej żony i dzieci, tak jak ptaszek do swego gniazda.

Poza tym w samym środku miasta rozciąga się półokrągły, a może czworokątny, spory plac, na którym rozmieściły się sklepy, kramy, jatki<sup>282</sup>, stragany i stoiska. Od samego rana odbywa się tu targ. Zjeżdżają się nań liczni chłopci i mnóstwo chłopek. Przywożą na sprzedaż różne towary, wszelką żywność. Ryby, cebulę, chrzan, pietruszkę i inne jarzyny. Cały towar sprzedają Żydom, a u Żydów kupują przeróżne wyroby, które mają zaspokoić ich potrzeby. Z tego handlu żyją właśnie miejscowi Żydzi. Żyją, prawda, nie na szeroką stopę, ale żyją. Co *parnose*<sup>283</sup>, to *parnose*. Lepsze to niż nic. Na placu targowym wylegają się też i grzeją na słońcu przez cały dzień wszystkie miejscowe kozy. Tam też znajdują się, nie przymierzając, wszystkie bożnice, bożniczki i chedery<sup>284</sup>, w których żydowskie dzieci uczą się *Tory*<sup>285</sup>, modlą się, piszą i czytają. Melamedzi<sup>286</sup> i uczniowie tak się wydzierają,

<sup>281</sup>*macewa* — płyta nagrobna. [przypis tłumacza]

<sup>282</sup>*jatka* — rzeźnia. [przypis edytorski]

<sup>283</sup>*parnose* — zarobek, płatne zajęcie. [przypis tłumacza]

<sup>284</sup>*cheder* — dosł.: „pokój”; nazwa szkoły dla początkujących, w której żydowski chłopcy po ukończeniu piątego roku życia uczyli się czytania po hebrajsku modlitw oraz poznawali *Pismo Świąte*. [przypis tłumacza]

<sup>285</sup>*Tora* — dosł.: „nauka”; nazwa *Biblii*, w szerokim pojęciu oznacza wiedzę, nauki religijne. [przypis tłumacza]

<sup>286</sup>*melamed* — dosł.: „nauczyciel”; uczył on dzieci żydowskie (od najmłodszego wieku, częstokroć od trzeciego roku życia) czytania po hebrajsku, znajomości *Pięcioksięgu*, modlitw, a także *Talmudu* i innych dzieł religijnych. [przypis tłumacza]

że można ogłuchnąć. Jest mykwa<sup>287</sup>, w której kąpią się kobiety, jest „szpital”, w którym umierają Żydzi. Są wreszcie wszystkie inne dobre miejsca, które wyczuć można już na odległość... Nie, Kasrylewka nie ma pojęcia o kanalizacji, wodociągu, elektryczności i o wielu innych luksusach, ale co to komu szkodzi? „Wszędzie się umiera tą samą śmiercią”. Wszędzie kładzie się nieboszczyka do tej samej ziemi. Wszędzie — zapewniam was — zasypuje się groby taką samą łopatą. Tak zwykł powiadać mój rabi, reb<sup>288</sup> Isroel Małach na każdym weselu, czy innej jakiejś radosnej uroczystości, kiedy wypiwszy, nieco pod gazem i w dobrym humorze gotów był zakasać kapotę i odtańczyć kozaka.

Tym, czym Kasrylewka może się naprawdę szczycić, to cmentarze. To błogosławione miasto posiada dwa okazałe cmentarze. Jeden stary i jeden nowy. To znaczy, że nowy cmentarz też ma swoje lata i wiele jest na nim grobów. Wkrótce i na nim nie będzie miejsca na pochówek. Może przecież wydarzyć się pogrom, może wybuchnąć epidemia cholery, albo jakieś inne współczesne nieszczęście.

Szczególną troską otaczają kasrylewianie zniszczony, stary cmentarz. Mimo że jest porośnięty dziką trawą i dzikimi drzewami, mimo iż nie ma na nim ani jednej całej macewy, kasrylewianie uważają go za swoją ozdobę i swój klejnot, za swoje największe bogactwo. Toteż pilnują go jak oka w głowie. Spoczywają bowiem na nim nie tylko ich ojcowie i dziadkowie, nie tylko rabini, cadycy<sup>289</sup>, uczeni, sławni i wielcy ludzie, ale chyba też liczni święci męczennicy, ofiary pogromów hajdamaków<sup>290</sup> Chmielnickiego. To święte miejsce jest ich jedyną własnością na tym świecie. Tu, na tym niewielkim skrawku ziemi, porośniętym trawą i drzewami, w miejscu, gdzie oddycha się swobodnie świeżym i czystym powietrzem, czują się jedynymi gospodarzami.

Zobaczylibyście, co się tam dzieje pod koniec lata w miesiącu Elul<sup>291</sup>, kiedy nadchodzi „dni płaczu”. Oj! oj! oj! Ruch na cmentarzu. Płaczą mężczyźni i płaczą kobiety. Zwłaszcza kobiety. Odbywa się masowy najazd na groby. Z całego świata przybywają Żydzi, aby wypłakać się nad grobami swoich najbliższych, aby wylać z serca całą gorycz kolejnego roku życia. I wiecie, co wam powiem? Otóż nigdzie indziej nie płacze się tak dobrze, tak serdecznie i z takim smakiem, jak na kasrylewskim cmentarzu. Być może tam, skąd przyjechali, można w bożnicach również dobrze się wypłakać, ale nie ma porównania. Z tych corocznych odwiedzin cmentarza Kasrylewka ciągnie swoje zyski. Zarabiają miejscowi kamieniarze, właściciele zajezdnych domów, kantorzy<sup>292</sup>, szames<sup>293</sup>. Dla tutejszych żebraków, płaczków i kalek miesiąc Elul to okres żniw.

„Był pan już na naszym cmentarzu?” To pytanie postawi nam każdy kasrylewianin. Mówi zaś to z taką dumą, jakby chodziło o winnicę jego ojca. Jeśli nie byliście na cmentarzu, to zróbcie mu łaskę i choć raz przejdźcie się po nim. Przeczytajcie sobie przy okazji stare, na pół starte napisy na pochylonych macewach. Znajdziecie tam niezły kawałek historii całego narodu. Jeśli zaś umiecie roztkliwiać się i zachwycać, to oglądając to biedne miasto z jego bogatymi cmentarzami, nie oprzecie się chęci powtórzenia starego wersetu: „Jak dobre są twoje namioty, Izraelu. Jak dobre są twoje miejsca wiecznego odpoczynku”.

## UPRAGNIONY BRYŚ<sup>294</sup>

— Ach ty niedojdo! Kiedy wybraliście się z „brysem”? Na samą wigilię święta?

— Nie mogę się już doczekać tej radości!

<sup>287</sup>mykwa — basen z bieżącą wodą w łaźniach żydowskich, służący do rytualnych kąpiei; żartobliwie także mycie się, kąpanie. [przypis tłumacza]

<sup>288</sup>reb — skrót hebrajskiego słowa *rabi*, które jest tytułem uczonego, rabina itp. U Żydów wyraz *reb* przed imieniem własnym oznacza szacunek dla osoby, do której zwracają się oni w ten sposób lub o której mówią. Młodszy wiekiem zawsze tak mówi do starszego. [przypis tłumacza]

<sup>289</sup>cadyk — dosł. „sprawiedliwy”; Żydzi zazwyczaj nazywają tak słynnych rabinów, uczonych, bogobojnych mężów słynących ze sprawiedliwości, dobroci i pobożności. [przypis tłumacza]

<sup>290</sup>hajdamaka (daw.) — zbuntowany Kozak. [przypis edytorski]

<sup>291</sup>Elul (Ehul) — żydowska nazwa miesiąca odpowiadająca według kalendarza juliańskiego drugiej połowie sierpnia i pierwszej połowie września. [przypis tłumacza]

<sup>292</sup>kantor — śpiewak prowadzący modły przed pulpitem w bożnicy. [przypis tłumacza]

<sup>293</sup>szamesi — tak nazywano sługę bożnicy, synagogi oraz żydowskiej gminy wyznaniowej; właściwie jest to woźny bożnicy, gminy lub rabina. [przypis tłumacza]

<sup>294</sup>brys (hebr. *brit*: przymierze, obrzezanie) — żydowska ceremonia obrzezania niemowlęcia płci męskiej w ósmym dniu jego życia. Jest to chwila przystąpienia człowieka do przymierza, zawartego — według wierzeń religijnych — między Bogiem a praojcem Abrahamem. [przypis tłumacza]

— Jeśli Bóg okaże nam łaskę, to jeszcze urodzi mi się chłopczyk. Zobaczycie!

— Ona musi urodzić mesjasza! Nie inaczej!

Takie i im podobne słowa dolatywały przez cały dzień z mieszkania stolarza Enocha, a Rajzla kurczyła się z bólu, krzyczała i po prostu nie mogła sobie znaleźć miejsca.

Były chwile, że miotła się z kąta w kąt, darła na sobie skórę i błagała o śmierć. „Boże wiekiuisty! Ojczy najśłodszy, pomóż mi umrzeć!”

Rodzic zaczęła Rajzla już z samego rana, ale starała się z tym nie zdradzić. Nie chciała, aby ktokolwiek o tym wiedział. Wieczorem, kiedy chwyciły ją właściwe bóle, położyła się do łóżka. Zaciśnęła zęby, aby nie wyc z bólu. Twarz jej to czerwieniała, to sianiała. W pewnej chwili nie wytrzymała i nieswoim głosem krzyknęła:

— Mamusiu, daj mi siłę, abym mogła umrzeć!

Sara-Ruchla, baba-położna, która stała przy jej łóżku, ani drgnęła. Nieraz już widziała takie sceny. Nachyliła się tylko nad rodzącą i zakasawszy rękawy aż po swoje czarne łokcie, zaczęła ją podtrzymywać na duchu.

— Krzycz, krzycz moje dziecko! Rodząca powinna krzyczeć. Jeszcze jeden taki krzyk i Bóg da, że wszystko będzie w porządku. Twoja matka na tamtym świecie stoi w tej chwili przed Najwyższym Sędzią i prosi o łaskę dla ciebie. A Bóg da i urodzisz w zdrowiu syna — pociechę w twoich codziennych kłopotach.

Bóle mijają i Rajzla leży trochę przytępiona, jakby trochę pijana. W ustach jej dzwoni. Nie śpi, ale jest trochę zamroczone. Nie wie, na jakim jest świecie. Co się z nią dzieje? Co z nią będzie? Może to już koniec jej cierpień? Może umiera? A umrzeć Rajzla nie chce. Po trzykroć nie! Ma zaufanie do tego, który jest wieczny. Wierzy, że Zetł, jej mąż, wróci z dalekiej Ameryki, ufa, że szczęśliwie i długo jeszcze pożyje u boku swego drogiego, kochanego męża.

A gdzie jest teraz Zetł? Krawiec Zetł w kilka miesięcy po ślubie opuścił ją. Wyruszył w daleki świat, aby tam znaleźć *parnose*<sup>295</sup>. Trafił do Ameryki. Teraz wszyscy jadą do Ameryki. Wyjechał Zetł i nie ma go. Przepadł, jak kamień w wodzie.

— Z pewnością ma już drugą żonę. Znowu wziął forszę w posagu. Oby się nią udławił. Boże mój jedyny!

W ten sposób mówiono w domu stolarza Enocha. Wszyscy tak mówili. Oprócz, rzecz jasna, Rajzli. Ona inaczej myślała o swoim Zetlu. Ona go znała lepiej, aczkolwiek żyła z nim zaledwie cztery miesiące. Wciąż na niego czekała. Spodziewała się go w każdej chwili. Jeśli tylko żyje, jeśli tylko jest zdrowy, to wróci. Wróci z pewnością, albo przynajmniej przyśle jej list. Napisze list i włoży do niego swój „portret”. A kiedy Bóg da i miły list z „portretem” we wnętrzu nadejdzie, kto będzie mógł się z nią równać?

Przez wiele dni wypatrywała go, wielu nocy nie przespała. Wiele, po kryjomu, łez wylała. Zakopywała głowę w poduszkę, aby ludzie tego nie widzieli. Aby przyjaciółkom nie przysporzyć zmartwień, a wrogom radości.

Z chwilą, kiedy poczuła, że staje się matką, jej zmartwienie się pogłębiło. Do kogo zwrócić się o pomoc? Gdyby nie bała się Boga i piekła, skończyłyby z sobą.

Istnieje nawet przypuszczenie, że pewnego dnia, kiedy prała bieliznę w rzece, miała zamiar rzucić się w jej odmęty. W ostatniej podobno chwili przypomniała sobie o tym, co ją za to czeka na tamtym świecie i powstrzymała się. Na wpół żywa złapała bieliznę i pędem wróciła do domu. I właśnie wtedy spotkała ją na drodze położna Sara-Ruchla.

— Dlaczego tak pędzisz, córuchno?

I wtedy Rajzla rozplakała się jak dziecko. Sara-Ruchla doświadczonym okiem starej położnej, która niejedno już na tym świecie widziała, w lot pojęła, w czym rzecz i zaczęła jej przemawiać do serca:

— Boska to rzecz. To On tak chce i nie ma rady. A może właśnie dzięki temu wróci Zetł?

Rajzla, usłyszawszy imię męża, poczuła, że cała krew napływa jej do twarzy. Obie kobiety usiadły wtedy na przyzbie przed obcym domem i zaczęły szeptać sobie coś na ucho. Szeptaly i szeptaly. Na palcach coś tam obliczyły i wreszcie się rozeszły.

Tak długo, jak tylko mogła, starała się Rajzla utrzymywać rzecz w tajemnicy. I oto pewnego dnia sprawa się wydała i tajemnica przestała być tajemnicą. Od tej chwili dom

<sup>295</sup> *parnose* — zarobek, płatne zajęcie. [przypis tłumacza]



Enocha, w którym mieszkała, stał się dla niej piekłem. Zdawało się jej, że wszyscy tylko na nią patrzą, że tylko o niej mówią. Najbardziej złościło ją to, że wszyscy zlorzeczą jej Zetlowi. Kto żyw, ten na niego pomstował.

Najbardziej dokuczala Rajzli żona piekarza, Leja, która przejęta do głębi jej losem przynosiła jej często to świeżą bułkę, to coś innego. Przy tej okazji piekarczowa nie omieszkała wypowiedzieć swego zdania o Zetlu:

— Na, Rajzlo! Skosztuj tego pieczywa. Oby się, mój Boże, ten twój mężulek, ten szarlatan udławił w tej swojej Ameryce pierwszym kęsem spożywanego chleba.

— Żeby przynajmniej wiedział, że wkrótce będzie ojcem... a niech go piorun — dodaje przybywając jej w sukurs żona melameda<sup>296</sup> Fruma.

— A jak się dowie — odzywa się Asna, handlarka kur — to co? Możliwe, że się może roztkliwi ze szczęścia? A niech go szlag trafi!

Wszystkie wymienione kobiety mieszkają jako lokatorki w domu stolarza Enocha. Każda ma swój alkierzyk, swoje gospodarstwo, swoją pościel, swego męża i swoje dzieci. A dzieci — chwała Bogu — im nie brakuje. Toteż dom trzęsie się od krzyków i wrzasków. Dzieci biją się, a kobiety, korzystając z jednej kuchni, nie żalują sobie słów. Klócą się i obgadują. Przepraszają się i pożyczają sobie wzajemnie, to co mają do pożyczenia. Razem się cieszą i bawią na tych samych weselach. Jednym słowem, żyją jak jedna rodzina.

I nagle Rajzla zrywa się jakby ze snu z krzykiem:

— Boże! Boże! Boże!

Sara-Ruchla zaczyna ją pocieszać:

— O tak! Właśnie tak, moje dziecko! Teraz dopiero zaczynają się prawdziwe bóle. Jeszcze jeden krzyk i jeszcze jeden krzyk, i będzie po wszystkim. O tak, o tak, no i *mazl tou*<sup>297</sup>. Gratuluję ci córeczko, masz chłopca.

Kobiety natychmiast go wykapały, owinęły w pieluszki i zaraz potem zaczęły mu się dokładnie przyglądać, aby ustalić, do kogo jest podobny. I nagle rozległ się chóralny okrzyk:

— Ażeby go szlag! Zupełnie do niego podobny! Dokładna kopia.

Teraz zaczęła się dyskusja na temat, co podać Rajzli do jedzenia. W jej trakcie jedna kobieta zarzucała drugiej, że zawczasu nie postarała się o kurczaka dla położnicy. A skoro była mowa o kurczaku, to wszystkie pretensje spadły na głowę Asny, handlarki kur.

— To przecież ty handlujesz kurami. Nie mogłaś wcześniej o tym pomyśleć? Za proso dla kury same zapłaciłybyśmy i za rytualne zarżnięcie też.

Piekarczowa Leja zakasała rękawy i zabrała się do upieczenia maślanego pieczywa dla położnicy. Żona melameda, Fruma, pobiegnęła do męża, reb<sup>298</sup> Chaima-Jojny, aby zamówić u niego wiersz pochwalny na cześć rodzicielki.

I Chaim-Jojna również zakasał rękawy i napisał tak piękny wiersz, że nawet najbogatsza położnica w mieście nie mogła o podobnym pomarzyć.

W środku wiersza wymalował ozdobną piramidę:

Adam i Ewa,  
Abraham i Sara,  
Izaak i Rebeka,  
Jakub i Leja.

Po obu bokach tej piramidy wypisany był werset

Czarownica nie wyżyje,  
Nie wyżyje czarownica,

<sup>296</sup>*melamed* — dosł.: „nauczyciel”; uczył on dzieci żydowskie (od najmłodszego wieku, częstokroć od trzeciego roku życia) czytania po hebrajsku, znajomości *Pięcioksięgu*, modlitw, a także *Talmudu* i innych dzieł religijnych. [przypis tłumacza]

<sup>297</sup>*mazl tou* — dosł.: „gwiazda, dobry los”. Słowa te wśród Żydów oznaczają życzenia, gratulacje; wypowiada się je przy każdym radosnym wydarzeniu, jak urodzenie się dziecka, zaręczyny, ślub czy po zażegnaniu jakiegoś nieszczęścia, po pomyślnym zakończeniu czynności itp. [przypis tłumacza]

<sup>298</sup>*reb* — skrót hebrajskiego słowa *rabi*, które jest tytułem uczonego, rabina itp. U Żydów wyraz *reb* przed imieniem własnym oznacza szacunek dla osoby, do której zwracają się oni w ten sposób lub o której mówią. Młodszy wiekiem zawsze tak mówi do starszego. [przypis tłumacza]

Wyżycie czarownica nie.

Na dole zaś dużymi literami wypisane były tajemnicze słowa, które miały służyć jako remedium na złe uroki i wszelkie kłopoty. Słowem, zrobiono wszystko, co należało zrobić.

Rajzla leżała w łóżku i patrząc ze wzruszeniem na krzątające się wokół niej kobiety, szeptała:

— Oby Bóg je wynagrodził. I za co mi się to należy? Za jakie dobre moje uczynki?

A kiedy mężczyźni uporali się ze swoimi czynnościami, wszczęli rozmowę na temat zorganizowania uroczystości obrzezania.

Stolarz Enoch, chociaż sam nie zalicza się do bogaczy, a na głowie ma sporo własnych chłopców, oświadczył, że skoro poród odbył się w jego domu, to on bierze na siebie mycę<sup>299</sup> zorganizowania *brysa*. Pozostali Żydzi czuli się obrażeni.

— Jak to? Dlaczego tylko jemu jednemu ma przypaść taka mycwa? Czy dlatego, że umie pięknie gadać? *Brys* należy do wszystkich.

I kiedy wreszcie doszło do podziału honorowych funkcji związanych z tą uroczystością, rozpoczął się nowy spór.

Stolarz Enoch w skrytości ducha liczył na to, że jemu, jako właścicielowi domu, przypadnie funkcja *sandeka*<sup>300</sup>. Grubo się jednak przeliczył. Ta najważniejsza chyba funkcja — stwierdzili wszyscy pozostali — należy się melamedowi Chaimowi-Jojnie, ponieważ jest uczonym w *Piśmie*. Stolarz musiał — chcąc nie chcąc — podzielić ich zdanie. Wstał i oświadczył, że sam doszedł do takiego wniosku. Za to uhonorowali go „krzesłem proroka Eliasza”<sup>301</sup>. *Zaszczyt mecicy*<sup>302</sup> przypadł mężowi handlarki kur, ponieważ był on znany ze swojego kłótniowego charakteru i mógł wywołać skandal, gdyby go pominięto przy rozdziale honorowych funkcji. Słowem, zdołano jakoś uporać się z rozdziałem zaszczytów. Pozostała jedna tylko rzecz do załatwienia i chyba najważniejsza. Skąd wziąć wódkę?

— Skąd wziąć wódkę? — powtórzyła pytanie Sara-Ruchla. — Obyście tylko takie mieli kłopoty.

I nim wszyscy się spostrzegli, zarzuciła na siebie palto i pędem pobiegła do swojego zięcia Jidla, który „fabrykował” słodkie wódki i przyniosła dwie butelki czerwonej wódki, zwanej „karambambula”.

Ludzie zasiedli do stołu, zjedli rybę, po czym wypili po kilka kieliszków „karambambuli”. Zaraz też poweseleli, ożywili się i zaczęli wznosić toasty.

— *Lechaim*<sup>303</sup>! Na zdrowie! — pierwszy toast wznosił *sandek* Chaim-Jojna, melamed miejscowego chederu<sup>304</sup>, Żyd o wyskubanej z jednej strony brodzie, z czarnym szalikiem na szyi. — Oby Bóg dał, abyśmy dożyli do jego *bar micwy*<sup>305</sup> i mogli z tej okazji znowu się napić.

— *Lechaim* — powiedział uhonorowany „krzesłem proroka Eliasza” stolarz Enoch. — *Lechaim!* Oby Bóg dał, abyśmy mogli wypić na jego weselu.

A *baal-mecicy*<sup>306</sup>, małżonek kurołapki Asny, wysłużony żołnierz cara Mikołaja, mężczyzna o grubych wargach, wlał za jednym zamachem w gardło trzy szklanki wody i posunął się w swoich życzeniach znacznie dalej:

— *Lechaim!* Oby Bóg dał, abyśmy dożyli chwili, kiedy ten chłopiec się ożeni i spłodzi dzieci, a my żebyśmy mogli uczestniczyć we wszystkich *brysach* i weselach jego dzieci, i dzieci tych dzieci!

<sup>299</sup>*mycwa* — tu: religijny obowiązek. [przypis edytorski]

<sup>300</sup>*sandek* — osoba trzymająca chłopca na kolanach podczas dokonywania na nim obrzezania. [przypis tłumacza]

<sup>301</sup>*krzesło proroka Eliasza* — zasiadający na nim trzyma chłopca w czasie uroczystości obrzezania. [przypis tłumacza]

<sup>302</sup>*mecica* — wyssanie krwi po nacięciu napletka podczas uroczystości obrzezania. [przypis tłumacza]

<sup>303</sup>*lechaim* — toast przy wznoszeniu kielicha, znaczy „na życie”. [przypis tłumacza]

<sup>304</sup>*cheder* — dosł.: „pokój”; nazwa szkoły dla początkujących, w której żydowski chłopcy po ukończeniu piątego roku życia uczyli się czytania po hebrajsku modlitw oraz poznawali *Pismo Święte*. [przypis tłumacza]

<sup>305</sup>*bar micwa* — dosł. „syn przepisów”. Każdy chłopiec w dniu swoich trzynastych urodzin staje się pełnoletni wobec obowiązujących przepisów religijnych. W tym dniu nakłada po raz pierwszy tefilin i odtąd odpowiada za wszystkie swoje postęпки. Podczas tej ceremonii wygłasza przemówienie, w którym popisuje się znajomością *Pisma Świętego* lub *Talmudu*. Następnie jego ojciec publicznie dziękuje Bogu, że wybawił go od poniesienia kary za grzechy syna, za którego dotąd był odpowiedzialny wobec Stwórcy. [przypis tłumacza]

<sup>306</sup>*baal mecicy* — człowiek dokonujący *mecicy*. [przypis tłumacza]

Kobiety również wypily po kropelce i nabrały rumieńców. Stały się jeszcze bardziej rozmowne i zaczęły naraz gęgać, niczym gęsi.

Potem mężczyźni wynieśli na dwór stoły i krzesła, zrzucili, za przeproszeniem, kapoty i puścili się w tan w samych tylko spodniach. Zupełnie jak w święto radości *Tory* — *Symchas Tojre*<sup>307</sup>.

A na przesłoniętym dziurawym prześcieradłem łóżku siedziała Rajzla ze swoją kruszną w rękach. Przytuliła do piersi maleństwo i czule patrzyła na tych dobrych ludzi, którzy tyle dobrych życzeń jej złożyli. Nie mogła zrozumieć, czemu to wszystko zawdzięcza. I przeniósłszy wzrok na swoją pociechę, wyszeptwała:

— Wykapany tatuś. Jak dwie krople wody.

I z jej pięknych, niebieskich, głęboko osadzonych oczu wytrysnęły dwie łzy. Stoczyły się po bladej, umęczonej twarzy i spadły na jej białą młodą pierś.

## OBY SIĘ TO ŻYDOM NIE PRZYDARZYŁO

Zajdel, syn Szai, to młody człowiek wciąż jeszcze pozostający na utrzymaniu teścia. Mimo iż ma już kilkoro dzieci, dalej nie ima się pracy, jeno dniami i nocami ślęczy nad świętymi księgami. Zresztą o co ma się martwić. Jest jedynakiem, a reb<sup>308</sup> Szaja to bogacz. Po nim — oby nawet po stu dwudziestu latach<sup>309</sup> — cały majątek jemu przecież przypadnie.

A reb Szaja przez całe życie zajmował się pożyczaniem pieniędzy na procent. Jego „kapitał” rozrzucony był po całym mieście. Nie było ani jednego kasrylewianina, który by nie był u niego zadłużony. Nic dziwnego, że w jego mieszkaniu zawsze wrzało, jak w kotle. Jedni wchodzili, drudzy wychodzili. Jedni pobierali pieniądze, drudzy oddawali.

Był tam, pozał się Boże, kantor, albo jak kto woli bank. Prawda, że bez malowanych stołów i stołków, bez urzędników w białych mankietach, bez ludzi z podkreconymi wąsami i długimi paznokciami. Na próżno byś tam również szukał okienek z kratami, żelaznych szaf i owych szalenie pękatych ksiąg buchalteryjnych, którymi łatwo można człowieka nawet zabić.

W „banku” Szai był tylko jeden stolik, na którym stał kałamarzyk i pudełko z piaskiem, czyli suszka. Za każdym razem, kiedy trzeba było coś zapisać, należało wprzód napluć do tego kałamarzyka. Bez tego za nic nie udało by się namoczyć pióra. W stoliku była szuflada o dwóch kółkach i dużym zamku. Spoczywała w niej księga kontowa, zawierająca wszystkie rachunki, które reb Szaja skrupulatnie prowadził według własnej buchalterii. A jak wyglądała ta buchalteria?

Księga składała się z pięćdziesięciu dwóch karteek. Na każdej z nich wypisana była nazwa *parszy*, czyli rozdziału *Tory*<sup>310</sup>, przypadającego na dany tydzień. Kartka podzielona była na dwie części, czyli rubryki. Jedną z nagłówkiem „otrzymałem” i drugą z nagłówkiem „dałem”. W rubryce „otrzymałem” było tak napisane:

„Otrzymałem od p. Gerszona Pupika za pokwitowaniem — *parsza Bereszit* — 20 rubli”.

W rubryce „dałem”:

„Dałem panu Symche Lemieszce za pokwitowaniem, *parsza Bereszit* — 2 ruble”.

„Otrzymałem od p. Fajwela Szmojsa, za pokwitowaniem, *parsza Pikudej* — 4 ruble”.

„Dałem dodatkowo p. Gerszonowi Pupikowi — 7 rubli”.

„Otrzymałem od p. Symchy Lemieszki jeden rubel”.

„Nie dałem już więcej Fajwłowi Szmojsowi 13 rubli”.

<sup>307</sup>*Symchat Tora* (*Symchas Tojre*) — dosł. „radość Tory”; święto przypadające w ósmym dniu święta Sukot, związane z odczytywaniem *Pięcioksięgu Mojżeszowego*, którego rozdziały w ciągu całego roku odczytuje się podczas nabożeństw w świątyniach w sobotę i święta. W to święto wierzący przy śpiewie nabożnych pieśni obnosząobnoszą rodady [przyp. tłum: *rodady* — pięcioksięgi przeznaczone do celów rytualnych, spisane na sklejonych arkuszach pergaminu. Arkusze te owijają się na ozdobnych drewnianych drążkach, następnie przywodzi się je w ozdobne haftowane pelerynki i przechowuje w świątyniach, w specjalnie do tego celu przeznaczonej szafie, zwanej *aron-kojdesz* (święta szafa, arka).] wokół ambon w świątyniach. [przypis tłumacza]

<sup>308</sup>*reb* — skrót hebrajskiego słowa *rabi*, które jest tytułem uczonego, rabina itp. U Żydów wyraz *reb* przed imieniem własnym oznacza szacunek dla osoby, do której zwracają się oni w ten sposób lub o której mówią. Młodszy wiekiem zawsze tak mówi do starszego. [przypis tłumacza]

<sup>309</sup>*Po nim* — *oby nawet po stu dwudziestu latach* — według *Biblij* (Rdz 6, 3) Bóg ustalił limit ludzkiego życia na 120 lat. [przypis edytorski]

<sup>310</sup>*Tora* — dosł.: „nauka”; nazwa *Biblij*, w szerokim pojęciu oznacza wiedzę, nauki religijne. [przypis tłumacza]

„Nie otrzymałem od p. Gerszona Pupika w tygodniu *parszy Noach*. Również w tygodniu *parszy lech lecha* nie otrzymałem”.

„Obiecałem reb Szymsze pożyczyć jeszcze 11 rubli”.

Jak reb Szaja wykaraskał się z tych rachunków, jeden Pan Bóg tylko wie. Nie martwie się jednak. Dał sobie radę. Protestów, procesów sądowych i sporów nie było. Każdy dłużnik zdawał sobie sprawę, że jeśli Szaja przestanie pożyczać, to koniec, kropka, umarł w butach.

W ten sposób koło toczyło się dalej przez lata, aż do chwili, kiedy reb Szaja przeniósł się na tamten świat.

Reb Szaja umarł, a Zajdel objął po nim interes.

Trzydzieści dni żałoby minęło i Zajdel zabrał się od razu do rachunków. Trzy tygodnie ślęczał nad księгами. Ślęczał i pisał. Pisał i liczył. W końcu polecił wezwać wszystkich dłużników, do których tak przemówił:

— Szanowni moi panowie! Długo badałem wasze rachunki. Liczyłem, sprawdzałem i wyliczyłem, że nic już od was mi się nie należy. Wyszliście na czysto.

— Jak to, nie należą się od nas pieniądze? Jak to wyszliśmy na czysto?

— A tak to. Według obliczenia algebraicznego zapłaciliście procent od sumy i procent od procentu, siedemnaście razy więcej niż pobraliście, plus trzy szesnaste... Oto macie wasze pokwitowania.

Uszłyszawszy takie słowa kasrylewianie zakipieli z oburzenia. Coś tu nie gra. Nic innego, tylko jakiś podstęp, jakaś gierka, jakaś sztuczka. I długo nie myśląc, cisnęli Zajdłowi w twarz wszystkie swoje pokwitowania i podnieśli raban:

— Chce nas zarznąć! Zarznąć bez noża! Reb Szaja, oby miał świetlany raj, prowadził z nami interesy przez wiele lat i kieszeń miał dla nas zawsze otwartą, a ten przychodzi i raptem chce nas wszystkich w błocie wytarzać.

— Głupcy — replikuje im Zajdel. — Co za idioci z was! Oszły! Mówi się wam, że jesteście czyści nie dlatego, że komuś się tak spodobało, ale na podstawie samej algebry.

— Co nam tam będziesz opowiadał jakieś bajeczki o jakiś tam algebrach. Zdajmy się na sąd ludzki. Chodźmy do rabina!

— Do rabina! Do rabina! — krzyknęli wszyscy chórem.

W domu rabina zebrało się prawie całe miasto. Gwar, wrzaski i krzyki unosiły się pod niebiosami.

Zajdel pozwolił wszystkim się wygadać.

— Niech — powiedział — każdy powie, co ma na wątrobie.

Kiedy wszyscy zdążyli się już wygadać i wykrzyczeć, poprosił zebranych, aby na chwilę wyszli i zostawili go sam na sam z rabinem.

— Chcę mu coś ważnego powiedzieć, ale tylko w cztery oczy.

O czym Zajdel mówił z rabinem, tego nikt nie wie.

Chodzą słuchy, że doszło między nimi do gwałtownej dyskusji. Zajdel utrzymywał, że nie wolno Żydowi uprawiać lichwy, gdyż ta, według dokładnego przestudiowania *Pisma*, równa się grabieży. Człowiek żyjący z lichwy gorszy jest od najgorszego. Bo jak to może być? Wszyscy mają ciężko harować, a on co? Gdzie tu sprawiedliwość?

Rabin Juzipl próbował kontrargumentować. Powołał się nawet na „poprawkę” błogiej pamięci Maharama<sup>311</sup>, słynnego talmudysty, wniesioną przez rabiego Meira, syna Gedalii z Lublina<sup>312</sup>, w myśl której świat bez pożyczania pieniędzy nie mógłby istnieć. Cytował jego książkę *Jiszuw haolam (Cywilizacja, zwyczaj świata)*. Na te wywody Zajdel odparł, że według jego rozumienia, jeśli na tym ma się opierać istnienie świata, to cały ten świat wraz z panującymi w nim obyczajami nie zasługuje na to, aby istnieć.

— Co to za świat — zapytał Zajdel — który przywłaszczanie groszowego obwarzanka przez głodnego człowieka nazywa kradzieżą, a rabowanie całych rzesz wdów i sierot określa mianem „dorabiania się”? Czy jest słuszne, żeby za ucięcie komuś palca wysyłać na katorgę sybirską, a za wyrznięcie osiemdziesięciu tysięcy Anglików w Afryce przypinać medal za odwagę?

I ująwszy rabiego Juzipla za kłapy kapoty ciągnął dalej:

<sup>311</sup>Maharam — rabi Meir, syn Barucha z Rottenburga (1220–1293). [przypis tłumacza]

<sup>312</sup>Meir ben Gedalia z Lublina — znany rabin, talmudysta (1558–1616). [przypis tłumacza]

— Czy to jest sprawiedliwe? Czy tak ma wyglądać sprawiedliwość? Jedzie sobie po świecie stary Krygier, szef Burów<sup>313</sup>, i puka biedaczysko do wszystkich drzwi, błagając o miłosierdzie dla swego biednego kraju. Niczego poza sprawiedliwym sądem nie żąda. Zdaje się na wyrok opinii społecznej. Niech ludzie osądzą. A tu jeden powiada, że nie chce się wtrącać, a drugi powiada, że jemu wobec pierwszego po prostu nie wypada. Słowem, jeden tak, a drugi siak. A tymczasem krew się leje. Gdzie więc jest ta sprawiedliwość? Gdzie jest to człowieczeństwo? A ty rabinie prawisz mi o „cywilizacji”, o „zwyczajach świata”, o „istnieniu świata”! Ładny mi świat!

I coraz bardziej zapuszczał się Zajdel w głąb rozważań na temat świata. Zapędził się i zabrął zbyt daleko. Wszedł na niebezpieczne drogi. Zaczął wszystkiemu zaprzeczać, ze wszystkiego się naśmiewać, wszystkim świętościom urągać.

Toteż reb Juzipl uznał, że nie ma o czym z nim mówić dalej. Zatkanął rękoma uszy i krzyknął:

— Dosyć! Dosyć! Dosyć!

I kiedy Zajdel poszedł sobie wreszcie, reb Juzipl zawołał ludzi i tak do nich przemówił:

— A przecież to nawet porządny człowiek z tego Zajdla. Delikatny i uczciwy, ale, oby się to nigdy żadnemu Żydowi nie przytrafiło...

I mówiąc to stuknął się palcem w czoło. Nie muszę chyba dodawać, że wszyscy w lot pojęli, o co chodzi.

## ZEPSUTE WESELE

I jak tu Noe Celnik ma się nie cieszyć, kiedy Pan Bóg w swojej łaskawości sprawił, że oto wydaje za żonę najmłodszą córkę. Za kogo?

A co to za różnica, czy za Borucha, czy za Zurecha, za Pajtla, czy za Frajtla? Wydaje i koniec.

Zapewne myślicie, że Noe to taki ojciec, który pozbywa się córki, bo uważa ją za garb na plecach, że chce się od niej po prostu uwolnić. Jeśli tak myślicie, to jesteście w błędzie.

Drugiego takiego ojca, jak Noe, na całym świecie nie znajdziecie. Całe swoje życie poświęcił dzieciom. Pracował, harował i wypruwał z siebie żyły. Dniem w upale i skwarze, nocą na mrozie. Często wędrował w deszczu i błocie. Nieraz leżał pod wozem. Zdarzyło się, że kiedyś wpadł do przerębli. Przeziębził sobie płuca i do końca życia nie pozbył się już jakiegoś dziwnego kaszlu. Zapewne spytacie, jak człowiek może doprowadzić się do takiego stanu. Spróbujcie, proszę was, utrzymać żonę i dzieci ze sklepiku z galanterią w Kasrylewce.

Kiedy dzieci były jeszcze całkiem małe, Noe musiał sam się nimi zajmować. Kąpał je, przewijał i pielęgnował.

Wiem, że zaraz nasunie się wam pytanie: a gdzie była matka? Otóż żona Noego, Zeldą, zawsze była zajęta. Prowadziła interesy. Przeważnie z dziedzicami. W ten sposób Noe przebywał w mieście, a Zeldą w okolicy.

Dlaczego ona prowadziła interesy, a nie on? Bo znała ona język polski. Umiała rozmawiać z dziedzicami. Wiedziała, jak sprzedawać towar na wsi i na prowincji. Z miastem Zeldą nie umiała handlować. Nie mogła patrzeć na kasrylewskich klientów. „Za mądry są” — mówiła. Dziedzice to całkiem co innego. Zupełnie inni ludzie. Kiedy ona zaklina się: „jak Boga kocham”, to dziedzic jej ufa. Natomiast kasrylewski Żyd, jeśli przysięgłaby mu na wszystkie świętości, a nawet gdyby zapadła się pod ziemię, nie uwierzy jej. Ten „antysemita”, ten „wróg Syjonu” powie ci z szyderyczym uśmiechem na ustach:

— A po co od razu przysięgać? Ja i bez przysięgi pani wierzę...

W posagu dla swojej najmłodszej córki Noe daje siedemdziesiąt pięć rubli. Jeśli zaś chodzi o ścisłość, to Noe obiecał dać sto pięćdziesiąt. Siedemdziesiąt pięć przy zaręczynach i siedemdziesiąt pięć później, to znaczy wtedy, kiedy nastąpią lepsze czasy.

Lepsze czasy jednak nie nastąpiły, choć wypatrywała ich Kasrylewka od wielu już lat. I co? I nic.

Czy w ogóle kiedyś nadejdą? Może! Czym czekanie na lepsze czasy jest gorsze od oczekiwania na Mesjasza? Czy Żydzi przestali czekać na Mesjasza?

<sup>313</sup>Burowie — potomkowie europejskich (głównie holenderskich) osadników w Afryce Południowej, na przełomie XIX i XX w. pokonani przez Anglików w tzw. wojnach burskich. [przypis edytorski]

Krótko mówiąc, możecie być pewni, że z powodu posagu małżeństwo się nie rozejdzie. Jest to bowiem wewnętrzna i jakby rodzinna sprawa. Ojcowie młodych znają się i nawet lubią. Matki też się znają i też się lubią, a młodzi również doskonale się znają i nawzajem kochają...

O mało co nie wyrwałem się zbędnym słowem. Jeśli obiecacie mi, że zachowacie to w tajemnicy, to wam coś opowiem.

Nim jeszcze wpadło do głowy reb<sup>314</sup> Szolemowi-Szachnie swatać to małżeństwo, młodzi od dawna się już znali. Pisywali nawet codziennie do siebie liściki, z których wynikało, że postanowili się pobrać.

On uczył w chederze<sup>315</sup>, a ona pomagała w sklepie. Pewnego razu, na początku miesiąca, w drodze do bet hamidraszu<sup>316</sup> przechodził obok sklepu. Nagle zobaczył stojącą w jego drzwiach dziewczynę, ubraną w sycową<sup>317</sup> sukienkę, z białym szalikiem na szyi. Sukienkę sama sobie właśnie uszyła, a szalik zrobiła na drutach. Stoi tak na progu i pięknymi czarnymi oczkami patrzy jakby prosto na niego, i się przy tym uśmiecha.

On jest przekonany, że patrzy właśnie na niego. I słońce zaczyna go ogrzewać, a ciepły wiaterek zaczyna go głaskać po plecach i z ust wyrывa mu się szept: „Frejdl — piękna kobieta”.

I nic już z modlitwy. Przed oczyma wciąż ma Frejdl. Przy *alleluja*<sup>318</sup> i *min hamecar*<sup>319</sup> znowu przypomina sobie córkę Noego. Widzi niemal jej piękne, czarne oczy. Zaczyna więc energiczniej kiwać się i głośniejsz niż zwykle powtarzać werset *min hamecar* (w nieszczęściu). Boi się, że jeszcze go zapomni. W drodze powrotnej z bet hamidraszu uważnie rozgląda się, a nuż znowu zobaczy Frejdl. Przychodzi do chederu, otwiera *Gemara*<sup>320</sup>, zagląda do *Tosefot*<sup>321</sup> i znowu widzi Frejdl. W nocy, we śnie — znowu Frejdl. Wszędzie tylko Frejdl.

Swat, reb Szolem-Szachne, wpada tymczasem na prosty pomysł. Przychodzi do sklepu i proponuje Noemu, aby wydał swoją najmłodszą córkę za męża za Dawida, syna Borucha-Benejona. Wyjmuje przy tym pudełko z tabaką i wylicza wszystkie nadzwyczajne zalety swego kandydata do ręki Frejdl. Ta, rzecz oczywista, usunęła się na bok, aby nie zauważono, jak się zarumieniła.

Na białej szyi miała Frejdl wisiorek. Na tym wisiorku był węzełek, w którym przechowywała liścik napisany pięknym kaligraficznym, zdobionym w esy-floresy pismem. Zawierał on następujące słowa:

„Najdroższa i najukochańsza moja duszo! Przyjaciółko i ozdobo mojej głowy! Rozkoszy moja i życie moje! Frejdl! Obyś mi była zdrowa! Gdyby nasza rzeka zawierała sam tylko atrament, a las same tylko gołe pniaki, a cały świat zbudowany był tylko z papieru i gdybym na tym papierze pisał do Ciebie w dzień i w nocy, to bym i tak nie zdołał wyrazić choćby jednej dziesięcioletniej części tego, co moje serce czuje do Ciebie. A stało się to od pierwszej chwili, kiedy ujrzałem Twoją jasną twarz, która ładniejsza jest od słońca i kiedy usłyszałem Twój głos, który słodszy jest od najslodszego wina!”

I dalej w tym duchu.

Nasza para czekała tylko na chwilę, kiedy reb Szolem-Szachne wpadnie na pomysł, aby ją wyswatać. A kiedy doszło to już do skutku, narzeczony posłał swojej lubej dwa

<sup>314</sup>reb — skrót hebrajskiego słowa *rabi*, które jest tytułem uczonego, rabina itp. U Żydów wyraz *reb* przed imieniem własnym oznacza szacunek dla osoby, do której zwracają się oni w ten sposób lub o której mówią. Młodszy wiekiem zawsze tak mówi do starszego. [przypis tłumacza]

<sup>315</sup>cheder — dosł.: „pokój”; nazwa szkoły dla początkujących, w której żydowski chłopcy po ukończeniu piątego roku życia uczyli się czytania po hebrajsku modlitw oraz poznawali *Pismo Świąte*. [przypis tłumacza]

<sup>316</sup>bet hamidrasz — dom nauki i modlitwy. [przypis edytorski]

<sup>317</sup>sycowy — wykonany z prostej tkaniny bawełnianej. [przypis edytorski]

<sup>318</sup>alleluja (hebr. *Hallelu Ja*) — „chwalcie Boga” (modlitwa). [przypis tłumacza]

<sup>319</sup>min hamecar — modlitwa mająca wspomóc w nieszczęściu. [przypis tłumacza]

<sup>320</sup>Gemara — dosłownie: zakończenie; nazwa części *Talmudu*, zawierająca komentarze do *Miszny*. [przypis tłumacza]

<sup>321</sup>Tosefot — suplementy do *Talmudu*. [przypis tłumacza]

złote kolczyki za piętnaście rubli. Narzeczone zaś uszyła dla swojego oblubieńca woreczek na tefilin<sup>322</sup> z czystego aksamitu. Wyhaftowała na nim srebrną tarczę Dawida i dwa lwy z koroną. Było to istne cacko, godne najwyższego podziwu. I nie było szczęśliwszej od nich pary na świecie. Zarówno on, jak i ona, po cichu i z niecierpliwością liczyli tygodnie, godziny i minuty dzielące ich od weselnego baldachimu. Ślub wyznaczony został na Szabat Nachmu<sup>323</sup>. No i wreszcie wybiła godzina ich szczęścia. Kto nie widział, w dniu ślubu córki Frejdl, sklepikarki Zeldy, biegającej w zawiązanej z tyłu głowy we dwa szpice chustce, wołającej ochryplym głosem: „Gdzie się, na moje nieszczęście, podziewa Noe?“, ten niczego piękniejszego nie widział. Ten nie jest w stanie wyobrazić sobie, jak wygląda prawdziwy rozgardiasz.

— Narzeczeni poszczą — krzychała piskliwym głosem — a jego diabeł poniósł. Gdzie się podziewasz Noe? Gwałtu! Rety! Ja tego nie przeżyję!

Krewni ze strony narzeczonego przychodzą jej w sukurs.

— Gdzie jest ojciec narzeczonej? Już najwyższy czas stanąć pod baldachimem. Gdzie jest *mechutan*<sup>324</sup>?

A nasz Noe siedzi sobie tymczasem w kąciku razem z przyjacielem, reb Mojsze-Josiem, zięciem rabina. Zaszyl się tam i wylewa przed nim żale z powodu zepsutego, jak twierdzi, wesela.

Wszystkie, bez uroku, córki wydał w sposób należyty. Na każde ich wesele sprowadzał z samego Kijowa klezmerów<sup>325</sup>. A teraz, kiedy wydaje najmłodszą, klezmerów nie ma. Odfajkowane wesele. Zepsute wesele.

Mojsze-Josie, zięć rabina, głaszcze się po bródce. Śmiejącymi się oczami patrzy na głupiego *mechutana* i powiada:

— Przecież masz klezmerów na miejscu. Czy tutejsi klezmerzy nie potrafią grać?

— Też mi klezmerzy! — replikuje Noe. — Wesele bez kijowskich klezmerów!

Gdyby Noe zawczasu wiedział, że kijowscy klezmerzy nie będą mogli przybyć, odłożyłby wesele na drugą połowę miesiąca Elul<sup>326</sup>.

Ceremonia ślubna się odbyła, a Noego znowu gdzieś poniosło. I znowu krewni narzeczonego zaczynają wołać:

— Gdzie jest *mechutan*? Dawać *mechutana*! Gdzie jest *mechutan*?

Zelda wreszcie odnajduje go i nie szczędzi mu wyrzutów:

— Ładnie wydajesz córkę za mąż. Oj biada mi!

— Bez kijowskich klezmerów — powiada Noe — to dla mnie nie jest wesele!

— Bój się Boga, Noe! Co ty pleciesz? — Zelda nie posiada się ze złości.

— Czy kasrylewscy klezmerzy to nie Żydzi! Czy kasrylewscy klezmerzy nie mają dzieci? Nie potrzebują jeść? Tfu! Wstydzilibyś się! Wstyd i hańba. Reb Jehoszua-Heszł, zagraj coś wesołego!

I klezmer, reb Jehoszua-Heszł, starszy już nieco Żyd w watowanej kapocie, z grubymi pejsami<sup>327</sup> na bokach twarzy, w przydługim, wyrzuconym na zewnątrz podkoszulku tałasowym<sup>328</sup>, uderza smyczkiem po skrzypcach, mruga okiem do swojej orkiestry i kasrylewscy klezmerzy pokazują, że i oni nie w ciemię bici. Żywo i z temperamentem grają jakiś wesoły kawałek. Struny niemal pękają. Nisko zawodzi bas. Dmuchaają w trąbki,

<sup>322</sup>*tefilin* — dosł.: „modlitwy”; nazwa dwóch skórzanych pudełeczek zawierających wypisane na pergaminie modlitwy — przepisy, które mężczyźni od trzynastego roku życia wkładają na głowę i lewą rękę podczas modlitwy porannej w dni powszednie. [przypis tłumacza]

<sup>323</sup>*szabat nachmu* — szabat po dziewiątym dniu miesiąca Aw, czyli po żałobnym dniu, w którym wypada rocznica zburzenia obu świątyń jerozolimskich. Kończy się wtedy okres żałoby związany z oplakiwaniem zburzenia świątyni i kraju oraz wygnania Żydów z ich ojczyzny. W języku hebrajskim *szabes nachmu* oznacza dosłownie „sobota-pocieszcze”. Jest to sobota, w którą odczytuje się podczas nabożeństwa XL rozdział księgi proroka Jezajasza, zaczynający się od słów: *Nachmu, nachmu, ami* (hebr.: pocieszczenie, pocieszczenie mój lud). [przypis tłumacza]

<sup>324</sup>*mechutan* — ojciec jednego z nowożeńców. [przypis tłumacza]

<sup>325</sup>*klezmer* (pot.) — muzykant. [przypis tłumacza]

<sup>326</sup>*Elul* (*Ehul*) — żydowska nazwa miesiąca odpowiadająca według kalendarza juliańskiego drugiej połowie sierpnia i pierwszej połowie września. [przypis tłumacza]

<sup>327</sup>*pejsy* — długie pasma włosów na skroniach, zwieszające się przed uszami, noszone przez ortodoksyjnych Żydów. [przypis tłumacza]

<sup>328</sup>*podkoszulek tałasowy* — mężczyźni na co dzień pod ubraniem noszą „mały tałas”, rodzaj podkoszulka z frędzlami (*cyces*). [przypis edytorski]

gwizdzą na fletach i uderzają w talerze. Goście weselni klaszczą w dłonie. Wnet tworzą coraz większe i większe koło. Rodzice młodych biorą się za ręce i idą w tan. Wesoły tan.

## DREYFUS W KASRYLEWCE

Nie wiem, czy gdziekolwiek na świecie sprawa Dreyfusa<sup>329</sup> wywołała taki szum, jak w Kasrylewce. Powiadają, że w Paryżu też się zakotłowało. Pisały o tym gazety. Strzelali do siebie generałowie, a chuligani biegali po ulicach i wyczyniali różne rzeczy. Jedni krzyczeli: *Vive*<sup>330</sup> *Dreyfus!* Drudzy wołali: *Vive Esterhazy!* A Żydów, jak zwykle, mieszano z błotem. Tyłu jednak zmartwień i cierpień, i poniżeń, jakich doznali i przeżyli Żydzi w Kasrylewce, paryzanie do samego nadejścia Mesjasza nie przeżyją.

O to, w jaki sposób i skąd Kasrylewka dowiedziała się o sprawie Dreyfusa, nie pytajcie. A skąd dowiedziała się o wojnie Anglików z Burami? A skąd kasrylewianie wiedzą o tym, co się dzieje w Chinach? Co wspólnego ma Kasrylewka z Chinami? Może wiedzę zawdzięcza swemu „rozległemu handlowi” ze światem? Herbatę Kasrylewka otrzymuje od Wysockiego z Moskwy. Ubrań z letniego, żółtego materiału, zwanego tsze-sziu-tsza, kasrylewianie nie noszą. Nie są one na ich kieszeń. Dzięki Bogu, że mogą sobie pozwolić na noszenie latem peleryn z żaglowego materiału. W przeciwnym wypadku paradowali by, za przeproszeniem, w samych kalesonach i sycowych<sup>331</sup> podkoszulkach tałasowych<sup>332</sup>. A jeśli lato dopisze, to i w tym stroju porządnie będą się pocili.

Nadal jednak pozostaje pytanie, od kogo Kasrylewka dowiedziała się o sprawie Dreyfusa? Odpowiadam: od Zajdla. Otóż Zajdel, syn reb<sup>333</sup> Szai, to jedyny Żyd w mieście, który abonuje gazetę „Hacefira”<sup>334</sup>. Od niego to dowiadują się Żydzi o wydarzeniach zachodzących na całym świecie. On opowiada, a oni komentują. On czyta to, co tam jest napisane, a oni wyciągają wnioski. Najczęściej odwrotne. Oni bowiem lepiej rozumieją to, o czym piszą w gazecie.

I oto pewnego dnia przychodzi Zajdel do bożnicy i opowiada historię o tym, że w Paryżu odbył się właśnie sąd nad jakimś kapitanem Dreyfusem, który miał rzekomo wydać Niemcom jakieś ważne dokumenty państwowe. Ludzie słuchają, a słowa Zajdla jednym uchem do nich wpadają, a drugim wylatują. I ni z tego, ni z owego rozlega się głos:

— Czego to dla zarobku Żyd nie zrobi?

Na to ktoś dorzuca:

— A dobrze mu tak! Niech się Żyd nie pcha za wysoko! Niech się nie wtrąca w sprawy cesarzy!

Potem jednak, kiedy Zajdel przyszedł z nową wieścią, że cała ta sprawa okazała się zwykłym oszczerstwem, że zesłany na galery żydowski kapitan jest Bogu ducha winny, że padł ofiarą intrygi kilku generałów, Kasrylewka wykazała nieco większe zainteresowanie. Od tej chwili Dreyfus był już „swój”. Stał się kasrylewianinem. Gdzie dwóch się spotkało, tam on był trzecim.

— Słyszalesz?

— Słyszałem.

— Zesłany na zawsze!

— Na wieczne osiedlenie!

— I to za nic!

— Niecne oszczerstwo.

<sup>329</sup>*sprawa Dreyfusa* — sprawa Alfreda Dreyfusa (1859–1935), francuskiego oficera pochodzenia żydowskiego, oskarżonego o szpiegostwo na rzecz Niemiec, skazanego na dożywotni pobyt w kolonii karnej w 1894, ułaskawionego w 1906; sprawa podzieliła społeczeństwo francuskie, prowokując wielu intelektualistów do ostrych wypowiedzi (Dreyfusa bronili m. in. Emil Zola i Marcel Proust). [przypis edytorski]

<sup>330</sup>*vive* (fr.) — niech żyje. [przypis edytorski]

<sup>331</sup>*sycowy* — wykonany z prostej tkaniny bawełnianej. [przypis edytorski]

<sup>332</sup>*podkoszulki tałasowe* — „małe tałesy”, rodzaj podkoszulków noszonych na co dzień pod ubraniem, z frędzlami (hebr. *cicit*, jid. *cyces*) przy rogach. [przypis edytorski]

<sup>333</sup>*reb* — skrót hebrajskiego słowa *rabi*, które jest tytułem uczonego, rabina itp. U Żydów wyraz *reb* przed imieniem własnym oznacza szacunek dla osoby, do której zwracają się oni w ten sposób lub o której mówią. Młodszy wiekiem zawsze tak mówi do starszego. [przypis tłumacza]

<sup>334</sup>„*Hacefira*” — „Jutrzenka”, nazwa pierwszej hebrajskiej gazety w Polsce. Jej redaktorem był Chaim Zelig Stonimski, dziadek Antoniego Stonimskiego. [przypis tłumacza]



A kiedy w jakiś czas potem Zajdel zakomunikował im, że zanosi się na nową rozprawę sądową, że znaleźli się porządni ludzie, którzy podjęli się udowodnić całemu światu, że cała ta heca to jedna wielka pomyłka, Kasrylewka rozkołysała się na zupełnie inną modłę. Po pierwsze Dreyfus to przecież „nasz człowiek”. Po drugie, jak to jest możliwe, żeby tam w Paryżu mogła zaistnieć taka wstrętna sprawa? Fe! Jakos nieładnie. Jakos nie do twarzy z tym „francuzikiem”. No i rozpętała się dyskusja. Ludzie zaczęli się zakładać. Jedni mówili, że nowa rozprawa dojdzie do skutku, drudzy byli odmiennego zdania. Po wyroku — twierdzili ci ostatni — klamka zapadła i nie ma odwołania.

A jak dalej potoczyła się sprawa? Ludzie przestali czekać, aż Zajdel wygramoli się ze swojego mieszkania i pofatyguje do boźnicy, aby im zanieść nowe wieści o kapitanie Dreyfusie. Sami zaczęli przychodzić do niego do domu. Potem wyczerpała się ich cierpliwość i razem z nim zaczęli udawać się na pocztę, aby odebrać gazetę i tam na miejscu ją przeczytać, przeanalizować, podyskutować i nawet się wyklócić. Oczywiście, że gadania przy tym było co niemiara. Pan poczmistrz często nie omieszkiał dawać im do zrozumienia — i to w sposób niezbyt delikatny — że jego urząd to, nie przymierzając, nie żydowska boźnica.

— Tu, parchaci Żydzi, żadna żydowska boźnica. Tu nie kahał<sup>335</sup>, *szacher macher*<sup>336</sup>!

Żydzi puszczali jego słowa mimo uszu. Słuchali go tak, jak Haman słucha grzechotu kołatek i grzechotek<sup>337</sup>. On ich łajał i gromił, a oni czytali sobie spokojnie „Hacefirę” i rozprawiali o Dreyfusie. Nie tylko zresztą o samym Dreyfusie mówiono w Kasrylewce. Za każdym razem dochodziła jakaś nowa osoba z tej sprawy. Najpierw był Esterhazy, potem Piequart, później ktoś zauważył, że pozostali generałowie noszą nazwiska kończące się na literę „i”. Wtedy jakiś Żyd zapytał:

— Dobrze, a co zrobisz z Boudeferem?

— No wiesz, ten przecież źle skończył.

— Oby tak wszyscy skończyli!

Dwie osoby stały się przedmiotem miłości wszystkich mieszkańców Kasrylewki. Były nimi Emil Zola<sup>338</sup> i Lambori. Za Emila Zolę każdy gotów był poświęcić swoje życie. Z miłością wymawiano jego imię. Gdyby się zjawił w Kasrylewce, całe miasto wyszłoby mu na spotkanie. Wszyscy nosiliby go na rękach.

— A co pan powie o jego liścikach?

— Istne perły, diamenty, brylanty!

Lamboriego również cenili wysoko. Ludzie zachwycali się jego mowami, tak świetnymi, że tylko palce lizać. Przejmowali się nimi w Kasrylewce dogłębnie. Co prawda, nikt z kasrylewian ich nie słyszał, ale kierując się prostym rozumem, doszli do przekonania, że ten człowiek powinien dobrze przemawiać.

Nie wiem, czy najbliższa rodzina Dreyfusa w Paryżu wyczekiwała z takim utęsknieniem jego powrotu do domu, jak mieszkańcy Kasrylewki. Można śmiało powiedzieć, że byli z nim razem na statku powracającym z wyspy, że niemal fizycznie czuli, jak kołysze się on na morzu. Oto za chwilę rozszałe się burza. Już wznoszą się fale, zaczynają miaotać statkiem, który jak łupina to wznosi się, to gwałtownie opada w dół. I zaczynają się po cichu modlić: „Boże, władco świata, spraw, aby choć cały i zdrowy dotarł do miejsca, w którym ma się odbyć wznowiona rozprawa sądowa. Otwórz oczy sędziom. Oświeć ich umysły, aby mogli odnaleźć prawdziwego winnego, aby cały świat mógł zobaczyć, jak wygląda nasza sprawiedliwość. Amen”.

Dzień, w którym nadeszła wiadomość, że Dreyfus szczęśliwie dotarł do domu, stał się w Kasrylewce prawdziwym świętem. Gdyby się ludzie nie krępowali, toby zamknęli wszystkie swoje sklepy w Kasrylewce.

— Słyszeliście?

<sup>335</sup>kahał — żydowska gmina wyznaniowa. [przypis tłumacza]

<sup>336</sup>szacher macher — oszustwo. [przypis tłumacza]

<sup>337</sup>Słuchali go tak, jak Haman słucha grzechotu kołatek i grzechotek — podczas święta Purim w bóżnicy odczytywana jest publicznie *Księga Estery*, a kiedy z ust czytającego pada imię Hamana, niegodziwego prześladowcy Żydów, wierni hałasują kołatkami i grzechotkami, żeby je zagłuszyć. [przypis edytorski]

<sup>338</sup>Zola, *Émile* (1840–1902) — francuski pisarz, główny teoretyk i przedstawiciel naturalizmu; opublikował 20-tomowy cykl powieści *Rougon-Macquartowie*, przedstawiający pełny obraz epoki (*Nana*, *Germinal*, *Ziemia*, *Kłęska*). Autor najważniejszego artykułu krytycznoliterackiego przedstawiającego teorię oraz estetykę naturalizmu *Powieść eksperymentalna*. [przypis edytorski]

- Dzięki Bogu!
- Ciekaw jestem, jak wyglądało jego spotkanie z żoną?
- A ja bym chciał zobaczyć, jak zachowały się jego dzieci na wieść, że tato wrócił.

Kobiety przysłuchujące się tej rozmowie schowały twarze w fartuszkach, niby dla wytarcia nosa. Nie chciały, aby zauważono, że płaczą. I nie bacząc na wielką biedę, każdy kasrylewianin odjąłby sobie od ust ostatni kęs chleba, aby tylko pojechać do tego Paryża i na własne oczy, choćby tylko z daleka, popatrzeć na to wszystko.

A kiedy sąd w Paryżu wznowił obrady, w Kasrylewce zawrzało tak, że tylko „Boże, zmiłuj się!”. Rozrywano gazety. O mało nie rozszarpano na kawałki samego Zajdla. Nikt nie myślał o jedzeniu, nie spał w nocy. Aby do rana dożyć. Aby do jutra. Aby do pojutrze. I tak przez wszystkie dni.

I nagle w mieście powstał prawdziwy popłoch. Szum, wrzask i ogólne zamieszanie. Koniec świata! Stało się to w dniu, kiedy do Kasrylewki dotarła wieść o postrzeleniu adwokata Dreyfusa — Lamboriego. Wszyscy byli wstrząśnięci.

- Dlaczego? Co za bandytyzm! I za co? Za nic! Gorzej niż w Sodomie!

Strzał wymierzony w adwokata Dreyfusa wzburzył umysły mieszkańców Kasrylewki. Kula wystrzelona z paryskiego rewolweru ugodziła w ich serca. To do nich strzelał zamachowiec.

— Boże, władco świata — szeptali w błagalnej modlitwie — spraw, a Ty jeśli chcesz, to potrafisz, aby adwokat został przy życiu.

- I Bóg sprawił cud, i adwokat został przy życiu.

A kiedy nadszedł ostatni dzień procesu, Kasrylewkę ogarnęła gorączka. Ludzie miotali się jak w febrze. Chętnie zapadliby w całodobowy sen, aby obudziwszy się z rana móc się dowiedzieć, że za pomocą Boga Dreyfus został już wypuszczony na wolność! A tu, jak na złość, nikt nie mógł zmrużyć oka. Przewracali się z boku na bok na swoich posłaniach. Toczyli nieustające boje z kasrylewskimi pluskwami i niecierpliwie wypatrywali brzasku dnia.

A kiedy się rozwidniło, natychmiast pospieszyli na pocztę. Ta jednak była jeszcze zamknięta. Wiodąca do niej brama też. Powoli rósł tłum wokół poczty. Wkrótce cała ulica wypełniona była po brzegi. Żydzi nie stali w miejscu. Chodzili tam i z powrotem. Ziewali, podkręcali pejsy<sup>339</sup> i po cichu śpiewali: *Alleluja*<sup>340</sup>!

Kiedy stróż Jarema otworzył bramę, wszyscy ruszyli hurmem. Jarema wściekł się i nie omieszkał dać im do zrozumienia, że on jest tu gospodarzem. Otworzył gębę i obsypując ich gradem obelżywych słów, przepędził. Znalazłszy się znowu za bramą, postanowili czekać na przybycie Zajdla. Kiedy ten wreszcie przyszedł, odebrał swoją gazetę i przeczytał im najświeższą wiadomość o wymierzonym w Paryżu „pięknym wyroku” na Dreyfusa, powstał taki lament i taki krzyk, że o mało nie pękły niebiosy. Krzyk ten nie był wymierzony ani w sędziów, którzy wydali zły wyrok, ani w generałów, którzy złożyli fałszywe przysięgi, ani we „francuzików”, którzy tak nieładnie się zachowali, ale w Zajdla. Jednym głosem krzyczeli:

— Nie może tak być! Nie może być takiego wyroku na świecie! Przecież Niebo i Ziemia przysięgły, że Prawda, jak oliwa, musi zawsze wypłynąć na wierzch. Co nam tu będziesz opowiadał bajeczki!

— Osły — odpowiada im biedny Zajdel i podsunąwszy im pod nos gazetę niemal krzyczy: — Zobaczcie, co tu jest napisane!

— Gazeta, chabeta — krzyczą kasrylewianie. — Jeśli nawet staniesz tak, że jedną nogą sięgniesz nieba, a drugą ziemi, to i tak ci nie uwierzymy. Tak nie może być. Nijak nie może być!

- I co? Kto miał rację?

## DWA SZALECH-MONESY

Już dawno nie było w Kasrylewce tak pięknego i ciepłego święta Purim<sup>341</sup>. Rano puścił lód, a zaraz potem stopniał śnieg. Słońce świeciło. Wiał leniwy wiaterek. Głupiemu cie-

<sup>339</sup>pejsy — długie pasma włosów na skroniach, zwieszające się przed uszami, noszone przez ortodoksyjnych Żydów. [przypis tłumacza]

<sup>340</sup>alleluja (hebr. *Hallelu Ja*) — „chwalcie Boga” (modlitwa). [przypis tłumacza]

<sup>341</sup>Purim — żydowskie święto losu. [przypis tłumacza]

łęciu wydało się, że już nadeszła wiosna, więc zadarło ogon, opuściło pysk i rozmezczało się niezbyt głośnym „me”. Z góry na dół wiły się po ulicach potoki, unoszące napotkane po drodze źdźbła słomy, drewnianki i strzępki papieru. Dobrze, że nikt jeszcze nie zdążył zaopatrzyć się w macę<sup>342</sup>, bo można by było mniemać, że to nie Purim, ale przeddzień Pesach<sup>343</sup>.

W samym środku miasta, tam, gdzie najobficiej rozlało się błoto, spotkały się dwie dziewczyny o tym samym imieniu Nechama. Jedna czarna, krzepka, o gęstych brwiach i krótkim nosie, druga jasna, chorowita, rudowłosa, ze spiczastym ostrym nosem. Jedna bosa z grubymi, ciemnymi łydkami, druga jakby w bucikach, ale takich, co mają otwarte „gęby”, stale proszące o „jedzenie”. Nie ma co, ładne buciki. Przy każdym stąpieniu zaczynają „gdakać”, a ledwie trzymająca się podeszwa przy mocniejszym kroku piszczy i kwiczy. Po takim chodzeniu po błocie buty te ważą ponad pud<sup>344</sup>. Lepiej więc już chodzić boso. Obie nasze Nechamy roznoszą właśnie purimowe *szalech-monesy*<sup>345</sup>. Noszą brytfanny przykryte białymi serwetkami. Spotkawszy się w środku miasta zatrzymują się:

- O, Nechama!
- O! Nechama!
- Dokąd idziesz Nechamo!
- Co znaczy, dokąd idę? Niosę *szalech-mones*.
- Do kogo?
- Właśnie do was. A ty dokąd się spieszysz!
- Co znaczy dokąd? Przecież widzisz, że niosę *szalech-mones*.
- Do kogo niesiesz *szalech-mones*?
- Właśnie do was!
- To ci heca!
- Czysta komedia!
- Pokaż mi swój *szalech-mones*, Nechamo!
- Pokaż ty swój!

Obie dziewczyny rozejrzały się za jakimś miejscem, na którym mogłyby trochę usiąść i pogadać. Z Bożą pomocą szybko takie miejsce znalazły. Tuż przy domu zajezdnym tkwił w ziemi klocek. Z trudem przebrnęły przez lepkie, gliniaste błoto i usiadły na kločku. Brytfanny położyły sobie na kolana, odsłoniły serwety i dokładnie obejrzały *szalech-monesy*.

Pierwsza pokazała swój *szalech-mones* ruda Nechama, która służyła u Zeldy, żony reb<sup>346</sup> Josiego. Jej wynagrodzenie za całą zimę wynosiło pięć i pół karbowańca. Do tego dostawała od swojej gospodyni suknię i obuwie. Możecie sobie wyobrazić, jakie to było obuwie i jaka suknia. Jeśli chodzi o suknię, to aczkolwiek wielce połatana, mogła jeszcze uchodzić za sukienkę, ale buciki dostała męskie. Kiedyś nosił je syn Josiego, Menasze, który miał nogi wielkości dzieży i w dodatku zwykł był wykrzywiać obcasy. Słowem, buciki „jak ta lala”.

*szalech-mones* rudej Nechamy składał się z pięknego, dużego *haman-taszu* — trójkątnego ciasta nadzianego makiem — i dwóch „poduszczyków”, jednej otwartej, z miodowymi łązankami i drugiej, zawierającej słodkie ciasto cukrowe z tkwiącą pośrodku rodzynką,

<sup>342</sup>*maca* — cienkie, praśne placki, które Żydzi spożywają w święta wielkanocne zamiast chleba, na tę pamiątkę, iż gdy uciekali z niewoli egipskiej, nie zdążyli upiec sobie chleba na drogę, a ciasto bez drożdży, które z sobą zabrali, upiekło się na słońcu. [przypis tłumacza]

<sup>343</sup>*Pesach* — dosł.: „przeskoczyć, ominąć”; nazwa świąt wielkanocnych, pochodząca stąd, że według *Biblii* dziesiątą plagą, którą Bóg doświadczył Egipcjan przed wyzwoleniem Żydów z ich niewoli, było uśmiercenie egipskich niemowląt pierworodnych płci męskiej, czego dokonując Pan Bóg omijał (przeskakiwał) te domy, w których mieszkali Żydzi (pomazane uprzednio krwią baranka). W święta te Żydom nie wolno spożywać chleba, bułek ani żadnego pieczywa wypiekanego na drożdżach. Ponadto nie wolno używać naczyń, w których gotuje się przez cały rok, gdyż zachodzi obawa, by nie zjeść czegoś, co nie jest praśne. Używa się więc wtedy specjalnych naczyń oraz jadła dozwolonego przez ściśle przestrzegane przepisy religijne. Pesach jest też nazwą ofiary religijnej w formie uczty, libacji sakralnej. [przypis tłumacza]

<sup>344</sup>*pud* — daw. rosyjska jednostka masy. [przypis edytorski]

<sup>345</sup>*szalech-mones* — dosł.: „posyłanie darów”. W święto Purim istnieje zwyczaj posyłania sobie nawzajem prezentów w postaci najrozmaitszych smakołyków, owoców, a także pieniędzy. [przypis tłumacza]

<sup>346</sup>*reb* — skrót hebrajskiego słowa *rabi*, które jest tytułem uczzonego, rabina itp. U Żydów wyraz *reb* przed imieniem własnym oznacza szacunek dla osoby, do której zwracają się oni w ten sposób lub o której mówią. Młodszy wiekiem zawsze tak mówi do starszego. [przypis tłumacza]

czworokątny spory kawałek tortu, kawałek świętojańskiego chleba, dwie królewskie chałki i duży kawałek żyniego ciasta, które w tym roku Zeldzie wyjątkowo się udało. Ale czy to mąka nie była dobra, czy też miód nie był bardzo czysty, a może ciasto niedobrze się wypiekło, czy też niedobrze go wymieszano, fakt, że wyglądało jak gęsta puchowa poduszka.

Obejrawszy *szalech-mones* rudej Nechamy, nasza czarna Nechama zdjęła serwetkę i pokazała swój. Ona była służącą u Złaty, żony reb Ajzyka. Za całą zimę otrzymywała sześć karbowanów, bez odzienia i butów. Z otrzymanej pensji miała się sama ubierać. Dlatego też chodziła boso, a Złata nie skąpiła jej najgorszych przekleństw.

— Jak ta dziewczka może przez całą zimę paradować na bosaka? Chcesz do diabła widocznie się przeziębic!

Nechama jednak nie zważała na jej słowa. Słuchała ich tak, jak Haman słucha grzechotek w święto Purim<sup>347</sup>. Zbierała pieniądze na Pesach. Wtedy, jak Bóg da, sprawi sobie za zaoszczędzone pieniądze parę pantofelków na wysokich obcasach i sycową<sup>348</sup> sukienkę. Szewc Kopel, który ubiega się o jej rękę, pęknie z zachwytu.

Jej *szalech-mones* składał się z dużego kawałka strucla, dwóch dużych słodkich ciast, miodownika, dwóch czarnych błyszczących makowników, nafaszerowanych dobrze wysmażonymi w miodzie orzechami. Oprócz tego uśmiechała się w brytfannie żółta, mile pachnąca pomarańcza.

— Wiesz, Nechamo, co ci powiem? Twój *szalech-mones* jest ładniejszy od mojego — powiada ruda Nechama w formie komplementu.

— Gdzie tam — odpowiada czarna Nechama — twój też nie jest zły. — I mówiąc to, dotyka palcem *haman-tasz*.

— To ci *haman-tasz* — Czarna Nechama aż się oblizuje z zachwytu. — To się nazywa prawdziwy *haman-tasz*. Powiem ci prawdę. Szkoda go dać tej mojej gospodyni. Oby jej przyszcz wyrósł na twarzy. Boże mój jedyny. Posłuchaj mnie, Nechamo, jeszcze dzisiaj nic nie miałam w ustach i chętnie bym spróbowała tego *haman-tasz*. Choćby malutkiego kawałeczka.

— A ja, myślisz, jadłam dzisiaj? Oby moi gospodarze tak jedli przez całe życie — mówiąc to ruda Nechama rozgląda się ostrożnie na wszystkie strony. — Weź, Nechamo, i podziel go na dwie części. Pokrzepimy się. Gdzie to jest napisane, że *szalech-mones* musi się składać z *haman-tasz*? Oto na przykład twój *szalech-mones* nie zawiera go.

— Obym taki dobry rok miała, jak ty masz rację!

Czarna Nechama przy tych słowach pokroiła *haman-tasz* na dwie równe części. Jedną dla siebie i drugą dla rudej Nechamy.

— Wiesz, co ci powiem? Ten *haman-tasz* ma smak raj. Doprawdy! Jedyna jego wada to to, że już go nie ma. Za twój *haman-tasz* należy ci się Nechamo kawałek ciasta z mego *szalech-monesu*. Należy nam się za drogę. Niech moja gospodyni ma o jeden kawałek ciasta mniej, ale za to o jeden przyszcz więcej na twarzy. Ile wyobrażasz sobie zarobiłam od świtu do teraz? Zgadnij! Wszystkiego jeden złoty i dwa grosze. A ile ty, duszyczko moja, zarobiłaś?

— Ja nawet tego nie zarobiłam, oby im czyrak wyrósł na języku — powiada ruda Nechama i jak tucząca się gęś pochłania cały kawałek ciasta. — Obym za cały dzień zarobiła chociaż jedną złotówkę!

— Ładne mi panusie. Obie mogłyby się bez niczyjej szkody zapaść pod ziemię! — powiada czarna Nechama i oblizuje wargi po zjedzeniu ciasta. — Przychodzę ja do Chin, żony celnika, i przynoszę jej *szalech-mones*. Ta odbiera go i zaczyna grzebać w swoich kieszeniach. Grzebie i grzebie, a na koniec powiada, żebym przyszła później. Oby do niej śmierć przyszła.

— Zupełnie tak samo miałam z Kajlą, żoną reb Arona — powiada ruda Nechama. — Przynoszę jej *szalech-mones*, a ona za drogę daje mi cukierka. Oby Bóg dał jej nową duszę!

<sup>347</sup> *Sluchala ich tak, jak Haman slucha grzechotek w święto Purim* — podczas święta Purim w bóżnicy odczytywana jest publicznie *Księga Estery*, a kiedy z ust czytającego pada imię Hamana, niegodziwego prześladowcy Żydów, wierni hałasują kołatkami i grzechotkami, żeby je zagłuszyć. [przypis edytorski]

<sup>348</sup> *sycowy* — wykonany z prostej tkaniny bawełnianej. [przypis edytorski]

— Tę starą należałoby rzucić psom na pożarcie — powiada czarna Necham i sięga po jedno ze słodkich ciasteczek z *szalech-monesu* Złaty. Dzieli je na dwie części i jedną daje koleżance.

— Weź, jedz kochanie. Oby robaki zjadły te paniusie. Nie będę się przejmowała, jeżeli jedna gospodyni dostanie o jedno ciastko mniej.

— Oj nieszczęście! Biada mi! Popatrz! — krzyczy ruda Nechama. Załamuje ręce i biadoli: — Zobacz, kochanie, co mi pozostało z całego *szalech-monesu*!

— Głupia babo, nie bój się. Kto im powie, ile i co było w *szalech-monesie*. Dzisiaj przez cały dzień otrzymują *szalech-monesy*. Nawet nie zauważą.

I obie Nechamy przykrywają swoje brytfanny serwetkami i rozchodzą się każda w innym kierunku, jakby nic się nie wydarzyło.

Zelda, żona reb Josiego, kobieta dość urodziwa, o ładnej okrągłej twarzy, ubrana w czerwony, upstrzony białymi grochami jedwabny fartuszek, ustawiła w należytym porządku te *szalech-monesy*, które otrzymała i te, które miała wysłać.

Reb Josie-fujara (takie przezwisko nadała mu Kasrylewka) leżał na kanapie i chrapał. Menasze, osiemnastoletni młodzieniec o czerwonych policzkach, ubrany w błyszczącą pelerynę, uwijał się wokół matki i łakomie podkradał coraz to inny kawałek ciasta, miódniak i łazanki. Tak się objadał tymi słodyczami, że aż zęby mu szerniały, a w brzuchu burczało. Zelda nie wytrzymuje i co chwila upomina go:

— Menasze, może już wystarczy?

— Wystarczy, wystarczy! — zgadza się Menasze, ale zaraz potem wpycha do ust coraz to nowy kawałek. — To już ostatni kawałek — zapewnia matkę i językiem wyciera wargi.

— Wesołego święta! Moja pani przysłała wam *szalech-mones* — powiada czarna Nechama do Zeldy i podaje jej przykrytą serwetką brytfannę.

— U kogo służysz — pyta Zelda i z radosnym uśmiechem na twarzy odbiera z rąk Nechamy prezent.

— U Złaty, żony reb Ajzyka Bał-brysnika — odpowiada Nechama i czeka, aż Złata wyjmie *szalech-mones* i zwróci brytfannę. Zelda jedną ręką sięga do kieszeni, aby wydobyć grosik i zapłacić Nechamie za fatygę, a drugą zdejmuje serwetkę z brytfanny. Patrzy i drętwieje:

— Co to jest? Menasze, rzuć no okiem!

Menasze podchodzi, rzuca okiem i zaraz chwyta się za boki. Ze śmiechu zgina się aż do samej podłogi. Wybuchy śmiechu budzą Josie-fujarę, który z przerażenia omal nie zwala się z kanapy.

— Ha! Co? Co tu się dzieje? Kto tam?

— Popatrz no, Josie, na ten *szalech-mones* — woła Zelda założywszy ręce na brzuch. Menasze nadal wije się ze śmiechu. Reb Josie-fujara spluwa, obraca się twarzą do ściany i znowu zapada w sen.

Zelda ciska brytfannę w twarz Nechamy i powiada:

— Powiedz tej swojej pani, żeby dożyła następnego roku i lepszego *szalech-monesu* od tego od nikogo nie dostała!

— Amen i wam tego samego życzę — odpowiada czarna Nechama i zabiera brytfannę.

— Obyś wrosła głową w ziemię! — krzyczy ze złości Zelda. — Bezczelna dziewczka! Menasze, co ty na nią powiesz?

Złata, żona reb Ajzyka, kobieta, która co roku rodzi i nie przestaje się leczyć, była już porządnie zmęczona nieustającym przyjmowaniem i wysyłaniem *szalech-monesów*. Siedzi więc na stołeczku i komenderuje swoim mężem Ajzykiem-brysnikiem (tak go przezywają, bo co roku wyprawia *brys*<sup>349</sup>).

<sup>349</sup>*brys* (hebr. *brit*: przymierze, obrzezanie) — żydowska ceremonia obrzezania niemowlęcia płci męskiej w ósmym dniu jego życia. Jest to chwila przystąpienia człowieka do przymierza, zawartego — według wierzeń religijnych — między Bogiem a praojcem Abrahamem. [przypis tłumacza]

— Ajzyku, weź tamten kawałek tortu i połóż go tutaj, a tamten kawałek świętojańskiego chleba z dwoma makownikami zabierz stąd i połóż tam. Ajzyk, podaj mi tamto ciasto na łazanki! Nie to, tylko tamto! Ruszaj się! Widzieliście go? Uczyc go trzeba abecadła! Zupełnie jak małe dziecko! Weź tamto ciasteczko, to, które jest mączne, i połóż je tam. Właśnie tam. A teraz pokrój ten kawałek tortu na dwie części. Za duży jest, Ajzyku! Byłoby grzechem. A wy, bękarty, precz stąd!

Ostatnie słowa kieruje do całej zgrai dzieciaków, które zebrały się wokół niej. Stoją z obnażonymi pępkami i oblizując wargi pożądlivym wzrokiem wpatrują się w te wszystkie słodczyce. Starają się ukradkiem podejść matkę od tyłu i na chybcika ściągnąć ze stołu kawałek ciasta. Złata jest czujna i jeśli tylko któregoś przyłapie na gorącym uczynku, nie żałuje mu ani klapsów, ani szturchańców.

— Wesolego święta! Moja pani przysłała wam *szalech-mones* — powiada ruda Nechama i podaje Złacie przykrytą serwetką brytfannę.

— U kogo służysz? — pyta z przyjaznym uśmiechem na twarzy i sięga po prezent.

— U Zeldy, żony reb Josiego — odpowiada ruda Nemacha i czeka na zwrot opróżnionej brytfanny. Złata jedną ręką sięga do kieszeni po grosik, aby zapłacić Nechamie, a drugą odkrywa brytfannę. Patrzy i omal nie mdleje.

— Oby wszystkie moje koszarne sny spadły na głowę, ręce i nogi moich wrogów. Oby ich piorun trzasnął! Widzieliście ten piękny prezent? Kpiny sobie urządzają. Zabierz to i oddaj z powrotem swojej pani!

I jednym energicznym ruchem ciska brytfannę w twarz rudej Nechamy.

Reb Josie i reb Ajzyk są sklepikarzami. Mają sklepiki obok siebie na placu targowym w Kasrylewce. I mimo iż konkurują z sobą i wydzierają sobie nawzajem klientów, potrafią żyć w zgodzie, jak bracia. Jeden u drugiego nieraz zaciąga pożyczkę. Jeden bywa u drugiego podczas świąt, lub na *kiduszu*<sup>350</sup>. Jednym słowem, żyją tak, jak przystało na dobrych sąsiadów. Latem siedzą przez cały dzień w sklepie i grają w kości, a zimą wpadają do siebie, aby się trochę ogrzać. Ich żony również żyją z sobą w przyjaźni. Razem oplotkowują cały świat. Kiedy jednej zabraknie towaru w sklepie, druga natychmiast jej pożyczki. Powierzają sobie najskrytsze tajemnice. A jeśli czasem z powodu jakiegoś głupstwa dochodzi między nimi do kłótni, to zaraz się przeproszają. Słowem żyją jak ludzie „pod jedną budą na jednym wozie”.

Na drugi dzień po Purim, kiedy reb Ajzyk poszedł otwierać sklep, okazało się, że reb Josie zdążył go już wyprzedzić. Właśnie stał przed swoim sklepem nadęty jak indyk i widać było, że czeka tylko na to, żeby reb Ajzyk przywitał go swoim zwykłym „dzień dobry”, a wtedy on mu nie odpowie... Reb Ajzyk, który też był odpowiednio nastawiony przez żonę, otworzył sklep, stanął w drzwiach i czekał, aż reb Josie pierwszy podejdzie ze swoim „dzień dobry”, a on zbędzie go milczeniem. I tak stali obaj, jeden naprzeciw drugiego, nadęci jak dwa koguty i czekali na to, kto pierwszy zacznie. I mogliby tak milcząc stać przez cały dzień, gdyby ich żony nie nadeszły z placu targowego. Obie pały gniewem:

— Ajzyk, dlaczego mu nie podziękujesz za piękny *szalech-mones*, który mi przysłała jego piękna połowica? — powiada Złata do męża.

— Josie, dlaczego mu nic nie mówisz o jego wspaniałym *szalech-monesie*? — zwraca się Zelda do swego męża.

— Ajzyk, słyszysz? Ona się jeszcze stawia. Jeszcze chce nas drażnić. Powiedz mu coś!

— Co tam będę gadał z fujarą! — Reb Ajzyk mówi to podniesionym głosem. Chce, aby Josie usłyszał, że nazywa go „fujarą”.

Reb Josie nie pozostaje w tyle, chce go dotknąć przezwiskiem „bryśnik”.

— Boję się zaczynać z tym bryśnikiem.

Na pozór wydaje się, że w słowie „bryśnik” nie ma nic obraźliwego. Każdy mąż, którego żona rodzi syna, staje się po ośmiu dniach bryśnikiem, albowiem wyprawia bryś, czyli urządza uroczystość obrzezania syna. Sęk jednak w tym, że reb Ajzyk mógł znieść

<sup>350</sup>*kidusz* — dosł.: „uświęcenie”; tak nazywa się błogosławieństwo odmawiane nad winem w wigilię sobót i świąt oraz w dni sobotnie i świąteczne tuż po nabożeństwie przedpołudniowym. [przypis tłumacza]

wszystko na świecie, z wyjątkiem przezwiska „bryśnik”. Wolałby raczej usłyszeć najgorsze przekleństwo. Na dźwięk tego słowa gotów był rozszarpać przeciwnika na strzępy.

Tak samo rzecz się miała z Josiem. Wolałby trzy razy dostać po twarzy, niż jeden raz usłyszeć słowo „fujara”.

Wkrótce zbiegło się na miejsce kłótni całe targowisko. Z trudem udało się ich rozłączyć. Ludzie byli ciekawi, o co poszło tym dwóm dotychczas zaprzyjaźnionym sąsiadom. Dlaczego dwaj do niedawna przyjaciele, wzięli się nagle za łby? Reb Josie i reb Ajzyk oraz Złata i Zelda tak naraz się przekrzykiwali, że z gąszczu nieartykułowanych słów zdołano wyłowić tylko jedno: *szalech-mones*. Jaki *szalech-mones*? Co za *szalech-mones*? Tego nie udało się ustalić.

— Jeśli nie podasz do sądu tego fujary, to możesz się pożegnać z życiem — krzyczała na męża Złata.

Reb Josie zaś odwołał się do zgromadzonych przed sklepem ludzi:

— Żydzi, przywołuję was wszystkich na świadków. Słyszeliście, jak ta hultajka mnie nazwała? Fujarą. Natychmiast idę do sądu i wytaczam jej i jej mężowi, temu bryśnikowi, sprawę.

— Żydzi — zawołał reb Ajzyk — biorę was na świadków, że ten oto... ten... nie chcę go nazwać jego pięknym imieniem, przed chwilą nazwał mnie „bryśnikiem”.

W niespełna godzinę potem byli już u pisarza Judla. Obaj przyprowadzili świadków i obaj podali na siebie skargi do sądu.

Kasrylewski sędzia pokoju, *mirowoj* Miliniewski, tęgi szlachcic z długą brodą i wysokim czołem, tak długo piastuje już swój urząd, że doskonale zna wszystkich mieszkańców, zwłaszcza Żydów, z którymi powiązany jest wieloma niemi. Wie, jaki kto ma charakter. Zna żydowski, jak „prawdziwy Żyd”. Mądra bestia. Prawdziwa głowa żydowska. Tak o nim mówią w Kasrylewie.

I jak tylko nadchodzi jesień i kończą się święta Sukot<sup>351</sup>, zalewa go morze papierzysk. Wszystkie one pochodzą od Żydów — oby zdrowi byli. Ale nie ma w nich, uchowaj Bóg, skarg na złodziejstwa, rabunki czy zabójstwa. Co to, to nie! Chodzi w nich tylko o to, że ktoś komuś pokazał figę, ktoś kogoś spoliczkował, albo, że jeden dostał, a drugi nie dostał *alijj*<sup>352</sup> w bożnicy. Chodzi również o bardziej lub mniej ważny rozdział, jaki otrzymał do czytania obdarzony *aliją*. Pan Miliniewski nie lubi bawić się w ceregiele z Żydami. Nie lubi wdawać się z nimi w długie dociekania bądź rozważania, albowiem doskonale wie, że popuściwszy im cugle, rozciągnie sprawę w nieskończoność. Jeśli chcą się pogodzić, to raz dwa. (Pan Miliniewski jest miłośnikiem zgody i pokoju). Jeśli nie, nakłada wówczas na siebie sędziowski łańcuch i w mig ucina dyskusję: „*Po ukazu, na osnowanie takiej to i takiej staty*, skazuję Herszka za *hosen berejszit*<sup>353</sup> na trzy dni twierdzy, i Jankla za *hosen Tora*<sup>354</sup> na trzy dni twierdzy”. Jak widzicie, nie ma u niego uprzywilejowanych osób.

Dokładnie na dwa tygodnie przed świętem Pesach odbył się sąd w sprawie *szalech-monesów*. Sala sądowa wypełniona była po brzegi. Prawie wszyscy pełnili tu rolę świadków. Pan Miliniewski otworzył przewód sądowy.

— Ajzyk, Josie, Złata, Zelda — proszę stanąć przed sądem.

W pierwszej ławce wstali reb Josie-fujara, reb Ajzyk-bryśnik oraz ich połowice. I nim *mirowoj* zdążył wypowiedzieć słowo, cała ta czwórka zaczęła naraz gadać, a najgłośniej i najwięcej, rzecz jasna, kobiety.

— *Gospodin mirowoj* — zaczęła Zelda, odpychając jedną ręką swojego mężulka, a palcem drugiej wskazując na Złatę — ona, *eta* hultajka, do *minie prisitajet*, dzisiaj, w Purim

<sup>351</sup>*Sukot* — dosł.: „szalasy”; święto przypadające w pięć dni po Sądym Dniu. Jest to też święto zbiorów. W święto Sukot pobożni Żydzi stawiają sobie szalasy, na pamiątkę szalasów, w których odpoczywali ich przodkowie wędrujący przez 40 lat do Kanaan po wyzwoleniu ich przez Mojżesza z niewoli egipskiej. [przypis tłumacza]

<sup>352</sup>*alija* — dosł.: „wznoszenie się”; uroczyste wezwanie na bimę [red. WL: podium w środku bożnicy] do odczytania urywku z *Pięcioksięgu*. [przypis tłumacza]

<sup>353</sup>*hosen berejszit* — osoba wywoływana na bimę [red. WL: podium w środku bożnicy] do odczytania pierwszego rozdziału *Biblij*, który zaczyna się od słowa: *Berejszit...* („Na początku...”). [przypis tłumacza]

<sup>354</sup>*hosen Tora* — osoba wywoływana na bimę [red. WL: podium w środku bożnicy] do odczytania ostatniego rozdziału *Biblij*. [przypis tłumacza]

taki *szalech-mones*, że ino się śmiać! Parszywy strudel i *odin* słodkie ciasto. Po prostu kpiny i drwiny. Tfu!

— Aj! Aj! Aj! Ja tego nie wytrzymam — krzyczy Złata i bije się w piersi — Daj Boże *mini takoj szmatok zolota!*

— Amen — odpowiada Zeldą.

— Milcz pyskata! Dwie brytfanny, *gospodin mirowoj*, daj Boże *mini takoj mazl*: chleb świętojański i królewską chałę, a jej *cures*<sup>355</sup> i wszystkie egipskie plagi. A ucho Hamana, *haman-tasz*, to nic? Oj, biada mi!

— Jakie ucho Hamana? Niczego takiego nie było!

*Mirowoj* usiłował uspokoić kobiety. Najpierw łagodnie, po dobremu, a gdy to nie pomogło, podniósł głos i zaczął dzwonić dzwonkiem. Przekonawszy się, że to nie pomaga, że nie uda mu się zamknąć im ust, polecił obie usunąć z sali. Kiedy zaś na chwilę wrzawa ucichła, polecił obu mężom udać się ze swoją sprawą do rabina.

— Idźcie do rabina z waszym *haman-taszem*.

Reb Juzipl, rabin Kasrylewki, którego nasz czytelnik zdążył już poznać, jest dzięki Bogu takim Żydem, który potrafi wszystko znieść. On lubi każdego wysłuchać do końca. Wyznaje zasadę, że jak długo by człowiek nie gadał, to w pewnej chwili musi przestać. Człowiek bowiem nie jest — powiada reb Juzipl — maszyną. Tym razem jednak trudność polegała na tym, że mówił nie jeden człowiek, ale czworo i to naraz. Do tego wszystkiego ludzie z boku też wtrącali swoje trzy grosze. Co to szkodzi? — myślał sobie. Wszystko na tym świecie ma swój koniec. Kiedy wszyscy nagadali się, wykrzyzczeni i wyklócili do syta, nagle zaległa cisza i reb Juzipl mógł spokojnie przemówić do obu stron. Zgodnie ze swoim zwyczajem najpierw westchnął, a potem ze słodyczą w głosie powiedział:

— Och, och, och! Nadchodzi święto, wielkie święto Pesach! Nie byle jakie święto! Pesach! Nasi przodkowie wyszli z Egiptu i przeszli przez morze. Przez takie morze i to suchą nogą. Przez czterdzieści lat błądzili po pustyni. Czterdzieści lat! Przyjęli u stóp góry Synaj *Torę*<sup>356</sup>. Taką *Torę*, w której jak byk stoi: „I będziesz kochał bliźniego, jak siebie samego...” A tu Żydzi się kłócą i biorą za łby. To grzech, to obraza Imienia Boga na oczach gojów<sup>357</sup>. Przysięgam, że to obraza! Lepiej byście pomyśleli o macę na macę dla biednych. Nasi biedacy nie mają jeszcze macy na święto. Już nie mówię o jajkach, smalcu i jarzynach. Postarajcie się więc o macę dla nich. Przecież to nie byle jakie święto. Posłuchajcie mnie, żydowskie dzieci, wybaczone sobie nawzajem, pogódźcie się i w zdrowiu wracajcie do domu.

I ludzie zaczęli się rozchodzić. Pojedynczo, jeden za drugim, opuszczali dom rebusy. I jakby śmiejąc się z wyroku rebusy, pojawiło się zaraz powiedzonko: „Jak nie wyrok, to urok”. Leżało to już w naturze kasrylewskich prześmiewców. Ale w głębi serca każdy prześmiewca czuł, że reb Juzipl ma rację. I ogarnął ich wstyd na samą myśl, że taka rzecz z *szalech-monesem* mogłaby się jeszcze raz kiedyś powtórzyć.

W pierwszy dzień Pesach, tuż po odprawieniu modlitwy, reb Josie-fujara (on był młodszy) przyszedł do rebusy na *kidusz*. Pochwalił wino, mówiąc, że jest smaczne i oblizał palce po zakąskach Złaty. Na drugi dzień reb Ajzyk (był starszy) przyszedł na *kidusz* do Josiego. I on nie mógł się nachwalić wina z rodzynek i zakąsek Zeldy. A po południu, po obiedzie, kiedy Złata z Zeldą spotkały się, to w toku rozmowy prawda o *szalech-monesach* wyszła na jaw. Rzecz oczywista, że obie służące dostały za swoje. Zaraz po świętach zostały z hukiem i trzaskiem odprawione.

## PRZĄDCY ZŁOTA

(Krótkie opowiadanie)

Prządcy złota? Lepiej zadajcie mi łatwiejsze pytanie — na przykład w jaki sposób przędzie się złoto? Rzecz w tym, że Kasrylewka z zazdrości przykleiła im etykietkę „prządców złota”. Ludzie zazdroszczą im wysokich zarobków. To wcale nie znaczy, że są bogaci.

<sup>355</sup> *cures* — zmartwienia, kłopoty. [przypis tłumacza]

<sup>356</sup> *Tora* — dosł.: „nauka”; nazwa *Biblii*, w szerokim pojęciu oznacza wiedzę, nauki religijne. [przypis tłumacza]

<sup>357</sup> *goj* — nie-Żyd. [przypis edytorski]



Biedują na równi ze wszystkimi kasrylewianami, setnymi nędzaczami, ale kiedy nadchodzi święto Purim<sup>358</sup>, zgarniają całe stopy złota. Bóg nie poskąpił im błogosławieństwa. Obdarował każdego z tej rodziny wyjątkowymi talentami, człowiekowi zaś z talentem wszyscy zazdroszczą. Jest to zjawisko stare jak świat. Dlatego też nie będziemy się dłużej nad tym rozwodzić i przystąpimy od razu do rzeczy.

A. Naftali o długich nogach — głowa prządców złota

Na czele „prądców złota” stoi Naftali, którego zwą „Naftali z długimi nogami”. Jest to bowiem Żyd o tak długich nogach, że wydają się wystawać mu aż z szyi. Nikt nie potrafi dotrzymać mu kroku. Bynajmniej nie z powodu jego szybkiego chodu, ale dlatego, że stawia strasznie długie kroki. Stoi, na przykład, po tej stronie ulicy i wystarczy mu jeden szus i już jest po drugiej stronie ulicy. Te długie nogi to cały majątek Naftalego. To jego oręż, to wreszcie jego chlebobawca. Krótko mówiąc, nogi mu się przydają w wykonywaniu swojego zawodu. Naftali jest bowiem pośrednikiem, maklerem.

Zajeżdża raz na pięćdziesiąt lat jakiś dziedzic z majątku i Naftali w mig wyczuje go nosem. Długie nogi od razu zanoszą go do domu zajezdnego, w którym zatrzymał się dziedzic:

— Szanowny panie dziedzicu, jakie, na przykład, ma pan życzenie?

I czego by pan dziedzic nie zażyczył, Naftali mu w *try miga*<sup>359</sup> dostarczy. Krawca, szewca, kowala, służącą, konia, pojazd, fryzjera, felczera<sup>360</sup>, znachora i wszelkich innych lich. Dla niego nie istnieje słowo „nie”. Sęk w tym, że Naftali nie jest monopolistą w swoim fachu na placu targowym w Kasrylewie. Oprócz niego jest sporo innych pośredników. Ilu Żydów, tylu pośredników. W każdym razie więcej pośredników, niż dziedziców.

Z tego łatwo wywnioskować, jakie to złote interesy robi co dzień Naftali z długimi nogami. Ładnie by wyglądał, gdyby Pan Bóg, oby był błogosławiony, nie uszczęśliwił swego narodu Izraela tak przyjemnym i wesołym świętem Purim. Podczas tego miłego święta talent Naftalego objawia się w całej swojej krasie i blasku. Z Naftalego urodzony artysta, a gry purimowe są w sam raz dla jego długich nóg. Na pozór takie twierdzenie wydaje się śmieszne, bo co ma piernik do wiatraka? Co gry purimowe mają do długich nóg? Bardzo przepraszam, ale mają. I to nawet dużo! Naftali nie gra Ahaswera, ani Hamana, ani Mordechaja, ani Waszti<sup>361</sup> — żony króla perskiego. On jest tylko, jakby to powiedzieć, ochmistrem na dworze króla Ahaswera. Kto zaś jest obeznany z purimową śpiewogrą, ten wie, że rola pośrednika jest w niej niesłychanie ważna. Na pośredniku Naftalim opiera się cała gra. Kiedy trzeba zaprowadzić przed oblicze Ahaswera nagą Waszti, pośrednik jest gotów do działania. Jeśli trzeba udzielić królowi rady, jak postąpić z krnąbrną Waszti, która nie chce się pokazać w stroju Ewy — jest pośrednik. Kiedy Mordechaj zamierza przeprowadzić dyplomatyczną rozmowę z Esterą — jest pośrednik. Pośrednik tu, pośrednik tam, pośrednik wszędzie jest potrzebny. A naszego pośrednika koniecznie musicie zobaczyć w akcji. Służę wam przykładem:

Oto otwierają się drzwi i artyści purimowi wpadają z głośnym świątecznym pozdrowieniem. Wszyscy, oprócz naszego pośrednika, ustawiają się z opuszczonymi rękami przy ścianie. On zaś wysuwa się na swoich długich nogach do przodu, gotów do działania. W rękę trzyma miecz, na głowie ma papierową czapkę w kształcie stożka. Robi krok naprzód, potem krok do tyłu i z jego ust, jak z rogu obfitości, zaczynają się sypać rymowane wierszyki. W tajemnicy powiem wam, że wszystkie te rymowanki są dziełem waszego pośrednika. Wszystkie one zaległy się w głowie Naftalego z długimi nogami.

<sup>358</sup> *Purim* — radosne święto żydowskie upamiętniające cudowne ocalenie Żydów za panowania perskiego króla Achaszwerosza. [przypis edytorski]

<sup>359</sup> *w try miga* — błyskawicznie. [przypis edytorski]

<sup>360</sup> *felczer* — osoba wykonująca proste zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

<sup>361</sup> *Ahaswer, Haman, Mordechaj, Waszti* — bohaterowie *Księgi Estery*, według której perski król *Achaszwerosz (Ahaswer)* oddalił swoją piękną żonę *Waszti*, ponieważ podczas publicznej uczty okazała nieposłuszeństwo jego rozkazom. *Haman*, pierwszy minister króla, nienawidził Żydów do tego stopnia, że skłonił władcę, by ten wydał rozkaz ich zglądzenia. Tymczasem Achaszwerosz, szukając następczyni Waszti, pokochał i poślubił żydowską dziewczynę Esterę, która postępując wedle wskazówek swego wuja i opiekuna *Mordechaja*, wpłynęła na cofnięcie okrutnego zarządzenia, ocalając w ten sposób swój lud. Haman i jego synowie zostali powieszni, a miejsce niegodziwego ministra zajął Mordechaj. Na pamiątkę tego cudownego ocalenia Żydzi obchodzą święto Purim. [przypis edytorski]

Jam ochmistrz nadworny,  
Sługa mędrca Ahaswera pokorny,  
Waszti, Waszti, król cię woła,  
Pokaż mu się całkiem goła,  
Wstąp do środka białogłowo,  
Piękna jesteś ty królowa.

I Waszti, czyli Berl Fąfacz (mówiący przez nos), odrywa się od ściany i replikuje również rymowanym wierszem. Mówi tak samo jak Naftali, trochę przez nos, z jakimś płaczącym zaśpiewem:

Przyjdźcie do mnie, wszystkie panie,  
Na mą prośbę, na wezwanie,  
Z Persji, Suzy oraz Midii.  
Król ze świętej Tory drwi,  
Głupi osioł i gagatek,  
I też pijak na dodatek.

W tym momencie Naftalego ogarnia gniew. Długimi krokami przemierza izbę i zaczyna przemawiać rymowanymi zdaniem:

Co powiecie na tę babkę?  
Na jej słówka, na jej gadkę?  
Gdybym serce króla znał,  
Jego gniewu się nie bał,  
To bym tę królowę  
Skrócił wnet o głowę.

Teraz występuje sam król Ahaswer (Mojsze Płecl). W ręku trzyma długi, owinięty w złoty papier kij:

Zabijcie, wieszajcie i łby ukręcajcie,  
Ale na wódkę i wino dajcie.  
Hej dworzanie, napełnijcie czary,  
Dobry trunek na frasunek,  
Jako rzecze mędrzec stary.  
Wypijmy je do dna  
I bawmy się do białego dnia.

Cały zespół powtarza:

Wypijmy je do dna  
I bawmy się do białego dnia.

Teraz występuje Mordechaj (Szewc Nechemiasz) — oberwaniec z potężnym garbem na plecach i z brodą z lnianych nici. Pochyla się w ukłonie przed królem i przemawia, jakby do Naftalego. Dziwnie mruga oczami, wymachuje rękami i śpiewa w niesamowitej tonacji:

Z rozkazu królewskiej mości  
Ogłoszony został konkurs piękności  
W kraju mu podwładnym,  
Słynnym z dziewcząt ładnych.  
Więc przywiodłem dziewczkę, że bijcie brawa,  
Bo dobra jak cymes<sup>362</sup> i zielona jak trawa.

<sup>362</sup>cymes — słodka potrawa z ryżu lub makaronu i marchewki; tu: rarytas, smakołyk. [przypis edytorski]

To Ester bez ojca i matki,  
Bez siostry i brata, sierota,  
Czyli okrągła sierota.  
Nie licząc sobót i świąt  
Ma dwadzieścia kilka lat.

Teraz długim krokiem sunie Naftali. Z wielkim zapalem wygłasza:

Bardzo proszę, niech się zjawi,  
Niech królowi się objawi,  
Jak wrażenie dobre zrobi,  
Król koroną ją ozdobi.  
Ty zaś Mordko talent masz,  
Za to dam ci *haman-tasz*<sup>363</sup>.  
Chodź tu bliżej, Ester kolorowa,  
Całej Persji tyś królowa.

I teraz dopiero zaczyna się prawdziwa zabawa. Nogi Naftalego okazują się mocniejsze od żelaza. Dobrze na nich musi pracować. Musi chodzić od domu do domu i odgrywać sztukę purimową. Za to pięknie się obłowi, albowiem jest on w jednej osobie reżyserem, kierownikiem, autorem tekstu i kasjerem.

— On, kiedy przychodzi Purim, przędzie złoto. Zgarnia całe stopy złota — powiadają kasrylewscy Żydzi, którzy zazdroszczą mu nie tyle talentu, ile zarobków.

#### B. Przędka złota — Słodka Rywele

Gdyby Kasrylewka codziennie objadała się cukierkami, struclami i innymi łakociami, jak w święto Purim, kiedy Żydzi obdarowują się nawzajem *szalech-monesami*<sup>364</sup>, to by Naftali z długimi nogami nie musiał zajmować się przez cały rok pośrednictwem, a w Purim nie potrzebowałby odstawiać komedyjki. Jego żona Rywele, zwana Słodką, potrafiłaby utrzymać męża z całą rodziną. Jeśli bowiem Naftali słynie ze swoich nóg, to Rywele słynie nie mniej ze swoich rąk. Jest to kobieta małego wzrostu. Chuda, sucha. Można by rzec, taki sobie potworek. Przy Naftalim wygląda jak ćwiartka kury. Patrząc na nią, trudno uwierzyć, że ta kobieta zaopatruje na święto Purim całe miasto w słodkie ciasto. Nie znaczy to wcale, że inne kobiety w Kasrylewce nie zajmują się tym samym. Żadna jednak z nich nie ma takich złotych rąk, jak ona. Jej torty, babki, strucle, królewskie chałki, imbir i migdały zyskały sławę na całym świecie. Jej wyroby docierały nawet do Jehupca, czyli do Kijowa. A jak to się stało, opowiem.

Pewien kasrylewski żartowniś, a żartownisiów w tym mieście jest bez liku, czyli tylu, ile gwiazd na niebie, postanowił żartować sobie, z pożał się Boże, wytwarzanych w Kasrylewce smakołyków na cześć Purim. Co robi taki żartowniś? Po długim namyśle, dla zaspokojenia swojej ciekawości, wysłał pocztą do swego bogatego krewnego w Jehupcu paczkę z *szalech-monesem* Słodkiej Rywele. Do paczki załącza list, w którym prosi swego bogatego krewniaka, aby się nie pogniewał za przesłane mu „smakołyki”, ponieważ gorszych od nich już w całej Kasrylewce nie znalazł. I wyobraźcie sobie zdziwienie żartownisia, kiedy otrzymał od swego bogatego krewnego dziękczynny list, w którym ten prosił go, aby natychmiast wykupił wszystkie możliwe do nabycia smakołyki świąteczne i przesłał je błyskawicznie do Jehupca. Pieniądze mu natychmiast zwróci. (Kto zresztą nie wie o tym, że bogacze lubią się objadać, a zwłaszcza słodyczami). Odtąd co roku na święto Purim wysyłany jest z Kasrylewki do Jehupca cały wagon słodczy z „firmy” Słodkiej Rywele. W ten oto sposób sława Rywele dotarła do Kijowa.

#### C. Czas żniw

Gdyby Rywele miała się tylko oglądać na kijowskiego bogacza, zarobiłaby niewiele. Główne dochody czerpała ze sprzedaży na miejscu. Podczas dni poprzedzających Purim

<sup>363</sup>*haman tash* — trójkątne ciasto nadziewane makiem i rodzynkami, smakołyk spożywany w święto Purim. [przypis edytorski]

<sup>364</sup>*szalech-mones* — dosł.: „posyłanie darów”. W święto Purim istnieje zwyczaj posyłania sobie nawzajem prezentów w postaci najrozmaitszych smakołyków, owoców a także pieniędzy. [przypis tłumacza]

Rywele miała tyle pracy, że nie czuła rąk. Chyba rozumiecie, dlaczego. Sama bowiem piekła, sama sprzedawała, sama pakowała i sama rozliczała się z klientami. A do rachunków z miejscowymi gospodarzami trzeba mieć głowę ministra! Oto, dla przykładu, jak wygląda rozliczanie się Rywele z żoną tutejszego bogacza. Ta ostatnia nazywa się Sara-Perła i na co dzień nosi na szyi sznur pereł.

— Od pani, Saro-Perło, należy mi się ni mniej, ni więcej, jak za pół tuzina ciasteczek z rodzynkami w cenie sprzedaży sześć groszy za sztukę, czyli sześć razy sześć. A ile to będzie sześć razy sześć? Chyba trzydzieści trzy? Cztery chlebki świętojańskie, wzięła pani po osiem groszy za sztukę. Mnie samą kosztują one siedem groszy za sztukę, obym tak zdrowa była. Cztery razy osiem, to czterdzieści osiem. Do tego doszły dwa duże naleśniki z makaronem. Policzyć je pani po dwadzieścia cztery grosze za sztukę. Pięć sztuk po dwadzieścia cztery. Obyśmy tak razem zdrowe były, że mnie to kosztuje więcej! Pięć razy dwadzieścia cztery, to ile? Gdyby to było sześć razy, to by to wyniosło jeden karbowaniec i sześć groszy, ale skoro mamy pięć razy, to chyba będzie, ni mniej i ni więcej, jak tylko jeden karbowaniec bez sześciu groszy. Ile więc wyszło razem? Trzydzieści trzy i czterdzieści osiem, i osiemdziesiąt dwa plus jeden karbowaniec, to w sumie półtora karbowanica i dwadzieścia dwa grosze. Z tego trzeba odjąć sześć groszy. Ile więc pozostaje z półtora karbowanica i sześćdziesięciu dwóch kopiejek, jeśli odejmiemy sześć groszy? Czyżby nie jeden karbowaniec i dziewięćdziesiąt groszy?

— Tere, fere kuku! Jakie tam sześćdziesiąt dwa. Skąd się wzięło sześćdziesiąt dwa? — Sara-Perła podnosi krzyk i obie kobiety zaczynają liczyć od nowa.

— Oby mi pani zdrowa była, Saro-Perło. Rachunek jest przecież prosty. Pół tuzina ciastek z rodzynkami kosztuje mnie po sześć groszy za sztukę, to sześć razy sześć. Ile jest sześć razy sześć? Czy nie czterdzieści dwa?

— Gratuluję, u pani wciąż rośnie! Najpierw było u pani trzydzieści trzy, a teraz raptem zrobiło się czterdzieści dwa! Nie ma co, oby tylko nie zauroczyć!

Kiedy dochodzi do pieniędzy, okazuje się, że bez mężczyzny nie dojdą do porozumienia. Rywele odrywa wtedy Naftalego od aktorskich prób. On zaś strasznie tego nie lubi:

— No i miej do czynienia z babami! Do dwóch nie potrafią zliczyć! Dawajcie rachunek, ale szybko! Dzień nie stoi w miejscu!

Obie kobiety jednym tchem podstawiają mu swoje wyliczenia. Naftali zamyka oczy, słucha uważnie i zaczyna liczyć na palcach. Zaraz się jednak gubi i wpada w jeszcze większą złość. Wyładowuje ją oczywiście na żonie.

— Tysiąc razy ci mówiłem, że jeśli masz koci mózg, to po jakie lichy pchasz się do sprzedawania hurtem. Trzeba ci sprzedawać po jednej sztuce. Pojedynczo. Pokażę ci na przykładzie. Co pani wzięła? Ciastko? Daj pani sześć groszy! Jeszcze jedno ciastko? Jeszcze sześć groszy! Naleśnik? Proszę położyć dwadzieścia cztery grosze!

Żona bogacza, Sara-Perła, nie jest z tego zadowolona. Co to? Obliczają ją tak, jak się oblicza zwyczajną biedaczkę? Nie ma jednak wyboru. Nigdzie nie dostanie lepszego pieczywa. W Purim Rywele jest na wierzchu. Każdy ma swój dobry czas. Mówi się, że kiedy potrzebny jest złodziej, to go z szubienicy zdejmą. Toteż nie dziw, że całe miasto jej zazdrości.

Złote ręce przędą złoto. Oboje w Purim zbierają całe worki złota.

D. Młody prządca złota: Noach Strugacz

Jednego Pan Bóg obdarza słodkim głosem do śpiewania, drugiego rękami do grania, a trzeciego nogami do tańczenia. Noacha, syna Naftalego, natura obdarzyła talentem strugania — rzeźbienia.

Jako dziecko Noach nieraz obrywał od ojca. Twarz miał często posiniaczoną od jego uderzeń i uszczypnięć matki, która przy tym nie omieszkła narzekać:

— Co za naturę ma ten chłopak? Dzień i noc, a on tylko dłubie, kraje i struga.

Aby wybić chłopakowi z głowy struganie, oddali go na naukę do chederu<sup>365</sup>. Upomnieli też rebego<sup>366</sup>, aby połamal mu ręce, jeśli tylko zauważy, że trzyma w nich scyzoryk. Niech się lepiej przykłada do nauki. Ale nauka nie szła chłopcu do głowy. Z chederu wyszedł z małym zasobem wiedzy, ale za to z mistrzowskim opanowaniem sztuki strugania. Strugał i rzeźbił wszystko, co widział. Znaleźli się w Kasrylewce tacy znawcy i spece, którzy orzekli, że w rękach chłopaka tkwi prawdziwy talent twórcy. Gdyby mieszkał w dużym mieście, byłby z niego... Bóg wie kto. Na razie jednak... oby mu ręce uschły, gdyż zdążył już porysować, pociąć wszystkie ławki i pulpity w bożnicy. Wystrugał na nich ludzi i, nie przymierzając, świnie. Za te świnie dostało mu się od ojca, matki, rebego, szamesa<sup>367</sup> i łazibnego. Kto tylko miał Boga w sercu, ten nie poskąpił mu razów.

— Niesłychane! Słyszeliście, na co sobie ten smarkacz pozwolił? W świętym przybytku — świnie!

Ale to wszystko niczego chłopca nie nauczyło. Odziedziczona widocznie po biblijnym rzeźbiarzu Becalelu<sup>368</sup> iskra twórcza nie dawała mu tak długo spokoju, dopóki jego talent nie objawił się w całej swojej krasie i potędze. A objawił się tak, jak na tym świecie objawiają się wielkie talenty w cudownych wynalazkach.

Było to na kilka dni przed świętem Purim. Z tej okazji rodzice kupili mu drewnianą grzechotkę i drewnianą kołatkę. Noach dokładnie je obejrzał, po czym rozebrał na części i z powrotem złożył. I wtedy przyszedł mu do głowy pomysł, że sam potrafiłby wystrugać taką grzechotkę, przy której wysiadłyby wszystkie na tym świecie grzechotki. Do tego brakowało mu dwóch rzeczy: drewna i narzędzi, czyli scyzoryka. Co więc należy zrobić? Co do drewna, nie ma zmartwienia. Może je łatwo podwędzić spod pieca. Ale skąd wziąć narzędzia? Gdzie zdobyć scyzoryk? I tu znowu zaświtała mu w głowie pewna myśl. (Główka pracuje). Wziął grzechotkę z kołatką i poszedł na plac targowy. Sprzeda je, a za uzyskane pieniądze kupi sobie scyzoryk. Zdarzyło się jednak nieszczęście. (Tak bywa ze wszystkimi wynalazcami). Pierwszy klient, do którego się zwrócił z propozycją sprzedania grzechotki, wziął go za rękę i zaprowadził prosto do ojca.

— Co się stało, reb<sup>369</sup> Naftali, że pański malec handluje grzechotkami?

Najmłodsze nawet dziecko zdaje sobie sprawę, że nasz wynalazca, zanim tato zaczął go dokładnie wypytywać, dostał najpierw po twarzy. Na co dziecku potrzebne są pieniądze? I kiedy Noach ze łzami w oczach wyznał mu całą prawdę, dostał dopiero solidne lanie. Na koniec ojciec powiedział do niego: „Głupi jesteś! Osioł z ciebie do kwadratu!” A potem ojciec kupił mu scyzoryk i sam wybrał mu najlepsze drewno do strugania. Noach zabrał się pilnie do roboty. W ciągu jednego dnia wystrugał kilka grzechotek, które wywołały u ludzi prawdziwy zachwyt i podziw. Pod adresem Naftalego, ojca wynalazcy, posypały się gratulacje:

— Reb Naftali, pan już nie musi się troszczyć o przyszłość syna. On już ma ją zapewnioną.

Odtąd kasrylewianie wiedzą już, że doskonale i niezawodne grzechotki i kołatki można kupić tylko u syna Naftalego, znakomitego strugacza Noach. A towar u niego leci, jak woda. Po święcie Purim Noach zwykle powiada:

— Ten rok był rokiem grzechotek!

Toteż nie dziwicie się, że całe miasto zazdrości Naftalemu i jego dzieciom.

— Prządcy złota mają szczęście! — mówiąc to, ludzie lekko wzdychają.

<sup>365</sup> *cheder* — dosł.: „pokój”; nazwa szkoły dla początkujących, w której żydowski chłopcy po ukończeniu piątego roku życia uczyli się czytania po hebrajsku modlitw oraz poznawali *Pismo Święte*. [przypis tłumacza]

<sup>366</sup> *rebe* — skrót hebrajskiego słowa *rabi*, które jest tytułem uczonego, rabina itp. U Żydów wyraz *reb* przed imieniem własnym oznacza szacunek dla osoby, do której zwracają się oni w ten sposób lub o której mówią. Młodszy wiekiem zawsze tak mówi do starszego. [przypis edytorski]

<sup>367</sup> *szames* — tak nazywano sługę bożnicy, synagogi oraz żydowskiej gminy wyznaniowej; właściwie jest to woźny bożnicy, gminy lub rabina. [przypis tłumacza]

<sup>368</sup> *biblijny rzeźbiarz Becalel* — Becalel syn Uriego, doskonały rzemieślnik obrabiający szlachetne metale, kamień i drewno, powołany imiennie przez Boga do wykonania Arki Przymierza, miedzianego ołtarza i innych przedmiotów liturgicznych (zob. Wj 31, 1n; 2Krn 1, 5). [przypis edytorski]

<sup>369</sup> *reb* — skrót hebrajskiego słowa *rabi*, które jest tytułem uczonego, rabina itp. U Żydów wyraz *reb* przed imieniem własnym oznacza szacunek dla osoby, do której zwracają się oni w ten sposób lub o której mówią. Młodszy wiekiem zawsze tak mówi do starszego. [przypis tłumacza]

— Nie dość, że w Purim Naftali zarabia, nie dość, że jego żona robi kokosy, że razem zgarniają całe worki pieniędzy, to jeszcze mają takie złote dzieci.

E. Młodzi prządcy złota

Jeśli chcecie zobaczyć coś pięknego i niedrogię, wybierzcie się, za przeproszeniem, do Kasrylewki. Zajedźcie do dowolnego domu zajezdneę, stańcie przy oknie i popatrzcie na to, co się dzieje na zewnątrz. Już od samego świtu chłopcy i dziewczęta człapią tam po błocie albo biegają od domu do domu jak podtrute myszy. Najczęściej boso, choć na dworze jeszcze zimno i nawet prószy śnieę. W rękach mają przykryte białymi serwetkami nowe brytfanny, talerze, talerzyki, czasze i czaszki. To żydowskie dzieci roznoszą *szatech-monesy*, które wysyłają sobie nawzajem kobiety z Kasrylewki. A wszystkie te *szatech-monesowe* słodycze pochodzą od Rywele, zwanej Słodką.

— Ita-Lea przysłała mi dwa strudle, jedną królewską chałę, słodkie ciasto i dwa migdałowe obwarzanki, to ja odsyłam jej jeden strudel, dwie chałki, dwa słodkie ciastka oraz jeden obwarzanek migdałowy. Jenta zaś przyniosła mi babkę, dwa świętojańskie chlebki, dwa strudle i jeden migdał, więc odsyłam jej dwie babki, jeden chlebek świętojański, jeden strudel i dwa migdały.

W taki to przemyślny sposób kasrylewskie domy kombinują i manipulują *szatech-monesami*. A wszystko ma być tak, jak się należy. Uczciwie, bez ryzyka narażenia się na wstyd. A że mieszkańcy Kasrylewki żyją w zgodzie i przyjaźni, nie dziw, że jest ruch w interesie. Przy roznoszeniu prezentów nie można ograniczyć się tylko do swoich dzieci. Trzeba uciec się do pośrednictwa osób trzecich. Wtedy biedni chłopcy i biedne dziewczęta z Kasrylewki, którzy chcą zarobić, rosną w cenie.

Szczęśliwi są ci rodzice, którzy mają dużo chłopców, a jeszcze lepiej — dziewcząt. W Kasrylewce sporo takich szczęśliwców. Najszczęśliwszymi rodzicami są jednak nasi prządcy złota. Taka duża liczba dzieci, jak u nich, nawet w Kasrylewce uchodzi za rzadkie zjawisko. Ile dokładnie ich mają, nie jestem w stanie powiedzieć. Cudzych dzieci nie wolno liczyć. Niech sobie rosną na zdrowie. Komu przeszkadzają? Zimą leżą na piecu. Jedno na drugim. Zupełnie, jak te robaki. Latem hasają po śmietnikach. Grają w klipę, w berka, albo w grę, która się nazywa „ile kilometrów do was, policzcie sami”. Czasem bawią się w „robienie deszczu”. Wzniesają taki kurz, że robi się ciemno, nie mówiąc już o tym, że można się udusić. Wtedy, rzecz jasna, spadają na sprawców razy, szturchańce i takie przekleństwa, jakich nie znajdziesz w żadnej encyklopedii przekleństw.

— Obyście chodzili o kulach! Obyście siedzieli na pokaleczonych tyłkach! Obyście się tarzali w robactwie!

Kiedy jednak nadchodzi Purim, dziewczęta i chłopcy czują, że i oni są coś warci. I to niemało. Kasrylewska *madame*, nim zamówi u Rywele *szatech-mones*, wynajmuje chłopca albo dziewczynkę do ich roznoszenia. I liczne dzieci Rywele, chłopcy i dziewczynki, biegają po ulicach Kasrylewki z prezentami. Na ich policzkach płoną rumieńce. Z czoła leje się pot. W oczach błyskają ognie. Na zabloconych ulicach mijają się w biegu. Nie mają czasu się zatrzymać, aby obejrzeć, co które z nich roznosi. W biegu porozumiewają się dla nich tylko zrozumiałymi półsłówkami. Postronny człowiek nic z tego nie rozumie:

— Petelele! Dokąd?

— Do Ładcy, tej grubej. A ty krzywa nóżko?

— Do Alterichy z makaronem... Zarobiłeś coś?

— Jeszcze jak! A ty?

— Ja już mam jeden karbowaniec i dwa czterdziestaki, plus jeden złoty i dwanaście groszy. A ty ile masz?

— Nie miałem czasu policzyć, ale boję się, że więcej od ciebie.

— Wytrzyj nos!

— Złam głowę!

I rozchodzą się w dwie różne strony. Mieszkańcy Kasrylewki siedzą już przy zastawionym stole i delektują się purimową ucztą. Śpiewają *Szoszanas Jaakow*<sup>370</sup> (*Różę Jakuba*). Zachwycają się występami aktorów Naftaleę, ale jego dzieci jeszcze wciąż ganiają po

<sup>370</sup>*Szoszanas Jaakow* — *Róża Jakuba*, pieśń-modlitwa. [przypis tłumacza]

mieście, roznoszą ostatnie *szatech-monesy* i zbierają ostatnie grosze. Spotkani po drodze ludzie lubią z nimi pożartować.

— Chłopczyku, podejdz do mnie. Czy ty jesteś? Czy czasem nie Naftalego?

— Naftalego!

— A setkę chociaż już uzbierałeś? A może trochę mniej?

— Chi, chi, chi!

— Powiedz, nie wstydz się.

— Chi, chi, chi!

I chichocąc, wracają do domu z kieszeniami pełnymi złota. Dom prządców złota!

F. Prządcy złota uczują w święto Purim

Mieszkańcy Kasrylewki dawno już odeszli od zastawionego stołu purimowego. Wielu z nich przygotowuje się do snu, a jeszcze więcej chrapie już w najlepsze. Radość z odniesionego triumfu nad nienawistnym wrogiem Izraela — Hamanem — dała im asumpt do wypicia trochę wódki, a po niej, jak wiadomo, śpi się lepiej. Jedna tylko rodzina o tej porze zasiadła dopiero do stołu. Oto leży już na nim pięknie pokrojony kołacz, a biesiadnicy właśnie przystąpili do jedzenia.

Mowa jest oczywiście o rodzinie „prądców złota”. Wszyscy jej członkowie są okrutnie zmęczeni, niemal padają z nóg, ale wszyscy mają wiele do opowiedzenia. Naftali o swoich „aktorach” z purimowskiej gry, którzy dzisiaj dobrze wypadli. Co tam dobrze! Wręcz wspaniale! Wręcz znakomicie! Tylko jedna Waszti miała trochę kłopotów (Waszti grał oczywiście chłopiec). Z tekstem coś mu nie wychodziło.

— Ach, żeby go cholera dotknęła i trzymała aż do połowy święta Pesach<sup>371</sup>! Ile go się nie uczy, żeby prawidłowo wymawiał „okazał się niesforny wobec *Tóry*<sup>372</sup>”, a u niego w kółko wychodzi spod nosa „okazał się pokorny wobec kory”. Co za kora? Oby szlag trafił ojca jego teścia! Ale gadaj z brzuchomówcą!

Tak się skarży Naftali, a Rywele ma do opowiedzenia znacznie ciekawsze historie o swoich klientach, którzy targują się z nią o każdy grosz.

— Jedna taka paniusia chciała mi ukraść kilka strucli. Ale u mnie, możecie sobie wyobrazić, taki numer nie przejdzie. „Ile — powiadam do niej — strucli pani odłożyła?” „Cztery” — odpowiada. Ja jej na to: „A ta piąta, to co?” Paniusia oblewa się pąsem, ale nie daje za wygraną: „To ma być strucla?” „A co — odpowiadam — może zegar ścienny?” „A ja sądziłam, że to miodowe ciastko”. „To co — podnoszę ja głos — miodowe ciastko to pies?”

Takie to rzeczy opowiada Rywele, a relacja Noacha, rzecz jasna, obraca się wokół grzechotek.

— Ten rok stał pod znakiem grzechotek. Wszyscy rzucili się na nie ławą. Wczoraj w południe ani jednej już nie miałem. A tu przychodzi ci jeden z drugim i nic, tylko daj mu grzechotki. Powiadam do niego: „Już nie mam więcej. Skończyły się”. A ten mi na to: „Nie wykręcaj się sianem i odpal chociaż dwie”. Tłumaczę mu: „Skąd mam wziąć grzechotki?” Ten znowu swoje: „A gdzie są twoje grzechotki?”

Tu już ojciec nie wytrzymał i przerywa:

— Może wreszcie przestaniecie trajkotać o grzechotkach?

Noach spuszcza głowę i głośno wyciera nos pod stołem. Młodszym dzieciom opowiadanie Noacha się podoba. Teraz przychodzi kolej na nie. One roznosiły po mieście *szatech-monesy*. Mają co opowiadać. Starczy materiału do samego święta Pesach. Na razie jest jeszcze Purim. Są zmęczone. Trzeba kłaść się spać. I młodzież układa się za piecem do snu. Jak żółte snopy padają na posłanie i natychmiast zapadają w sen. W słodki sen szczęśliwych ludzi, którzy wrócili z udanego jarmarku.

<sup>371</sup>*Pesach* — dosł.: „przeskoczyć, ominąć”; nazwa świąt wielkanocnych, pochodząca stąd, że według *Biblii* dziesiątą plagą, którą Bóg doświadczył Egipcjan przed wyzwoleniem Żydów z ich niewoli, było uśmiercenie egipskich niemowląt pierworodnych płci męskiej, czego dokonując Pan Bóg omijał (przeskakiwał) te domy, w których mieszkali Żydzi (pomazane uprzednio krwią baranka). W święta te Żydom nie wolno spożywać chleba, bułek ani żadnego pieczywa wypiekanego na drożdżach. Ponadto nie wolno używać naczyń, w których gotuje się przez cały rok, gdyż zachodzi obawa, by nie zjeść czegoś, co nie jest przasne. Używa się więc wtedy specjalnych naczyń oraz jada dozwolonego przez ściśle przestrzegane przepisy religijne. Pesach jest też nazwą ofiary religijnej w formie uczt, libacji sakralnej. [przypis tłumacza]

<sup>372</sup>*Tora* — dosł.: „nauka”; nazwa *Biblii*, w szerokim pojęciu oznacza wiedzę, nauki religijne. [przypis tłumacza]

### G. Prządcy złota liczą pieniądze

Jest już bardzo późno. Kasrylewka po wielkiej uczcie purimowej pogrążona jest w głębokim śnie. Tylko dwoje ludzi w mieście czuwa. Naftalemu z długimi nogami i Rywele, zwanej Słodką, ani w głowie spanie. Zamknęli drzwi na klucz, zasłonili okna i zabrali się do liczenia zarobionych pieniędzy. Mają zliczyć to, co zarobili sami starsi i to, co zarobiły ich dzieci przy roznoszeniu prezentów. Szczęśliwy to dla rodziny dzień. Liczą, liczą i doliczyć się nie mogą. To on się pomylił, to jej się zdarza pomyłka. Nie dziw, że złoszczą się na siebie.

- Żeby kobieta do dwóch nie potrafiła liczyć!
- Dlaczego więc ty tego nie zrobisz, mistrzu mój w rachunkach?
- Dobrze, licz ty! Lepiej się na tym znasz!
- O, nie! Ty to lepiej zrobisz!

Niech was chwilowa kłótnia małżonków nie przeraża. Nie pora teraz na kłótnię. Teraz trzeba sporządzić dokładny obrachunek. Trzeba obliczyć co można i co należy kupić za zarobione pieniądze. Po pierwsze, buty dla siebie i ubrania dla dzieci. Dla chłopców kapotki, a dla dziewcząt sukienki. A po drugie, co będzie z macą<sup>373</sup> na Pesach? To samo ze smalcem? A dzieża barszczu nie jest potrzebna? A worek kartofli? I co się okazuje? Jak by nie mnożyli wydatków, jak by nie wykazywali wzmożonego apetytu na różne rzeczy, jakimi by się nie okazali żarłokami i marnotrawcami, wychodzi wciąż na to, że starczy pieniędzy na wszystko. Na buty dla siebie, na kapotki dla chłopców, na sukienki dla dziewcząt, na macę, na smalec, na barszcz i na worek kartofli. I zaraz też na twarzach małżonków pojawiają się rumieńce. I oczy im płoną. I serca rosną. I czują, że ten stworzony przez Boga świat doprawdy nie jest najgorszy. I gotowi są przysiąc, że ludzie wcale nie są tacy źli. Żydzi im trochę zazdroszczą tych zarobków, nie mogą znieść, aby ktoś miał jeden taki dobry dzień w roku.

- A niech się ta Kasrylewka spali! Miasto samych zazdrośników!
- Naftali wyrzuca te gorzkie słowa, ale Rywele staje w obronie miasta:

— Co ty, przecież to biedni ludzie.

— Biedni? U ciebie wszyscy mają jedno imię — „biedni”! To żebracy! Nędzarze! Kasryliki! Biedacy! Golcy! Pętaki! Włóczędzy!

— Oby nam się ich los nie przytrafił — powiada Rywele z przerażeniem w oczach. Strachliwa z niej, bez uroku, kobieta.

I nagle, nie wiadomo skąd, rozlega się na dworze pianie znajomego koguta, tego kantora<sup>374</sup> o zardzewiałym od ciągłego śpiewania głosie. Z początku jego głos brzmi nawet niezłe. Jest w nim siła i wigor, ale potem coraz wyraźniej słabnie, aby wreszcie zakończyć na najniższej oktawie i to przerywanej.

— Ku-ku-ry-ku-u!

Ma się wrażenie, że sam zadaje sobie pytanie:

— Stary durniu, czego ryczysz?

I oto na dworze niebo zaczyna błękitnieć. Budzi się dzień.

## SPADKOBIERCY

A

„Meirowie i Szejnurowie”... Właściwie był tylko jeden Meir i jeden Szejnur. Bracia bliźniacy, tak do siebie podobni, że niemożliwe było odróżnić, który jest który.

Opowiadają, że w okresie niemowlęctwa omal ich nie zamieniono. Może też być, że w istocie do takiej zamiany doszło. A rzecz tak się miała.

Matka bliźniaków, a chcę żebyście to wiedzieli — była kobietą niskiego wzrostu i słabego zdrowia, która bardzo często rodziła. Można powiedzieć, że rodziła i rodziła. Co rok prorok. Długo jednak jej dzieci nie pożyły. Po roku chorób i męczarni umierały. Trwało to tak długo, dopóki nie przestała rodzić. Było już pewne, że koniec z rodzeniem, ale tu zdarzył się cud. Na stare lata Pan Bóg uszczęśliwił ją, i to dwójką naraz. O karmieniu

<sup>373</sup>maca — cienkie, prażone placki, które Żydzi spożywają w święta wielkanocne zamiast chleba, na tę pamiątkę, iż gdy uciekali z niewoli egipskiej, nie zdążyli upiec sobie chleba na drogę, a ciasto bez drożdży, które z sobą zabrali, upiekło się na słońcu. [przypis tłumacza]

<sup>374</sup>kantor — śpiewak prowadzący modły przed pulpitem w bożnicy. [przypis tłumacza]



piersią mowy być nie mogło. Zmuszona więc była wynająć mamkę. Co bowiem innego miała do wyboru? Kasrylewski Żyd, choćby najbiedniejszy, nie wyrzuci dziecka na ulicę i nie odda go w cudze ręce, chyba że chodzi o sierotę.

Sznejura powierzyła mamce, a Meirem zajęła się sama. (Sznejur był o pół godziny starszy). A że mamka, oby wam się to nie przytrafiło, również była słabowita, to zarówno Meir, jak i Sznejur niewiele mleka z piersi karmicielki się napili. Toteż obaj byli nieustannie głodni i dniem i nocą ciągle się wydzielali.

Pewnego dnia, podczas kąpania dzieci we wspólnej balii, zaszedł taki wypadek. Rozebrałe do naga dzieci siedziały w balii pełnej gorącej wody. Ciałka maluchów przybrały czerwoną barwę i nadęły się jak balony. Odczuwały widocznie ogromną rozkosz z kąpiele, wiadomo bowiem, że prawdziwy Żyd przepada za kąpielą. Obie karmicielki stały nad balią i wciąż dolewały świeżej, ciepłej wody. Dzieci z wielkiej uciechy radośnie piszczały i machały rączkami i nóżkami, zupełnie jak małe żuczki przewrócone brzuchami do góry. Po wykąpaniu dzieci, kobiety zawinęły je w jedno prześcieradło i położyły do jednego łóżka, aby wyschły. Kiedy wyjęły je z prześcieradła i chciały ubrać w koszulki, nijak nie mogły poznać, który z nich Meir, a który Sznejur. I rozgorzał spór.

— Popatrz tylko — mogłabym przysiąc, że ten to Meir, a tamten to Sznejur.

— Co mi tam pleciesz? Właśnie ten jest Sznejur, a tamten Meir. Czy pani tego nie widzi?

— Oby wszystkie moje koszarne sny na tobie się skupiły. Czyś ty głupia, czy wariatka?

— Ach, Boże jedyny! Czy pani nie widzi, który to Meir, a który Sznejur? Przecież ma pani dwoje oczu!

— Też mi odkrycie! Jasne, że mam dwoje, a nie troje oczu!

Jednym słowem, jedna wskazuje na Meira, że to Sznejur, a druga na odwrot. Ale mężczyźni, jak przystało na mężczyzn, znaleźli na to radę.

— Wiecie co? Spróbujcie maluchom podać pierś do ssania. Wtedy się przekonamy. Ten, który będzie ssał pierś matki, potwierdzi tym samym, że jest Meirem. Ten zaś, który ssał będzie mleko z piersi mamki, będzie niewątpliwie Sznejurem. Proste, co?

Jako poradzili, tak i zrobili. I kiedy tylko przystawiono dzieci do piersi kobiet, te, jak wygłodniałe po wielkim poście pijawki, cmoknęły wargami, dygnęły nóżkami i warczały niczym szczeniaki.

— Oto jeden z boskich cudów. Jakże mądrze urządził Bóg ten świat!

Mężczyźni, mówiąc to, mieli lzy w oczach. Dla samej jednak ciekawości postanowili zmienić dzieciom piersi do ssania. I kiedy Sznejura przystawili do piersi, którą przedtem ssał Meir, a tego drugiego do piersi, którą przed chwilą ssał jego brat, to co się okazało? Zapewne myślicie, że nie zechcieli ssać? Nic podobnego, jeszcze jak ssali!

Od tej chwili zrezygnowano z prób ustalenia, kto jest kim. Przestano rozróżniać dzieci i odtąd nazywano każdego z braci albo Meir-Sznejur, albo Sznejur-Meir. Potocznie mówiono o nich w liczbie mnogiej — Meirowie-Sznejurowie. Jakby było dwóch Meirów i dwóch Sznejurów. Nieraz bywało w chederze<sup>375</sup>, że zamiast Meira różgi otrzymywał Sznejur, albo Meir dostawał pasem od rebe<sup>376</sup> zamiast Sznejura. I aby żaden z nich nie miał żalu za niesprawiedliwe bicie, rebe wpadł na pomysł. (Tam gdzie *Tora*<sup>377</sup>, tam i mądrość).

— Wiecie co, chłopcy — powiedział rebe — kładźcie się obaj. Teraz żaden z was nie będzie miał żalu, ani zazdrości. Nie będzie gadania: „mnie bił, ciebie bił”. Wszystko zostanie w rodzinie...

Dopiero kiedy stuknął im trzynasty rok życia, mieli już za sobą *bar-mycwę*<sup>378</sup>, byli odpowiedzialni za własne czyny i stanęli na własnych nogach, uwidoczniła się między nimi

<sup>375</sup>*cheder* — dosł.: „pokój”; nazwa szkoły dla początkujących, w której żydowski chłopcy po ukończeniu piątego roku życia uczyli się czytania po hebrajsku modlitw oraz poznawali *Pismo Świąte*. [przypis tłumacza]

<sup>376</sup>*reb* — skrót hebrajskiego słowa *rabi*, które jest tytułem uczonego, rabina itp. U Żydów wyraz reb przed imieniem własnym oznacza szacunek dla osoby, do której zwracają się oni w ten sposób lub o której mówią. Młodszy wiekiem zawsze tak mówi do starszego. [przypis edytorski]

<sup>377</sup>*Tora* — dosł.: „nauka”; nazwa *Biblii*, w szerokim pojęciu oznacza wiedzę, nauki religijne. [przypis tłumacza]

<sup>378</sup>*bar micwa* — dosł. „syn przepisów”. Każdy chłopiec w dniu swoich trzynastych urodzin staje się pełnoletni wobec obowiązujących przepisów religijnych. W tym dniu nakłada po raz pierwszy tefilin i odtąd odpowiada za wszystkie swoje postępy. Podczas tej ceremonii wygłasza przemówienie, w którym opisuje się znajomością

różnica. Już na kilometr można było każdego z nich rozpoznać. Nawet w nocy. Istny cud boski. Zaczęła im się sypać bródka (może wskutek tego, że zbyt wcześnie zaczęli palić papierosy). Na policzkach i nad górną wargą Meira wyrosły czarne jak atrament włosy, a u Szejnura czerwonorude jak ogień. Włosy te rosły im w tak szalonym tempie, że kiedy obaj stanęli pod ślubnym baldachimem, mieli takie brody! Gdzie tam brody! Istne miotły! Jeden miał miotłę czarną, a drugi — czerwonorudą. A wyglądali w nich tak, jakby im te miotły ktoś przykleił.

Wielkie zaiste są dzieła Pana Boga i wielkie, bezbrzeżne są jego cuda. Kto bowiem mógłby przewidzieć, co by się stało, gdyby na przykład mieli jednakowe brody, i po ślubie niechęcący zamienili się, o zgrozo, żonami? Albo odwrotnie, gdyby ich żony zamieniły się mężami?

Nie wiem, jak to jest u was, w dużych miastach, ale u nas w Kasrylewce do takiej zamiany nigdy jeszcze nie doszło — zapewnia jedna z mieszkanek tego miasta. — U nas jest tak. Skoro tyś moją żoną, to ja jestem twoim mężem. A jak może być inaczej? Jeżeli ty jesteś mężem tamtej, to ja jestem żoną tamtego. A skoro ja jestem żoną tamtego, to ty jesteś mężem tej. I tak jest w porządku. Problem wyłania się wtedy, kiedy mój mąż po namyśle nagle powiada, że nie ma nic przeciwko żonie tamtego. Jemu — powiada — to nie przeszkadza. Co to znaczy? — pytam. A gdzie ja tu jestem? Myślicie, że będę milczała?

Ale, krótko mówiąc, nie o tym chciałem wam opowiedzieć. Właściwa historia, którą chcę wam przedstawić, dopiero się zaczyna.

B

Do tej pory zajmowaliśmy się Meirami i Szejnurami, a ściślej mówiąc — Meirem i Szejnurem. O ich ojcu dowiedzieliśmy się bardzo mało. Jakby, broń Boże, bracia nie mieli tatusia... Taka rzecz może się przytrafić u gojów<sup>379</sup>, ale nie u nas. U nas, dzięki Bogu, nie ma sierocińca dla podrzutków, gdzie dzieci wyrastają bez rodziców. U nas nigdy się nie zdarzyło, aby dziecko wychowało się, nie wiedząc, kto jest jego ojcem. Jeśli słuchy o czymś takim dotrą do Kasrylewki, to z góry wiadomo, że to się mogło zdarzyć gdzieś w Odessie, w Paryżu, albo w odległej Ameryce. Mogę was śmiało zapewnić, że w Kasrylewce nieślubnych dzieci nigdy nie było. A jeśli nawet komuś się to przytrafiło, to w grę mogła wchodzić tylko jakaś służąca, albo przypadkowo uwiedziona żydowska dziewczyna — ofiara cudzego grzechu.

Jednym słowem, Meirowie i Szejnurowie mieli ojca, i to bardzo porządnego. Nazywał się reb<sup>380</sup> Szymson. Miał wspaniałą brodę, długą i gęstą. Większą od całej twarzy. Zakrywała ją niemal w całości. Z tego powodu przykleili mu przydomek „broda”.

A był nasz Szymson-Broda... Lepiej nie wiedzieć, kim. Przez całe życie ciężko tyrał, aby zarobić na kęs chleba. Nieustannie borykał się z biedą. Raz, bywało, udało mu się ją pokonać, a raz jej jego. Tak zresztą rzecz się ma ze wszystkimi kasrylewskimi Żydami, którzy nie boją się biedy i nieraz pokazują jej nawet trzy figi...

I żył sobie reb Szymson-Broda tak długo, aż umarł. A kiedy umarł, pochowali go z należnymi honorami. Całe miasto brało udział w jego pogrzebie. Słychać było krzyki:

— Kto umarł?

— Reb Szymson.

— Który reb Szymson?

— Reb Szymson-Broda.

— Aj, aj, to znaczy, że reb Szymson-Broda odszedł z tego świata? Błogosławiony niech będzie Sędzia Prawdy.

Mieszkańcy Kasrylewki nie tyle żalowali reb Szymsona, ile tego, że ubył im jeszcze jeden Żyd.

---

*Pisma Świętego* lub *Talmudu*. Następnie jego ojciec publicznie dziękuje Bogu, że wybawił go od poniesienia kary za grzechy syna, za którego dotąd był odpowiedzialny wobec Stwórcy. [przypis tłumacza]

<sup>379</sup>goj — nie-Żyd. [przypis edytorski]

<sup>380</sup>reb — skrót hebrajskiego słowa *rabi*, które jest tytułem uczonego, rabina itp. U Żydów wyraz *reb* przed imieniem własnym oznacza szacunek dla osoby, do której zwracają się oni w ten sposób lub o której mówią. Młodszy wiekiem zawsze tak mówi do starszego. [przypis tłumacza]

Dziwne doprawdy istoty z tych kasrylewskich Żydów. Nie dość, że nigdy nie najedli się do syta, to jeszcze chcieliby, aby nikt z nich nie umarł. Jediną ich pociechą jest fakt, że na tym świecie wszędzie się umiera. Nawet w Paryżu... Od śmierci nikt nie potrafi się wykupić. Nawet Rotszyld, który chyba jest możniejszy od samej władzy. Kiedy przychodzi pora umierania, człowiek dostaje zaproszenie, aby się pofatygował i udał się tam... I nie ma rady, musi iść.

Ale wróćmy do naszych Meirów i Szejurów. Jak długo żył ich ojciec, reb Szymoszon-Broda, Meir i Szejur stanowili jedną nierozzerwalną duchową całość. Po jego śmierci bracia stali się swoimi przeciwnikami. Ogień i woda. Jeden był gotów napaść na drugiego, gotów dorwać się do jego brody i wyrwać z niej wszystkie włosy. Interesuje was, dlaczego? Spróbujcie przez chwilę sami odgadnąć, dlaczego synowie już w dzień po śmierci ojca zaczynają się kłócić. Chodzi po prostu o spadek.

Jest prawdą, że reb Szymoszon nie pozostawił po sobie ani pól, ani lasów, ani posiadłości, ani domów, ani też żywej gotówki. O biżuterii, srebrach i wartościowych przedmiotach domowego użytku też nie mogło być mowy. Nie dlatego, że był skąpy, albo miał zły charakter. Nie pozostawił, bo nie miał. Ale z tego nie wyciągajcie zbyt pochopnie wniosku, że reb Szymoszon niczego dzieciom nie pozostawił. Przeciwnie, zostawił po sobie majątek. Coś takiego, co równe jest pieniądзом, bo w każdej chwili można to coś zamienić na pieniądze. Można to zastawić, można odnająć, można też sprzedać. Tym czymś było „miasto”, czyli honorowe miejsce przy wschodniej ścianie w bożnicy. Pod względem znaczenia było ono drugie, po „mieście” rabina Juzipla. Drugie w kolejności od Arki Przymierza<sup>381</sup>. Prawdą, że mędrzy z Kasrylewiki ukuli w swoim czasie porzekadło „lepiej własna wieś poza bożnicą, niż »miasto« wewnątrz bożnicy”. Przy bożej pomocy, jeśli człowiek ma własne „miasto” przy wschodniej ścianie bożnicy, to też można mu pozazdrościć. W każdym razie lepsze to „miasto” niż nic!

Słowem, po reb Szymoszonie pozostała „posiadłość”, czyli własne „miasto” w starej kasrylewskiej bożnicy. Zostawiając je reb Szymoszon zapomniał o pewnej drobnostce. Nie spisał testamentu i teraz niewiadomym było, komu „miasto” przypadło w spadku.

Szymoszon, oby mi wybaczył, widocznie nie spodziewał się śmierci. Całkiem chyba zapomniał, że anioł śmierci stoi za plecami każdego człowieka i pilnuje jego kroków. Gdyby o tym nie zapomniał, sporządziłby testament, albo orzekł w obecności świadków, komu z obu rywali zostawia swój majątek.

Co, myślicie, się stało? W pierwszą sobotę po trzydziestu dniach żałoby wybuchła między braćmi wielka sprzeczka. Meir twierdził, że według prawa „miasto” ojca jemu się należy. On jest bowiem starszy. Szejur zaś ze swojej strony wysunął dwa argumenty: po pierwsze, nie wiadomo, kto z nich jest starszy. Na podstawie słów matki zostali po urodzeniu zamienieni. Wynikałoby z tego, że on, Szejur, jest właściwie Meirem, a Meir Szejurem. Po drugie Meir jest zięciem miejscowego nagida, czyli bogacza, który również jest w posiadaniu „miasta” przy wschodniej ścianie. Teść nie ma syna i jeśli, oby po stu dwudziestu latach, jak Bóg tak zechce, umrze, to „miasto” przejdzie w ręce Meira. Wtedy okaże się, że Meir ma dwa „miasta” przy wschodniej ścianie, a Szejur nie posiada nawet pół „miasta”. Powstaje zatem pytanie: gdzie tu sprawiedliwość? Gdzie tu ludzkie uczucia?

Usłyszawszy taki argument, teść Meira włączył się do sporu. Był to bogacz całkiem świeżej daty. Z błyskiem w oczach krzyknął:

— A to ci bezczelność! Nie mam nawet pełnych czterdziestu lat i mam zamiar sobie jeszcze długo pożyć, a oni już dzielą się moim majątkiem. A skąd wiecie, że nie będę jeszcze miał syna? Może ja nie, ale moja żona, która jest młodsza, może jeszcze urodzić chłopca. I to nie jednego, ale kilku! Bezczelny łobuz!

Do sporu braci musieli się więc wtrącić mieszkańcy miasta. Zależało im na tym, aby spór załatwić w sposób polubowny, cichy i spokojny. Po naradzie orzekli, że należy wycenić „miasto”, a potem ten z braci, który otrzyma je, wypłaci drugiemu odszkodowanie. Zdawałoby się, że takie orzeczenie jest jak najbardziej sprawiedliwe. Tak, czy nie? Szkopuł jednak był w tym, że żaden z braci nie chciał nawet słyszeć o odszkodowaniu. Okazało się,

<sup>381</sup>Arka Przymierza — tu: szafa ołtarzowa, *Aron Hakodesz*, we wschodniej ścianie bożnicy, gdzie przechowywane są zwoje *Tory*. [przypis edytorski]

że nie chodzi im o pieniądze. Pieniądze to głupstwo. W grę wchodził upór, chęć robienia drugiemu na złość.

— Dlaczego ty masz siedzieć na miejscu ojca, a nie ja? — pytali się nawzajem bracia.

Tu już chodziło nie tyle o siebie, ile o przeciwnika. Postępowali zgodnie z zasadą: „sam nie zjem, a drugiemu nie dam”. Znamy przecież powiedzonko: „I tobie i mnie, czyli ni mnie, ni tobie...”. No i bracia robili sobie na złość. Nie o byle co im przecież chodziło. Chodziło im o to, kto kogo pokona.

W pierwszą sobotę Meir przyszedł do bożnicy wcześniej niż zwykle i zajął „miasto” ojca. Szejnur zaś przez cały czas trwania modłów stał na nogach. W drugą sobotę Szejnur wyprzedził brata i zajął miejsce ojca. Meirowi nie pozostało nic innego jak tylko modlić się na stojąco. Trzeciej soboty Meir urwał się z domu całkiem raniutko i w te pędy pobiegł do bożnicy. Zajął miejsce ojca i nakrył tałesem<sup>382</sup> głowę, jakby chciał przez to powiedzieć: „No, i zrób mi coś!”. Następnej więc soboty Szejnur obudził się skoro świt i galopem popędził do bożnicy. Zasiadł na miejscu ojca, nakrył głowę tałesem, jakby chciał przez to powiedzieć: „Możesz do mnie pisać na Berdyczów<sup>383</sup>!”. Meir wyciągnął z tego odpowiedni wniosek, bo w następną sobotę zerwał się przed świtem i zajął miejsce ojca. I tak trwało to w kółko, aż do pewnej soboty, a była to Wielka Sobota, gdy obaj bracia przybyli do bożnicy jednocześnie. Było jeszcze ciemno, kiedy stanęli przed zamkniętymi jej drzwiami. Nie odzywając się, popatrzyli na siebie oczami prawdziwych zbójów. Widać było, że gotowi są skoczyć sobie do oczu. Stali naprzeciw siebie, jak dwa szykujące się do skoku oszalałe koguty. Tak chyba stali kiedyś w polu pierwsi na świecie przeciwnicy — biblijni Kain i Abel.

## C

I oto widzimy, jak przed drzwiami bożnicy stoją zapiekli w gniewie dwaj bracia, Meir i Szejnur. Proszę jednak nie zapominać, że obaj pochodzą z dobrego domu, są, jak to się mówi, dobrze wychowanymi młodzieńcami, a nie jakimiś tam, nie przymierzając, skorymi do rękoczynów gojami. Obaj czekają na szamesa<sup>384</sup> Azriela, który wnet przyjdzie i otworzy drzwi bożnicy. Wtedy dopiero okaże się, kto z nich jest szybszy i jako pierwszy zajmie „miasto” ojca. Czekają więc. Minęło dziesięć minut, a im wydaje się, że to wieki. I oto nareszcie pojawia się szames Azriel z kluczem w ręku. Nie może się jednak dostać z kluczem do zamka, bo jeden z braci trzyma prawą nogę przy drzwiach, a drugi lewą. I żaden z nich nie chce ustąpić. Azriel zażywa tabaki i próbuje ich mitygować<sup>385</sup>. Jest to Żyd o potężnej kołtuniastej brodzie.

— No, i co z tego będzie? Jeśli będziecie tu tak uparcie sterczeć jak te dwa capy, nie dam rady otworzyć drzwi. Przez was bożnica może być zamknięta przez cały dzień. Powiedźcie sami, czy ma to jakiś sens?

Słowa szamesa odniosły chyba skutek, bo obaj bracia cofnęli się o krok. Jeden do tyłu na prawo, a drugi do tyłu na lewo. Powstało wolne przejście. Azriel wsadził klucz do zamka, odsunął zasuwę i drzwi stanęły otworem. W tej samej chwili obaj bracia gwałtownie ruszyli do przodu.

— Ostrożnie! Powoli! Jeszcze zwalicie na ziemię spokojnego Żyda!

I nim Azriel zdążył dokończyć zdanie, już leżał pod ich nogami. Nie swoim głosem zawołał:

— Uważajcie, jeszcze stratujecie Żyda, ojca dzieci!

Bracia jednak nie przywiązywali żadnej wagi do jego słów. W głowie mieli tylko „miasto”, honorowe miejsce ojca w bożnicy. Obaj rzucili się w kierunku wschodniej ściany. Wielkimi susami przeskoczyli ławki i pulpity i jednocześnie dopadli „miasta”. Obaj usiedli, podparłszy się plecami o ścianę, a nogami o podłogę. Jeden złapał drugiego za brodę i zgrzytając zębami warknęli:

<sup>382</sup>*tales* — dosł.: „narzuta”; szata liturgiczna, wełniana biała chusta w niebieskie lub czarne pasy, w którą owijają się żonaci mężczyźni podczas modlitwy porannej oraz w czasie innych, ściśle określonych przez przepisy religijne nabożeństw. [przypis tłumacza]

<sup>383</sup>*pisz na Berdyczów* — powiedzonko z kresów wschodnich: pisz tam, gdzie listy nie dochodzą, przen.: nie zmienisz mojego postępowania. [przypis edytorski]

<sup>384</sup>*szames* — tak nazywano sługę bożnicy, synagogi oraz żydowskiej gminy wyznaniowej; właściwie jest to woźny bożnicy, gminy lub rabina. [przypis tłumacza]

<sup>385</sup>*mitygować* — hamować, odwozić od gwałtownego zachowania. [przypis edytorski]

— Prędzej dostaniesz cholery, nim będziesz siedział na tym miejscu.

Tymczasem szames Azriel podniósł się, wyprostował kości i podszedł do braci. Obaj leżeli na podłodze i ciągnęli się za brody. Szames Azriel zaczął z nimi po dobremu:

— Fe, moglibyście się wstydzić! Dwaj bracia bliźniacy, synowie jednych rodziców, wyrrywają sobie nawzajem włosy z brody. I to gdzie? W Świętym Przybytku! A fe!

Zaraz jednak Azriel spostrzegł się, że jego słowa są rzucane na wiatr. Gorzej! Jego morały działały jak oliwa dolewana do ognia. Obaj bracia tak się dali porwać furii, że w rękę jednego i drugiego znalazły się całe garście włosów z brody przeciwnika. Czarne Meira w rękach Szejnura i rude Szejnura w rękach Meira. Policzki obu pokryły się siniakami, a jednemu z nich krew pocięła z nosa.

Dopóki na grę wchodziły tylko brody, policzki, ciosy i szturchańce, Azriel mógł jeszcze starać się przemawiać im do rozsądku, mógł im prawić morały, ale kiedy zobaczył krew, nie wytrzymał. Krew, jeśli nawet tylko z nosa, zalatuje już czymś złym i brzydkim. Nie przystoi to Żydowi. Tfu! I nie zastanawiając się skoczył do przedśionka bożnicy, nabrał wody do wiadra i oblał obu zwaśnionych braci.

Od kiedy świat jest światem, zimna woda jest najlepszym środkiem na doprowadzenie człowieka do przytomności. Człowiek może płonąć gniewem, może być rozsadzany przez złość, ale wystarczy jeden kubek zimnej wody, aby oprzytomniał. Zimna woda ostudza namiętność, odświeża rozsądek i przywraca zdolność logicznego myślenia.

I zimna kąpiel zaaplikowana przez Azriela odniosła skutek. Bracia, jakby obudzeni z koszmarnego snu, natychmiast oprzytomnieli. Spojrzeli sobie w oczy i zawstydzili się. Tak samo, jak kiedyś w raju Adam i Ewa, którzy skosztowali owocu z zakazanego drzewa wiadomości, i nagle zauważyli, że są nady. Też soboty, wieczorem, po *hawdale*<sup>386</sup> udali się w towarzystwie wielu Żydów do rabina Juzipla. Postanowili oddać sprawę w jego ręce i pod sąd ludzki.

## D

Gdyby Kasrylewka nie była zabitym zakątkiem oderwanym od wielkiego świata i gdyby w niej na przykład wychodziły gazety, czasopisma lub ilustrowane magazyny, to by świat z całą pewnością miał wiele do czynienia z reb Juziple. Wszystkie bowiem czasopisma pisałyby o jego nadzwyczajnej mądrości, a mędrzy i uczeni, znani i wielcy ludzie z całego świata jeździłoby do niego, aby na własne oczy ujrzeć tego nadzwyczajnego człowieka i posłuchać jego mądrych rad. Fotografowie i malarze uwieczniliby jego podobiznę, a zdjęcia i obrazy z jego postacią rozpowszechniane byłyby na całym świecie. Dziennikarze zwracaliby mu głowę wywiadami. Chcieliby się wszystkiego o nim dowiedzieć. Jakie lubi potrawy? Ile godzin na dobę śpi? Czy wierzy w nieśmiertelność duszy? Co sądzi o paleniu papierosów? Czy jazdę na rowerze uważa za niebezpieczną? I co sądzi o wielu innych rzeczach? A że Kasrylewka jest głuchym zaściankiem, w którym żadne gazety i czasopisma się nie ukazują, świat nie ma pojęcia o rabinie Juziplu. Nie ma więc o nim żadnej informacji i mędrzy, uczeni oraz sławni ludzie do niego nie jeżdżą. Malarze go nie malują, a fotografowie nie robią mu zdjęć. Dziennikarze nie przeprowadzają z nim wywiadów. Zostawiają go w spokoju, a on żyje sobie spokojnie, cicho, skromnie, bez zbędnej wrzawy i zgiełku. Nikt oprócz kasrylewan nie potrafi powiedzieć o nim słowa. Jego rodzinne miasto zachwyca się zaś nim i podziwia go. Ceni rabina wysoko i nie żałuje mu honorów. (W Kasrylewie pieniędzy nie ma, ale honorów za to w bród). Mówią o nim, że to Nyster, wielki mędrzec, który na co dzień nie objawia swojej mądrości, ale kiedy przychodzą do niego, aby rozstrzygnął jakąś kwestię, spotykają się z głębokim i wielkim umysłem. Słowem, mędrzec z niego znamienity.

Po pożegnaniu soboty, odmówieniu błogosławieństwa *hawdali*, Meir i Szejnur przyszli do domu rabina Juzipla i przedstawili mu do rozstrzygnięcia sprawę spadku. W izbie sądowej rabina był już spory tłum Żydów. Miasto chciało wiedzieć, jak reb Juzipl rozstrzygnie spór braci? Jak uda mu się podzielić jedno „miasto” między dwóch pretendentów?

Reb Juzipl pozwolił obu stronom wygadać się do syta. Kierował się zawsze zasadą, że przed wydaniem wyroku powinien wysłuchać wszystkich racji i wzajemnych pretensji.

<sup>386</sup>*hawdala* — dosł.: „odróżnienie”; modlitwa odmawiana nad winem w sobotę wieczór lub w wieczory ostatniego dnia świąt. Modlitwą tą żegnają Żydzi kończące się właśnie święto i „odróżniają” dzień świąteczny od dni powszednich. [przypis tłumacza]

Po wyroku bowiem nie ma już reklamacji. Potem pozwolił wyczerpująco się wypowiedzieć szamesowi Azrielowi, który był tu koronnym i wiarygodnym świadkiem. Następnie zabrali również głos inni Żydzi. Kto tylko Boga miał w sercu, ten wtrącił swoje trzy grosze. Reb Juzipl to, dzięki Bogu, taki człowiek, który dopuszcza każdego do głosu. Od dawna już zauważyłem, że z reb Juzipla kawał filozofa. On doszedł do wniosku, że nawet najbardziej gadatliwy człowiek musi kiedyś przestać mówić.

I tak też było. Wszyscy gadali, mówili, wypowiadali się, aż w końcu przestali gadać. A kiedy już wszyscy przestali gadać, reb Juzipl zwrócił się do obu braci. Głosem cichym i nawet przymilnym wycedził, zgodnie ze swoim zwyczajem, następujące słowa:

— Moi panowie, słuchajcie mnie uważnie! — te słowa wygłosił po hebrajsku, następnie przeszedł na żydowski. — Sprawa ma się tak: wedle tego, co tu usłyszałem z waszych ust i z ust obywateli miasta, wnioskuje, że obaj macie rację. Ale bieda w tym, że mieliście tylko jednego ojca i to bardzo dobrego. Oby świetlisty raj był jego udziałem. Szkopuł jednak polega na tym, że wam obu zostawił tylko jedno „miasto”. Jest rzeczą oczywistą, że „miasto” waszego ojca przy wschodniej ścianie starej bożnicy jest dla was obu drogim. Machnąć ręką na nie nie można. Co więc należy uczynić? Tak samo, jak jeden człowiek nie może siedzieć na dwóch „miastach”, tak samo dwóch ludzi nie może się zadowolić jednym „miastem”. Ale z drugiej strony, tak mi się wydaje, jest znacznie łatwiej jednemu człowiekowi zajmować dwa „miasta”, aniżeli dwom ludziom siedzieć na jednym „mieście”. Jeżeli bowiem jeden człowiek miałby, dla przykładu, dwa „miasta”, mógłby siedzieć raz na jednym i raz na drugim „mieście”. Jeśli natomiast dwaj ludzie spróbowaliby usiąść na jednym „mieście”, to nic z tego nie wyjdzie. Oto, dla przykładu, kładę prawą rękę na tej księdze. Gdybym chciał położyć na tej samej księdze, na której spoczywa moja prawa ręka, lewą rękę, to bym nie mógł. Dlaczego? Ponieważ Pan Bóg tak urządził ten świat, że zwykły człowiek nie potrafi go ogarnąć rozumem. Ale mimo to pytanie nadal pozostaje pytaniem. Co mianowicie należy zrobić z tymi dwoma braćmi, którzy mieli, niestety, jednego tylko ojca, po którym zostało w spadku tylko jedno „miasto”, a każdy z nich pragnie mieć własne „miasto” przy wschodniej ścianie w starej bożnicy? Jest to bardzo poważna sprawa. Sianem z niej się nie wykręcisz! Z tego wniosek: bracia powinni się podzielić, ale jak można podzielić jedno „miasto” na dwa? „Miasto”... to przecież żadne tam... tam jabłko, które można rozpołowić na dwie części. Przecież nie można tak sobie powiedzieć: „Masz tu pół »miasta« i ty pół »miasta«”. A jednak jest rada na to, ażebyście obydwaj mogli zasiadać przy wschodniej ścianie. „Miasto” obok „miasta”. Do tego wniosku doszedłem sam, dzięki swemu rozumowi. A jak? Biorąc pod uwagę, że „miasto” waszego ojca i moje „miasto” to dwa miejsca obok siebie, siadajcie moi braciszkuwowie na tych dwóch „miastach”. I tak będziecie siedzieli w zdrowiu i szczęściu. Miejsce obok miejsca. I koniec ze sporem. Z pewnością zapytacie mnie: „Dobrze, a co reb Juzipl pocnie?”. Odpowiedź moja jest prosta: Gdzie to jest napisane, żeby rabin, albo w ogóle Żyd, musiał mieć własne „miasto”? I to właśnie przy wschodniej ścianie, i w dodatku w starej bożnicy? Zastanówmy się dobrze: co to jest bożnica? Święte miejsce. Po co chodzimy do bożnicy? Po to, aby się modlić. Do kogo? Do Najwyższego. A gdzie On przebywa? Wszędzie. „I cała ziemia wypełniona jest Jego Majestatem”. Skoro tak, to jakie znaczenie ma wschód, północ, południe, miejsce honorowe, czy miejsce pospolite przy drzwiach? Grunt, że jest to miejsce święte, i grunt, żeby się modlić. Do czego to wszystko jest podobne? Do pałacu króla przyszli kiedyś dwaj słudzy, aby go prosić o łaskę. W pewnej chwili zaczęli się między sobą kłócić. Tak się rozwścieczyli, że zaczęli sobie skakać do oczu i do bród. W ferworze kłótni zupełnie zapomnieli, przed kim stoją. Król, jak sobie wyobrażacie, nie omieszkał ich za to naleźycie potraktować. Kazał ich po prostu wyrzucić z pałacu. Jeśli więc chcecie dalej targać się za brody, to wyjdźcie na dwór i wyrrywajcie sobie do syta włosy i brody! Po co macie łązić po pałacu króla, kiedy nie wiecie, jak się zachowywać? To jest przypowieść, a morał z niej odnosi się do was. Idźcie więc, moje dzieci, do domu i żyjcie szczęśliwie, i niechaj wasz ojciec w niebie wstawi się za wami i za całym ludem Izraela.

Tak orzekł reb Juzipl i ludzie po wysłuchaniu wyroku rozeszli się do swoich domów.

Następnej soboty obaj bracia przyszli do bożnicy i, stojąc przy samych drzwiach, modlili się. I mimo iż szames Azriel, a nawet reb Juzipl zapraszali ich do zajęcia miejsc przy wschodniej ścianie, bracia kategorycznie odmówili.

Ktokolwiek reflektuje teraz na własne „miasto” przy wschodniej ścianie starej kasrylewskiej bożnicy, tuż przy „mieście” reb Juzipla, niech się zwraca do synów reb Szymsona, do Meira i Szejnura — wszystko jedno. Gotowi są oni je sprzedać za tanie pieniądze, gdyż nikt na nim nie siedzi. Ani Meir, ani Szejnur. Puste miejsce. Grzech przed Bogiem!

Wytrząsnęli z kieszeni

— Sza! — odzywa się Żyd o oczach okrągłych jak u wołu. Przez długi czas siedział w kącie przy oknie i paląc bez przerwy papierosy, słuchał opowieści o kradzieżach, rabunkach i napadach.

— Ja wam opowiem piękniejszą historię o kradzieży, która wydarzyła się u nas. Właśnie u nas, tu w bożnicy i na dodatek w sam Jom Kipur<sup>387</sup>. Proszę tylko posłuchać!

Nasza Kasrylewka — a ja pochodzę z Kasrylewki — to małe, biedne miasteczko. U nas nie ma złodziei. U nas nie kradną. Nie ma u kogo kraść i nie ma co kraść. Poza tym Żyd w zasadzie nie jest złodziejem. To znaczy, że owszem, bywają Żydzi-złodzieje, ale nie tacy, co to włączają przez okna albo zakradają się do domu z nożem w ręku, gotowi zabić. Widzicie, pokręcić, zakręcić głowę komuś, bardzo proszę. Ale żeby włożyć komuś do kieszeni, nie. Mogą go przecież złapać za rękę, przylepić mu żółtą łatę i poprowadzić po ulicy. Co to, to nie. To Żydowi nie przystoi. To przystoi raczej Iwanowi-złodziejowi. I oto wyobraźcie sobie, że pewnego dnia wydarzyła się u nas w Kasrylewie kradzież. I to jaka kradzież. Za jednym zamachem całe tysiąc osiemset karbowańców<sup>388</sup>.

Na dzień przed Jom Kipur w porze modlitwy *mincha*<sup>389</sup> przybył do naszego miasta pewien Żyd z Litwy, dostawca rządowy. Zatrzymał się w domu zajezdny. Zostawił walizkę w pokoju i zaraz udał się do bożnicy. Trafił do starego bet-hamidraszu<sup>390</sup>. Wchodzi do środka i zastaje przy „misce” gabajów<sup>391</sup> bożnicy.

— *Szolem alejchem*<sup>392</sup>!

— *Alejchem szolem!* Skąd Żyd przybywa?

— Z Litwy.

— Jak się Żyd nazywa?

— Czy innych kłopotów wasza babcia nie miała?

— Ale pan przyszedł do bożnicy.

— A dokąd miałem przyjść?

— Pan się chyba chce pomodlić?

— A mam inny wybór? A co innego mógłbym robić?

— No to włóż pan coś do miski.

— A jakżeby inaczej? Za darmo się będę modlił?

Krótko mówiąc, nasz gość wyjął trzy srebrne karbowańce i włożył je do miski. Ponadto położył na talerzu kantora<sup>393</sup> karbowańca, dla rabina też jednego karbowańca i na rzecz szkoły „Talmud-Tora” również jednego karbowańca. Pół karbowańca rzucił na talerz jałmużniczy. Stojącym przy drzwiach żebrakom również rozdał jałmużnę. Tych ostatnich w naszym mieście nie brakuje. Jest ich, bez uroku, tylu, że gdyby chciano wszystkich obdarować, nie wystarczyłoby na to majątek Rotszylda.

Gabajowie, zobaczywszy takiego gościa, natychmiast ustąpili mu „miasta” przy wschodniej ścianie. Zapytacie, skąd wzięli dla niego „miasto”, skoro wszystkie „miasta” w bożnicy

<sup>387</sup>*Jom Kipur* — dosł.: „dzień przebaczenia”, święto znane Polakom pod nazwą Dzień Pojednania lub Sądny Dzień. Pobożni Żydzi wierzą, że w tym dniu Bóg wyznacza losy wszystkich ludzi na następny rok, według ich dotychczasowych uczynków. W czasie tego święta Żydzi umartwiają się, modlą się od rana do nocy i poszczą, przy czym nie tylko nie wolno im jeść, ale nawet napić się wody. Post obowiązuje od południa dnia poprzedzającego święto do wieczora dnia następnego, a od południa wigilii święta do następnego ranka — nawet małe dzieci. [przypis tłumacza]

<sup>388</sup>*karbowaniec* — tu: daw. określenie rubla. [przypis edytorski]

<sup>389</sup>*mincha* — dosł.: „ofiara, dar”; nazwa modlitwy popołudniowej. [przypis tłumacza]

<sup>390</sup>*bet hamidrasz* — dom nauki i modlitwy. [przypis tłumacza]

<sup>391</sup>*gabe* a. *gabaj* — jeden z przełożonych bożnicy, pełniący nad nią nadzór. [przypis tłumacza]

<sup>392</sup>*szolem alejchem* — dosł.: „pokój z wami”; przywitanie u Żydów. [przypis tłumacza]

<sup>393</sup>*kantor* — śpiewak prowadzący modły przed pulpitem w bożnicy. [przypis tłumacza]

są już zajęte? Odpowiedź jest prosta. A skąd biorą się zawsze dodatkowe miejsca na weselach, uroczystościach i na *brysach*<sup>394</sup>? Wszyscy się już rozsiedli przy stole i nagle powstaje zamieszanie. Co jest? Przyszedł bogacz, albo jakaś inna znakomitość. Więc wszyscy siedzący ścieśniają się tak długo, aż powstaje wolne miejsce. Ścieśnianie się to żydowska rzecz. Kiedy nikt ich nie ścieśnia, sami się ścieśniają.

Żyd z okrągłymi, jak u wołu oczami, przerywa swoje opowiadanie i obserwuje słuchaczy. Jest ciekaw, jak reagują na jego dowcip. Po chwili ciągnie dalej.

— Słowem, nasz gość zajął użyzione mu honorowe miejsce i poprosił szamesa<sup>395</sup> o podanie mu pulpitu. Nasz gość, zaproszony do *Kol-Nidrej*<sup>396</sup>, stanął przed pulpitem, nachylił się i włożył na siebie biały kitel i tałas<sup>397</sup>. A jak zaczął się modlić, to robił to przez cały dzień Jom Kipur, i to na stojąco. Ani na chwilę nie usiadł i ani na chwilę nie odstąpił od pulpitu, chyba tylko przy odmawianiu osiemnastu błogosławieństw, albo przy *korim*<sup>398</sup>, kiedy trzeba paść na kolana. Pościć cały dzień, stać na nogach przez cały czas i nie usiąść nawet na chwilę potrafi tylko litwak<sup>399</sup>. Dopiero po modlitwie *neile*<sup>400</sup> i dęciu w szofar<sup>401</sup>, oznaczającym koniec święta, kiedy przystąpiono do powszechnej modlitwy wieczornej *maariw*<sup>402</sup> i *melamed*<sup>403</sup> Chaim-Chune (jemu od lat przysługiwał zaszczyt prowadzenia tej modlitwy) zaintonował: *Hamaariw arowim*<sup>404</sup> — sprowadzający wieczory — rozległ się krzyk: „Gwałtu! Gwałtu! Gwałtu!”. Patrzą, a gość leży zemdłony na podłodze. Oblewają go wodą, cucą, cucą, a on nic. Co się stało? W czym rzecz? Szybko się sprawa wyjaśnia. Litwak miał przy sobie tysiąc osiemset karbowańców. Bał się zostawić je w zajeżdżnym domu. Przecież to nie bagatela. Łatwo powiedzieć „tysiąc osiemset”. Komu w obcym mieście można taką sumę powierzyć? Trzymać je w kieszeni też jakoś nieporęcznie. Zastanawiał się więc — jak powiada — przez dłuższą chwilę, po czym cichutko wsunął pieniądze pod pulpit. Litwak potrafi! Teraz już chyba rozumiecie, dlaczego ani na chwilę nie odstąpił od pulpitu. I właśnie wtedy, kiedy przy modlitwie osiemnastu błogosławieństw odstępował się odeń na krok, albo kiedy przy *korim* padał na kolana, ktoś te pieniądze zwędził.

Jednym słowem, litwak nie przestawał pomstować, płakać i rozpaczać. Co ma teraz zrobić, kiedy został bez pieniędzy? To są — powiada — nie jego pieniądze. On jest tylko posłańcem w pewnym kantorze handlowym. Sam jest biedakiem, obarczonym na domiar licznych potomstwem. Teraz — powiada — nie pozostaje mu nic innego, jak tylko się utopić lub powiesić i to zaraz, w bożnicy, na oczach wszystkich modlących się Żydów.

Usłyszawszy takie słowa, ludzie zamarli. Zapomnieli o tym, że powinni pójść do domu, żeby się pokrzepić. Było nam wstyd przed gościem. Wstyd przed nami samymi. Taka kradzież! Tysiąc osiemset karbowańców! I to gdzie? W bożnicy. W starej kasrylewskiej bożnicy. I kiedy? W Jom Kipur. Niesłychane! Wtem rozległ się głos rabina Juzipla: „Szamesie! Natychmiast zamknąć drzwi!”

<sup>394</sup>*brys* (hebr. *brit*: przymierze, obrzezanie) — żydowska ceremonia obrzezania niemowlęcia płci męskiej w ósmym dniu jego życia. Jest to chwila przystąpienia człowieka do przymierza, zawartego — według wierzeń religijnych — między Bogiem a praojcem Abrahamem. [przypis tłumacza]

<sup>395</sup>*szames* — tak nazywano sługę bożnicy, synagogi oraz żydowskiej gminy wyznaniowej; właściwie jest to woźny bożnicy, gminy lub rabina. [przypis tłumacza]

<sup>396</sup>*Kol Nidrej* — modlitwa śpiewana w wieczór rozpoczynający Jom Kipur. [przypis tłumacza]

<sup>397</sup>*tales* — dosł.: „narzut”; szata liturgiczna, wełniana biała chusta w niebieskie lub czarne pasy, w którą owijają się żonaci mężczyźni podczas modlitwy porannej oraz w czasie innych, ściśle określonych przez przepisy religijne nabożeństw. [przypis tłumacza]

<sup>398</sup>*korim* — klęknięcie podczas modlitwy w Jom Kipur. [przypis tłumacza]

<sup>399</sup>*litwak* — tak nazywano Żydów z Litwy i Białorusi, którzy słynęli jako zaciekli przeciwnicy chasydyzmu i rabinów-cudotwórców. Litwak to synonim uporu, przekory, trzeźwości umysłu, człowiek wierzący tylko w to, co można zbadać, udowodnić. [przypis tłumacza]

<sup>400</sup>*neile* — modlitwa kończąca Jom Kipur. [przypis tłumacza]

<sup>401</sup>*szofar* — róg barani. [przypis tłumacza]

<sup>402</sup>*maariw* — dosł.: „zmiernicz”; nazwa modlitwy wieczornej. [przypis tłumacza]

<sup>403</sup>*melamed* — dosł.: „nauczyciel”; uczył on dzieci żydowskie (od najmłodszego wieku, częstokroć od trzeciego roku życia) czytania po hebrajsku, znajomości *Pięcioksięgi*, modlitw, a także *Talmudu* i innych dzieł religijnych. [przypis tłumacza]

<sup>404</sup>*Hamaariw arowim* — „sprowadzający wieczory” (modlitwa). [przypis tłumacza]



Reb<sup>405</sup> Juzipl, jak wiecie, jest naszym rabinem. Jest to porządny, uczciwy, koszerny, prawdziwy, że tak powiem, Żyd. Może nie taki bystry i chytry, ale charakter ma idealny. Jest to człowiek bez żółci. Czasami miewa pomysły, na które wy nigdy nie wpadniecie. Nigdy, nawet gdybyście mieli po osiemnaście głów na jednej szyi.

Kiedy szames zamknął drzwi bożnicy, reb Juzipl błady jak kreda zwrócił się do zebranych. Mówi i ręce mu się trzęsą, a w oczach błyskają mu ognie.

„Posłuchajcie mnie, moi panowie. Posłuchajcie mnie, szanowni Żydzi! Mamy do czynienia z brzydką sprawą. Odkąd świat istnieje, jeszcze nie zdarzyło się, aby w naszej Kasrylewie znalazł się taki grzesznik, taki heretyk i odstępcą, który by się zdobył na kradzież obcemu człowiekowi, ojcu rodziny, takiej sumy pieniędzy. I to kiedy? W taki święty dzień, jak Jom-Kipur i, być może, że nawet przed końcową modlitwą *neile*. Od kiedy świat światem, czegoś takiego nie było! Nie mogę uwierzyć, ba, nie mogę sobie nawet wyobrazić, że taka rzecz się wydarzyła. W żaden sposób! A może? Kto wie? Żydzi gotowi są połakomić się na jednego karbowańca, a cóż dopiero na taki skarb — tysiąc osiemset karbowańców. Tkwiący w człowieku zły instynkt jest dostatecznie silny... Może któryś z was został przez niego opanowany? Może komuś z was przeznaczone było nieszczęście, żeby dokonać takiego czynu. Jeśli tak, to musimy sprawę dogłębnie zbadać. Musimy się dokopać do samych jej korzeni. Niebo i ziemia są za tym, aby prawda jak oliwa wypłynęła na wierzch. Dlatego wszyscy musimy się poddać rewizji. Musimy wzajemnie się przeszukać. Niech każdy przetrząśnie i wytrząśnie z kieszeni drugiego całą ich zawartość. Zaczniemy od pierwszego najszacowniejszego obywatela i skończymy na szamesie. Nikt nie może się z tego wymigać. A teraz Żydzi, proszę mnie przetrząsnąć kieszenie!”

Powiedziawszy to reb Juzipl rozpiął opasający go pleciony sznur i wywrócił kieszenie na drugą stronę. W ślad za nim poszli wszyscy szacowni obywatele miasta. Rozpięli plecione sznury, wywrócili kieszenie i zaczęli nawzajem się rewidować. Wreszcie przyszła kolej na Lejzora-Josla. I wtedy ten, krygując się i przybierając coraz to inną pozę, zaczął twierdzić, że gość jest zwykłym oszustem. „To — krzyczał — chwyt litwaka. To kłamstwo. Czyżbyście nie widzieli, że to dobrze obmyślona gra?”

I wtedy tłum podniósł krzyk: „Jak to? Wszyscy szacowni gospodarze pozwolili się zrewidować, a on chce się wymigać! Nie ma uprzywilejowanych! Przeszukać go? Zrewidować!”

Widząc, że to nie przelewki, Lejzor-Josl zaczął błagać o litość. Ze łzami w oczach prosił, aby go zostawiono w spokoju. Zaklinał się na wszystkie świętości, żeby tak wolny był od złego, jak wolny jest od kradzieży. Więc o co mu chodzi? Chodzi mu o to, że dla niego to wstyd. Błaga ich, aby mieli wzgląd na jego młody wiek i nie rewidowali go. „Róbcie ze mną, co chcecie, ale nie przetrząsajcie moich kieszeni”. I jak wam się ten lajdak podoba? No i co myślicie? Myślicie, że go posłuchali? Że uszanowali?

Ale teraz proszę o spokój. Zupełnie zapomniałem wam opowiedzieć, kto to jest Lejzor-Josl. Otóż Lejzor-Josl wcale nie pochodzi z Kasrylewiki. Czort wie, skąd pochodzi. U nas zadomowił się jako zięć miejscowego bogacza. Ten się na niego gdzieś podczas podróży natknął i stamtąd go sprowadził. Chwalił się potem, że znalazł dla swojej córki prawdziwy „klejnot”, istną mecyję<sup>406</sup>. Zna na pamięć tysiąc stron *Gemary*<sup>407</sup>. Z *Tanachem*<sup>408</sup> jest za pan brat. Świętny hebraista. Znakomity matematyk. Ułamki wraz z algebrą ma w jednym palcu. Do tego wszystkiego jest doskonałym pisarzem. Jednym słowem, obdarzony jest wszystkimi siedemnastoma zaletami. Na wieść, że bogacz sprowadził takie cacko, zesłali się wszyscy mieszkańcy, aby podziwiać to чудо. Na własne oczy chcieli zobaczyć, jaką to mecyję sprowadził nasz bogacz. Popatrzyli, młodzieniec wcale niebrzydki, niczego sobie, chociaż nos ma trochę za długawy. Oczy pełne żaru. Język ostry, cię-

<sup>405</sup>*reb* — skrót hebrajskiego słowa *rabi*, które jest tytułem uczonego, rabina itp. U Żydów wyraz *reb* przed imieniem własnym oznacza szacunek dla osoby, do której zwracają się oni w ten sposób lub o której mówią. Młodszy wiekiem zawsze tak mówi do starszego. [przypis tłumacza]

<sup>406</sup>*mecyja* — osobliwość, przysmak. [przypis edytorski]

<sup>407</sup>*Gemara* — dosł.: „zakończenie”; nazwa części *Talmudu*, zawierająca komentarze do *Miszny*. [przypis tłumacza]

<sup>408</sup>*Tanach* — skrót od słów: *Tora* — *Pięcioksiąg*, *newim* — *Prorocy*, *chtuwim* — *Pisma*, czyli cała *Tora*. [przypis tłumacza]

ty, zjadliwy. Poddano go egzaminowi z *Gemary*, z Rambama (Majmonidesa)<sup>409</sup>, z tego i z owego — a ten sukinsyn wszystko umie na blachę. O co go nie zahaczysz, wie, zna, umie. Jest u siebie w domu. Sam reb Juzipl powiedział o nim, że mógłby być rabinem w każdym miejscu żydowskiej diaspory. Nie muszę chyba dodawać, że w dzisiejszych świeckich naukach też jest oblatany. W naszym mieście jest taki uczony wariat, badacz i znawca o imieniu Zajdel. Przy Lejzorze-Jośle jednak wysiada. A jak Lejzor-Josl gra w szachy! Nikt na świecie mu w tym nie dorówna. Słowem, zięć ze wszech miar udany.

Jest rzeczą oczywistą, że wszyscy zazdrościli bogaczowi tego „klejnotu”, chociaż tu i ówdzie mówiono, że zięćciulek jest troszkę stuknięty. Mianowicie? Ludziom nie podobała się jego zbyt przemądrzałość (co zanadto, to niezdrowo). Jeśli chodzi o niego samego, to zachowuje się przesadnie skromnie. Ze wszystkimi jest za pan brat. Bez różnicy. Może to być chłopak, dziewczyna czy zamężna kobieta. Ludziom nie podobało się również to, że zawsze był zamyślony. Do bożnicy przychodził później niż wszyscy. Ledwo zdążył włożyć tańs, a już zaglądał do księgi. Najczęściej do *Beer majim chajim*<sup>410</sup> albo do *Ibn Ezra*<sup>411</sup>. Jarmulka zsunięta na bok, a modlić się, nie modli. Nie powiem, żeby widziano w nim coś złego, ale po cichu szepetano sobie od ucha do ucha, że do zbyt bogobojnych Żydów nie należy. No cóż, nie może być tak, aby człowiek posiadał same tylko zalety.

A dalej było tak. Kiedy Lejzor-Josl za nic nie chciał się poddać rewizji, ludzie pewni już byli, że pieniądze są u niego. „Kaźcie mi — krzyczał Lejzor-Josl — przysiąc na *Torę*<sup>412</sup>, rozetnijcie mnie na kawałki, smaźcie mnie w ogniu, ale nie przetrząsajcie moich kieszeni”.

Tu już reb Juzipl nie wytrzymał.

„Ty — krzyknął — taki owaki! Zasłużyłeś na to, aby cię... cię... już nie wiem na co... Czy nie widzisz, jak nasz gość cierpi? Wszyscyśmy, mimo wstydu, zgodzili się na przetrząsanie naszych kieszeni, a ty jeden chcesz być wyjątkiem? Tak czy inaczej, albo się przyznasz i sam oddasz pieniądze, albo pokażesz kieszenie! Igrać chcesz z całą gminą żydowską? Przecież my cię tu zaraz... nie wiem co?”

Jednym słowem, ludzie pochwycili pięknego młodzieńca i położywszy go siłą na podłodze, zaczęli przetrząsać jego kieszenie. I co wytrząsnęto? Zgadnijcie. Obgryzione kości z ćwiartki kury<sup>413</sup> i kilka tuzinów świeżych pestek po dopiero co zjedzonych śliwkach. Macie pojęcie, jak to się ludziom nie spodobało? Macie pojęcie, jak on sam i jego teść wyglądali? Nasz rabin Juzipl nie mógł znieść takiego wstydu i odwrócił się. Nie mógł nikomu spojrzeć w oczy.

I kiedy ludzie rozeszli się do domów, aby po poście coś zjeść, to po drodze nie przestawali mówić o „skarbie” wytrząsnętym z kieszeni „klejnotu” bogacza. Pękali ze śmiechu. Tylko reb Juziplowi nie było do śmiechu. Szedł z opuszczoną głową. Był zmartwiony i zbolący. Nie mógł nikomu spojrzeć w oczy. Jakby to z jego kieszeni wytrząsnęto te kości i pestki.

Żyd z okrągłymi oczami widocznie zakończył swoją relację, bo znowu zapalił papierosa. Wtem ktoś zapytał:

— A co z pieniędzmi?

— Jakie pieniądze?

— Co znaczy jakie pieniądze? Tysiąc osiemset.

— Ach, te, te — odpowiada rozciągając dźwięki liter. — Te tysiąc osiemset? Przepadły.

— Jak to przepadły?

— Prze-pad-ły!

<sup>409</sup>*Rambam (Majmonides)* — skrót imienia rabi Mosze Ben Majmon (w Polsce znanego jako Majmonides), średniowiecznego filozofa racjonalisty oraz wybitnego lekarza. [przypis tłumacza]

<sup>410</sup>*beer majim chajim* (hebr.) — studnia żywej wody. [przypis tłumacza]

<sup>411</sup>*Ibn Ezra* — Abraham ben Meir (1092–1167), hebrajski poeta, uczony i filozof z Hiszpanii; autor komentarzy do *Biblii*, rozprawy filozoficznej w duchu neoplatonizmu, poematów religijnych i drobnych utworów o tematyce świeckiej. [przypis tłumacza]

<sup>412</sup>*Tora* — dosł.: „nauka”; nazwa *Biblii*, w szerokim pojęciu oznacza wiedzę, nauki religijne. [przypis tłumacza]

<sup>413</sup>*obgryzione kości z ćwiartki kury itd.* — rzecz dzieje się w święto Jom Kipur, wymagające postu. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa - Na Tych Samych Warunkach 3.0.PL.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/alejchem-kasrylewka>

Tekst opracowany na podstawie: Szolem Alejchem, Kasrylewka, tłum. Michał Friedman, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1991.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Fundację im. Michała Friedmana. Dofinansowano ze środków Programu Archiwistyka Społeczna Narodowego Instytutu Audiowizualnego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0993-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.